JEFFREY ARCHER

NIC BEZ RYZYKA

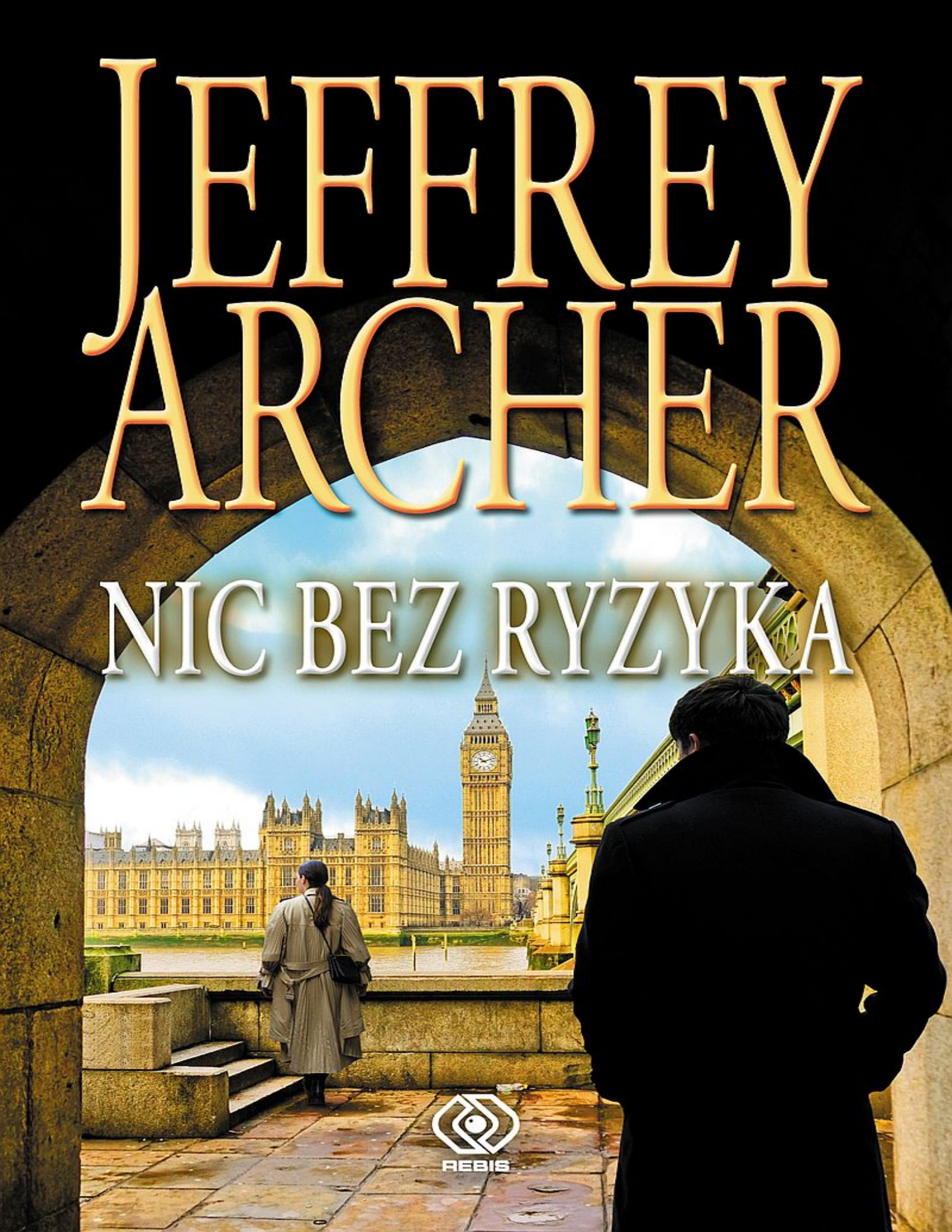

REBIS

JEFFREY ARCHER

NIC BEZ RYZYKA

Przełożyła
Danuta Sękalska

REBIS
DOM WYDAWNICZY REBIS

Pamięci komendanta Williama Hucklesby'ego, kawalera Queen's Police Medal

Oto osoby, którym pragnę podziękować za bezcenne rady i pomoc w zbieraniu materiałów:

Simon Bainbridge, radca królewski Jonathan Caplan, Gregory Edmund, Colin Emson, Eric Franks, Vicki Mellor, Alison Prince, Ellen Radley (emerytowana grafolog sądowa), Catherine Richards, Susan Watt i Johnny Van Haeften.

Moje specjalne podziękowania niechaj przyjmą detektyw sierżant Michelle Roycroft (w stanie spoczynku) i główny inspektor John Sutherland (w stanie spoczynku).

Drogi Czytelniku,

kiedy ukończyłem ostatni tom „Kronik Cliftonów”, kilka osób napisało mi, że chciałoby się dowiedzieć czegoś więcej o Williamie Warwicku, tytułowym bohaterze powieści Harry’ego Cliftona.

Wyznam, że sam się nad tym zastanawiałem, zanim przystąpiłem do pracy nad pierwszym tomem z cyklu opowieści o Williamie Warwicku, zatytułowanym *Nic bez ryzyka*.

Nic bez ryzyka zaczyna się w chwili, gdy William kończy szkołę i ku konsternacji ojca postanawia wstąpić do policji londyńskiej, a nie zostać praktykantem w jego kancelarii adwokackiej. William trwa przy swojej decyzji i w tej pierwszej powieści poznajemy jego życie w rewirze na tle galerii postaci, jednych przyzwoitych, innych nie do końca, które spotyka na swej drodze, gdy dąży do tego, żeby zostać detektywem i znaleźć się w Scotland Yardzie.

W następnych tomach, Czytelniku, będziesz śledził koleje losu Williama, od detektywa konstabla aż do awansu na komisarza policji londyńskiej.

Obecnie pracuję nad drugą książką z cyklu, która opisuje okres spędzony przez Williama jako początkującego detektywa sierżanta w elitarnej jednostce do spraw narkotyków.

To, czy William Warwick kiedyś osiągnie stanowisko komisarza policji londyńskiej, będzie zależało tyleż od jego determinacji i zdolności, co od mojej – nie Twojej, Czytelniku – szansy na długowieczność.

Jeffrey Archer
wrzesień 2019

To nie jest powieść detektywistyczna,

to jest opowieść o detektywie

1

14 LIPCA 1979

– Nie mówisz poważnie.

– Jak najbardziej poważnie, ojcze. Gdybyś kiedy słuchał, co mówiłem przez ostatnie dziesięć lat, tobyś wiedział.

– Proponowano ci przecież miejsce na studiach prawniczych w moim dawnym kolegium w Oksfordzie, a po uzyskaniu dyplomu będziesz mógł dołączyć do mojej kancelarii adwokackiej. Czego jeszcze może żądać młody człowiek?

– Żeby mu pozwolono wybrać zawód według własnego upodobania, a nie iść w ślady ojca.

– Czy to taki podły fach? W końcu czerpię przyjemność, wykonując fascynującą i interesującą pracę i, śmiem zauważyć, odnosząc umiarkowane sukcesy.

– Świetne sukcesy, ojcze. Ale mówimy o twoim zawodzie, nie o moim. Może ja nie chcę być znakomitym adwokatem karnistą przez całe życie broniącym zgrai łajdaków, których bym nigdy nie zaprosił na lunch w swoim klubie.

– Chyba zapominasz, że ci sami łajdacy opłacili twoją edukację i styl życia, którym się cieszysz.

– Nigdy o tym nie zapominam, ojcze, i dlatego zamierzam poświęcić życie temu, aby ci łajdacy na długie lata trafiali za kratki, a nie wychodzili na wolność i dalej popełniali przestępstwa dzięki twojej zręcznej obronie.

William myślał, że jego słowa w końcu uciszą ojca, ale się mylił.

– A może byśmy się zgodzili na kompromis, drogi chłopcze?

– Nie ma mowy, ojcze – stanowczo odparł William. – Mówisz jak adwokat, który występuje o złagodzenie wyroku, wiedząc, że broni niepewnej sprawy. Ale tym razem twoje słowa padają w próżnię.

– Czy nie pozwolisz mi nawet przedstawić argumentów, zanim je z góry odrzucisz? – zareagował ojciec.

– Nie, ponieważ nie jestem winny i nie muszę udowadniać przysięgłym niewinności tylko po to, żeby sprawić ci przyjemność.

– Może mnie chciałbyś sprawić przyjemność, kochanie?

W ferworze dyskusji William całkiem zapomniał, że po drugiej stronie stołu siedzi matka, uważnie śledząc pojedynek między mężem a synem. William był dobrze przygotowany, żeby stawić czoło ojcu, ale wiedział, że z matką nie ma szans. Znów zamilkł. Ojciec nie omieszkał z tego skorzystać.

– Co Wysoki Sąd ma na myśli? – sir Julian, schwyciwszy za klapy marynarki, zwrócił się do żony jak do sędzi Sądu Najwyższego.

– William będzie mógł pójść na uniwersytet wedle swojego wyboru – powiedziała Marjorie – zdecydować, jaki przedmiot zechce studiować, a po uzyskaniu dyplomu, jaką drogę zawodową obierze. I co ważniejsze, wtedy poddasz się godnie i nigdy więcej nie poruszysz tego tematu.

– Wyznam – rzekł sir Julian – że wprawdzie przyjmuję twoje mądre orzeczenie, ale ostatnia jego część może być dla mnie trudna.

Matka i syn wybuchnęli śmiechem.

– Czy wolno mi prosić o złagodzenie kary? – spytał niewinnie sir Julian.

– Nie – rzekł William – bo zgodzę się na warunki matki, tylko jeżeli za trzy lata w pełni poprzesz moją decyzję wstąpienia w szeregi policji londyńskiej.

Sir Julian Warwick, radca królewski, podniósł się ze swego miejsca u szczytu stołu, skłonił się lekko żonie i niechętnie powiedział:

– Jeżeli Wysoki Sąd tak sobie życzy.

William Warwick chciał zostać detektywem, odkąd jako ośmiolatek rozwiązał sprawę brakujących w szkolnym sklepiku batoników „Mars”. To po prostu był ślad papierowy, który nie wymagał użycia szkła powiększającego – wyjaśnił opiekunowi w internacie.

Dowód – kawałki opakowania – został znaleziony w pokoju winnego, a sprawca nie zdołał dowieść, że w tym trymestrze wydał w sklepiku choćby pensa ze swojego kieszonkowego.

Sprawę pogarszał fakt, że Adrian Heath należał do grona najbliższych koleżków Williama i chłopiec przypuszczał, że będą przyjaciółmi do końca

życia. Gdy William opowiedział o tym ojcu w przerwie w połowie trymestru, ten orzekł:

– Miejmy nadzieję, że Adrian wyciągnie naukę z tego doświadczenia, bo jeśli nie, to kto wie, co z niego wyrośnie.

Chociaż William był obiektem kpin innych uczniów, którzy marzyli, że zostaną lekarzami, prawnikami, nauczycielami, nawet księgowymi, to wychowawca nie okazał zdziwienia, kiedy chłopiec mu powiedział, że chce być detektywem. Wszak jeszcze przed końcem pierwszego trymestru koledzy nazwali go Sherlockiem.

Ojciec Williama sir Julian Warwick, baronet, pragnął, żeby syn studiował prawo w Oksfordzie, tak jak on trzydzieści lat wcześniej. Jednak mimo wszelkich starań ojca William nie porzucał decyzji wstąpienia do policji z dniem ukończenia szkoły. Dwaj uparci mężczyźni w końcu osiągnęli kompromis przy aprobacie matki. William miał pójść na London University na historię sztuki – ojciec tego przedmiotu nie traktował serio – i jeżeli po trzech latach wciąż będzie chciał zostać policjantem, sir Julian podda się z godnością. William wiedział, że to nigdy nie nastąpi.

William cieszył się każdym dniem z trzech lat spędzonych w King’s College London, gdzie trzykrotnie się zakochał. Najpierw w dziewczynie imieniem Hannah i w Rembrandcie, potem w Judy i Turnerze, a wreszcie w Rachel i Hockneyu, żeby w końcu wybrać Caravaggia; to była miłość dozgonna, chociaż ojciec zwrócił Williamowi uwagę, że wielki włoski artysta był mordercą i powinno się go powiesić. To dobry powód, zasugerował William, żeby znieść karę śmierci. I znów nie było zgody między ojcem i synem.

W letnie wakacje William wybrał się w wędrówkę po Europie; dotarł do Rzymu, Paryża, Berlina i dalej, do dawnego St Petersburga, by ustawić się w długich kolejkach miłośników malarstwa pragnących wielbić dawnych mistrzów. Kiedy wreszcie skończył studia, profesor zasugerował, że powinien rozważyć podjęcie pracy doktorskiej o mrocznej stronie Caravaggia. William odparł, że mroczna strona to jest dokładnie to, co zamierza zgłębiać, ale pragnie dowiedzieć się więcej o przestępcach w XX, a nie w XVI wieku.

W niedzielne popołudnie 5 września 1982 roku, pięć przed trzecią, William zgłosił się do Hendon Police College w północnym Londynie. Cieszył się

niemal każdą minutą kursu szkoleniowego, począwszy od chwili, gdy składał przysięgę wierności królowej, aż po defiladę promocyjną sześć tygodni później.

Nazajutrz wydano mu granatowy mundur z serży, hełm oraz pałkę i ilekroć mijał jakieś okno, nie mógł się powstrzymać i zerkał na swoje odbicie. Mundur policyjny, jak pierwszego dnia na apelu ostrzegł go dowódca, może zmienić osobowość człowieka, i to nie zawsze na lepsze.

Zajęcia w Hendon Police College zaczęły się drugiego dnia i odbywały się w klasie oraz w sali gimnastycznej. William tak długo uczył się całych partii przepisów, aż mógł je powtórzyć słowo w słowo. Z rozkoszą zagłębiał się w analizy sądowo-medyczne i miejsc zbrodni, chociaż na torze do ćwiczenia kontrolowanego poślizgu prędko odkrył, że jego umiejętności prowadzenia samochodu są raczej elementarne.

Po latach szermierki słownej z ojcem przy śniadaniu William czuł się swobodnie w umownej sali sądowej, gdzie wykładowcy przesłuchiwali go jako świadka, i nie poddawał się nawet podczas zajęć z samoobrony, na których uczył się, jak rozbroić, zakuć w kajdanki i okiełznać kogoś o wiele od siebie wyższego. Uczono go także uprawnień posterunkowego w zakresie aresztowania, przeszukania i wejścia do mieszkania, użycia umiarkowanej siły i, co najważniejsze, rozwagi.

– Nie zawsze trzymaj się ściśle regulaminu – radził jeden z wykładowców. – Czasami musisz się kierować zdrowym rozsądkiem, co wcale nie jest takie powszechne, jak się przekonasz, mając do czynienia z różnymi ludźmi.

W porównaniu z jego doświadczeniem uniwersyteckim tu egzaminy odbywały się regularnie jak w zegarku i nie zdziwił się, że kilku kandydatów odpadło przed zakończeniem kursu.

Po ciągnących się w nieskończoność dwóch tygodniach, jakie minęły od defilady promocyjnej, William wreszcie dostał list z poleceniem, żeby w następny poniedziałek o ósmej rano stawić się na posterunku policyjnym w Lambeth. Nigdy wcześniej nie był w tej części Londynu.

Konstabl o numerze służbowym 565LD wstąpił do policji londyńskiej jako osoba z wyższym wykształceniem, ale postanowił nie skorzystać z programu przyspieszonego awansu, co by mu pozwoliło piąć się szybciej po szczeblach kariery, gdyż chciał od pierwszego dnia stanąć na równych pra-

wach z każdym innym nowicjuszem. Pogodził się z tym, że jako praktykant musi spędzić co najmniej dwa lata w rewirze, zanim będzie miał szansę zostać detektywem, i prawdę mówiąc, nie mógł się doczekać, kiedy go rzucą na głęboką wodę.

Jako praktykant znalazł się pod opieką posterunkowego Freda Yatesa, który miał na koncie dwadzieścia osiem lat służby w policji. Główny inspektor posterunku polecił mu „zajmować się chłopcem". William i Fred mieli ze sobą niewiele wspólnego poza tym, że obaj od dziecka chcieli zostać glinami, a ich ojcowie robili wszystko, żeby synów przed tym powstrzymać.

Kiedy Fredowi przedstawiono niedowarzonego młokosa, od razu przekazał mu podstawowe prawdy. Nie czekał, aż William zapyta.

– W nic nie wierz. Nikomu nie ufaj. Wszystko podawaj w wątpliwość. To jedyne prawo, jakiego się trzymam.

W następnych miesiącach Fred wprowadził Williama w świat włamywaczy, dilerów narkotykowych i alfonsów, pokazał mu też pierwszego trupa. Z zapałem sir Galahada William pragnął wsadzić za kratki każdego przestępcę i uczynić świat doskonalszym. Fred był większym realistą, ale ani razu nie próbował stłumić płomienia młodzieńczego entuzjazmu Williama. Nowicjusz prędko się przekonał, że ludzie nie zdają sobie sprawy, czy policjant nosi mundur od dwóch dni czy od dwóch lat.

– Czas, żebyś zatrzymał pierwszy samochód – zawyrokował Fred w drugim dniu Williama na obchodzie, hamując przy sygnalizacji świetlnej. – Pokręcimy się tutaj, dopóki ktoś nie przejedzie na czerwonym, a wtedy wyjdziesz na drogę i zatrzymasz samochód.

William miał niepewną minę.

– Resztą ja się zajmę. Widzisz to drzewo o jakieś sto kroków stąd? Idź, ukryj się za nim i poczekaj, aż dam ci znak.

Stojąc za drzewem, William czuł, jak mocno bije mu serce. Nie musiał długo czekać. Nagle Fred podniósł rękę i zawołał:

– Niebieski hillman! Łap go!

William wyszedł na jezdnię, podniósł rękę i nakazał kierowcy zatrzymać się przy krawężniku.

– Nic nie mów – polecił Fred, dołączając do adepta sztuki policyjnej. – Obserwuj uważnie i zapamiętaj.

Podeszli obaj do samochodu. Kierowca opuścił szybę.

– Dzień dobry panu – powiedział Fred. – Czy zdaje pan sobie sprawę, że przejechał pan na czerwonym świetle?

Kierowca skinął głową, ale się nie odezwał.

– Czy mógłbym zobaczyć pańskie prawo jazdy?

Kierowca otworzył schowek, wyjął dokument i podał Fredowi. Ten przez chwilę przeglądał dokument, po czym powiedział:

– To szczególnie niebezpieczne o tej porannej porze, bo w pobliżu są dwie szkoły, proszę pana.

– Przepraszam – rzekł kierowca. – To się nie powtórzy.

Fred oddał mu prawo jazdy.

– Tym razem to będzie tylko upomnienie – oznajmił, a William zapisał w swoim notesie numer z tablicy rejestracyjnej. – Ale w przyszłości proszę być bardziej ostrożnym, sir.

– Dziękuję, panie władzo.

– Czemu tylko upomnienie, skoro można go było spisać? – spytał William, gdy samochód wolno odjechał.

– Liczy się postawa – odparł Fred. – Ten pan był grzeczny, przyznał się do błędu i przeprosił. Po co dowalać przestrzegającemu prawa obywatelowi?

– To co by musiał zrobić, żebyś go spisał?

– Gdyby powiedział: „Nie masz pan nic lepszego do roboty, panie władzo?”. Albo gorzej: „Nie powinien pan łapać prawdziwych przestępców?”. Albo moja ulubiona odzywka: „Zdajesz pan sobie sprawę, że ja opłacam pana pensję?”. Na taką odpowiedź spisałbym faceta bez wahania. I wiesz, był taki gość, co go musiałem zabrać na posterunek i przymknąć na dwie godziny.

– Był agresywny?

– Nie, o wiele gorzej. Oznajmił mi, że jest bliskim przyjacielem komendanta i że już on mi pokaże. No to mu powiedziałem, że może zadzwonić do niego z posterunku.

William wybuchnął śmiechem.

– No, dobrze – rzekł Fred. – Ukryj się za drzewem. Następnym razem ty będziesz rozmawiał, a ja poobserwuję.

Sir Julian Warwick, radca królewski, siedział po jednej stronie stołu zatopiony w „Daily Telegraphie”. Od czasu do czasu mruczał z dezaprobatą,

podczas gdy jego żona, siedząca naprzeciw, jak co dzień zmagała się z krzyżówką w „Timesie”. Kiedy Marjorie miała dobry dzień, wpisywała ostatnie hasło, zanim mąż wstawał od stołu, by udać się do Lincoln’s Inn. W złe dni musiała go prosić o pomoc, za którą to uprzejmość zwykle liczył sobie sto funtów za godzinę. Regularnie przypominał małżonce, że do tej pory jest mu winna ponad dwadzieścia tysięcy. Dziesięć poziomo i cztery pionowo wymagały namysłu.

Sir Julian dotarł do artykułów wstępnych, zanim żona zaczęła się głowić nad ostatnim hasłem. Wciąż nie był przekonany, że kara śmierci powinna zostać zniesiona, szczególnie gdy ofiarą okazał się policjant albo urzędnik państwowy, ale „Telegraph” podzielał jego zdanie. Spojrzał na ostatnią stronę, żeby się dowiedzieć, jak powiodło się drużynie rugby Black-heath w meczu z Richmondem w dorocznych zawodach. Przeczytał sprawozdanie z meczu i zamknął strony sportowe, gdyż uznał, że gazeta o wiele za dużo miejsca poświęca piłce nożnej. Jeszcze jeden dowód na to, że naród schodzi na psy.

– Urocze zdjęcie Charlesa i Diany w „Timesie” – odezwała się Marjorie.

– To nie przetrwa długo – zauważył sir Julian, wstał, przeszedł na drugi koniec stołu i jak co rano pocałował żonę w czoło.

Wymienili się gazetami, by mógł czytać sprawozdania sądowe podczas podróży do Londynu.

– Nie zapomnij, że dzieci będą na lunchu w niedzielę – rzuciła Marjorie.

– Czy William zdał już egzamin na detektywa? – zapytał.

– Jak dobrze wiesz, mój drogi, nie może przystąpić do egzaminu, dopóki nie skończy dwóch lat służby w rejonie, a to będzie nie wcześniej niż za sześć miesięcy.

– Gdyby mnie posłuchał, do tego czasu byłby już certyfikowanym adwokatem.

– A gdybyś ty go wysłuchał, tobyś wiedział, że o wiele bardziej interesuje go wysyłanie przestępców za kratki niż szukanie sposobów, żeby ich stamtąd wydostać.

– Jeszcze się nie poddałem – powiedział sir Julian.

– Bądź wdzięczny, że przynajmniej nasza córka podążyła twoim śladem.

– Grace nic takiego nie robi – parsknął sir Julian. – Ta dziewczyna broniłaby każdego nieudacznika bez grosza, na jakiego się natknie.

– Ona ma złote serce.

– Wrodziła się w ciebie – rzekł sir Julian, zastanawiając się nad jednym hasłem, którego żona nie wypełniła. „Szeregowy chudzielec, który dochrapał się buławy”. Cztery.

– Feldmarszałek SLIM – rzucił triumfalnie sir Julian. – Jedyny człowiek, który wstąpił do wojska jako szeregowiec, a skończył jako feldmarszałek.

– I wydaje mi się, że tak będzie z Williamem – powiedziała Marjorie, ale dopiero gdy zamknęły się drzwi.

2

William i Fred opuścili posterunek tuż po ósmej i wybrali się na poranny patrol.

– Mało bywa przestępstw o tej porze dnia – zapewnił Fred młodego praktykanta. – Przestępcy jak bogacze nie wstają z łóżka przed dziesiątą.

Podczas ubiegłych osiemnastu miesięcy William przywykł do często rzucanych przez Freda złotych myśli, które okazywały się o wiele bardziej pożyteczne od wszystkich porad, jakie znajdował w informatorze na temat obowiązków funkcjonariusza policji.

– Kiedy zdajesz egzamin na detektywa? – zapytał Fred, gdy szli powoli Lambeth Walk.

– Dopiero za rok – odparł William. – Ale chyba się mnie jeszcze nie pozbędziesz – dodał, gdy zbliżyli się do lokalnego sklepiku z prasą. Spojrzał na nagłówek gazety: „Posterunkowa Yvonne Fletcher zabita przed ambasadą Libii”.

– Raczej zamordowana – powiedział Fred. – Biedna dziewczyna. – Po dłuższej chwili milczenia wydusił: – Przez całe życie jestem posterunkowym, co mi odpowiada. Ale ty…

– Jeżeli mi się powiedzie – odezwał się William – to tylko dzięki tobie.

– Ja nie jestem taki jak ty, Chórzysto – rzekł Fred.

William bał się, że przezwisko „Chórzysta” przylgnie do niego do końca służby w policji. Wolałby „Sherlocka”. Nigdy się nie przyznał kolegom z posterunku, że jako niewinne chłopię śpiewał w chórze kościelnym i zawsze pragnął wyglądać na starszego, chociaż matka kiedyś mu powiedziała: „Gdy się zestarzejesz, będziesz chciał wyglądać młodziej”. Czy ktoś bywa zadowolony ze swojego wieku?– pomyślał.

– Kiedy zostaniesz komisarzem policji londyńskiej – ciągnął Fred – ja będę tkwił w domu starców, a ty zdążysz zapomnieć, jak się nazywam.

Williamowi nawet nie przemknęło przez myśl, że może kiedyś zostać komisarzem policji londyńskiej, był jednak pewien, że nigdy nie zapomni

posterunkowego Freda Yatesa.

Fred spostrzegł wyrostka wybiegającego ze sklepiku z gazetami. Pan Patel po chwili pobiegł za nim, ale nie miał szans go dogonić. William ruszył w pościg, tuż za nim Fred. Obaj wyprzedzili pana Patela, gdy chłopak skręcił za róg, ale dopiero po przebiegnięciu stu metrów William dopadł złodziejaszka. Obaj z Fredem zaprowadzili chłopaka z powrotem do sklepiku, gdzie smarkacz oddał pudełko papierosów Capstan panu Patelowi.

– Czy pan wniesie oskarżenie, szanowny panie? – spytał William. Notes trzymał otwarty, ołówek w pogotowiu.

– Ale po co? – odparł sklepikarz, odkładając papierosy na półkę. – Jak go zamkniecie, zastąpi go młodszy brat.

– To twój szczęśliwy dzień, Tomkins – powiedział Fred, trzepnąwszy chłopca w ucho. – Chcę cię widzieć w szkole, jak się tam pojawimy, bo jeśli nie, to powiem tacie, coś przeskrobał. Wiesz – zwrócił się do Williama – te fajki były pewnie dla tatusia.

Tomkins czmychnął. Gdy się znalazł na końcu ulicy, odwrócił się i wrzasnął: „Policyjne dranie!”. I zrobił nieprzyzwoity gest.

– Może powinieneś przyszpilić go za uszy.

– O czym ty mówisz? – zapytał Fred.

– W szesnastym wieku, kiedy przyłapano chłopca na kradzieży, przybijano go za ucho gwoździem do słupa i jedynym sposobem ucieczki było wyrwać się na siłę.

– Niezły pomysł – zgodził się Fred. – Bo muszę przyznać, że nie mogę się połapać w nowoczesnych policyjnych zwyczajach. Do czasu, kiedy przejdziesz na emeryturę, chyba będziesz musiał się zwracać do przestępców „sir”. No, ale ja mam tylko osiemnaście miesięcy do emerytury, a do tego czasu ty będziesz już w Scotland Yardzie. Chociaż – dodał Fred, szykując się do wygłoszenia codziennej sentencji – jak blisko trzydzieści lat temu wstąpiłem do policji, przykuwaliśmy takich chłopaków do kaloryfera, włączaliśmy pełne grzanie i nie uwalnialiśmy, dopóki się nie przyznali.

William się roześmiał.

– Ja nie żartowałem – powiedział Fred.

– Jak myślisz, ile czasu minie, zanim Tomkins trafi do więzienia?

– Założyłbym się, że najpierw spędzi jakiś czas w poprawczaku. Można się naprawdę wściec, jak się pomyśli, że kiedy go przymkną, dostanie

osobną celę, trzy posiłki dziennie i towarzystwo zawodowych przestępców, którzy chętnie wyuczą go fachu, tak że skończy uniwersytet zbrodni.

William codziennie miał okazję przypominać sobie, jaki z niego szczęściarz, że się urodził w rodzinie klasy średniej, że ma kochających rodziców i starszą siostrę, która nie widzi świata poza nim. Chociaż nigdy nie przyznał się żadnemu z kolegów, że się kształcił w jednej z najlepszych w Anglii szkół prywatnych, a potem uzyskał dyplom z historii sztuki w King's College w Londynie. A już na pewno nigdy nie wspomniał, że jego ojciec regularnie otrzymuje wysokie honoraria od kilku z najbardziej znanych w kraju przestępców.

Kiedy tak patrolowali teren, kilkoro miejscowych pozdrowiło Freda, a niektórzy nawet powiedzieli „dzień dobry" Williamowi.

Gdy dwie godziny później wrócili na posterunek, Fred nie zadał sobie trudu, żeby złożyć doniesienie na Tomkinsa dyżurnemu sierżantowi, gdyż miał taką samą opinię o papierkowej robocie, jak o współczesnych praktykach policyjnych.

– Masz ochotę napić się herbaty? – zapytał Fred, kierując się do kantyny.

– Warwick! – krzyknął ktoś z tyłu.

William się odwrócił i zobaczył, że wzywa go sierżant z aresztu policyjnego.

– Więzień zemdlał w celi. Idź z tą receptą do najbliższej apteki i odbierz lek. I pośpiesz się.

– Tak jest, panie sierżancie – powiedział William.

Schwycił kopertę i biegł przez całą drogę do Bootsa na głównej ulicy, gdzie kilka osób czekało cierpliwie w kolejce do okienka aptecznego. Przeprosił kobietę z początku kolejki i podał kopertę farmaceutce.

– To nagły wypadek – powiedział.

Młoda kobieta otwarła kopertę i dokładnie przeczytała kartkę.

– Funt sześćdziesiąt, panie konstablu.

William poszukał w kieszeni drobnych i podał aptekarce. Wbiła kwotę na kasę, odwróciła się, zdjęła z półki opakowanie prezerwatyw i wręczyła mu. William otworzył usta, ale nie wydobył z siebie głosu. Miał przykrą świadomość, że parę osób w kolejce się uśmiecha. Już chciał uciekać, kiedy aptekarka rzuciła:

– Proszę nie zapomnieć recepty, panie konstablu – i oddała mu kopertę.

Kilka rozbawionych par oczu odprowadzało go, gdy wymykał się na ulicę. Dopiero gdy się znalazł poza ich polem widzenia, otwarł kopertę i przeczytał kartkę.

Szanowny Panie lub Szanowna Pani,

jestem nieśmiałym młodym konstablem i w końcu znalazłem dziewczynę, która chce się ze mną umówić, i mam nadzieję, że dziś w nocy mi się poszczęści. Ale ponieważ nie chcę, żeby zaszła w ciążę, czy może mi Pan (Pani) pomóc?

William wybuchnął śmiechem, wsadził pudełko do kieszeni i pomaszerował z powrotem na posterunek. Zaświtała mu myśl: szkoda, że nie mam dziewczyny.

3

Konstabl Warwick umieścił obsadkę na wiecznym piórze z przekonaniem, że zdał egzamin na detektywa, jakby to ujął ojciec, śpiewająco.

Gdy wieczorem wrócił do swojego jednoosobowego pokoju w Trenchard House, jego optymizm znacznie osłabł, a gasząc lampkę przy łóżku, był już pewien, że zostanie w mundurze i w rewirze przynajmniej przez następny rok.

– Jak ci poszło? – zapytał sierżant, kiedy nazajutrz zgłosił się na służbę.

– Beznadziejnie – odparł William, zajrzawszy do książki obchodów. Miał z Fredem patrolować osiedle Barton, bodaj po to, żeby przypomnieć miejscowym przestępcom, że w Londynie wciąż jest kilku policjantów w rewirze.

– To musisz spróbować znów w przyszłym roku – powiedział sierżant, któremu nie chciało się pocieszać młodzieńca. Jeżeli konstabl Warwick chce w siebie wątpić, nie będzie mu spieszył na ratunek.

Sir Julian tak długo ostrzył nóż do krojenia mięsa, aż miał pewność, że pokaże się krew.

– Dwa plastry czy jeden, mój chłopcze? – zapytał syna.

– Poproszę o dwa, ojcze.

Sir Julian pokroił rostbef z wprawą mistrza.

– Więc zdałeś ten swój egzamin na detektywa? – zagadnął Williama, gdy ten podał mu talerz.

– Nie dowiem się tego wcześniej niż za dwa tygodnie – odparł William, podając matce półmisek z brukselką. – Ale nie jestem optymistą. Jednak ucieszysz się, gdy usłyszysz, że znalazłem się w finale posterunkowych mistrzostw rozgrywek snookera.

– Snookera? – powtórzył ojciec, jakby nigdy nie słyszał o tej grze.

– Tak, to jeszcze coś, czego się nauczyłem podczas ostatnich dwóch lat.

– Ale czy wygrasz? – indagował ojciec.

– Mało prawdopodobne. Moim przeciwnikiem jest faworyt, który wygrywał przez ostatnie sześć lat.

– Zatem oblałeś egzamin na detektywa i zostaniesz zdobywcą drugiego miejsca w…

– Zawsze się zastanawiam, skąd się wzięła nazwa brukselka – wpadła mężowi w słowo Marjorie, próbując nie dopuścić do kolejnego pojedynku między ojcem a synem.

– U nas początkowo mówiono na nią „jarzyna z Brukseli” – wyjaśniła matce Grace – ale z czasem wszyscy zaczęli ją nazywać jednym słowem „brukselka”, oprócz największych pedantów.

– Jak autorzy haseł w *Oxford English Dictionary* – powiedziała Marjorie, uśmiechając się do córki.

– A jeśli zdałeś – ciągnął sir Julian, którego etymologia brukselki nie odwiodła od tematu – to ile potrwa, nim zostaniesz detektywem?

– Sześć miesięcy, możliwe, że rok. Będę musiał poczekać na wakat w innym rewirze.

– Może trafisz prosto do Scotland Yardu? – powiedział ojciec, unosząc brwi.

– To niemożliwe. Trzeba się wykazać w innym wydziale, zanim można w ogóle starać się o stanowisko w tej krainie marzeń. Chociaż jutro po raz pierwszy odwiedzę Yard.

Sir Julian przestał kroić mięso.

– Dlaczego? – zapytał.

– Sam nie wiem – przyznał William. – W piątek wezwał mnie szef i kazał mi się zgłosić w poniedziałek o dziewiątej rano do komendanta Hawksby’ego, ale nie wspomniał dlaczego.

– Hawksby… Hawksby… – powtarzał sir Julian, marszcząc czoło. – Skąd znam to nazwisko? Ach, tak, skrzyżowaliśmy raz szpady przy sprawie o oszustwo, kiedy był głównym inspektorem. Świadek godny podziwu. Wykonał śpiewająco swoją robotę i był tak dobrze przygotowany, że nie mogłem go przyskrzynić. Tego faceta nie wolno lekceważyć.

– Powiedz mi o nim więcej – poprosił William.

– Nadzwyczaj niski jak na policjanta. Uważaj na takich: często mają tęższe mózgi. Zwą go „Jastrząb”. Krąży w górze, a potem spada na ciebie i nie ma na niego mocnych.

– Z tobą włącznie, jak się wydaje – orzekła Marjorie.

– Czemu tak mówisz? – zapytał sir Julian, nalewając sobie wina.

– Pamiętasz tylko tych świadków, którzy zdobyli nad tobą przewagę.

– *Touché* – powiedział sir Julian, wznosząc kieliszek.

Grace i William nagrodzili go spontanicznymi oklaskami.

– Proszę, przekaż ode mnie komendantowi Hawksby'emu serdeczne pozdrowienia – dodał sir Julian, nie zwracając uwagi na brawa.

– Tego ode mnie nie wymagaj – rzekł William. – Mam nadzieję zrobić dobre wrażenie, a nie przysporzyć sobie dozgonnego wroga.

– Czy moja reputacja jest aż tak zła? – spytał sir Julian z przesadnym westchnieniem, godnym porzuconego kochanka.

– Obawiam się, że twoja reputacja jest aż tak dobra – powiedział William. – Sam dźwięk twojego imienia wzbudza na posterunku jęk rozpaczy, bo wiadomo, że kolejny przestępca, który powinien do końca życia tkwić w pace, wyjdzie na wolność.

– Kimże jestem, by się nie zgadzać z dwunastu mężami zacnymi i sprawiedliwymi?

– Może nie zauważyłeś, ojcze – odezwała się Grace – ale kobiety zasiadają w ławie przysięgłych od 1920 roku.

– Wielka szkoda – rzekł sir Julian. – Ja bym nigdy nie dał im prawa głosu.

– Nie denerwuj się, Grace – wtrąciła się matka. – On tylko próbuje cię sprowokować.

– Więc w jakiej znowu beznadziejnej sprawie będziesz szermierzem? – zapytał córkę sir Julian, wbijając nóż głębiej.

– Praw dziedziczenia – powiedziała Grace, pociągnąwszy łyk wina.

– Czyich w szczególności, jeśli wolno mi zapytać.

– Moich. Ty możesz sobie być sir Julianem Warwickiem, baronetem, ale kiedy umrzesz…

– Nieprędko, mam nadzieję – rzekła Marjorie.

– William odziedziczy twój tytuł – ciągnęła Grace, ignorując słowa matki – mimo że to ja jestem pierworodnym dzieckiem.

– Co za skandal – zadrwił sir Julian.

– To nie jest śmieszne, ojcze, i przewiduję, że prawo się zmieni za twojego życia.

– Nie wyobrażam sobie, żeby Ich Lordowskie Mości chętnie przystały na twoją propozycję.

– Właśnie dlatego oni będą następni w kolejce, bo z chwilą, gdy Izba Gmin zda sobie sprawę, że tu chodzi o głosy, kolejna święta cytadela padnie pod ciężarem własnej niedorzeczności.

– Jak się do tego zabierzecie? – zagadnęła Marjorie.

– Zaczniemy od góry, od rodziny królewskiej. Mamy już po swojej stronie pewnego dożywotniego para, gotowego przedstawić Izbie projekt ustawy o primogeniturze, która pozwoli kobiecie objąć tron po monarsze, jeśli jest pierworodnym dzieckiem, a nie ustępować młodszemu bratu. Nikt nigdy nie sugerował, że księżniczka Anna nie byłaby równie dobra jak książę Karol w sprawowaniu obowiązków. I dla poparcia naszej tezy przytoczymy przykład królowej Elżbiety I, królowej Wiktorii i królowej Elżbiety II.

– Nigdy do tego nie dojdzie.

– Za twojego życia – powtórzyła Grace.

– Ale ja myślałem – odezwał się William – że jesteś przeciwna tytułom, Grace.

– Jestem przeciwna. W tym wypadku to jednak sprawa zasad.

– Cóż, poprę cię. Nigdy nie chciałem być sir Williamem.

– A jeśli zostaniesz komisarzem policji londyńskiej i otrzymasz tytuł za własne zasługi? – zapytał ojciec.

William tak długo się wahał, że ojciec wzruszył w końcu ramionami.

– Czy tej biednej młodej kobiecie, której broniłaś w zeszłym tygodniu, udało się wywinąć? – Marjorie zagadnęła Grace, pragnąc zastopować pojedynek.

– Nie, dostała sześć miesięcy.

– I znajdzie się na wolności za trzy – powiedział ojciec – a wtedy niewątpliwie wróci na ulicę.

– Nie wciągaj mnie w ten temat, tato.

– A co z jej alfonsem? – spytał William. – To on powinien trafić za kratki.

– Chętnie bym go ugotowała we wrzącym oleju – rzekła Grace. – Ale nawet go nie oskarżono.

– W oleju? – zdziwił się ojciec. – To może jeszcze cię przekonamy, żebyś głosowała na Partię Konserwatywną.

– Nigdy – ucięła Grace.

Sir Julian znów wziął do ręki nóż do krojenia mięsa.

– Komuś dokładkę? – spytał.

– Wolno zapytać, czy spotkałeś kogoś ostatnio? – Marjorie zwróciła się do syna.

– Kilka osób, mamo – odparł William, rozbawiony eufemizmem, którym posłużyła się matka.

– Dobrze wiesz, o co mi chodzi – skarciła syna.

– Akurat! Pracowałem według harmonogramu przez ostatni miesiąc, siedem nocy z rzędu. Kończyłem o szóstej rano, a wtedy marzysz jedynie o śnie. Potem, dwa dni później, trzeba się stawić na służbę na ranną zmianę. Spójrz, mamo, prawdzie w oczy: konstabl Warwick nie jest dobrą partią.

– A gdybyś posłuchał mojej rady – wtrącił ojciec – mógłbyś już być adwokatem, przed którym otwarta jest droga do dalszej kariery, i zapewniam cię, że w kancelarii jest kilka atrakcyjnych młodych kobiet.

– A ja spotkałam kogoś – odezwała się Grace.

Jej słowa pierwszy raz uciszyły ojca. Odłożył nóż i widelec i uważnie słuchał.

– Jest radcą prawnym w City, ale obawiam się, że ojciec by jej nie zaakceptował, bo specjalizuje się w sprawach rozwodowych.

– Nie mogę się doczekać, kiedy ją poznam – powiedziała Marjorie.

– Kiedy tylko zechcesz, mamo, ale ostrzegam – nie mówiłam jej, kim jest mój ojciec.

– Czyż jestem skrzyżowaniem Rasputina z sędzią Jeffreysem? – spytał ojciec, przytknąwszy do serca ostrze noża do krojenia mięsa.

– Nie jesteś wcale aż taki miły – oznajmiła żona sir Juliana – ale czasem jest z ciebie pożytek.

– Wymień choć jeden – rzuciła Grace.

– Wciąż się głowię nad hasłem we wczorajszej krzyżówce.

– Jestem gotów udzielić porady – rzekł sir Julian.

– „Pani się zamartwia, że jakaś impreza nie wypali”. Dwanaście liter, trzecia s, dziewiąta y.

– Dysfunkcyjna! – wykrzyknęła zgodnie cała trójka i wybuchnęła śmiechem.

– Czy ktoś się uderzy w piersi? – spytał sir Julian.

William powiedział ojcu, że jest mało prawdopodobne, by wygrał, ale teraz zwycięstwo było pewne jak w banku, czy dokładniej rzecz biorąc, w naroż-

nej kieszeni. Właśnie miał wbić ostatnią pozostałą na stole bilę do kieszeni i wygrać mistrzostwa posterunku Lambeth w snookera, kończąc tym serię sześciu zwycięstw Freda Yatesa.

Jak na ironię, pomyślał William, bo przecież Fred nauczył go tej gry. W gruncie rzeczy William nie śmiałby zajrzeć do sali gry w snookera, gdyby Fred nie zasugerował, że dzięki temu może poznać chłopaków, którzy nie mają przekonania do żółtodzioba.

Fred uczył podopiecznego grać w snookera z takim samym zapałem, z jakim wprowadzał go w tajniki służby w rewirze, a dziś, pierwszy raz, William miał pobić swojego mentora w jego własnej grze.

W szkole William wyróżniał się zimą na boisku do gry w rugby jako skrzydłowy, latem na bieżni jako sprinter. Na ostatnim roku London University nagrodzono go upragnioną odznaką Purple za zwycięstwo w mistrzostwach międzykolegialnych. Nawet ojciec potrafił się zdobyć na krzywy uśmiech, ilekroć William przerwał taśmę w wyścigu na sto jardów, jak to określał, chociaż William podejrzewał, że takie terminy jak „powtórzenie partii", „brejk maksymalny" czy „wbicie białej" nie figurowały w słowniku sir Juliana.

William spojrzał na tablicę wyników. Remis 3 do 3. Wszystko zależało od decydującej partii. William zaczął dobrze, podejściem w wysokości 42 punktów, ale Fred podgryzał jego przewagę, aż gra się wyrównała. I chociaż William wciąż miał przewagę 26 punktów, wszystkie bile kolorowe znajdowały się na swoich punktach, gdy więc Fred powrócił do stołu, musiał tylko wbić siedem ostatnich, aby zdobyć trofeum.

Salę w podziemiu wypełniali policjanci wszelkich rang; jedni przycupnęli na kaloryferach, inni rozsiedli się na schodach. Zapadła cisza, gdy Fred pochylił się nad stołem i przymierzał do żółtej bili. William stracił nadzieję na mistrzostwo, widząc, jak kolejno żółta, zielona, brązowa i niebieska bila znikają w kieszeniach, i tylko pozostałe na stole różowa i czarna dzieliły Freda od wygranej.

Fred namierzył bilę zagrywaną, zanim posłał białą w jej stronę. Ale uderzył ją zbyt silnie i chociaż różowa potoczyła się i zagłębiła w środkowej kieszeni, biała zatrzymała się przy bocznej bandzie, co nawet profesjonaliście utrudniłoby uderzenie. Tłum wstrzymał oddech, kiedy Fred pochylił się nad stołem. Nie spieszył się, nastawiając ostatnią bilę, która, gdyby ją wbił,

przyniosłaby mu przewagę 73 do 72 i dała jako pierwszemu tytuł zwycięzcy mistrzostw rokrocznie przez siedem lat.

Cofnął się, wyraźnie zdenerwowany, i ponownie natarł kredą końcówkę kija, próbując się uspokoić przed powrotem do stołu. Pochylił się, rozczapierzył palce, skupił się, a potem uderzył białą bilę. Patrzył z niepokojem, jak czarna toczy się ku narożnej kieszeni; kilku jego kibiców nakłaniało ją w duchu, żeby tam trafiła, ale ku ich konsternacji zatrzymała się tuż przed krawędzią. Tłum westchnął z rozdrażnieniem; wszyscy wiedzieli, że Williamowi pozostało pchnięcie, któremu nawet nowicjusz by podołał, i uznali, że na tablicy honorującej zwycięzcę pojawi się nowe nazwisko.

William odetchnął głęboko i spojrzał na tablicę, gdzie złotymi literami wydrukowano nazwisko Freda, zwycięzcy w latach 1977, 1978, 1979, 1980, 1981 i 1982. Ale nie w roku 1983, pomyślał William, nacierając kredą końcówkę kija. Czuł się niczym Steve Davis na chwilę przed zdobyciem mistrzostwa świata.

Właśnie zamierzał wbić ostatnią czarną bilę do kieszeni, gdy spojrzał na Freda, który stał po drugiej stronie stołu zrezygnowany i przygnębiony.

William pochylił się, znalazł linię zagrania i uderzył białą bilę idealnie. Patrzył, jak czarna dotyka brzegu kieszeni, kołysze się chwiejnie nad otworem, lecz balansuje zwodniczo na krawędzi i nie wpada do kieszeni. Osłupiały tłum westchnął z niedowierzaniem. Widać chłopak nie wytrzymał napięcia.

Fred nie zaprzepaścił drugiej szansy i sala rozbrzmiała okrzykami, kiedy wbił ostatnią bilę i wygrał partię oraz mistrzostwa jak 73 do 72.

Dwaj mężczyźni uścisnęli sobie dłonie, otoczyło ich kilku kolegów i poklepując obu po plecach, mówili: „Dobra robota”, „O mały włos”, „Co za pech, William”. William stanął z boku, kiedy szef wręczał Fredowi puchar. Zwycięzca wzniósł go wysoko przy akompaniamencie głośnych wiwatów.

Jakiś starszy mężczyzna w szykownym dwurzędowym garniturze, niespostrzeżony przez żadnego z gladiatorów, wymknął się z sali, opuścił posterunek i polecił kierowcy zawieźć się do domu.

Wszystko, co mówiono mu o tym chłopcu, okazało się prawdą i teraz nie mógł się doczekać, kiedy konstabl Warwick dołączy do jego drużyny w Scotland Yardzie.

4

Kiedy Warwick wyszedł ze stacji metra na St James’s Park, od razu ujrzał na drugim końcu drogi ikoniczny, obracający się trójkątny znak z napisem New Scotland Yard. Utkwił w nim wzrok z podziwem i lękiem, niczym początkujący aktor zbliżający się do Teatru Narodowego albo artysta pierwszy raz wkraczający na dziedziniec Akademii Królewskiej. Podniósł kołnierz, żeby się osłonić przed przenikliwym wiatrem, i włączył się we wczesnoporanny tłum lemingów spieszących do pracy.

William przeciął Broadway i szedł dalej w kierunku siedziby głównej Metropolitalnej Służby Policyjnej, dziewiętnastopiętrowego budynku, pokrytego przez lata patyną brudu i zbrodni. Okazał legitymację policyjną funkcjonariuszowi przy drzwiach i podszedł do recepcji. Młoda kobieta przywitała go uśmiechem.

– Konstabl Warwick. Jestem umówiony z komendantem Hawksbym.

Przesunęła palcem po porannym spisie spotkań.

– A, tak. Biuro komendanta jest na piątym piętrze na końcu korytarza.

William podziękował i skierował się w stronę rzędu wind, ale gdy zobaczył, ilu ludzi na nie czeka, postanowił pójść schodami. Dotarł na pierwsze piętro, gdzie widniał napis „Narkotyki”, i szedł dalej. Na drugim piętrze ujrzał napis „Oszustwa”, na trzecim „Morderstwa”, aż wreszcie stanął na piątym piętrze, gdzie go powitały słowa „Pranie brudnych pieniędzy, dzieła sztuki i antyki”.

Otworzył drzwi, które prowadziły do długiego, jasno oświetlonego korytarza. Szedł wolno, wiedząc, że ma jeszcze trochę czasu. Lepiej być kilka minut wcześniej niż minutę później, wedle nauk Świętego Juliana. W każdym mijanym przez niego pokoju paliło się silne światło. Walka z przestępstwem nie zna godzin. Jedne drzwi były uchylone i Williamowi zaparło dech w piersi, gdy spostrzegł obraz oparty o ścianę w głębi.

Dwaj mężczyźni i młoda kobieta uważnie przyglądali się malowidłu.

– Dobra robota, Jackie – powiedział starszy z wyraźnym szkockim akcentem. – Twój osobisty sukces.

– Dziękuję, szefie – odpowiedziała.

– Miejmy nadzieję – odezwał się młodszy mężczyzna, wskazując obraz – że dzięki temu wsadzimy Faulknera za kratki na co najmniej sześć lat. Bóg jeden wie, jak długo żeśmy czekali, żeby przyszpilić drania.

– Zgadzam się, detektywie konstablu Hogan – przytaknął starszy. Odwrócił się i zobaczył Williama stojącego w drzwiach. – Czy mogę panu w czymś pomóc? – zapytał ostro.

– Nie, dziękuję, sir.

Fred go uprzedził, że póki jest jeszcze konstablem, do wszystkich wokół ma mówić „sir”. Dzięki temu nie popełni poważnej pomyłki.

– Ja tylko podziwiałem obraz. – Starszy mężczyzna już chciał zamknąć drzwi, gdy William dodał: – Widziałem oryginał.

Trójka policjantów odwróciła się, żeby przyjrzeć się bliżej intruzowi.

– To jest oryginał – odezwała się młoda kobieta z irytacją.

– Niemożliwe – rzekł William.

– Skąd ta pewność? – spytał jej kolega.

– Oryginał wisiał w Fitzmolean Museum w Kensington do czasu, gdy został skradziony kilka lat temu. Do tej pory nie rozwiązano sprawy.

– Właśnie to zrobiliśmy – powiedziała kobieta z przekonaniem.

– Nie sądzę – zareagował William. – Oryginał został w prawym dolnym rogu podpisany przez Rembrandta jego inicjałami RvR.

Trójka policjantów obejrzała prawy dolny róg płótna, ale nie było tam śladu inicjałów.

– Tim Knox, dyrektor Fitzmolean, zjawi się tutaj za kilka minut, chłopcze – rzekł starszy mężczyzna. – Będę się liczył raczej z jego, nie twoim zdaniem.

– Oczywiście, sir – powiedział William.

– Czy ma pan jakieś pojęcie, ile ten obraz jest wart? – zagadnęła Williama młoda kobieta.

William wszedł do pokoju i przyjrzał się malowidłu. Pomyślał, że lepiej nie przypominać kobiecie uwagi Oscara Wilde’a o różnicy pomiędzy wartością i ceną.

– Nie jestem ekspertem – odparł – ale myślę, że jakieś dwieście, trzysta funtów.

– A oryginał? – spytała kobieta już mniej pewnym tonem.

– Nie wiem, ale każda duża galeria na świecie chciałaby dodać takie arcydzieło do swoich zbiorów, nie mówiąc o kilku czołowych kolekcjonerach, dla których pieniądze nie grają roli.

– Więc nie masz pojęcia, ile to może być warte? – spytał młodszy funkcjonariusz.

– Nie, sir. Rembrandt tej klasy rzadko bywa widziany na wolnym rynku. Ostatni taki okaz poszedł pod młotek w Sotheby Parke Bernet w Nowym Jorku.

– Wiemy, gdzie jest Sotheby Parke Bernet – powiedział starszy mężczyzna, nie kryjąc sarkazmu.

– To wie pan również, że sprzedano go za dwadzieścia trzy miliony dolarów – rzekł William i natychmiast pożałował swoich słów.

– Jesteśmy wdzięczni, chłopcze, za twoją opinię, ale nie chcemy dłużej cię zatrzymywać, bo na pewno masz ważniejsze sprawy do załatwienia – powiedział mężczyzna, wskazując drzwi.

William starał się wycofać z elegancją i po chwili usłyszał trzask zamykanych drzwi. Spojrzał na zegarek: 7.57. Pospieszył na koniec korytarza, nie chcąc się spóźnić na wyznaczone spotkanie.

Zapukał do drzwi, na których złotymi literami wypisano: „Komendant Jack Hawksby Oficer Orderu Imperium Brytyjskiego”, i wszedł do pokoju, gdzie za biurkiem siedziała sekretarka. Przestała pisać na maszynie, podniosła głowę i spytała:

– Konstabl Warwick?

– Tak – nerwowo odparł William.

– Komendant pana oczekuje. Proszę wejść. – Wskazała inne drzwi.

William ponownie zapukał i poczekał, aż usłyszał:

– Wejść.

Szykownie ubrany mężczyzna w średnim wieku, o przenikliwym spojrzeniu niebieskich oczu i pobrużdżonym czole, wyglądający starzej niż na swoje lata, podniósł się zza biurka. Hawksby uścisnął wyciągniętą rękę Williama i wskazał krzesło z drugiej strony biurka. Otworzył teczkę i przeglądał ją przez chwilę, zanim się odezwał.

– Na początek zapytam, czy przypadkiem nie jest pan spokrewniony z radcą królewskim sir Julianem Warwickiem?

Williamowi zamarło serce.

– Jest moim ojcem – powiedział, przypuszczając, że rozmowa za chwilę przedwcześnie się skończy.

– To człowiek, którego bardzo podziwiam – rzekł Hawksby. – Nigdy nie narusza zasad, nigdy nie nagina prawa, mimo to broni nawet najbardziej podejrzanych szarlatanów, jakby byli świętymi, a nie sądzę, żeby spotkał wielu świętych podczas wykonywania swojej profesji.

William zaśmiał się nerwowo.

– Chciałem spotkać się z panem osobiście – ciągnął Hawksby; widać nie był człowiekiem, który traciłby czas na wymianę uprzejmości – ponieważ na egzaminie na detektywa zdobył pan pierwsze miejsce, i to ze sporą przewagą.

William nawet jeszcze nie wiedział, że zdał.

– Gratuluję – dodał komendant. – Odnotowałem też, że skończył pan studia wyższe, ale nie skorzystał pan z naszego programu przyspieszonego awansu.

– Nie, sir. Chciałem…

– Sprawdzić się. Tak jak ja kiedyś. Teraz, jak pan wie, jeżeli ma pan być detektywem, musi pan zostać przeniesiony do innego wydziału. Z tą myślą zdecydowałem wysłać pana do Peckham na przeszkolenie. Jeśli okaże się pan dobry, to zobaczymy się znowu za dwa lata i wtedy zdecyduję, czy jest pan gotów dołączyć do nas tu, w Scotland Yardzie, i podjąć pracę w pierwszym wydziale kryminalnym, czy też powinien pan pozostawać w zasięgu i kontynuować praktykę.

William pozwolił sobie na uśmiech i usiadł wygodnie, lecz zaszokowało go następne pytanie komendanta.

– Jest pan absolutnie pewien, że chce być detektywem?

– Tak, sir. Od kiedy miałem osiem lat.

– Jednak nie będzie pan miał do czynienia z przestępcami w białych kołnierzykach, na jakich trafia pański ojciec, ale z najgorszymi mętami. Będzie się pan zajmował wszystkim: od samobójstwa brzemiennej kobiety, która nie mogła dłużej znieść maltretowania przez partnera, po niewiele starszego od pana narkomana z igłą sterczącą z ramienia. Mówiąc szczerze, nie zawsze będzie pan mógł spać w nocy. I będzie pan zarabiał mniej niż kierownik w Tesco.

– Sir, mówi pan jak mój ojciec, ale on nie zdołał mnie zniechęcić.

Komendant podniósł się z miejsca.

– Niechże więc tak będzie, Warwick. Do zobaczenia za dwa lata.

Uścisnęli sobie ręce, obowiązkowa rozmowa kwalifikacyjna została zakończona.

– Dziękuję, sir – powiedział William.

Zamknął cicho drzwi i chciał podskoczyć i wykrzyknąć „alleluja!”, gdy wtem ujrzał trzy wbijające w niego wzrok postaci.

– Nazwisko i stopień? – zapytał starszy mężczyzna, którego William widział wcześniej.

– Warwick, sir. Konstabl William Warwick.

– Dopilnuj, sierżancie, żeby konstabl Warwick nie ruszył się stąd na krok – przykazał starszy mężczyzna młodej kobiecie, a potem zapukał do drzwi komendanta i wszedł do środka.

– Dzień dobry, Bruce – powiedział Hawksby. – Słyszałem, że właśnie zamierzasz aresztować Milesa Faulknera. Najwyższy czas.

– Obawiam się, że nie, sir. Ale to nie w tej sprawie chciałem się z panem widzieć… – Tylko tyle usłyszał William, zanim zamknęły się drzwi.

– Kto to jest? – William spytał młodą kobietę.

– Detektyw główny inspektor Lamont. Kieruje jednostką dzieł sztuki i antyków i podlega bezpośrednio komendantowi Hawksby’emu.

– Czy pani też pracuje w wydziale sztuki?

– Tak, jestem detektyw sierżant Roycroft i podlegam Lamontowi.

– Czy wplątałem się w kłopoty?

– Po same uszy, panie konstablu. Powiedzmy, że cieszę się, że nie jestem w pańskiej skórze.

– Ale ja tylko chciałem pomóc…

– I sam, na własną rękę, zdołał pan zniweczyć trwającą pół roku tajną operację.

– Ale jak?

– Podejrzewam, że zaraz się pan dowie – powiedziała detektyw sierżant Roycroft, gdy otwarły się drzwi i stanął w nich detektyw główny inspektor Lamont i spiorunował Williama wzrokiem.

– Wejdź, Warwick – polecił. – Komendant chce zamienić z tobą słówko.

William wszedł niepewnie do gabinetu Hawksby’ego, przypuszczając, że za chwilę się dowie, że ma wrócić do rewiru. Uśmiech na twarzy komendanta zamienił się w srogą minę i tym razem Hawksby nie trudził się ściskaniem dłoni konstabla o numerze 565LD.

– Sprawiasz kłopoty, Warwick – odezwał się – i mogę ci powiedzieć, że nie pojedziesz do Peckham.

5

– To twój ostatni dzień w mundurze – powiedział Fred, kiedy opuszczali posterunek i wybierali się na wieczorne patrolowanie ulic.

– Albo okaże się, że nie jestem stworzony na detektywa – zauważył William. – A wtedy błyskawicznie wrócę na rewir.

– Bzdury! Wyrobisz sobie reputację i każdy to wie.

– Tylko dzięki tobie, Fred. Nauczyłeś mnie o świecie więcej, niż dowiedziałem się na uniwersytecie.

– To tylko dlatego, że żyłeś jak pod kloszem, Chórzysto. Nie to co ja. To do jakiej jednostki cię przydzielają?

– Dzieł sztuki i antyków.

– Myślałem, że to jest hobby dla ludzi, którzy mają za dużo czasu i pieniędzy, a nie przestępstwo.

– To może być intratny interes przestępczy dla tych, którzy wykombinowali, jak obejść prawo.

– Oświeć mnie.

– Teraz jest na czasie przekręt polegający na tym, że zawodowi przestępcy kradną obrazy bez zamiaru ich sprzedaży – powiedział William.

– Nie kapuję – rzekł Fred. – Po co kraść coś, czego nie zamierza się opylić albo oddać paserowi?

– Firmy ubezpieczeniowe czasem wolą wejść w układ z pośrednikiem, niż wypłacać pełną sumę z polisy.

– Paser w garniturze Armaniego? – zagadnął Fred. – To jak ich przyskrzynić?

– Musisz poczekać, aż zrobią się zbyt zachłanni i firma ubezpieczeniowa odmówi wypłaty.

– To mi wygląda na mnóstwo papierkowej roboty i czuję, że ze mnie nigdy nie byłby dobry detektyw.

– Gdzie będziemy patrolować dziś wieczór? – spytał William, który dobrze wiedział, że Fred nie zawsze wypełnia co do litery dzienne rozkazy.

– Sobotni wieczór. Lepiej sprawdźmy osiedle Barton i upewnijmy się, że Suttonsi i Tuckersi nie szykują się do bitki. Przed zamknięciem pubów wrócimy na Luscombe Road. Może nawet znajdziemy jakiegoś pijaka i rozrabiakę, żebyś miał kogo przymknąć w ostatni wieczór na obchodzie.

Chociaż William spędził dwa lata na stażu z Fredem, prawie nic nie wiedział o jego życiu prywatnym. Nie mógł się skarżyć, bo sam był równie skryty, ale ponieważ to był ich ostatni wspólny obchód, postanowił spytać Freda o coś, co zawsze stanowiło dla niego zagadkę.

– Co przede wszystkim sprawiło, że wstąpiłeś do policji?

Przez pewien czas Fred nie odpowiadał, niemal jakby zignorował to pytanie.

– Ponieważ nigdy więcej cię nie zobaczę, chłopaczku – w końcu się odezwał – to ci powiem. Nie było żadnego przede wszystkim. I to był raczej przypadek niż konkretny plan.

William milczał, gdy skręcali w alejkę prowadzącą od tyłu na osiedle.

– Urodziłem się w czynszówce w Glasgow. Mój ojciec przeważnie żył z zasiłku dla bezrobotnych, więc jedyną osobą, która zarabiała, była matka.

– Czym się zajmowała?

– Była barmanką i prędko się przekonała, że może o wiele więcej zarobić, darząc klientów łaskami na boku. Problem w tym, że wciąż nie mam pewności, czy nie jestem produktem którejś z tych łask.

William nie skomentował.

– Dopływ gotówki ustał, kiedy matka zaczęła tracić urodę, do czego dokładał się ojciec, regularnie podbijając jej oko, jeśli w sobotę wieczór nie przyniosła do domu tyle forsy, żeby starczyło na kolejną butelkę whisky i obstawienie jeszcze jednej czwartorzędnej chabety.

Fred zamilkł, a tymczasem William myślał o swoich rodzicach, którzy w sobotni wieczór zazwyczaj wychodzili na kolację i do teatru. Wciąż trudno mu było pojąć przemoc w rodzinie. Nigdy nie słyszał, żeby ojciec podniósł głos przy matce.

– Z Glasgow do Londynu daleka droga – podsunął z nadzieją, że dowie się więcej.

– Dla mnie nie była daleka – powiedział Fred, oświetlając latarką alejkę i uśmiechając się szeroko na widok czmychającej pary młodych. – Miałem czternaście lat, kiedy opuściłem dom. Wskoczyłem na pierwszego trampa,

na który mnie przyjęli. Do czasu, gdy jako osiemnastolatek wylądowałem w Londynie, obejrzałem pół świata.

– I wtedy wstąpiłeś do policji?

– Nie. Wciąż traktowałem ją jak wroga. Przez kilka miesięcy układałem towary na półkach w supermarketach, potem zostałem konduktorem w autobusie. Prędko się tym znudziłem, toteż zdecydowałem, że wstąpię do wojska albo do policji. Gdyby nie to, że rozmowę kwalifikacyjną przeprowadzono ze mną najpierw na policji, mógłbym już być generałem.

– Albo byłbyś martwy – rzekł William, gdy weszli na teren osiedla.

– Możesz równie dobrze zostać zabity w policji jak w nowoczesnym wojsku – zauważył Fred. – Podczas ostatnich dwudziestu lat straciłem siedmiu kolegów i o wiele więcej innych rannych i zwolnionych ze służby z przyczyn zdrowotnych. Przynajmniej w wojsku wiesz, kto to wróg, i wolno ci go zabić. A od nas się oczekuje, żebyśmy sobie radzili z dilerami narkotykowymi, nożownikami i wojną gangów, gdy tymczasem społeczeństwo w większości woli nie wiedzieć.

– To czemu w tym tkwiłeś, skoro mogłeś wybrać o wiele łatwiejsze życie?

– Może wywodzimy się z różnych światów, Chórzysto – powiedział Fred – ale jedno mamy wspólne: obaj jesteśmy trochę kopnięci, lecz przynajmniej robimy to, do czego jesteśmy przeznaczeni. I spójrzmy prawdzie w oczy: nigdy nie miałem pracy ani w połowie tak ekscytującej i opłacalnej, jak robota gliniarza policji londyńskiej.

– Opłacalnej?

– Nie mówię, że finansowo, chociaż jak dodasz nadgodziny, to płaca nie jest taka zła. *Deprehendo deprehensio vitum* – stwierdził Fred. – Weź nadgodziny, a dowiedziesz winy.

William nie mógł pohamować śmiechu i Fred dodał:

– Nie przejmuj się, to jedyna sentencja łacińska, jaką znam. Co najbardziej lubię w tej pracy, to że każdy dzień jest inny. I co ważniejsze, tu jest mój rewir i znam prawie wszystkich jego mieszkańców. Może nie zawsze są dużą szczęśliwą rodziną, ale to moja rodzina, i chociaż w kantynie nigdy bym się do tego nie przyznał, lubię się łudzić, że coś tu zmieniłem.

– Na dowód tego dwukrotnie cię wyróżniono.

– Nie wspominając o tym, że trzykrotnie mnie zawieszono, ale ponieważ już za kilka miesięcy mam odwiesić pałkę, nie będę znów się wychylał. Nie

chciałbym zrobić nic, co by mogło uszczuplić moją emeryturę – dodał, gdy wychodzili z osiedla Barton.

– Spokojnie dzisiaj – zauważył William.

– Widzieli, że idziemy, i jak szczury umknęli do pobliskich kanałów. Pojawią się znów, jak tylko znikniemy z widoku. Ale przecież nie chcielibyśmy kłopotów w ostatni wieczór na patrolu, prawda, panie detektywie?

William roześmiał się i już miał zadać następne pytanie, kiedy Fred spojrzał na drugą stronę ulicy i powiedział:

– Głupia stara krowa. Ale nie sądzę, żeby zmądrzała.

William podejrzewał, że znów usłyszy jakąś sentencję rodem ze zgrzebnej filozofii, chociaż nie widział, o co chodzi Fredowi.

– Numer dwadzieścia trzy – rzekł Fred. – Pani Perkins.

– Włamali się do niej dwa tygodnie temu – powiedział William. – Jeśli dobrze pamiętam, zabrali telewizor i magnetowid.

– Ciepło, ciepło… – rzucił Fred.

William spojrzał na dom numer 23, ale nadal nic nie rozumiał.

– Co widzisz, Chórzysto?

– Dwa puste kartonowe pudła.

– I co ci to mówi?

William próbował myśleć jak łapacz złodziei, przywilej dany tylko tym, którzy jak Fred wyczuwali przestępstwo, jeszcze zanim zostało popełnione.

Fred westchnął z przesadą.

– Firma ubezpieczeniowa pani Perkins musiała jej wypłacić odszkodowanie, więc teraz kobieta jest dumną posiadaczką nowego telewizora i magnetowidu. Ale ona nie wie, że włamywacz często po kilku tygodniach wraca na miejsce przestępstwa, świadom, że czekać będzie na niego nowiutki odbiornik. A ona właśnie rozgłasza ten fakt. Ten łajdak musi tylko poczekać, aż ona wyjdzie któregoś wieczoru do przyjaciółki, pani Cassidy spod numeru dziewięćdziesiąt jeden, i wtedy znów się włamie i obrabuje ją drugi raz.

– To co powinniśmy zrobić? – zapytał William.

– Porozmawiać z nią i zaproponować, żeby zniszczyła dowody – powiedział Fred, pukając do drzwi domu numer 23.

Pani Perkins otworzyła niemal natychmiast i gdy Fred wytłumaczył, dlaczego na jej progu stoi dwóch policjantów, pospiesznie usunęła pudła, podziękowała im i zaproponowała herbatę.

– To miłe z pani strony, ale musimy iść. – Fred przytknął palce do brzegu hełmu i ruszyli dalej w obchód. – Kiedy zaczynasz nową pracę? – zapytał, gdy uszli kilka kroków.

– Wyjeżdżam na dwutygodniowy urlop do Włoch, a potem pierwszego października zgłaszam się do Scotland Yardu.

– Mówią, że we Włoszech mnóstwo ładnych dziewcząt.

– Większość oprawna.

– Oprawna?

– W złoto.

Fred się roześmiał.

– Nigdy nie byłem we Włoszech ani w Scotland Yardzie, ale słyszałem, że tam mają najlepszą w policji londyńskiej salę do gry w snookera.

– Wrócę tu i powiem ci, jak tam jest.

– Nigdy nie wrócisz, Chórzysto. Według mnie Lambeth to tylko twój pierwszy szczebel na bardzo wysokiej drabinie. Ale pamiętaj, po drodze w górę spotkasz pełno obłudników, którzy z radością ściągną cię w dół i będą wśród nich tacy w granatowych mundurach – powiedział, szarpnąwszy drzwi sklepu, aby się upewnić, czy są zamknięte.

William zachichotał. Nie było obchodu, żeby Fred czegoś go nie nauczył.

– Dobry wieczór, Jacob.

– Jak się masz, Fred.

William spojrzał na mężczyznę, który siedział po turecku na chodniku, dzierżąc w ręku opróżnioną do połowy butelkę whisky. Na pierwszym patrolu Fred go pouczał, że są cztery typy pijaków: śpiochy, które wpadają w pijackie zamroczenie, a kiedy się w końcu obudzą, idą do domu; nieszkodliwi, którzy zazwyczaj topią w alkoholu smutki i rzadko sprawiają kłopoty; kochankowie, którzy chcą zabrać cię do domu i przymierzyć twój mundur; oraz agresywni, którzy chcą się bić i uważają policjantów za zwierzynę łowną. Fred potrafił rozpoznać każdy typ z odległości dziesięciu kroków, zwłaszcza tych szykujących się do bitki, którzy regularnie kończyli na noclegu w celi, a następnego ranka często okazywali się całkiem innymi ludźmi. W ciągu ostatnich dwóch lat William natknął się na wszystkie cztery kategorie pijaków i dzięki rozsądkowi Freda i silnej prawej ręce zostało mu na pamiątkę tylko kilka siniaków.

– Która kategoria? – spytał William.

– Topi smutki w alkoholu. Pewnie Spursi przegrali dziś po południu.

– Skąd wiesz?

– Jak chłopaki wygrywają, Jacob to złoty człowiek, ale jak im dokopią, to samo dno.

Skręcili w Luscombe Road i ujrzeli paru miejscowych, którzy wracali do domu z Marlborough Arms.

– Przykre to – rzekł Fred. – Odkąd rada miejska zaprowadziła tu porządek, Luscombe Road to nie to co kiedyś. Spodziewałem się, że pojawi się jakiś diler narkotykowy albo nawet ten gangster Lenny Szpicel, żebyś miał jakąś pamiątkę z ostatniego wieczoru na obchodzie.

– Zawsze możemy aresztować ją – rzucił William, pokazując dziewczynę w krótkiej czarnej skórzanej spódniczce, która zagadywała mężczyznę przez otwarte okno samochodu.

– Po co? Spędzi tylko noc w celi, rano zapłaci karę i jutro wieczorem wróci na ulicę. To nie dziewczyny chciałbym przymknąć, ale stręczycieli, którzy na nich żerują. Szczególnie jednego – dodał Fred.

Gdy kierowca ujrzał w lusterku wstecznym dwóch policjantów, samochód spiesznie umknął. William i Fred wolno podążyli do centrum miasta. Fred raczył Williama opowieściami, z których część chłopak już słyszał, ale warte były powtórnego wysłuchania, oraz innymi, co do których nie był pewien, czy nie zostały ubarwione z upływem lat.

William właśnie chciał spytać Freda, co zamierza robić po przejściu na emeryturę, gdy wtem mentor schwycił go za rękę i wciągnął w najbliższe wejście do sklepu – nagle już nie przyjacielski gliniarz z sąsiedztwa, ale policjant, który spostrzegł prawdziwego przestępcę.

– To nasz szczęśliwy wieczór – rzekł Fred, wskazując olbrzymiego mężczyznę trzymającego za kark przerażoną dziewczynę. – Poluję na tego łotra od wielu lat. Nie zawracaj sobie głowy i nie odczytuj mu jego praw. To może poczekać, aż znajdzie się w celi.

Fred wyciągnął pałkę, wyskoczył z cienia i puścił się biegiem w kierunku napastnika. Na jego widok kilka innych dziewczyn rozproszyło się na wszystkie strony niczym gołębie. William pobiegł za Fredem i prędko wyprzedził weterana, który nie tylko był o trzydzieści lat starszy, ale też nie wygrał biegu na sto jardów w ostatniej klasie w szkole.

Zbir rozejrzał się i ujrzawszy zbliżającego się Williama, puścił dziewczynę, która upadła na kolana, zanosząc się płaczem. Wtedy William

zauważył nóż, ale dzieliły go tylko dwa kroki od celu i był pełen determinacji. Zaatakował od dołu, uderzając mężczyznę poniżej kolan. Obaj upadli na chodnik. Zanim William przyszedł do siebie, tamten zdążył wstać. William instynktownie zasłonił się ramieniem przed ciosem noża. Ostatnie, co pamiętał, to uderzenie ostrza zagłębiającego się w pierś.

– Policjant ranny, policjant ranny! Pomoc pilnie potrzebna na Luscombe Road! – zawołał Fred przez nadajnik i skoczył na napastnika.

Otworzył oczy. Zamrugał i rozejrzał się po nieznanym pokoju. Rodzice i siostra stali przy łóżku, przy drzwiach ulokował się starszy rangą policjant, którego William nie znał. Trzy gwiazdki na każdym z epoletów wskazywały, że to główny inspektor.

William uśmiechnął się słabo do rodziny, próbując usiąść, ale uniósł się tylko nieznacznie i nagle sobie uświadomił, że ma grubo obandażowaną pierś. Opadł z powrotem na poduszkę.

– Co z Fredem? – spytał drżącym głosem.

Nikt z obecnych nie kwapił się z odpowiedzią. W końcu policjant wystąpił do przodu i powiedział:

– Główny inspektor Cuthbert. Przepraszam, panie konstablu, ale muszę zadać panu kilka pytań na temat tego, co się wydarzyło w sobotę wieczorem, bo jak pan dobrze wie, nie możemy zatrzymywać podejrzanych dłużej niż dwadzieścia cztery godziny, jeżeli nie mamy dostatecznych dowodów, aby ich oskarżyć.

– Oczywiście, sir – odparł William i znów próbował usiąść.

Główny inspektor otworzył dużą szarą kopertę i wyjął kilka czarno-białych fotografii różnych mężczyzn; jednego z nich William nigdy nie zapomni.

– Czy to ten mężczyzna, którego próbowaliście aresztować w sobotę wieczorem? – spytał Cuthbert.

William skinął głową.

– Ale dlaczego mnie pytacie, skoro Fred mógłby go osobiście zidentyfikować?

Główny inspektor Cuthbert nie odezwał się, tylko wsunął fotografie z powrotem do koperty.

Kościół parafialny pod wezwaniem Świętych Michała i Jerzego rzadko zapełniał tłum, nawet podczas dorocznego wieczoru kolęd, ale tym razem wszystkie ławki były zajęte, zanim jeszcze chórzyści wkroczyli do głównej nawy. Konstablowi Fredowi Yatesowi, kawalerowi Medalu Królowej za Odwagę, urządzono śpiewaną ceremonię pogrzebową, z gwardią honorową stojącą przed wejściem do kościoła.

Kondukt pogrzebowy kroczył pod eskortą policji konnej za trumną Freda okrytą granatowo-srebrnym sztandarem londyńskiej policji i zwieńczoną Medalem Królowej za Odwagę i srebrnym pucharem. W kościele wyżsi rangą policjanci siedzieli na przedzie, a ci, którzy nie mogli znaleźć miejsca siedzącego, tłoczyli się z tyłu. Wierni powstali, żeby uhonorować Williama na wózku inwalidzkim pchanym nawą przez jego ojca. Kościelny skierował ich na zarezerwowane miejsca w pierwszym rzędzie.

„Ten, kto mężnie stawi czoło wszelkim przeciwnościom…” [1]

William trzymał się dzielnie, dopóki trumna niesiona na ramionach ośmiu policjantów w czynnej służbie nie zbliżyła się wolno do prezbiterium; wtedy nie zdołał powstrzymać łez. Kapłan rzucił spojrzenie na wiernych ze stopni ołtarza i wzniósł modły za mieszkańców rewiru Freda; wielu z nich rzadko, jeśli w ogóle, uczęszczało do kościoła. Przybyli, żeby oddać mu ostatnią posługę, chociaż niektórzy nawet nie wiedzieli, jak się nazywał. William się rozejrzał i spostrzegł panią Perkins pośród żałobników.

„Aby podążać drogą pielgrzyma…”

Gdy zgromadzeni uklękli, żeby się pomodlić, William pochylił głowę i wspomniał słowa Freda:

– „Lubię się łudzić, że coś tu zmieniłem”.

Mógł tylko żałować, że Freda tu nie ma i nie widzi, ile zmienił.

Koledzy i przyjaciele Freda gromko odśpiewali hymny, co, jak William wiedział, Fred by sobie cenił, chociaż mowę pogrzebową wygłoszoną przez głównego inspektora uznałby za zbyt pochwalną. William prawie słyszał, jak Fred chichocze, kiedy szef mówił o wyróżnieniach. „A co z moimi zawieszeniami?” – by zapytał.

Gdy kapłan udzielił ostatniego błogosławieństwa, zgromadzeni wstali, a żałobnicy podjęli na nowo obowiązki i ponieśli nawą trumnę na miejsce pochówku. William usiłował wstać, gdy przechodzili obok, ale zdołał się podnieść dopiero z pomocą dyżurnego sierżanta i głównego inspektora.

Kiedy wieczorem dotarli do domu, ojciec rzekł, że gdyby William zechciał odejść z policji, nie byłby to żaden wstyd. Na pewno koledzy by to zrozumieli.

– Mógłbyś pójść na studia wieczorowe, na prawo, a potem dołączyć do mnie w kancelarii, gdzie dalej mógłbyś zwalczać przestępców, ale w bezpiecznej scenerii sali sądowej, a nie nocą na ulicy.

William wiedział, że ojciec ma rację. Ale to Fred miał ostatnie słowo.

„Może wywodzimy się z różnych światów, Chórzysto – powiedział Fred – ale jedno mamy wspólne: obaj jesteśmy trochę kopnięci, lecz przynajmniej robimy to, do czego jesteśmy przeznaczeni”.

1. Ten i następny cytat: John Bunyan, *Wędrówka pielgrzyma*, przeł. Józef Prower, Zjednoczony Kościół Ewangeliczny, Warszawa 1961. [wróć]

6

Komendant Hawksby siedział u szczytu stołu niczym prezes zarządu. Trzej członkowie zarządu czekali, aż otworzy spotkanie.

– Na początek chciałbym przywitać nowego członka naszej drużyny. Wprawdzie detektyw konstabl Warwick nie ma wielkiego doświadczenia w pracy detektywistycznej – delikatnie mówiąc, pomyślał William – ale za to posiada wysokie kompetencje w dziedzinie sztuki, przedmiocie jego studiów uniwersyteckich. Jest faktem, że zrezygnował z szansy na doktorat, żeby wstąpić do policji. Zatem liczę, że jego wiedza specjalistyczna pomoże nam w końcu zdybać Milesa Faulknera. Bruce – komendant zwrócił się do starszego rangą policjanta prowadzącego sprawę – proszę, udziel nam aktualnych informacji na ten temat.

Detektyw główny inspektor Lamont miał przed sobą kilka teczek z dokumentami, ale nie musiał żadnej otwierać, gdyż większość zawartych w nich informacji była trwale zapisana w jego pamięci. Spojrzał wprost na detektywa konstabla Warwicka, ponieważ nie miał nic nowego do powiedzenia obecnym tu koledze i koleżance.

– Przez ostatnie siedem lat usiłujemy dopaść złodzieja, który jest do szpiku kości przestępcą i do tej pory ma nad nami przewagę. Miles Faulkner stworzył niemal niezawodny system, który pozwala mu kraść dzieła sztuki i zbijać majątek na pozór bez łamania prawa.

Williamowi nasunęło się kilka pytań, ale postanowił nie przerywać swojemu nowemu szefowi.

– Przede wszystkim musisz zdać sobie sprawę, Bill…

– William, sir.

Lamont zmarszczył brwi.

– Musisz zdać sobie sprawę, że jeżeli widziałeś kiedyś film *Afera Thomasa Crowna*, powinieneś go z miejsca skreślić. Absolutna fikcja. Owszem, zabawna, ale fikcja. Miles Faulkner to nie Steve McQueen. On nie kradnie arcydzieł dla czystej przyjemności i nie ukrywa ich w piwnicy, gdzie spędza

całe godziny w samotności, żeby je podziwiać. To coś dla widzów, którzy chcą spędzić dwie godziny w kinie, wyobrażając sobie, jak byłoby wspaniale wystrychnąć na dudka naszych kolegów w Bostonie, sypiając z piękną kobietą, która, przypadkowo, jest brokerem ubezpieczeniowym zajmującym się sprawą. Chociaż to jedyna osoba w filmie przynajmniej trochę podobna do tych z rzeczywistości: broker ubezpieczeniowy – z tym że w naszym wypadku będzie to raczej gryzipiórek w średnim wieku, kierownik średniego szczebla, który co wieczór o szóstej wraca do domu, do żony i dwojga dzieci. I co ważniejsze, to nie jest klasa Faulknera.

– Nadążasz za nami, Warwick? – spytał Hawksby.

– Tak, sir.

– Zatem możesz nam powiedzieć, co teraz oznajmi detektyw główny inspektor Lamont.

– Że Faulkner kradnie wartościowe obrazy z galerii albo u kolekcjonerów z zamiarem dojścia do porozumienia z właściwą firmą ubezpieczeniową, która chętnie się ugodzi na sumę o wiele niższą od sumy ubezpieczenia.

– Zwykle mniej więcej o połowę – rzekł Lamont. – Przy czym Faulkner wciąż ma spory zysk.

– Mimo że jest sprytny – wtrącił William – to tak skomplikowanej operacji nie zdołałby przeprowadzić sam.

– To prawda. Ma mały, wysoce profesjonalny zespół, ale gdy dopadamy któregoś z jego wspólników, i tak nie puszcza pary z ust.

– Kiedyś – powiedziała detektyw sierżant Roycroft – nawet złapaliśmy dwóch złodziei na gorącym uczynku. Tylko że w czasie rabunku Faulkner był w Monte Carlo i spokojnie spał w łóżku z żoną na potwierdzenie alibi.

– Czy myślimy, że żona Faulknera też należy do grona jego najbardziej zaufanych wspólników? – zagadnął William.

– W przeszłości kilkakrotnie go kryła – odezwał się Hawksby – ale niedawno dowiedzieliśmy się, że Faulkner ma kochankę.

– To nie przestępstwo – rzekł William.

– Nie. Ale gdyby się dowiedziała…

– Czy nie mogliście pozyskać jednego z tych dwóch zatrzymanych i doprowadzić do ugody sądowej?

– Nie było szans – powiedział Lamont. – Faulkner ma z oboma niepisaną umowę bez klauzuli pozwalającej na odstąpienie od niej.

– Obaj zostali skazani na sześć lat – Hawksby podjął wątek – a ich rodziny były dobrze pilnowane, chociaż nigdy nie zdołaliśmy powiązać tego przestępstwa z Faulknerem. Trzeciemu opryszkowi, który brał udział we włamaniu do Fitzmolean, zaszyto usta, by zapamiętał, co go spotka, jeśli zdecyduje się wystąpić jako świadek koronny.

– Ale jeżeli Faulkner jest paserem…

– Według zeznania podatkowego – powiedział Lamont – Faulkner jest rolnikiem. Mieszka w Hampshire w dworze z dziewięcioma sypialniami otoczonym trzystoma akrami ziemi, gdzie się pasie kilka krów, które nigdy nie trafiają na rynek.

– Ale zapewne ktoś musi prowadzić pertraktacje z towarzystwami ubezpieczeniowymi?

– Faulkner zostawia to innemu pomocnikowi – rzekł Lamont. – To pan Booth Watson, radca królewski, który zawsze występuje w imieniu anonimowego klienta. Obojętnie, jak mocno na niego naciskamy, zawsze nam po prostu przypomina o poufności obowiązującej prawnika wobec klienta.

– Ale jeżeli Booth Watson wie, że ma bezpośrednio do czynienia z przestępcą, to czy nie jest jego zawodowym obowiązkiem zgłosić…

– W tym przypadku, Warwick, nie mamy do czynienia z twoim ojcem – rzekł Hawksby – tylko z człowiekiem, który dwukrotnie stawał przed Radą Adwokacką pod zarzutem postępowania uwłaczającego profesji. Za każdym razem niewiele brakowało, żeby go wykluczono z adwokatury.

– A jednak nadal praktykuje – powiedział William.

– Tak, lecz obecnie rzadko występuje w sądzie – oznajmił Hawksby – skoro odkrył sposób na pobieranie niebotycznych honorariów nawet bez wychodzenia z kancelarii. To nie przypadek, że zawsze kiedy zostanie skradzione jakieś dzieło sztuki, towarzystwo ubezpieczeniowe dzwoni najpierw do Bootha Watsona i prosi go, żeby występował jako mediator. I – co za niespodzianka! Po kilku dniach obraz się zjawia w idealnym stanie, a towarzystwo ubezpieczeniowe załatwia sprawę, często nawet nas nie informując.

– Trudno mi uwierzyć – rzekł William – żeby Faulkner cieszył się nieprzerwanym pasmem sukcesów. To wszystko brzmi akurat jak z *Afery Thomasa Crowna*.

– Racja – zgodził się Hawksby. – Jeżeli przynajmniej jedno szacowne towarzystwo ubezpieczeniowe nie zapłaci za tę przyjemność, a galeria nie

ma środków, żeby zaproponować nagrodę, Faulkner zostaje z obrazem.

– Jeśli tak – stwierdził William – to Rembrandt skradziony z Fitzmolean wciąż u niego jest.

– O ile Faulkner go nie zniszczył, żeby nie było śladu, że go skradł.

– Chyba nikt by nie zniszczył Rembrandta?

– Z takim wnioskiem poczekaj, aż poznasz tego człowieka. Nie mamy tutaj do czynienia z miłośnikiem sztuki, tylko z kimś, kto by doniósł na własną matkę, żeby ocalić skórę.

– Co jeszcze wiemy o Faulknerze? – zagadnął William, przywołany do porządku.

Teraz detektyw sierżant Roycroft otworzyła teczkę.

– Urodził się w Sevenoaks w 1942 roku, jedyne dziecko agenta nieruchomości i fryzjerki. Chociaż nie mówi o tym przyjaciołom w klubie golfowym. Kiedy miał jedenaście lat, dostał otwarte stypendium w Harrow School, a w ostatniej klasie zdobył nagrodę artystyczną. Podjął studia w Slade School of Art i prędko pojął, że wprawdzie jest jednym z inteligentniejszych studentów na roku, ale – by przytoczyć opinię dyrektora Slade na zakończenie studiów Faulknera – nigdy nie będzie zarabiał na życie jako artysta. Zalecano mu, żeby wybrał zawód nauczyciela. Zignorował tę radę.

– Przed ukończeniem Slade – wtrącił Lamont – obmyślił dokładnie, jaką rolę będzie odgrywał w świecie sztuki. Ale żeby zacząć działać na własną rękę, musiał zdobyć pewne doświadczenie. Zatrudnił się jako stażysta w jednej z wiodących galerii na West Endzie, gdzie się przekonał, ile pieniędzy można zarobić w świecie sztuki, zwłaszcza jeżeli człowiek jest pozbawiony skrupułów. Wyrzucono go po dwóch latach w niejasnych dla nas okolicznościach, chociaż wiemy, że żadna inna galeria by go nie zatrudniła. Na pewien czas umknął z pola widzenia, aż do zniknięcia z Courtauld obrazu Salvadora Dalego, na długo przed utworzeniem wydziału do spraw dzieł sztuki i antyków.

– Dlaczego pan myśli, że był zamieszany w tę kradzież? – spytał William.

– Wychwyciła go kamera obserwacyjna, gdy fotografował obraz miesiąc przed kradzieżą. Już nigdy więcej nie powtórzył tego błędu – rzekł Hawksby.

– I musiał nieźle zarobić, bo znów nam zniknął z pola widzenia, do czasu aż mniej więcej siedem lat temu z Fitzmolean skradziono obraz Rembrandta. Tym razem jednak pan Booth Watson nie zdołał ubić interesu z ubezpieczycielami, co wygląda na jedyne jak do tej pory niepowodzenie Faulknera. Chociaż sposób, w jaki dokonał kradzieży, zaimponowałby nawet Thomasowi Crownowi.

William nie przerywał.

– Samochód patrolowy zajechał pod Fitzmolean w sobotę po południu, tuż po zamknięciu muzeum. Dwóch mężczyzn w policyjnych mundurach wkroczyło do budynku. Oznajmili portierowi, że alarm został wyłączony, po czym zdzielili go pałką i związali. Dziesięć minut później wyszli frontowymi drzwiami z płótnem Rembrandta pod pachą.

– Gdzie byli strażnicy?

– Twierdzili, że patrolowali najwyższe piętro i stawili się na dole pół godziny później, o czwartej czterdzieści osiem.

– Czy czwarta czterdzieści osiem jest istotna?

– On jest bystry – zauważył Lamont.

– Manchester United grał tego popołudnia z Liverpoolem o Puchar Anglii i mecz pokazywano na żywo w BBC1. Ostatni gwizdek zabrzmiał o czwartej czterdzieści sześć.

– Gdzie był odbiornik telewizyjny? – spytał William.

– W stołówce dla personelu w suterenie – powiedział Lamont – o czym, jak podejrzewam, Faulkner dobrze wiedział, bo złodzieje przyjechali tuż po gwizdku oznajmiającym początek drugiej połowy, a później odkryliśmy, że obaj strażnicy byli kibicami Manchester United, z czego Faulkner też doskonale zdawał sobie sprawę.

– Jeżeli diabeł kryje się w szczegółach, to on jest tym diabłem – dodał Hawksby.

– Teraz wiesz, z kim mamy do czynienia – powiedziała detektyw sierżant Roycroft. – Z wysoce profesjonalnym, dobrze zorganizowanym przestępcą, któremu wystarczy kradzież jednego wybitnego obrazu raz na kilka lat, żeby opływać w luksusy, i który potrafi całą operację przeprowadzić w kilka minut.

– Chyba coś mi umknęło – rzekł William. – Czemu Booth Watson nie dogadał się z ubezpieczycielami co do roszczenia zaraz potem, jak Faulkner ukradł Rembrandta?

– Fitzmolean było żałośnie niedoubezpieczone. To obecnie problem wielu wiodących muzeów. Z czasem ich obrazy i rzeźby gwałtownie zyskały na wartości i po prostu nie są w stanie ubezpieczyć ich na tyle, ile są naprawdę warte.

– Jednak – wtrącił Lamont – z tej wpadki Faulkner wyciągnął nauczkę. Nie kradnij w muzeach, które nie są w pełni ubezpieczone albo nie mają wystarczających środków, by zaoferować nagrodę.

– Jakieś pytania, Warwick? – rzucił Hawksby.

– Tak, sir – powiedział William. – Teraz wiemy, że ten obraz Rembrandta, który uważaliście za oryginał, w rzeczywistości jest kopią.

– O co ci chodzi? – spytała Jackie, wciąż boleśnie odczuwająca swoją pomyłkę.

– Ktoś musiał namalować tę kopię.

– Może Faulkner? – podsunął Lamont. – W końcu studiował sztuki piękne.

– Jeżeli wierzyć opinii nauczycieli Slade o jego talencie – to nie. Co nie znaczy, że nie mógł znać artysty, który by potrafił to zrobić. Może studiowali w tym samym czasie w Slade.

– Jeżeli tak – rzekł Lamont – to jesteś odpowiednim człowiekiem, żeby znaleźć tę osobę.

– Zgoda – powiedział komendant Hawksby, spojrzawszy na zegarek. – Czy masz więcej pytań, Warwick?

– Tylko jedno, sir. Jak ta kopia do was trafiła?

– Udało nam się przekonać miejscowego sędziego pokoju, że mamy powody, aby przypuszczać, że Faulkner posiada ważne dzieło sztuki, które zostało skradzione z Fitzmolean. Podpisał nakaz rewizji i zrobiliśmy nalot na dom Faulknera w ten sam dzień wieczorem. Dopóki się nie pojawiłeś, sądziliśmy, że zgarnęliśmy całą pulę.

– Czy będąc w jego domu, mieliście szansę obejrzeć kolekcję?

– Tak – odparł Lamont – i żadnego z obrazów nie było na naszej liście zaginionych, a Faulkner okazał dowody zakupu wszystkich pozostałych płócien.

– Zatem reinwestuje nieuczciwie zdobyte pieniądze w dzieła sztuki, co umacnia mnie w przekonaniu, że nie zniszczył Rembrandta.

– Lepiej się nie zakładać – powiedział Hawksby, zamykając teczkę. – Zajmijmy się aktualnościami. Nie muszę wam przypominać, że nie tylko

w tej sprawie prowadzimy dochodzenie, więc nie zaniedbujcie pozostałych, które pokrywają się kurzem na waszych biurkach. I tak mam trudności z uzasadnieniem przed komisarzem dalszych wydatków i kilka wyroków skazujących, nawet lekkich, mogłoby wzmocnić naszą pozycję. Ten rząd wydaje się bardziej zainteresowany manipulowaniem statystyką przestępstw niż łapaniem prawdziwych kryminalistów. Wracajmy do pracy.

Wszyscy siedzący wokół stołu zebrali swoje papiery i skierowali się do drzwi. Ale zanim William wyszedł z pokoju, Hawksby powiedział:

– Chciałbym zamienić słówko, Warwick.

Komendant odczekał, aż zamknięto drzwi, i wtedy przemówił.

– William, wiem, że jesteś bystry, twoi koledzy też wiedzą, że jesteś bystry, więc nie musisz wciąż im przypominać, że to, co w ich mniemaniu było sukcesem, obróciłeś w porażkę. Jeżeli chcesz pewnego dnia usiąść na tym krześle, przestań wkurzać ludzi, z którymi będziesz współpracował. Sugeruję, żebyś od czasu do czasu prosił o rady, a nie wciąż ich udzielał. Może powinieneś spędzać trochę więcej czasu w sali do snookera, co ci nie przyniosło uszczerbku w Lambeth.

William przypomniał sobie słowa ojca: „Tego faceta nie wolno lekceważyć”.

Cicho wyszedł z pokoju, z opuszczoną głową. Myślał o słowach komendanta, idąc wolno korytarzem. Jeszcze nie zajrzał do sali snookera w Scotland Yardzie. Gdy wrócił do biura, które dzielił z kolegami, stwierdził, że na biurko rzucono mu teczki z dwiema sprawami. Był w połowie dokumentów z jednej zatytułowanej „Churchill”, kiedy stanęła przy nim detektyw sierżant Roycroft.

– Jak myślisz, od której powinienem zacząć?

– Przypomnij mi – powiedziała Jackie.

– Winston Churchill czy pył księżycowy?

– Z pyłem księżycowym łatwo pójdzie. Profesor z pewnością nie jest przestępcą i szczerze mówiąc, pan Underwood, podsekretarz w ambasadzie amerykańskiej, reaguje z przesadą. Nie chcemy jednak incydentu dyplomatycznego, więc postępuj ostrożnie.

– A Churchill?

– Churchill to większe wyzwanie, ale jak przypomniał Jastrząb, w dzisiejszych czasach chodzi tylko o manipulacje statystyczne, więc zatrzymaj delikwenta i postaw mu zarzuty, chociaż podejrzewam, że dostanie tylko

sześć miesięcy w zawieszeniu. Przynajmniej odnotujemy jeden wynik więcej. Co ważniejsze, jestem pewna, że pamiętasz, że na własną rękę chcesz znaleźć fałszerza obrazu Rembrandta, licząc, że doprowadzi nas do Faulknera. Jedna rada, Bill – powiedziała znacząco. – Nawet nie myśl, żeby iść do domu, póki nie zgaśnie światło pod drzwiami Hawksby'ego.

– Dzięki – odparł William, ponownie otwierając teczkę z pyłem księżycowym. Po zapoznaniu się z wszystkimi szczegółami sprawy musiał się zgodzić z Jackie, że profesor może jest naiwny, może nawet winny, ale z pewnością nie jest przestępcą.

Gdy Big Ben uderzył sześć razy, William uznał, że jest za późno, żeby telefonować do podsekretarza w ambasadzie amerykańskiej, bo pan Underwood nie musi czekać, aż zgaśnie światło pod drzwiami Jastrzębia, by pójść do domu.

7

– Czy może pani mnie połączyć z panem Chuckiem Underwoodem?

– Kto dzwoni?

– Detektyw konstabl William Warwick ze Scotland Yardu.

– Sprawdzę, czy podsekretarz jest wolny.

William musiał długo czekać i już się zastanawiał, czy połączenie nie zostało przerwane. W końcu usłyszał głos:

– Co się stało z sierżant Roycroft?

– Ja przejąłem sprawę, sir.

– Czy jest niższa szarża niż detektyw konstabl?

– Tylko praktykant, sir, którym byłem nie tak dawno temu.

– I znów pan nim będziesz, jeśli nie dostanę z powrotem mojego pyłu księżycowego.

– Pracuję nad tym, proszę pana, ale muszę zadać panu kilka pytań.

– Znowu?

– Czy na początku rząd amerykański dał fiolkę z pyłem księżycowym profesorowi Francisowi Denningowi z Manchester University w prezencie?

– Tak. Ale pod pewnymi warunkami. Wyraźnie stwierdziliśmy, że pył nigdy nie może być przekazany nikomu innemu i w żadnym wypadku sprzedany osobie trzeciej.

– Czy zostało to wyrażone na piśmie?

– Z całą pewnością i na dowód mamy dokumentację. A teraz, jak z pewnością pan wie, niejaki doktor Keith Talbot wystawił fiolkę na licytację w Sotheby’s.

– Tak, proszę pana, wiem o tym. Mam przed sobą katalog.

– Zatem widzi pan na stronie trzydziestej pierwszej, przedmiot numer dziewiętnaście, fiolka z pyłem księżycowym przywieziona z misją Apollo 11 przez Neila Armstronga.

– Jednak zmarły profesor Denning – powiedział William – zapisał fiolkę doktorowi Talbotowi w testamencie.

– Nie była jego własnością, więc nie mógł jej zostawić w testamencie, jak to wyraźnie powiedziałem sierżant Roycroft.

– Tak, powiedział pan. Ale jestem pewien, że pan rozumie, że musimy respektować literę prawa.

– Działając w ślimaczym tempie, jak się wydaje, mimo że nasi prawnicy są do waszej dyspozycji.

– Dobrze to wiedzieć, proszę pana, bo nie chcielibyśmy, żeby coś zaszkodziło specjalnym stosunkom pomiędzy naszymi dwoma krajami, prawda?

– Skończ pan z tym sarkazmem, Warwick, i zwróć mi pył.

Połączenie zostało przerwane. William obrócił się na krześle i zobaczył, że Jackie śmieje się do rozpuku.

– Kto się czubi, ten się lubi – zakpiła. – Ale Underwood należy do tych Amerykanów, którzy sądzą, że Wielka Brytania to jeden z ich mniejszych stanów. Niedługo ci przypomni, że Teksas jest trzy razy większy od Zjednoczonego Królestwa. Jeśli więc nie chcesz dopuścić do poważnego incydentu dyplomatycznego, to lepiej zwróć mu szybko ten pył księżycowy.

– Rozumiem – rzekł William. – Ale, co równie ważne, jak dostanę bilet na pociąg do Manchesteru?

– Zgłoś się do Mavis w dziale podróży na parterze. Ale uprzedzam, jeżeli myślisz, że Underwood to twardy facet, w porównaniu z Mavis to mięczak. Gdyby to od niej zależało, królowa by jeździła drugą klasą, a tacy jak my wrzucaliby szuflą węgiel do paleniska lokomotywy.

– Dziękuję za ostrzeżenie.

– Mavis…

– Pani Walters dla ciebie, młody człowieku. Nie możesz mówić mi Mavis, dopóki nie będziesz co najmniej głównym inspektorem. Zacznij jeszcze raz.

– Przepraszam – powiedział William. – Pani Walters, potrzebuję …

– Nazwisko, stopień i wydział?

– Warwick, detektyw konstabl. Dzieła sztuki i antyki.

– Na co więc pan liczy, młody człowieku?

– Że zostanę komisarzem policji londyńskiej.

– I na co jeszcze? – rzuciła pani Walters, ale przynajmniej zdobyła się na uśmiech.

– Na bilet powrotny do Manchesteru.

– Jaki jest cel podróży, młody człowieku, i jak długo będzie pan w Manchesterze?

– Odwiedzę uniwersytet i mam nadzieję, że jednego dnia obrócę tam i z powrotem.

– To trzeba złapać pociąg odchodzący o siódmej czterdzieści dwie z Euston, a ostatni pociąg powrotny w dzień roboczy odjeżdża o dziesiątej czterdzieści trzy. Jeśli pan się spóźni, spędzi pan noc na ławce na dwunastym peronie. Ma pan prawo do jednego posiłku za cenę nieprzekraczającą dwóch funtów i osiemdziesięciu pensów. Może pan zażądać zwrotu na formularzu 232, ale będzie mi potrzebne pokwitowanie.

Pani Walters zaczęła wypisywać bilet do Manchester Piccadilly.

– Jeżeli wybiera się pan na uniwersytet, musi pan złapać autobus numer sto czterdzieści siedem. I będzie panu potrzebny parasol.

– Parasol?

– Widać nigdy nie był pan w Manchesterze.

– Dzień dobry, panie Warwick – powiedziała młoda kobieta w recepcji. – Nazywam się Melanie Clore. Jak mogę panu pomóc?

– Siedemnastego czerwca odbędzie się u was aukcja…

– Którą pozycję chciałby pan wycofać?

– Skąd pani to wie?

– Policja nie odwiedza Sotheby’s, żeby wystawić coś na sprzedaż.

William się uśmiechnął.

– Pozycja numer dziewiętnaście. Fiolka z pyłem księżycowym przywieziona przez Neila Armstronga w misji Apollo 11.

Panna Clore zajrzała do katalogu.

– Wstawiona u nas przez doktora Keitha Talbota, który okazał testament na potwierdzenie, że mu zapisano ten pył.

– Ambasada amerykańska dowodzi, że to jej własność, i zapowiada, że pozwie natychmiast każdego, jeśli wystawicie pył na aukcję.

– A nie zależy nam na tym, prawda, panie Warwick?

– Ja bym się tym nie martwił – powiedział William – gdybym uważał, że prawo jest po stronie doktora Talbota.

– Nawet jeśli tak jest, to batalia sądowa może się ciągnąć latami.

– Mój szef oczekuje, że rozwiążę tę sprawę w dwa dni.

– Czyżby? Dobrze, jeżeli doktor Talbot zechce podpisać standardowy formularz zwrotu, to chętnie wydamy fiolkę i pozostawimy panu przekazanie jej Amerykanom. Miejmy nadzieję, że doktor Talbot nie jest drugą panią Finlay Isles.

– Czy mogę spytać, kto to taki pani Finlay Isles?

– Zaskarżyła nas w 1949 roku o obraz wart sto funtów i wciąż czekamy, kiedy sąd zawyrokuje, kto jest prawowitym właścicielem.

– Jak to? – spytał William.

– To Turner obecnie wart ponad milion.

Gdy następnego ranka pociąg z turkotem zbliżał się do Manchesteru, William jeszcze raz przejrzał dokumentację dotyczącą fiolki z pyłem księżycowym, ale nie dowiedział się niczego nowego.

Myślami powrócił do skradzionego obrazu Rembrandta i zastanawiał się, jak mógłby poznać nazwisko artysty, który sporządził kopię. Był pewien, że aby wykonać tak przekonującą reprodukcję, malarz musiał pracować, mając przed oczami oryginał. Wciąż trudno było mu uwierzyć, żeby ktoś, kto kształcił się w Slade, był zdolny zniszczyć skarb narodowy, ale nagle przypomniał sobie słowa Jastrzębia: „Z takim wnioskiem poczekaj, aż poznasz tego człowieka”.

William przejrzał od początku do końca teczkę z dokumentacją dotyczącą Faulknera. Chociaż nie pokazywał się publicznie zbyt często, to nigdy nie opuszczał premiery nowego filmu z Jamesem Bondem. Był również kolekcjonerem pierwszych wydań książek Iana Fleminga. William ostatnio przeczytał w „Daily Mail”, że za miesiąc w kinie Odeon Leicester Square zostanie pokazany po raz pierwszy *Zabójczy widok*. Zastanawiał się, jak mógłby zdobyć bilet. A nawet gdyby mu się udało, nie wyobrażał sobie, że pani Walters uzna to za uzasadniony wydatek.

Pomyślał o doktorze Talbocie. Wystarczył jeden telefon, żeby się dowiedzieć, że o jedenastej profesor wygłosi wykład w auli wydziału geologii. William zastanawiał się, jakim człowiekiem jest Talbot, ubawiony myślą, że imperium amerykańskie rusza do natarcia na niewinnego wykładowcę geologii z północy Anglii. Wiedział, po czyjej stronie leży jego sympatia. Odłożył teczkę z powrotem do aktówki i sięgnął po ostatnie wydanie „RA”, magazynu Royal Academy, ale po przerzuceniu kilku stron uznał, że to musi poczekać do podróży powrotnej.

Gdy o dziesiątej czterdzieści dziewięć pociąg wjechał na stację Manchester Piccadilly, William był jednym z pierwszych pasażerów, którzy okazali bilet przy wyjściu. Przebiegł wzdłuż rzędu taksówek do najbliższego przystanku autobusowego i ustawił się w kolejce. Kilka minut później wsiadł do autobusu numer 147, którym dojechał przed główne wejście na uniwersytet. Skąd pani Walters mogła o tym wiedzieć? Uśmiechnął się na widok grupy studentów wchodzących niespiesznie na kampus spacerowym krokiem, o jakim całkiem zapomniał, odkąd wstąpił do policji. Zapytał jednego z nich, jak trafić na wydział geologii, i przybył tam z kilkuminutowym opóźnieniem, ale przecież uczestnictwo w wykładzie nie było jego celem. Wszedł schodami na pierwsze piętro, tylnymi drzwiami dostał się do sali wykładowej i dołączył do kilkunastu studentów przysłuchujących się w skupieniu doktorowi Talbotowi.

Z miejsca w ostatnim rzędzie William bacznie obserwował wykładowcę. Doktor Talbot był niewysoki, z szopą kręconych czarnych włosów, które nie miały chyba częstego kontaktu z grzebieniem czy szczotką. Miał na sobie sztruksową marynarkę, koszulę w kratkę i krawat bolo. Długą czarną togę pokrywał biały proszek z pokruszonej kredy. Mówił wyraźnie, autorytatywnym tonem, z rzadka spoglądając w notatki.

Williama tak pochłonął wywód Talbota o tym, jak odkrycie na początku lat siedemdziesiątych nieznanych dotychczas skamielin ostatecznie obaliło teorię pojedynczego gatunku, że był rozczarowany, gdy o dwunastej zabrzmiał dzwonek oznajmiający koniec wykładu. Odczekał, aż wyjdą wszyscy studenci i doktor Talbot zacznie zbierać swoje notatki, po czym swobodnym krokiem przemierzył główne przejście auli, żeby zmierzyć się z arcymistrzem przestępców.

Talbot podniósł głowę i spojrzał na Williama zza okularów ufundowanych przez kasę chorych.

– Czy ja pana znam? – zapytał.

William wyjął legitymację policyjną. Talbot uchwycił się krawędzi długiego drewnianego biurka i powiedział:

– Myślałem, że zapłaciłem mandat za nieprawidłowe parkowanie.

– Jestem pewien, że pan zapłacił, ale chciałbym zadać panu kilka pytań.

– Oczywiście – rzekł Talbot, nerwowo tarmosząc togę.

– Czy mogę na początek zapytać, jak stał się pan właścicielem fiolki z pyłem księżycowym?

– To o to chodzi? – spytał Talbot z niedowierzaniem.

– Tak, proszę pana.

– To prezent od nieżyjącego profesora Denninga, który zostawił mi fiolkę w testamencie. Amerykanie ofiarowali mu ją, gdy opublikował swoje odkrycia o strukturze powierzchni Księżyca.

– Czemu zostawił panu tak ważny historyczny artefakt?

– Jako jego asystent prowadziłem badania naukowe w czasie, gdy pisał swoją dysertację, a gdy przeszedł na emeryturę, zająłem jego miejsce jako kierownik wydziału.

– Hm, z przykrością muszę pana poinformować, doktorze Talbot, że Amerykanie żądają zwrotu pyłu księżycowego.

– Dlaczego uważają, że należy do nich? Przecież nie są właścicielami Księżyca.

– To prawda, ale to oni przywieźli pył w misji Apollo 11, a profesor Denning musiał zapomnieć, że podpisał wiążącą umowę, że nie sprzeda go ani nie przekaże osobie trzeciej.

– A gdybym odmówił zwrotu? – rzekł Talbot z nutką większej pewności siebie.

– Amerykanie rozpoczną postępowanie sądowe i mam wrażenie, że ich kieszenie są zasobniejsze od pańskich.

– Czemu po prostu nie kupią tej cholernej fiolki, kiedy zostanie wystawiona na licytacji w Sotheby’s?

– Przyznaję, że to by było łatwe rozwiązanie – powiedział William. – Ale oni nie wątpią, że pył księżycowy to ich własność, a Sotheby’s już wycofał tę pozycję z katalogu. Czy uwierzy pan, że fiolka jest teraz zamknięta w pierwszorzędnie zabezpieczonym skarbcu?

Talbot wybuchnął śmiechem, wycelował zgięty palec w Williama i nieudolnie imitując Clinta Eastwooda, powiedział:

– No, dalej. Zrób mi dobrze!

– Gdyby zechciał pan podpisać formularz zwrotu, mógłbym odebrać fiolkę z Sotheby’s i oddać ją ambasadzie amerykańskiej, co by rozwiązało nasze problemy.

– Wie pan, panie Warwick, gdybym był milionerem, wystąpiłbym przeciw tym Jankesom, chociaż za pył księżycowy można by zapewne dostać tylko dwa tysiące funtów.

– Byłbym po pańskiej stronie, chociaż podejrzewam, że i tak byśmy przegrali.

– Pewno ma pan rację. Więc gdzie mam podpisać?

William otworzył aktówkę, wyjął trzy identyczne formularze i położył je na biurku.

– Tu, tu i tu.

Talbot uważnie przeczytał dokument, a potem złożył podpis na trzech kropkowanych liniach.

– Dziękuję panu – rzekł William, umieszczając dwa formularze w aktówce i podając trzeci Talbotowi.

– Czy ma pan czas, żeby zjeść ze mną lunch? – zagadnął Talbot, zdejmując togę, co wzbiło chmurę kredowego pyłu.

– Tylko jeżeli zna pan pub, w którym mogę wydać najwyżej dwa funty osiemdziesiąt.

– Myślę, że pozwolimy sobie na coś lepszego.

W drodze powrotnej do Euston William sprawdził podpisy doktora Talbota. Zjadł z przyjemnością wyśmienity lunch w jadalni wydziałowej z profesorem, który okazał się bratnim miłośnikiem sztuki i wiernym wyznawcą miejscowego artysty, z którym zetknął się jako student. Doktor Talbot nabył rysunek L.S. Lowry'ego na bocznej uliczce w Salford za pięćdziesiąt funtów, na co wtedy nie było go stać i z pewnością nie byłoby go stać na jego zakup obecnie, chociaż przyznał Williamowi, że nigdy by go nie sprzedał.

– To jacy artyści powinni mnie teraz interesować, biorąc pod uwagę moje zarobki? – zagadnął William.

– Diana Armfield, Craigie Aitchison i Sydney Harpley. Ich prace zobaczy pan na letniej wystawie w Royal Academy.

William zanotował nazwiska.

Podczas lunchu William zażartował, żeby zamiast pyłu księżycowego włożyli do fiolki trochę piasku z plaży w Blackpool, gdyż był pewien, że podsekretarz w ambasadzie amerykańskiej nie pozna się na zamianie. Talbot roześmiał się, ale zwrócił uwagę, że jego odpowiednik w Smithsonian z pewnością by się poznał, nawet jeżeli nigdy nie był w Blackpool.

William w końcu otworzył magazyn Royal Academy, aby sprawdzić zaplanowane tam w najbliższym czasie wystawy, których nie może opuścić. Wybrał trzy, zakreślił je i zanotował daty w terminarzu. Picasso, wczesne

lata Hockneya *Kalifornia albo nic* i doroczna letnia wystawa, na której obejrzy prace trojga artystów rekomendowanych przez doktora Talbota. Ale wszystko uleciało mu z pamięci, gdy odwrócił kartkę i przeczytał, że doktor Tim Knox, dyrektor Fitzmolean, za kilka tygodni wygłosi wykład o historii muzeum, po czym odbędzie się zwiedzanie z przewodnikiem w grupie tylko pięćdziesięciu osób. Bilety w cenie pięciu funtów. Był ciekaw, czy pani Walters uzna to za uzasadniony wydatek. Tak czy owak, nie zamierzał przepuścić takiej okazji.

William nie spał tej nocy, chociaż towarzyszyła mu tylko aktówka zamknięta na kluczyk. Miał ochotę podrzeć obydwa formularze, ale pogodził się z myślą, że w końcu Amerykanie postawią na swoim.

Nazajutrz William nie udał się prosto do Scotland Yardu, ale pojechał metrem do stacji Green Park, a potem skierował się na New Bond Street. Stanął przed domem aukcyjnym na długo, nim portier otworzył drzwi o dziewiątej.

Melanie Clore dokładnie obejrzała podpis doktora Talbota i porównała go z podpisem na dokumencie sprzedaży, zanim była skłonna rozstać się z pozycją numer dziewiętnaście. Zniknęła, aby wyjąć fiolkę z sejfu, i wróciła kilka minut później.

William nie wierzył własnym oczom, gdy pierwszy raz ujrzał fiolkę. Była mniejsza od jego małego palca. Owinął ją papierową chusteczką i umieścił z powrotem w pudełku. Musiał wypełnić kolejne formularze, nim mógł się udać na Grosvenor Square. Piętnaście minut później wszedł po schodach do ambasady amerykańskiej i zgłosił się u sierżanta piechoty morskiej w recepcji. Powiedział, że chce się widzieć z panem Underwoodem.

– Czy jest pan umówiony?

– Nie – odparł i pokazał legitymację policyjną.

Żołnierz nacisnął trzy klawisze w telefonie i gdy ktoś się odezwał, powtórzył prośbę Williama.

– Obawiam się, że podsekretarz jest teraz na spotkaniu, ale może znaleźć dla pana Warwicka czas o czwartej po południu.

– Niech pan mu powie, że mam jego pył księżycowy – rzekł William.

Na co odezwał się głos:

– Przyślijcie go na górę.

William pojechał windą na czwarte piętro. Podsekretarz stał na korytarzu, czekając na niego. Wymienili uścisk rąk i Underwood powiedział:

– Dzień dobry, detektywie.

Nie odezwał się więcej, dopóki nie znaleźli się w jego biurze za zamkniętymi drzwiami.

– Działa pan całkiem szybko jak na Anglika.

William nie odpowiedział, tylko otworzył aktówkę i wyjął z niej pudełeczko. Otworzył je, powoli odwinął papierową chusteczkę i niczym magik zaprezentował fiolkę z pyłem księżycowym.

– To jest to? – spytał z niedowierzaniem Underwood.

– Tak, proszę pana – odparł William, wręczając urzędnikowi maleńki przedmiot – źródło tylu kłopotów.

– Dziękuję – powiedział Underwood, kładąc pudełeczko na biurku. – Na pewno znów skontaktuję się z panem, jeżeli wyłoni się jakiś nowy problem.

– Tylko jeśli ktoś ukradnie jedną z waszych głowic nuklearnych – rzekł William.

8

– Czy mogę prosić o zwrot pięciu funtów za bilet na wykład o sztuce w Fitzmolean?

– Czy to jest bezpośrednio związane z przestępstwem, w sprawie którego prowadzi pan dochodzenie?

– Tak i nie.

– Proszę się zdecydować.

– Tak, to się wiąże z przestępstwem, w sprawie którego prowadzę śledztwo, ale muszę przyznać, że i tak bym się tam wybrał.

– Więc odpowiedź brzmi – nie. Jeszcze coś?

– Czy może mi pani załatwić bilet na premierę nowego filmu z Jamesem Bondem? – William spodziewał się wybuchu.

– Czy to jest bezpośrednio związane z przestępstwem, nad którym pan pracuje?

– Tak.

– W którym rzędzie chciałby pan siedzieć?

– Pani żartuje?

– Ja nie żartuję, detektywie konstablu. Który rząd?

– Tuż za Milesem Faulknerem. On jest…

– Wszyscy wiemy, kim on jest. Zobaczę, co da się zrobić.

– Ale jak…

– Niech pan nie pyta. I jeśli nie ma pan więcej życzeń, proszę odejść.

William przybył do Fitzmolean kilka minut wcześniej. Zatrzymał się na chodniku Prince Albert Crescent i podziwiał palladiański pałac, który się umościł za Imperial College. Zdawał sobie sprawę, że od czasu kradzieży płótna Rembrandta ze względów bezpieczeństwa tylko pięćdziesięciu ludzi jednocześnie mogło zwiedzać muzeum. Udało mu się kupić czterdziesty siódmy bilet na wieczorny wykład. Pół godziny później i byłyby wysprzedane.

Okazał bilet stojącemu w drzwiach strażnikowi w mundurze i został skierowany na drugie piętro, gdzie dołączył do małej grupy zagłębionych w rozmowach entuzjastów, którzy czekali niecierpliwie na pojawienie się doktora Knoxa, czołowego w kraju znawcy epoki renesansu.

William nie mógł się doczekać wykładu i liczył na to, że dyrektor może nawet mieć jakąś koncepcję na temat tego, co się stało ze skradzionym obrazem Rembrandta.

Za minutę siódma do zgromadzonych podeszła młoda kobieta i dwa razy klasnęła w dłonie, a potem powiedziała:

– Dobry wieczór, panie i panowie. Nazywam się Beth Rainsford i należę do grupy asystentów prowadzących prace badawcze. – Odczekała, aż zapanuje zupełna cisza, i mówiła dalej: – Przykro mi poinformować państwa, że doktor Knox cierpi na zapalenie krtani i prawie nie mówi. Prosi o wybaczenie.

Rozległ się pomruk i jeden czy dwóch miłośników sztuki skierowało się do wyjścia.

– Jednakże dyrektor jest przekonany, że za kilka dni będzie całkiem zdrów, jeżeli więc nie mogą państwo wrócić tutaj w najbliższy czwartek wieczorem, opłaty za wstęp zostaną państwu zwrócone. A jeśli ktoś zechce zostać, chętnie państwa oprowadzę i pokażę kolekcję. Ale proszę się nie martwić – dodała – nawet jeśli państwo zostaną, pieniądze będą zwrócone.

Obecni przyjęli jej słowa ze śmiechem.

Grupa pięćdziesięciu zwiedzających szybko stopniała do kilkunastu osób. Wśród nich był William. Ale on nie mógł oderwać oczu od kobiety zastępującej dyrektora. Równo obcięte kasztanowe włosy okalały owalną twarz, która nie potrzebowała makijażu, żeby się za nią obejrzeć. Lecz nie ta twarz ani nie smukła sylwetka tak go oczarowały. Urzekł go zaraźliwy entuzjazm, z jakim mówiła o otaczających ją Holendrach w czarnych pantalonach i z krezami wokół szyi. William zerknął na jej lewą rękę, kiedy pokazywała pierwszy obraz, i z zadowoleniem stwierdził, że nie ma na palcu obrączki. Jednak takie zjawisko musiało mieć jakiegoś chłopaka. Ale jak to sprawdzić?

– Pomysł utworzenia Fitzmolean – mówiła Beth, a w jej ciemnobrązowych oczach migotały iskierki – zrodził się w głowie pani van Haasen, żony wybitnego ekonomisty Jacoba van Haasena. Niezwykła kobieta, która po śmierci męża zgromadziła kolekcję malarstwa holenderskiego i fla-

mandzkiego stawianą tuż za zbiorami Rijksmuseum i Ermitażu. Dla uczczenia pamięci męża przekazała testamentem cały zbiór narodowi z poleceniem wystawiania go w domu, w którym mieszkali przez czterdzieści trzy lata małżeństwa.

Beth odwróciła się i poprowadziła grupkę do następnej galerii. Zatrzymała się przed portretem młodzieńca.

– Frans Hals – zaczęła – urodził się w Antwerpii około roku 1582. Za jego najznakomitszą pracę uważa się *Śmiejącego się kawalera*, którego można obejrzeć w Wallace Collection.

William usiłował się skupić na Halsie, ale zdecydował, że musi tu wrócić w czwartek, kiedy – był pewien – doktor Knox nie będzie tak rozpraszał jego uwagi. Dalej szedł za Beth, aż przystanęła przed wielką pustą pozłacaną ramą, pod którą widniała mała tabliczka z opisem: Rembrandt, 1606–1669.

– Tutaj – powiedziała podniosłym tonem – wisiało kiedyś arcydzieło Rembrandta *Syndycy cechu sukienników*, które zostało skradzione z muzeum siedem lat temu. Niestety, nigdy go nie odzyskano.

– Czy muzeum zaoferowało nagrodę za zwrot? – spytał głos, którego właściciel pochodził prawdopodobnie z Bostonu.

– Nie. Niestety pani van Haasen nigdy nie przyszło do głowy, że ktoś mógłby skraść jedno z jej arcydzieł, może dlatego, że w swoim czasie zapłaciła za obraz tylko sześć tysięcy dolarów.

– A ile byłby wart dzisiaj? – zapytał młodszy głos.

– Obraz jest bezcenny – odparła Beth – i niezastąpiony. Bardziej romantyczni spośród nas wierzą, że gdzieś jest i że pewnego dnia *Syndycy* wrócą na należne im miejsce.

To zdanie obecni nagrodzili lekkimi oklaskami.

– Rembrandt – ciągnęła Beth – był ambitnym człowiekiem i zarazem cieszącym się wielkim wzięciem artystą holenderskiego złotego wieku. Niestety żył ponad stan i w końcu, żeby spłacić długi, musiał oddać na licytację prawie cały swój dobytek wraz z kilkoma ważnymi płótnami. Tylko o włos uniknął bankructwa i nie zakończył życia w więzieniu. Po śmierci w 1669 został pochowany w zbiorowej mogile, a jego dzieła na ponad stulecie wyszły z mody. Ale pani van Haasen nie wątpiła w jego geniusz i zrobiła wiele, żeby przywrócić mu reputację największego z mistrzów holenderskich. Znawcy sztuki zjeżdżali z całego świata, żeby obejrzeć *Syndyków*,

uznawanych za jedno z największych jego dzieł, a pani van Haasen nigdy nie ukrywała, że to jej najulubieńszy obraz z kolekcji.

Beth i jej grupka przeszli do następnego obrazu i przewodniczka nadal udzielała odpowiedzi na wszystkie pytania, choć minęła wyznaczona godzina. Na koniec przystanęła przed *Godami w Kanie Galilejskiej* Jana Steena, którego nazwała „gawędziarzem artystów".

– Czy są jeszcze jakieś pytania? – zagadnęła.

William postanowił nie zadawać jej pytania, dopóki wszyscy nie odejdą.

– Co za fantastyczny wykład – rzekł.

– Dziękuję – powiedziała. – Czy ma pan jakieś pytanie?

– Tak. Czy wybierze się pani ze mną na kolację?

Nie zareagowała od razu, ale w końcu zdobyła się na odpowiedź:

– Żałuję, ale nie. Już jestem umówiona.

William się uśmiechnął.

– Cóż, to był pamiętny wieczór. Dziękuję pani, Beth.

Odwrócił się, żeby odejść, i wtedy usłyszał:

– Ale mam czas jutro wieczorem.

Kiedy nazajutrz William przyszedł do pracy, ujrzał żółtą kartkę przyklejoną do teczki z aktami.

PILNE – Dzwoń do Liz, 01 735 3000.

– O co chodzi? – zapytał Jackie.

– Wiem tylko, że Jastrząb mówił, że to pilne. Masz dokładnie odnotować, co Liz powie, i wysłać mu raport na piśmie.

– Dobra – rzucił William i wykręcił numer. Po chwili usłyszał kobiecy głos:

– W czym mogę panu pomóc?

– Mówi detektyw konstabl Warwick ze Scotland Yardu. Oddzwaniam do Liz.

– Czy zna pan nazwisko Liz albo wie, gdzie ona pracuje?

– Nie, wiem tylko, że mam z nią pilnie porozmawiać. Czeka na mój telefon.

– Tu jest centrala telefoniczna w pałacu Buckingham, proszę pana. Mamy tylko jedną Liz i nie sądzę, żeby była w tym momencie dostępna.

William zaczerwienił się jak burak.

– Bardzo przepraszam – powiedział. – Musiałem wykręcić zły numer.

W chwili, gdy odłożył słuchawkę, Jackie i detektyw główny inspektor Lamont wybuchnęli śmiechem.

– Jestem pewna, że oddzwoni – powiedziała Jackie.

– Przy okazji – odezwał się Lamont – Jastrząb miał telefon od ambasadora amerykańskiego z podziękowaniem za zwrot pyłu księżycowego. Dobra robota, chłopcze, może czas, żebyś zabrał się do Winstona Churchilla.

William otworzył teczkę z napisem „Churchill” i próbował się skupić, ale nie mógł przestać myśleć o wczorajszym wieczorze. Nie pamiętał, żeby ostatnio jakaś młoda kobieta tak zaprzątała jego umysł. Dziś wieczór na pewno wyjdzie z biura przed siódmą, nawet jeżeli spod drzwi komendanta wciąż będzie padało światło.

Zaczął czytać o sprytnym pomyśle, na jaki wpadł drobny fałszerz, żeby trochę sobie dorobić, i to pochłonęło jego uwagę. Kiedy dotarł do ostatniej strony, uświadomił sobie, że będzie musiał odwiedzić kilka księgarni na West Endzie, jeżeli chce złapać złodzieja na gorącym uczynku. Uprzedził Lamonta, który był zaabsorbowany polowaniem na działającego na międzynarodową skalę złodzieja klejnotów, że musi posłużyć się starą, dobrą metodą zdzierania zelówek i dzisiaj może nie wrócić do biura.

William postanowił zacząć od księgarni Hatcharda na Piccadilly, której kierownik – ponownie sprawdził nazwisko – Peter Giddy, pierwszy zgłosił skargę.

Wyszedł ze Scotland Yardu i skierował się ku Mall – mijając pałac Buckingham, poczuł się skarcony za próbę telefonowania do Liz – potem przez St James’s na Piccadilly, gdzie wkroczył do księgarni, w której przy wejściu pyszniły się trzy dyplomy dostawcy królewskiego. Zapytał kobietę na głównym stoisku, czy mógłby się zobaczyć z panem Giddym.

Po sprawdzeniu legitymacji policyjnej Williama kierownik zabrał go do biura na czwartym piętrze i zaproponował kawę.

– Co przede wszystkim wzbudziło pańskie podejrzenia? – spytał William, siadając i otwierając notes.

– Z początku nie miałem żadnych podejrzeń – przyznał Giddy. – W końcu Churchill to polityk, więc podpisywał wiele swoich książek. Jednak rzadko zdarza się spotkać komplet *Drugiej wojny światowej* z jego autografem we wszystkich sześciu tomach. Ale kiedy zobaczyłem komplet

w Heywood Hill, a ledwo tydzień później w Maggs, ogarnęły mnie wątpliwości.

– Czy zapamiętał pan coś szczególnego w wyglądzie mężczyzny, który proponował panu sprzedaż książek? – spytał William.

– Wyglądał nijako. Sześćdziesiąt, może sześćdziesiąt pięć lat, siwe włosy, trochę przygarbiony, średni wzrost, urywany akcent, jak cięty nożem. W gruncie rzeczy typowy klient księgarni Hatcharda.

William się uśmiechnął.

– Przypuszczam, że nie podał panu nazwiska.

– Nie. Powiedział, że nie chce, aby dzieci się dowiedziały, że wyprzedaje rodzinne pamiątki.

– Ale musiał pan wystawić czek?

– W normalnych okolicznościach tak, lecz on nalegał na gotówkę. Pojawił się na kilka minut przed zamknięciem, dobrze wiedząc, że w kasie będzie pełno banknotów.

– Jaka jest cena kompletu książek bez podpisów?

– Sto funtów, jeżeli wszystkie są w oryginalnej obwolucie.

– A komplet z podpisami?

– Trzysta, może trzysta pięćdziesiąt, jeśli książki są w idealnym stanie.

– Czy mogę spytać, ile pan zapłacił?

– Dwieście pięćdziesiąt funtów.

– Czyli ten facet mógł kupić komplet bez podpisów za mniej więcej sto funtów, złożyć sześć podpisów i zarobić sto pięćdziesiąt. To nie to samo co napad na pociąg.

– Zgadzam się – powiedział Giddy, wcale nie rozbawiony. – Ale gdyby jakiś nasz klient odkrył, że sprzedaliśmy mu książki z podrobionym autografem, moglibyśmy stracić dyplom dostawcy królewskiego.

William skinął głową.

– Myśli pan, że on wróci?

– Skądże. Nie zaryzykuje powtórki tego numeru w tej samej księgarni. I prawdę mówiąc, jest tylu księgarzy, że może działać całymi latami.

– To od czego pana zdaniem powinienem zacząć?

– Mogę panu dać listę księgarń, które specjalizują się w pierwszych wydaniach z autografem – rzekł Giddy, otwierając szufladę biurka i podając Williamowi cienką broszurkę.

– Dziękuję – powiedział William, przerzucając stroniczki.

– Niech się pan nie martwi, tu w promieniu mili znajdzie pan ich co najmniej kilkanaście – mówił kierownik księgarni, odprowadzając Williama do windy.

Detektyw konstabl Warwick przez resztę dnia wędrował od księgarni do księgarni i prędko się przekonał, że fałszerz podrabiający autograf Churchilla jest pracowitym osobnikiem. Kiedy nie kupował, to sprzedawał. Parał się chałupnictwem, któremu rząd tak sprzyjał.

Wszyscy kierownicy księgarń obiecywali Williamowi, że dadzą mu znać, gdyby mężczyzna odpowiadający opisowi zaoferował im komplet *Drugiej wojny światowej* Churchilla z jego autografem, ale też, podobnie jak Giddy, nie sądzili, aby pojawił się w tym samym miejscu drugi raz.

– Jeżeli się pokaże, proszę zatelefonować do mnie do Scotland Yardu na numer 230 1212. Wewnętrzny 2150 – prosił William i szedł dalej.

Nie zaprzestawał śledztwa do szóstej, gdy zamknęły się drzwi ostatniej księgarni. Wsiadł do metra na stacji Victoria, a potem przez całą drogę do Trenchard House biegł truchtem. Wziął szybki prysznic i zmienił ubranie, przy czym wyjątkowo długo się zastanawiał, co ma włożyć. W końcu zdecydował się na niebieską marynarkę, białą koszulę niezapiętą pod szyją i szare spodnie, ale zrezygnował z krawata w barwach szkoły.

Zamykając drzwi, uświadomił sobie, że musi wziąć taksówkę, jeśli ma się nie spóźnić; pani Walters nie zaaprobowałaby tego wydatku. Kierowca wysadził go przed „Eleną 1” na Fulham Road, siedem minut przed umówioną godziną.

– To dla mnie wyjątkowa randka, Gino – powiedział William kierownikowi sali, kiedy ten się przedstawił. – Pierwsza w istocie. Mogę potrzebować pana pomocy.

– Może pan na mnie polegać, panie Warwick. Umieszczę was w cichym kąciku.

– Ratunku, ona już tu jest – szepnął William.

– Ach, signorina – rzekł Gino z lekkim ukłonem i ujął ją za rękę. – Pan Warwick już przybył i siedzi przy swoim stoliku.

William się poderwał, starając się za bardzo w nią nie wpatrywać. Miała na sobie prostą żółtą sukienkę z odkrytymi ramionami i jasnozielony jedwabny szal. Nefrytowy naszyjnik dopełniał kompletu.

Gino odsunął jej krzesło, a William czekał, aż Beth usiądzie.

– To pewno jest jedno z twoich często odwiedzanych miejsc – powiedziała Beth, gdy już się usadowiła.

– Nie, jestem tu pierwszy raz. Przyjaciel mi polecił.

– Ale kelner powiedział…

– Pierwszy raz spotkałem go pięć minut temu – przyznał William.

W tym momencie ponownie pojawił się Gino i wręczył obojgu karty dań. Beth się roześmiała.

– A teraz, panie Warwick, czy pije pan to co zwykle?

– A co ja zwykle piję? – zagadnął William. Gino się zdziwił, ale William dodał: – Beth wie, że nigdy wcześniej tu nie byłem. Co pan poleca?

– Dla pięknej signoriny…

– Gino, niech pan nie szarżuje.

– Pan nie uważa, że jest piękna?

– Tak, ale nie chcę, żeby uciekła stąd jeszcze przed pierwszym daniem.

Beth podniosła wzrok znad karty dań.

– Nie martw się, nie zamierzam uciekać. No, może dopiero po drugim daniu.

– A signorina czego się napije?

– Proszę o kieliszek białego wina.

– Zamawiam butelkę Frascati – powiedział William, przypominając sobie, że ojciec często zamawiał to wino, chociaż sam nie miał pojęcia, ile może kosztować.

Gdy Gino zanotował zamówienia, Beth zapytała:

– Czy mam ci mówić William czy Bill?

– William.

– Czy masz pracę związaną ze sztuką czy też jesteś fanem zwiedzania galerii?

– Jedno i drugie. Od dziecka byłem fanem galerii sztuki, ale teraz pracuję w dziale sztuki i antyków w Scotland Yardzie.

Beth przez moment zdawała się wahać, potem powiedziała:

– Zatem wizyta w Fitzmolean to była twoja praca.

– Tak, dopóki ciebie nie zobaczyłem.

– Jesteś gorszy niż Gino.

– A ty? – zagadnął William.

– Ja nie jestem gorsza niż Gino.

– Nie, nie chciałem powiedzieć… – zaczął William, z przykrością uświadamiając sobie, ile czasu upłynęło od jego ostatniej randki.

– Wiem, co chciałeś powiedzieć – zakpiła Beth. – Studiowałam historię sztuki w Durham.

– Wiedziałem, że wybrałem niewłaściwy uniwersytet.

– A jaki? – zapytała, gdy zjawił się Gino z dwiema miseczkami parującej zupy stracciatella.

– King’s College. Też historia sztuki. A po Durham?

– Wybrałam się do Cambridge i zrobiłam doktorat o Rubensie dyplomacie.

– Niewiele brakowało, żebym zrobił doktorat o Caravaggiu przestępcy.

– To by tłumaczyło, dlaczego wstąpiłeś do policji.

– I potem od razu zatrudniłaś się w Fitzmolean?

– Tak, to moja pierwsza praca od ukończenia Cambridge. I musiało się rzucać w oczy, że wczorajszego wieczoru pierwszy raz odważyłam się wygłosić wykład.

– Byłaś świetna.

– Z trudem sobie poradziłam, o czym się przekonasz, jeśli przyjdziesz w przyszłym tygodniu na wykład Tima Knoxa.

– Nie wyobrażam sobie, jakie to wyzwanie w ostatniej chwili wystąpić zamiast szefa.

– To było przerażające. A zatem, czy mogę zapytać, czy jesteś na tropie mojego skradzionego Rembrandta?

– Twojego Rembrandta?

– Tak. Przecież każdy, kto pracuje w Fitzmolean, czuje się właścicielem *Syndyków*.

– Rozumiem dlaczego. Obawiam się jednak, że po siedmiu latach trop już zwietrzał.

– Chyba nie pracujesz nad tą sprawą od siedmiu lat?

– Nawet nie od siedmiu tygodni – przyznał William. – Ale jestem pewien, że Rembrandt wróci na swoje miejsce przed końcem przyszłego miesiąca.

Beth się nie roześmiała.

– Wciąż chcę wierzyć, że gdzieś tu jest i że wreszcie zostanie zwrócony galerii.

– Chętnie bym ci przytaknął – rzekł William, gdy Gino sprzątnął puste talerze – ale nikt w moim dziale się ze mną nie zgadza.

– Czy myślą, że został zniszczony? – spytała Beth. – Po prostu nie uwierzę, że ktoś mógłby być takim barbarzyńcą.

– Nawet gdyby to miało znaczyć, że nie trafi do więzienia na kilka lat?

– Czy to znaczy, że wiesz, kto ukradł obraz?

William nie odpowiedział i odetchnął z ulgą, kiedy stanął przy nich Gino z głównymi daniami.

– Przepraszam – rzekła Beth. – Nie powinnam pytać. Gdybym jednak kiedyś w czymś mogła pomóc, proszę, daj mi znać.

– Jest coś, w czym mogłabyś mi doradzić. Ostatnio natrafiliśmy na doskonałą kopię *Syndyków* i ciekaw jestem, czy znasz kogoś, kto specjalizuje się w tego typu pracy.

– To nie moja dziedzina – przyznała Beth. – Ja się zajmuję nieżyjącymi artystami i tylko jeśli to Holendrzy lub Flamandowie. Ale przypuszczam, że już odwiedziłeś Fake Gallery na Notting Hill.

– Nigdy o niej nie słyszałem – powiedział William i dotknął kieszeni marynarki w poszukiwaniu notesu, zapomniawszy, że nie jest na służbie.

– Mają tam sporo artystów, którzy dla nich pracują i potrafią naprędce podrobić dzieło każdego mistrza, jakiego zechcesz – żywego czy martwego.

– Czy to jest legalne?

– Nie mam pojęcia. To twoja działka – powiedziała Beth z uśmiechem. – Ale jeżeli nie szukasz mojego Rembrandta całymi dniami, to pewno jesteś na tropie jeszcze większych przestępstw.

– Jak kradzież małej fiolki z pyłem księżycowym i kilka egzemplarzy *Drugiej wojny światowej* Winstona Churchilla z autografami.

– Czy wolno ci powiedzieć więcej?

Beth się zaśmiewała, gdy William opowiadał jej o doktorze Talbocie i amerykańskim podsekretarzu. Nawet podsunęła mu pewien pomysł, kiedy wspomniał o sfałszowanych podpisach Winstona Churchilla.

– Może powinieneś poszukać niepodpisanego kompletu, wtedy będziesz o krok przed fałszerzem.

– Dobry pomysł – przyznał William, postanawiając nie mówić jej, że właśnie tym się zajmował przez cały dzień. – Może musimy spotykać się regularnie, bo to ty powinnaś być detektywem.

– A ty najwidoczniej powinieneś wygłaszać wykłady w Fitzmolean.

Oboje wybuchnęli śmiechem.

– Jakie krępujące są pierwsze randki – zauważył William.

– Czy to pierwsza randka? – spytała Beth, ciepło się do niego uśmiechając.

– Mam nadzieję.

– Podać kawę? – zagadnął Gino.

William nie spostrzegł upływu czasu, aż Beth szepnęła:

– Myślę, że personel chce iść do domu.

William rozejrzał się wokół i zobaczył, że oni dwoje są ostatnimi klientami w restauracji. Szybko poprosił o rachunek.

– Mieszkasz blisko? – zapytał.

– Na Fulham. Nie mieszkam sama. Ale nie przejmuj się, mogę tutaj złapać autobus.

– Nie stać mnie na bilet – rzekł William, spojrzawszy na rachunek. – Czy możemy przejść się na piechotę?

– Mam nadzieję, że zobaczymy panią wkrótce, signorina – rzekł Gino, otwierając im drzwi.

– Jeszcze się nie zdecydowałam – odparła Beth, odwzajemniając jego uśmiech.

William wziął ją za rękę, kiedy przechodzili przez ulicę, i nie przestawali gawędzić o niczym i o wszystkim, aż stanęli pod drzwiami Beth. Wtedy się schylił i pocałował ją w policzek. Gdy włożyła klucz do zamka, zapytał:

– Czy chciałabyś pójść ze mną do Fake Gallery?

– Czy bywa pan kiedy nie na służbie, detektywie konstablu Warwick? – zapytała.

– Nie, jeśli jest choć najmniejsza szansa, że znajdę pani Rembrandta, panno Rainsford.

9

Zasada była prosta. Kiedy dzwonił telefon, podnosiłeś słuchawkę niczym pierwszy taksówkarz na postoju. Notowałeś szczegóły, a potem meldowałeś sprawę detektywowi głównemu inspektorowi Lamontowi, który decydował, kto się nią zajmie, jeśli należało się nią zająć.

Dość często telefonowali ludzie, którym skradziono pamiątki rodzinne i chcieli wiedzieć, jak zareaguje na to policja. Trzeba było im tłumaczyć, że większość włamań leży w gestii lokalnych posterunków, ponieważ w sekcji dzieł sztuki i antyków jest tylko czworo funkcjonariuszy, którzy nie mogą się angażować w każde śledztwo. Jednak komendant Hawksby nie przestawał im przypominać, że dla starej kobiety strata wiktoriańskiej broszki znaczy tyle co strata klejnotów koronnych, a dla wielu dzwoniących to jest jedyny bezpośredni kontakt z policją.

– Kiedy odkładasz słuchawkę – mówił Williamowi – bądź przekonany, że pożegnałeś zadowolonego interesanta, a nie człowieka, który uważa, że policja nie jest po jego stronie.

William podniósł słuchawkę telefonu.

– Przepraszam, że zawracam głowę – odezwał się głos osoby wyrażającej się poprawnie. – Mam nadzieję, że nie zabieram panu na próżno czasu.

– Nie zabiera mi pan na próżno czasu – rzekł William – jeśli uważa pan, że popełniono przestępstwo.

– W tym problem. Nie jestem całkiem pewny, czy to przestępstwo, ale coś mi tu niełądnie pachnie.

William się uśmiechnął na to śmieszne wyrażenie.

– Czy mogę najpierw prosić o pańskie nazwisko? – zapytał, sięgając po pióro, świadom, że w połowie przypadków dzwoniący przerywa rozmowę, kiedy padnie to pytanie.

– Jeremy Webb. Pracuję w London Silver Vaults w City. Pan mógł o nas nie słyszeć.

– Ojciec zabrał mnie tam podczas ferii, gdy kupował prezent na urodziny mojej matki. Nigdy tego nie zapomnę. Musiało tam być co najmniej dwadzieścia kilka różnych stoisk, wszystkie bez ładu i składu…

– Trzydzieści siedem stoisk – powiedział Webb. – W tym roku jestem przewodniczącym London Silver Vaults Association i dlatego dzwonię. Kilku naszych członków wspomniało mi o tym problemie.

– Problemie jakiego rodzaju? – zagadnął William. – Proszę się nie spieszyć, panie Webb, i nie pomijać żadnego szczegółu, choćby wydawał się nieważny.

– Dziękuję – odpowiedział Webb. – Nasze Towarzystwo składa się z grupy zrzeszonych członków, których główna działalność polega na kupnie i sprzedaży srebra. To może być wszystko, od małej wiktoriańskiej łyżeczki po wielki ozdobny obiekt stanowiący dekorację stołu w jadalni. Srebro, jak z pewnością pan wie, musi mieć stempel probierczy i być zaakceptowane przez urząd probierczy, zanim może zostać uznane jako standardowe. Żaden poważny kolekcjoner nigdy nie kupi żadnego przedmiotu, jeżeli nie jest należycie oznaczony.

William czekał z piórem w ręku, wiedząc, że pan Webb z czasem dotrze do sedna sprawy.

– W zeszłym miesiącu Skarbiec regularnie odwiedzał dżentelmen, który kupował srebro liczące sobie co najmniej sto lat. Zdawał się nie baczyć, czy to medal wydany z okazji koronacji Jerzego V, czy szkolny medal za skok w dal. Jedna z czterech prób wskazuje rok wyrobu i kilku moich kolegów zauważyło, że ów dżentelmen, zanim się zainteresuje jakimś przedmiotem, zawsze sprawdza jego wiek przy użyciu lupy jubilerskiej.

– Lupy jubilerskiej?

– Przepraszam – rzekł Webb. – To niewielkie szkło powiększające, często używane przez jubilerów i zegarmistrzów.

– Rozumiem – powiedział William, chociaż nadal nie był pewien, do czego to prowadzi.

– Druga rzecz, która wydała się nam podejrzana, to że on zawsze płaci gotówką.

– Banknotami o dużych nominałach?

– Nie. My zawsze mamy się na baczności, kierując się ostatnimi dyrektywami Ministerstwa Skarbu w sprawie prania pieniędzy. Proszę powiedzieć, czy to wszystko ma jakiś sens?

– Jak najbardziej. Czy zna pan nazwisko tego dżentelmena?

– W tym problem – odparł Webb. – Zawsze zapisujemy nazwisko i adres każdego klienta, ale ten człowiek podaje nam kilka różnych nazwisk i nigdy nie taki sam adres.

William nagle bardziej się zainteresował.

– Czy któryś z właścicieli stoisk ma jakiś pomysł, kto to może być?

– Jeden z handlarzy powiada, że go sobie przypomina, ale nie jest pewien skąd. Utrzymuje, że nie pamięta jego nazwiska.

– Mówi pan: „utrzymuje”. Z tego wynika, że nie jest pan przekonany.

– Przed kilku laty ten handlarz został skazany na pół roku więzienia za handel kradzionym towarem. Nadzór kuratorski zwrócił się do nas z prośbą, żebyśmy dali temu człowiekowi drugą szansę, co uczyniliśmy – niechętnie. Ale ostrzegliśmy go, że jeśli znów zejdzie z dobrej drogi, wykluczymy go z Towarzystwa.

– Jak się nazywa?

– Ken Appleyard.

William zapisał nazwisko.

– Panie Webb, czy ze swoim doświadczeniem w tej branży ma pan jakiś pomysł, dlaczego ten tajemniczy człowiek skupuje tak dużo starego srebra?

– Z początku przypuszczałem, że to może być pranie pieniędzy, ale on ciągle wracał. Więc to nie ma sensu, jeśli nie jest głupcem. Potem się zastanawiałem, czy przetapia srebro, ale to też nie trzyma się kupy, bo cena srebra ostatnio spada. Przyznam więc, że jestem całkiem skołowany. Jednakże członkowie zarządu uznali, że na wszelki wypadek powinienem zawiadomić policję.

– Jestem panu bardzo wdzięczny, panie Webb. Przekażę szefowi pańskie obawy i prawdopodobnie skontaktuję się z panem.

Po odłożeniu słuchawki William nie przedstawił sprawy Lamontowi, ale najpierw pojechał windą na poziom minus jeden, gdzie mieścił się policyjny komputer o ogólnokrajowym zasięgu. Policjant wyglądający na jeszcze młodszego niż William wystukał nazwisko Kena Appleyarda i po kilku chwilach mieli wydrukowany rejestr jego wcześniejszych wyroków. Potwierdziło się, że Appleyard odsiedział sześć miesięcy za przyjmowanie skradzionych towarów. William się ucieszył, że nie został więcej skazany i od czasu zwolnienia zarobił tylko mandat za złe parkowanie.

William wrócił do biura, dzierżąc wydruk rejestru policyjnego. Lamont rozmawiał przez telefon, ale wskazał mu krzesło obok siebie. William wiedział, że szef uczestniczy w śledztwie Interpolu w sprawie siatki szmuglerów diamentów operującej z Ghany i Dubaju. Gdy Lamont odłożył słuchawkę, odwrócił się do Williama, aby wysłuchać, co ma do powiedzenia.

– Jak pan myśli, szefie, co on kombinuje? – zagadnął William, gdy skończył swoją relację.

– Nie mam pojęcia. Najpierw jednak musisz się dowiedzieć, kim jest ten tajemniczy człowiek, bo dopóki tego nie wiemy, poruszamy się po omacku.

– Od czego zacząć?

– Idź za jedynym śladem, jaki masz. Odwiedź Silver Vaults i pogadaj z Appleyardem. Ale bądź ostrożny. Na pewno jest czuły na punkcie swojego wyroku, szczególnie w obecności pracujących w pobliżu kolegów. Spróbuj zrobić wrażenie klienta, nie gliniarza.

– Zrozumiałem, sir.

– I, William, dlaczego nie przymknąłeś jeszcze tego fałszerza Churchilla?

– Zapadł się pod ziemię, sir. Ale jak tylko się pokaże, przyskrzynię go i chętnie zastosuję zgniatacz kciuków.

Lamont uśmiechnął się i powrócił do szmuglerów diamentów.

William dobrze wiedział, gdzie znajduje się Silver Vaults, ale przed opuszczeniem biura zatelefonował do ojca i zapytał, czy mogą się umówić na lunch, ponieważ potrzebuje jego rady.

– Mogę ci poświęcić godzinę – rzekł sir Julian – nie więcej.

– Na więcej i tak mi nie pozwalają, tato. Och, i mogę dodać ci tylko dwa funty i osiemdziesiąt pensów do rachunku.

– Przyjmę tę nędzną daninę, chociaż to nieporównanie mniej niż zwykle liczę za godzinę konsultacji. Spotkajmy się o pierwszej przed wejściem do Lincoln’s Inn. Potem mi powiesz, czy twoja stołówka jest choć trochę lepsza od naszej.

William opuścił siedzibę Scotland Yardu i złapał autobus do City. Przeszedł się krótko Chancery Lane i udał się do Silver Vaults. Spis wszystkich właścicieli stoisk był wywieszony na ścianie w recepcji. Stoisko K. Appleyarda miało numer 23.

William zszedł szerokimi schodami do podziemia i znalazł się w długiej sali ze stoiskami skupionymi obok siebie po obu stronach. Chętnie by się zatrzymał i przyjrzał bliżej kilku pięknym okazom, które wpadły mu w oko, ale nie chciał odwracać uwagi od poszukiwania stoiska numer 23.

Appleyard pokazywał klientowi cukiernicę, gdy William spostrzegł jego nazwisko widniejące nad stoiskiem. Przystanął przed handlarzem naprzeciwko, wziął do ręki srebrną pieprzniczkę w formie sufrażystki i uważnie ją oglądał. Idealny prezent bożonarodzeniowy dla Grace, pomyślał. Już miał zapytać o cenę, kiedy klient Appleyarda oddalił się od stoiska, więc William do niego podszedł.

– Dzień dobry. Czy rozgląda się pan za czymś szczególnym?

– Za kimś – powiedział cicho William i pokazał legitymację policyjną.

– Nie zrobiłem nic złego – rzucił wyzywająco Appleyard.

– Nikt tego nie sugeruje. Chcę tylko zadać panu parę pytań.

– Czy chodzi o tego gościa, co skupuje stare srebro?

– Trafił pan w dziesiątkę.

– Nie mam o nim dużo do powiedzenia. Natknąłem się na niego w Pentonville, ale nie pamiętam jego nazwiska. Od wielu lat staram się wyrzucić z pamięci ten okres mojego życia, a nie wracać do niego.

– Całkowicie pana rozumiem – rzekł William. – Ale byłoby bardzo pomocne, gdyby pan sobie przypomniał cokolwiek o tym człowieku – jego wiek, wzrost, jakieś cechy szczególne.

Appleyard spojrzał w przestrzeń, jakby chciał wyczarować tę postać.

– Ogolona głowa, pięćdziesiąt, pięćdziesiąt pięć lat, bardzo wysoki.

– Czy pan wie, za co był skazany?

– Nie mam pojęcia. Złota więzienna zasada brzmi: nigdy nie pytaj, jakie przestępstwo popełnił inny więzień, i nigdy nie mów, za co cię zapudłowali.

William dodał tę informację do swego banku pamięci.

Appleyard zamilkł na chwilę, po czym dodał:

– Miał na prawym przedramieniu mały tatuaż, serce z napisem Angie.

– To bardzo pomocne, panie Appleyard – powiedział William, podając mu swoją wizytówkę. – Jeżeli przyjdzie panu jeszcze coś do głowy, proszę zadzwonić.

– Nie ma potrzeby wspominać o pańskiej wizycie żadnemu z moich kolegów…

– Po prostu jestem jednym z klientów – rzekł William, przeszedł do stoiska naprzeciwko i spytał, ile kosztuje srebrna sufrażystka.

Jego tygodniówkę.

Było wokół Williama dostatecznie dużo zegarów wybijających godzinę, żeby sobie przypomniał, że za piętnaście minut ma się spotkać z ojcem, a wiedział, że jeśli się spóźni, to staruszek zabierze się do pierwszego dania.

Przebiegł po schodach, wypadł na ulicę, skręcił w prawo i nie przestawał biec. Przed wejściem do Lincoln's Inn znalazł się o 12.56 i ujrzał ojca podążającego z drugiej strony placu ku głównemu budynkowi.

– Co cię przywiodło w te strony? – zagadnął syna sir Julian, prowadząc go długim korytarzem, na którego ścianach widniały portrety wybitnych sędziów.

– Interesy i przyjemność. Wyjaśnię podczas lunchu. Ale przede wszystkim jak miewa się mama?

– Czuje się dobrze i przesyła ci pozdrowienia.

– A Grace?

– Jak zwykle zbzikowana. Broni jakiegoś rastafarianina, który ma pięć żon i czternaścioro dzieci i usiłuje dowieść, że jest mormonem i nie ogranicza go prawo o poligamii. Przegra oczywiście, ale przecież zawsze przegrywa.

– Może zaskoczy cię pewnego dnia – rzekł William, gdy wchodzili do jadalni.

– Tu jest samoobsługa, więc weź tacę – polecił ojciec, jakby go nie słyszał. – Unikaj mięsa za wszelką cenę. Sałatki są zazwyczaj bezpieczne.

William wybrał talerz z kiełbaskami i ziemniakami purée oraz tartę na słodko, po czym poszli do stolika w głębi sali.

– Czy to spotkanie towarzyskie, czy chcesz zasięgnąć mojej rady? – zapytał sir Julian, sięgając po solniczkę. – Bo ja liczę sobie sto funtów za godzinę, a zegar już odmierza czas.

– A więc musisz sobie to odliczyć z mojego kieszonkowego, bo chciałbym zasięgnąć twojej opinii w dwu sprawach.

– Mów.

William przez pewien czas opisywał, dlaczego spędził przedpołudnie niedaleko, w Silver Vaults.

– To fascynujące – rzekł ojciec, gdy William zakończył swoją opowieść. – Zatem teraz musisz się dowiedzieć, kto jest tym tajemniczym kupcem

i dlaczego topi srebro, które ma ponad sto lat.

– Nawet nie jesteśmy pewni, że to robi.

– To jaki miałby cel? Chyba że jest ekscentrycznym, bogatym kolekcjonerem? A gdyby był, toby nie podawał różnych nazwisk i adresów.

– Masz jakiś inny pomysł, ojcze?

Sir Julian nie odzywał się, dopóki nie skończył jeść zupy.

– Monety – wreszcie powiedział. – To muszą być monety.

– Dlaczego monety?

– To musi być coś znacznie wartościowszego niż skupowane srebro, bo inaczej jaki byłby w tym sens. – Sir Julian odsunął na bok pusty talerz i zabrał się do sałatki. – A twój drugi problem?

– Czy natknąłeś się na radcę królewskiego Bootha Watsona? A jeżeli tak, to co o nim myślisz?

– To nie jest nazwisko, które by należało wymieniać w kulturalnym towarzystwie – odparł sir Julian, pierwszy raz mówiąc poważnym tonem. – On by chętnie nagiął prawo aż do granicy złamania. Czemu pytasz?

– Prowadzę śledztwo w sprawie jednego z jego klientów… – zaczął William.

– Więc w tym momencie musimy przerwać tę rozmowę, bo nie mam ochoty stanąć w sądzie w obecności tego szczególnego człowieka.

– To do ciebie niepodobne, tato. Rzadko mówisz źle o swoich kolegach.

– Booth Watson to nie kolega. Przypadkiem pracujemy w tym samym zawodzie.

– Dlaczego tak cię to dotyka?

– Wszystko się zaczęło, kiedy byliśmy w Oksfordzie i on kandydował na przewodniczącego Towarzystwa Prawniczego. Mówiąc prawdę, byłem gotów poprzeć każdego kandydata, który by mu się przeciwstawił. Kiedy wybrano studenta, którego zaproponowałem, Booth Watson mnie obwinił i od tamtej pory nie zamieniliśmy słowa. W istocie on tu jest, na drugim końcu sali. Siedzi sam, i to wszystko, co o nim potrzebujesz wiedzieć. Nie patrz tam, bo może cię oskarżyć o naruszenie praw osobistych.

– Kogo teraz bronisz? – zapytał William, zmieniając temat, chociaż nie mógł się powstrzymać od zerkania na drugą stronę sali.

– Nigeryjskiego wodza, który porąbał żonę i posłał teściowej różne części jej ciała.

– Więc go nie wyciągniesz?

– Nie ma szans, dzięki Bogu. Prawdę mówiąc, myślę o wycofaniu się z obrony morderców. Agata Christie umknęła w sam czas.

– Co masz na myśli?

– Poirot nigdy nie musiał się zmagać z DNA, co prawie uniemożliwia sensowną obronę klienta. Nie, w przyszłości zamierzam się skoncentrować na oszustwach i zniesławieniu. Dłuższe procesy, dodatkowe honoraria i wciąż pięćdziesiąt procent szansy na wygraną – powiedział, otarłszy usta serwetką.

William spojrzał na zegarek.

– Powinienem iść.

– Rozumiem, ale najpierw mi powiedz, jak wygląda twoje życie towarzyskie, bo matka na pewno mnie o to zapyta.

– Trochę bardziej obiecująco. Spotkałem osobę, którą uważam za dość wyjątkową. W gruncie rzeczy spotykamy się znów dziś wieczorem.

– Czy mogę o tym powiedzieć twojej matce?

– Ani słowa mamie, proszę, bo inaczej zechce zaprosić nas oboje w niedzielę na lunch, a ja jeszcze nie przygotowałem Beth na tę próbę ogniową.

– A więc mamie ani mru-mru, chwilowe embargo! – powiedział sir Julian, śmiejąc się ze swojego dość słabego żartu.

Gdy wychodzili z jadalni, William nie mógł się powstrzymać i znów zerknął na Bootha Watsona, który akurat zaczął wcinać słodką tartę.

– Miło było cię widzieć, mój chłopcze – powiedział sir Julian, gdy wyszli na dziedziniec.

– Mnie też było miło, ojcze.

William uśmiechnął się, patrząc na oddalającego się ojca. Jak wiele mu zawdzięczał.

10

Gdy tylko William wrócił do biura, zrelacjonował szefowi spotkanie z Appleyardem.

– Tylko jedna informacja, którą ci podał, może się okazać pożyteczna. Czy ją zauważyłeś?

– Tatuaż?

– Trafiłeś. Bo gdybyś znalazł Angie, mogłaby nas zaprowadzić do tajemniczego kupca.

– Ale jedyny trop to tatuaż.

– Co może wystarczyć.

– Jak to?

– Myśl jak przestępca, młodzieńcze, a nie jak nieopierzony chórzysta – rzucił Lamont, odchyliwszy się na krześle.

– Pentonville – powiedział William po krótkiej chwili milczenia.

– Jesteś na właściwym tropie. A z kim w Pentonville powinieneś porozmawiać?

– Z naczelnikiem więzienia?

– Nie. Zbyt wysoka ranga jak na nasze potrzeby.

William wyglądał na zdezorientowanego i znowu musiał czekać, aż Lamont przyjdzie mu z pomocą.

– Powiedziałeś mi, że Appleyard siedział w Pentonville tylko trzy tygodnie, zanim przeniesiono go do otwartego więzienia w Ford.

– Tak, sir.

– Podczas tego pobytu miał zapewne prawo do trzech odwiedzin. Musisz więc się dowiedzieć, czy ktoś o imieniu Angie odwiedził kogoś w Pentonville, kiedy Appleyard tam był. Jeżeli tak, to oni mają w kartotece jej dane.

– Musimy też liczyć na to, że ona wciąż jest jego dziewczyną.

– Z tym nie powinno być problemu. Tatuaż dla więźnia to jak dla ciebie i dla mnie pierścionek zaręczynowy. To zobowiązanie, i spójrzmy prawdzie w oczy: tylko tego możemy się uchwycić. Pogadaj ze starszym rangą funk-

cjonariuszem dozorującym odwiedziny. Nazywa się Leslie Rose. Dla ciebie – sir. Pamiętaj, przekaż mu moje serdeczne pozdrowienia.

William wrócił do swego biurka i odszukał numer strażnika zarządzającego odwiedzinami w Więzieniu Jej Królewskiej Mości Pentonville. Kiedy podniesiono słuchawkę, tubalny głos warknął:

– Rose.

– Dzień dobry, sir. Tu detektyw konstabl Warwick, dzwonię za radą mojego szefa, detektywa głównego inspektora Lamonta.

– Skończony palant.

– Słucham, sir?

– Każdy idiota, który uważa, że Arsenal może zdobyć Puchar, jest skończonym palantem. Co mogę dla pana zrobić, detektywie konstablu?

– W 1981 roku mieliście w Pentonville więźnia o nazwisku Appleyard. Był u was tylko trzy tygodnie, od dziewiątego do trzydziestego kwietnia, a potem przeniesiono go do więzienia otwartego w Ford.

– I co dalej?

– Podczas jego pobytu inny więzień, którego nazwiska nie pamięta…

– Albo nie chce pamiętać.

– …mógł być odwiedzany przez swoją dziewczynę imieniem Angie.

– Skąd ta pewność?

– Appleyard pamięta, że widział tatuaż na prawej ręce tego faceta. Czerwone serce z imieniem Angie wypisanym w poprzek.

– Ładny kawałek roboty śledczej, młody człowieku. Szanse nie są duże, ale odezwę się do ciebie.

– Dziękuję, sir.

– Przekaż, proszę, pozdrowienia Bruce’owi. Powiedz mu, żeby porzucił wszelką nadzieję co do niedzieli.

– Na co nadzieję, sir?

– Że Arsenal da łupnia Spursom.

– Więc pan jest kibicem drużyny Tottenham Hotspur?

– Widzę, że Yard wciąż rekrutuje najzdolniejszych i najlepszych. To kogo ty popierasz, młody człowieku?

– Fulham, sir. I powinienem podkreślić, że nie pobiliście nas w ostatnim czasie.

– A ja powinienem podkreślić, konstablu, że może dlatego, że od kilku lat nie graliśmy z wami i mało prawdopodobne, byśmy zagrali, skoro tkwi-

cie w drugiej lidze.

W telefonie rozległo się buczenie.

William poświęcił resztę popołudnia na pisanie raportu o spotkaniu z Appleyardem i o rozmowie ze strażnikiem więziennym Rose'em z Pentonville. Postanowił pominąć jego przekleństwa oraz opinię o Arsenale i tuż po wpół do szóstej zostawił ugrzecznioną wersję na biurku detektywa głównego inspektora Lamonta.

William zamierzał wymknąć się tuż przed szóstą, żeby się nie spóźnić na przełożony wykład Tima Knoxa w Fitzmolean, a potem zjeść kolację w towarzystwie Beth.

Już miał wyjść, kiedy zadzwonił telefon. Jackie podjęła słuchawkę.

– To do ciebie, Bill – powiedziała, przerzucając rozmowę do Williama.

Uśmiechnął się, oczekując, że w słuchawce usłyszy radosny głos strażnika Rose'a.

– Detektyw konstabl Warwick? – odezwał się głos, który ledwo mógł zrozumieć.

– Tak. Kto mówi?

– Martin. Pracuję w księgarni John Sandoe Books w Chelsea, którą pan odwiedził w zeszłym tygodniu. Ten pański facet wrócił tutaj, ale tym razem przegląda pierwsze wydanie Dickensa.

William podniósł rękę na znak, że każdy osiągalny policjant powinien podjąć słuchawkę swojego telefonu i przysłuchiwać się rozmowie.

– Proszę mi przypomnieć wasz adres.

– Blacklands Terrace, niedaleko King's Road.

– Podtrzymujcie rozmowę – rzucił William. – Ja wychodzę.

– Samochód wydziału czeka na ciebie na zewnątrz – powiedział Lamont, odkładając słuchawkę. – Ruszaj w drogę.

William wypadł z biura, po dwa stopnie naraz zbiegł ze schodów i dalej do frontowego wejścia, gdzie ujrzał samochód czekający z zapalonym silnikiem i otwartymi po stronie pasażera drzwiami – kierowca ruszył z rykiem syreny i migającymi światłami, zanim jeszcze William je zatrzasnął.

– Danny Ives – powiedział kierowca, wyciągając na powitanie lewą rękę. Prawą mocno trzymał kierownicę, rozpędzając samochód. Najwyraźniej nie trzeba mu było mówić, dokąd ma jechać.

– William Warwick – rzekł William, uznawszy, że skoro kolega policjant nie podaje stopnia, to prawdopodobnie jest konstablem. Chociaż w więk-

szości kierowcy policji londyńskiej byli klasą dla siebie i uważali stolicę za ni mniej, ni więcej tylko tor wyścigowy Formuły Jeden z dodatkowym wyzwaniem w postaci przechodniów.

Ives wpadł w Victoria Street, przebijając się przez wczesnowieczorny ruch uliczny w kierunku Parliament Square. Sforsował czerwone światło, mijając parlament. Wprawdzie William w przeszłości uczestniczył w dwóch jazdach z migającymi niebieskimi światłami, mimo to czuł się jak uczniak, któremu spełniają się najdziksze marzenia, kiedy samochody, furgonetki, ciężarówki i autobusy zjeżdżały na bok, żeby ich przepuścić. Gdy zbliżali się do świateł na Chelsea Bridge, Ives zwolnił i zignorował znak zakazu w prawo, skracając jazdę o kilka minut. Pomknął Chelsea Bridge Road ku Sloane Street, zawsze szczególnie zatłoczonej w godzinach szczytu. Dojechał do świateł na Sloane Square, akurat gdy zmieniły się na czerwone, i nie zwalniając, wśliznął się na pas dla autobusów. Kiedy skręcili w lewo obok Petera Jonesa i jechali King’s Road, Ives wyłączył syrenę, ale zostawił migające światła.

– Nie chcielibyśmy go uprzedzić, że się zbliżamy, no nie? – powiedział. – Błąd, który często popełniają w filmach.

Skręcił w Blacklands Terrace, gdzie William spostrzegł młodego człowieka, który stał przed księgarnią i wymachiwał rękami. William wyskoczył z samochodu i podbiegł do niego.

– Właśnie pan się z nim minął. Nie mogłem go dłużej zagadywać. To on, ten w beżowym deszczowcu, idzie w kierunku Sloane Square.

William spojrzał w kierunku wskazywanym przez księgarza, ale mężczyzna tylko mignął mu i skręcił za róg.

– Dzięki! – krzyknął William i ruszył w pościg na piechotę. Przeszukiwał wzrokiem tłum przed sobą, ale musiał lawirować między przechodniami, bo już nie miał pomocy syreny. I nagle spostrzegł mężczyznę w beżowym deszczowcu. Już miał go dopaść, kiedy zauważył, że jedną ręką pcha wózek spacerowy, a drugą trzyma dziecko za rękę.

William dalej przedzierał się do przodu, z każdym krokiem mniej pewny siebie, wtem dojrzał inny beżowy deszczowiec znikający w wejściu do metra na stacji Sloane Square. Gdy dotarł do bramki biletowej, wyciągnął legitymację, ale przemknął tak szybko, że kontroler nie miał szans na nią spojrzeć. Ujrzał mężczyznę u dołu schodów ruchomych, ale zaraz znów stracił go z oczu. William popędził w dół, odpychając na boki wczesnowie-

czornych pasażerów, i niemal dogonił mężczyznę, gdy ten skręcił w prawo i podążył ku linii District w kierunku wschodnim.

William wyłonił się na zatłoczonym peronie, akurat gdy pociąg hamował ze zgrzytem. Spojrzał w lewo i w prawo, wreszcie dostrzegł mężczyznę wsiadającego do pociągu pięć wagonów dalej. William wskoczył do najbliższego, gdy drzwi zaczęły się zamykać, uchwycił się poręczy, żeby odzyskać równowagę, i nabrał tchu. Kiedy pociąg zatrzymał się na następnej stacji, wyskoczył, ale beżowego deszczowca nie było na widoku. I tak, niby król na szachownicy, William posuwał się o jedno pole do przodu, za każdym przystankiem wślizgując się do kolejnego wagonu.

Pasażer w beżowym deszczowcu nie wysiadał i cztery przystanki dalej William był już w sąsiednim wagonie. Zajął miejsce blisko przodu i zerkał przez szybę w dzielących wagony drzwiach, żeby bliżej przyjrzeć się ściganemu. Mężczyzna właśnie odwracał stronę „Evening Standard” i gdy zatrzymali się na następnym przystanku, nawet nie podniósł głowy. Zapowiadała się długa podróż.

Zanim mężczyzna złożył gazetę, przystanęli dwadzieścia jeden razy, dzięki czemu William miał aż nadto czasu, aby się upewnić, że śledzi właściwego człowieka. Sześćdziesiąt, sześćdziesiąt pięć lat, siwiejące włosy, lekko przygarbiony. Nie musiał słyszeć jego akcentu, aby wiedzieć, że to jest klient, którego mu opisywał kierownik księgarni Hatcharda.

Facet w końcu wysiadł na stacji Dagenham East. Podążając za nim, William zachowywał odpowiednią odległość. Na początku mógł się wtopić w tłum, ale w miarę jak pasażerowie się rozchodzili, musiał wciąż odsuwać się do tyłu. Zastanawiał się, czy od razu nie aresztować mężczyzny, ale najpierw musiał sprawdzić, gdzie mieszka, aby się dowiedzieć, gdzie ukryte są dowody.

Mężczyzna skręcił w boczną ulicę i przystanął przed niewielką furtką. William szedł dalej i zapisał numer: 43, gdy tamten otworzył frontowe drzwi i zniknął w środku. Kiedy William znalazł się na końcu ulicy, zanotował w pamięci nazwę Monkside Drive i niechętnie uznał, że chyba mądrzej nie próbować wejść do domu przed złożeniem raportu Lamontowi i uzyskaniem nakazu rewizji. Czuł pewność, że mężczyzna w beżowym deszczowcu nigdzie się wkrótce nie wybierze.

William zawrócił i podążył zadowolony z siebie na stację metra, ale po chwili nastrój mu się zmienił. Spojrzał na zegarek: 7.21. Beth będzie zacho-

dziła w głowę, gdzie on jest.

Biegł przez całą drogę do stacji, ale gdy w chłodzie i wietrze stał na peronie, czekając na pociąg, wiedział, że nie dotrze na Kensington, by zdążyć na wykład doktora Knoxa. Podróż pociągiem telepiącym się od przystanku do przystanku wlokła się w nieskończoność, czego William nie zauważył w drodze do Dagenham, kiedy czuł przypływ adrenaliny i musiał się cały czas koncentrować. Pociąg w końcu zajechał na South Kensington o 8.15. William wbiegł do góry ruchomymi schodami i wpadł na Thurloe Place, ale gdy stanął przed wejściem do Fitzmolean, budynek spowijały ciemności.

Idąc powoli w stronę domu Beth, przygotowywał sobie tłumaczenie, dlaczego nie zjawił się na wykładzie. Kiedy stanął przed drzwiami dziewczyny, miał gotowy tekst.

Stał tam przez pewien czas, a potem dwa razy delikatnie uderzył kołatką. Po chwili drzwi się otworzyły i wysoki, przystojny chłopak zapytał:

– Słucham pana?

Williamowi zrobiło się niedobrze.

– Miałem nadzieję zobaczyć Beth – palnął.

W tym momencie zjawiła się postać w szlafroku, z głową owiniętą ręcznikiem.

– Wejdź, Williamie – powiedziała Beth. – Nie mogę się doczekać, żeby się dowiedzieć, dlaczego mnie zawiodłeś. Czyżbyś znalazł mojego Rembrandta? Jez – zwróciła się do młodego człowieka – czy możesz zaprowadzić Williama do salonu i poczęstować go drinkiem? Chociaż na to nie zasłużył.

11

– Czy dotarłeś w porę do księgarni? – zapytał Lamont, gdy William wkroczył nazajutrz do biura.

– Tak, sir.

– Więc go aresztowałeś?

– Nie, sir.

– Dlaczego?

– Kiedy go dogoniłem, był w pociągu metra jadącym do Dagenham East. Postanowiłem najpierw się dowiedzieć, gdzie mieszka, a dziś przed południem wrócić tam z nakazem aresztowania.

– Kretyn – rzucił Lamont. – Powinieneś go od razu aresztować i natychmiast przeszukać dom. Miejmy nadzieję, że nie będziesz musiał wytłumaczyć Jastrzębiowi, dlaczego ten facet przepadł z dnia na dzień.

– On nigdzie się nie wybiera, sir.

– Skąd możesz to wiedzieć, detektywie konstablu? Jesteś policjantem, nie wróżbitą. Czy widział, że go śledzisz?

– Nie sądzę, sir.

– Miejmy nadzieję, że nie, bo z pewnością dałeś mu aż nadto czasu, żeby mógł zniszczyć dowody, a nawet wziąć nogi za pas.

William się czuł jak krnąbrny uczeń skarcony przez dyrektora szkoły, bo nie odrobił porządnie zadania domowego.

– I czy mogę zapytać, chłopcze, czemu jesteś w tym samym ubraniu co wczoraj?

– Zaspałem, sir, i wrzuciłem na siebie, co było pod ręką, bo nie chciałem się spóźnić.

– I dlatego też się nie ogoliłeś?

William schylił głowę.

– Cóż, mam nadzieję, że ona była tego warta – rzekł Lamont – bo tkwisz po uszy w kłopotach. Powiem ci, co teraz będzie. Pojedziesz do domu, weźmiesz prysznic, ogolisz się, zmienisz ubranie i za godzinę wrócisz tutaj, a ja

w tym czasie załatwię nakaz rewizji mieszkania podejrzanego. Ty i detektyw sierżant Roycroft pojedziecie do Dagenham, aresztujecie faceta, przedstawicie mu zarzut i zbierzecie choćby najmniej znaczące dowody, żeby przygwoździć drania, kiedy stanie przed sądem. Potem doprowadzicie go do lokalnego posterunku, gdzie go przytrzymają do jutra rana, kiedy stanie przed sędzią pokoju. I, Warwick, jeśli on zwiał albo zniszczył dowody, zameldujesz się komendantowi, a ja mogę zasugerować, że dłuższy czas w rewirze wcale ci nie zaszkodzi. A teraz ruszaj się, zanim facet umrze ze starości.

Podczas podróży powrotnej na stację Victoria William nie mógł przestać myśleć o tym, co się wydarzyło wczorajszego wieczoru. On i Jez, współlokator Beth, pili piwo i głównie mówił Jez. Wytłumaczył, że on i Beth byli razem na uniwerku i że ich relacje są platoniczne. William nie musiał pytać dlaczego.

Kiedy Beth, nadal w szlafroku, dołączyła do nich, Jez prędko się ulotnił.

– Dla mnie nie musiałaś myć głowy – rzekł William.

– Nie wykręcaj się – powiedziała Beth, usiadłszy koło niego na kanapie. – Chcę wiedzieć, czemu wystawiłeś mnie do wiatru.

Zanim William dotarł w swojej relacji do Dagenham, pocałował ją pierwszy raz i skończyłby opowieść o fałszerzu podpisów Churchilla przy śniadaniu, gdyby Beth nie przypomniała mu, która godzina.

– Jutro wybieram się do Fake Gallery – rzucił, idąc do drzwi. – Pójdziesz ze mną?

– Tak, zakładając, że nie zatrzyma cię Dusiciel z Bostonu.

Gdy William dotarł do Scotland Yardu, spędził kilka minut w łazience, starając się doprowadzić do porządku. Jego nieudolne zabiegi jednak nie zwiodły Lamonta.

Kiedy wrócił do swojego pokoiku w Trenchard House, wziął prysznic, ogolił się i włożył świeże ubranie. Po godzinie siedział z powrotem za biurkiem. Do tego czasu Lamont zidentyfikował podejrzanego na podstawie adresu w Dagenham – nazywał się Cyril Amhurst. Lamont uzyskał także nakaz rewizji od lokalnego sędziego pokoju.

– Jackie pojedzie z tobą – oznajmił Williamowi – bo najwidoczniej potrzebujesz, żeby niańka trzymała cię za rękę. Dobrze ci życzę, więc miejmy nadzieję, że Amhurst nie nawiał.

William wziął z parkingu samochód służbowy i skierował się na wschód przez Embankment ku Dagenham. Towarzyszyła mu niania, która siedziała na fotelu pasażera. Pierwszy raz spędzili ze sobą dłuższy czas, nie licząc sporadycznych sesji nawiązywania zespołowych więzi w Tank – popularnej knajpie na parterze Scotland Yardu. William wciąż jeszcze nie znalazł sali do gry w snookera.

Kiedy przemierzali East End, William dowiedział się, że Jackie jest rozwiedziona, ma córkę, Michelle, i wyrozumiałą matkę, dzięki której może wykonywać ukochaną pracę.

William nie wspomniał o rodzicach ani o siostrze, ale powiedział Jackie, że zamierza nazajutrz odwiedzić Fake Gallery na Notting Hill razem z asystentką z Fitzmolean.

– Czy to przez nią spóźniłeś się dziś rano?

– Tak – odparł William, odwracając się, by spojrzeć przez okno.

– To miejmy nadzieję, że okaże się wyrozumiała.

– Co masz na myśli?

– W policji rozpada się więcej małżeństw niż w innych zawodach. Ja wciąż uwielbiam mojego byłego męża, ale on nie mógł się pogodzić z tym, że nigdy nie wiedział, kiedy będę w domu, nawet jeśli bywałam w domu, więc znalazł sobie inną, która zawsze pojawia się punktualnie na kolację, a nie na śniadanie. Przy okazji, byłoby chyba mądrze, gdybyś dał znać szefowi, że jutro zamierzasz zajrzeć do Fake Gallery.

– Dlaczego? Jutro mam wolny dzień.

– Nawet jeśli tak, to on nie lubi dowiadywać się o czymś z drugiej ręki.

– Dziękuję ci za radę – rzekł William, gdy wjeżdżali do Dagenham.

W ciągu tych czterdziestu minut William dowiedział się o Jackie więcej niż podczas całego zeszłego miesiąca.

– Co zrobimy, jeśli go nie zastaniemy? – zagadnął, kiedy zatrzymali się przed domem numer 43 na Monkside Drive.

– Poczekamy, aż się pokaże. Praca w policji to często wieczne czekanie.

– Ty czy ja? – spytał William, gdy podążali ścieżką.

– Ty. To ty prowadzisz tę sprawę.

William był zdenerwowany, gdy stukał do drzwi, i z upływem sekund zaczął się obawiać najgorszego. Już mieli wracać do samochodu, kiedy drzwi się otworzyły.

– Pan Cyril Amhurst?

– Tak – odpowiedział mężczyzna, obdarzając ich serdecznym uśmiechem. – W czym mogę panu pomóc?

– Detektyw konstabl Warwick – przedstawił się William – a to moja koleżanka, detektyw sierżant Roycroft.

Oboje pokazali swoje legitymacje policyjne. Na ten widok uśmiech pierzchnął z twarzy Amhursta.

– Czy możemy wejść, sir?

– Tak, oczywiście – powiedział już nie tak miło.

Zaprowadził ich do pokoju od ulicy, ale nie usiadł.

– To o co chodzi? – zapytał.

– Kilka londyńskich księgarni zgłosiło nam skargi, że sprzedaje im pan podpisane egzemplarze *Drugiej wojny światowej* Winstona Churchilla.

– Nie wiedziałem, że to przestępstwo.

– To jest przestępstwo, jeżeli podpisy są pańskie, a nie sir Winstona – powiedziała Jackie kategorycznym tonem.

– Muszę też pana poinformować – rzekł William – że mam nakaz przeszukania tego mieszkania.

Krew odpłynęła z twarzy Amhursta i mężczyzna opadł na sofę. William myślał przez moment, że zemdleje.

Przez następne dwie godziny William i Jackie wykonywali swoje zadanie, przy czym jedno z nich cały czas zostawało w salonie, gdzie Amhurst potulnie siedział na sofie. William prędko się przekonał, że detektyw sierżant Roycroft wielokrotnie przeprowadzała wcześniej te czynności.

– Czy napije się pan herbaty? – spytał Amhurst, gdy na środku pokoju wyrosła góra książek.

– Nie, dziękuję – odpowiedział William, stawiając dwa kałamarze czarnego atramentu Watermana obok kilku arkuszy liniowanego papieru zapisanego rząd za rzędem autografami Winstona S. Churchilla.

Do czasu, gdy Jackie uznała, że zadanie wykonali zadowalająco, odkryli kilka prawdziwych perełek, w tym komplet sześciu tomów *Drugiej wojny światowej* Churchilla, z czego trzy tomy z podpisami, jak również książki autorstwa Lewisa Carrolla, marszałka polnego Montgomery’ego i prezydenta Eisenhowera, niepodpisane. Ale największym odkryciem było pierwsze wydanie *Opowieści wigilijnej* z podpisem Charlesa Dickensa.

Kiedy Jackie umieściła każdą pozycję w osobnej torbie na dowody rzeczowe i oznaczyła je etykietkami, William zaaresztował pana Amhursta

i pouczył go o przysługujących mu prawach.

– Czy wsadzicie mnie do więzienia? – spytał z niepokojem Amhurst.

– Na razie nie. Ale musi pan pojechać z nami na posterunek policji w Dagenham, gdzie zostanie pan przesłuchany i prawdopodobnie oskarżony. Wtedy sierżant dozorujący areszt śledczy zdecyduje, czy zwolnić pana za kaucją. Radziłbym, żeby na wszelki wypadek spakował pan torbę ze zmianą bielizny.

Amhurst cały dygotał.

William i Jackie zawieźli go na miejscowy posterunek, wciągnęli do rejestru i wręczyli dowody rzeczowe dyżurnemu sierżantowi. Kiedy Amhurstowi przedstawiono zarzuty, nie skomentował ich, zapytał tylko, czy może zatelefonować do swojego adwokata. Pobrano mu odciski palców, sfotografowano go, a tymczasem William i Jackie odmeldowali się i udali z powrotem do Scotland Yardu.

William oddał kluczyki samochodowe na parkingu, dołączył do Jackie przy recepcji i razem pojechali windą na piąte piętro. Kiedy wyszli na korytarz, William spostrzegł, że spod drzwi komendanta nadal sączy się światło.

– Myślisz, że zostawia je włączone, nawet gdy go tam nie ma?

– Nie zdziwiłabym się – powiedziała Jackie. – Ale nie ma sposobu, żebyśmy się kiedy dowiedzieli.

Gdy wkroczyli do biura, Lamont rozmawiał przez telefon, ale po skończeniu rozmowy rozsiadł się i wysłuchał ich sprawozdania.

– Masz szczęście, Williamie – powiedział, gdy skończyli. – Pamiętaj jednak, żebyś znów nie popełnił takiego głupiego błędu. I to, że twoje obowiązki związane z tą sprawą jeszcze się nie skończyły. Jeżeli Amhurst nie przyzna się do winy, zostaniesz wezwany na świadka.

– Na pewno przyzna się do winy – rzekł William. – Dowody są niezbite.

– Na to nigdy nie można liczyć. Nie mam czasu, żeby ci opowiedzieć, ile przegrałem spraw, które wydawały się łatwizną. Ale muszę przyznać, że ta wygląda na całkiem pewną. Przy okazji, z Pentonville dzwonił funkcjonariusz więzienny Rose. Chce, żebyś do niego oddzwonił.

William wrócił do swojego biurka i siedział, milcząc kilka chwil; tyle różnych myśli kłębiło mu się w głowie. Amhurst, potem Beth, którą wyparł Rose. Podniósł słuchawkę, wykręcił numer Więzienia Jej Królewskiej Mości Pentonville i poprosił o połączenie ze starszym rangą funkcjonariuszem więziennym.

– Rose.

– Warwick, sir. Oddzwaniam.

– Masz szczęście, detektywie konstablu Warwick.

William otworzył notes.

– Między dziewiątym i trzydziestym kwietnia 1981 roku więźniów osadzonych w Pentonville odwiedziły trzy kobiety o imieniu Angie. Pani Angie Oldbury, Angela Ibrahim i Angie Carter.

– Czy mógłbym zapisać szczegółowe dane wszystkich trzech kobiet, sir?

– Nie ma potrzeby – rzekł Rose – bo jeden z więźniów odwiedzanych przez Angie wciąż jest w Pentonville, jeden był czarny, i jego, jak czuję, Appleyard mógł zauważyć. Trzeci został zwolniony ponad rok temu.

– Jak się nazywa?

– Cierpliwości, młodzieńcze. Ten, który może cię interesować, to złodziejaszek nazwiskiem Kevin Carter mieszkający w Barnstaple. To w Devon, na wypadek gdybyś nie wiedział. Za dnia jest grawerem, w nocy włamywaczem. Więc teraz twoja kolej, by dowieść, że zasługujesz na tytuł przed swoim nazwiskiem.

– Zaraz się do tego zabieram, sir.

– A przekazałeś moje pozdrowienia swojemu szefowi?

– Tak jest, sir.

– I co on na to?

– Myślę, sir, że lepiej, żeby pan go sam zapytał.

– Aż tak źle… – rzekł Rose i odłożył słuchawkę.

William spisał szczegółową notatkę z rozmowy ze strażnikiem Rose’em i wręczył ją szefowi.

– I jakie jest to jedno słowo, które rzuca się w oczy? – spytał Lamont, przeczytawszy relację.

– Grawer.

– Prędko się uczysz – stwierdził Lamont. – Chociaż Carter i Barnstaple to byłyby skojarzenia, które nasuwałyby się na drugim i trzecim miejscu. – Obrócił się z krzesłem. – Jackie, przyjdź do nas.

Gdy detektyw sierżant Roycroft usiadła z nieodłącznym długopisem w ręku i z otwartym notesem, Lamont kontynuował:

– Wy dwoje będziecie musieli spędzić przynajmniej dwa dni w West Country i poobserwować Cartera. Chcę, żebyście się dowiedzieli, co robi i co takiego graweruje na tym srebrze, które kupował w Silver Vaults.

I czemu nagle stał się nabywcą, skoro zwykle kradnie, co mu wpadnie w ręce. On nie ma takiej forsy, więc ktoś musi go finansować. Ale kto?

– Kiedy mamy wyruszyć? – zagadnęła Jackie.

– Jak najszybciej. Chyba że któreś z was ma coś ważnego do załatwienia w Londynie.

– Ja mogę mieć – odezwał się William. – Niedawno poznałem pracowniczkę naukowo-badawczą Fitzmolean i chociaż nie dowiedziałem się dużo więcej o kradzieży obrazu Rembrandta, to podsunęła mi myśl, żebym odwiedził Fake Gallery w Notting Hill, co zamierzałem zrobić jutro rano.

– Po co? – warknął Lamont.

– W nadziei, że zauważę tam podobną pracę pędzla artysty, który namalował kopię Rembrandta.

– Warto spróbować – przyznał Lamont. – I weź ze sobą tę młodą damę, zwłaszcza jeśli to przez nią spóźniłeś się dziś rano.

Jackie stłumiła uśmiech.

– Zatem to postanowione – rzekł Lamont. – Ty i Jackie możecie jechać do Barnstaple w poniedziałek z samego rana.

– Czy mogę zapytać, sir, co słychać ze szmuglem diamentów? – spytał William.

– Nie bądź bezczelny, detektywie konstablu, bo możesz trafić z powrotem do Lambeth prosto na nocną zmianę.

– Mam interesującą sprawę, która może ci się spodobać – powiedziała Clare, podając teczkę z napisem „Prywatne”.

Grace niespiesznie przestudiowała opis sprawy sporządzony przez asystentkę.

– Z pewnością sędzia przewodniczący nie zgodzi się na wszczęcie procesu, zważywszy na okoliczności – skomentowała.

– Jest precedens – rzekła Clare. – Sędzia Havers pozwolił, żeby stawili się przed nim jego syn i córka: jedno z nich reprezentowało Koronę, a drugie wystąpiło w roli obrońcy. Ale dopiero gdy oskarżony wyraził na to zgodę.

– To nie moja broszka – przyznała Grace, przeczytawszy ponownie listę zarzutów. – Przyznam jednak, że trudno mi się oprzeć temu wyzwaniu. I założę się, że mój ojciec nie wysunąłby żadnych obiekcji.

– Czy powiedziałaś mu o nas? – zagadnęła Clare, usiłując ukryć niepokój.

– Nie wchodziłam w żadne szczegóły.

– Czy kiedyś to zrobisz? – westchnęła Clare i dodała: – Sprawdziłam słowo „reakcyjny” w moim słowniku oksfordzkim i znalazłam nazwisko twojego ojca w przypisach.

Grace się roześmiała.

– Opowiedziałam matce wszystko o tobie i ona jest bardzo pozytywnie nastawiona. Spytała, czy chciałabyś zjeść z nami w sobotę lunch. I pozwólmy tacie, żeby sam się domyślił.

– Jak sądzisz, kogo by twój ojciec wolał zaproponować na członka klubu Garricka – seryjnego mordercę czy lesbijkę?

– Seryjnego mordercę… a bo ja wiem? – rzuciła Grace, odkładając teczkę na stolik przy łóżku i gasząc nocną lampkę.

12

Siedzieli na piętrze autobusu jadącego do Notting Hill.

– Czy masz jakiś plan, detektywie konstablu Warwick – zapytała Beth – czy też improwizujemy?

– Improwizujemy – przyznał William. – Ale mam nadzieję, że kiedy wsiądziemy z powrotem do autobusu, będę wiedział, kto namalował kopię skradzionego Rembrandta.

– Czy dokopałeś się czegoś ciekawego na temat tej galerii?

– Założyli ją dwanaście lat temu dwaj bracia, Malcolm i Zac Knightowie. Zaczęło się od galerii portretów, bracia jednak prędko się przekonali, że to nie przynosi zysku, więc zaczęli tworzyć niepodpisane kopie słynnych obrazów dla klientów, których nie było stać na oryginały, ale chcieli mieć na ścianie arcydzieło za jedną tysięczną ceny. To wtedy biznes zaczął się kręcić. A ty co wiesz?

– Pytałam moich przyjaciół ze sfer artystycznych. Wielu nie aprobuje galerii, chociaż jeden czy dwóch przyznało, że kilku borykających się z losem artystom zapewniła przyzwoity byt, jakiego by w innym wypadku nie osiągnęli. Rzeczywiście niektóre kopie są wyjątkowej jakości. Ale ja bym wolała oryginał.

– Więc będziesz musiała jakiś ukraść. Albo poślubić bogacza.

– To nie będzie konieczne – rzekła Beth. – Już przebywam w towarzystwie niektórych najwspanialszych artystów świata, a mój ostatni chłopak jest praktycznie bez grosza, więc to nie wygląda zbyt obiecująco.

– Ale ci artyści to przeważnie nieżyjący Holendrzy, więc twój chłopak musi mieć szanse.

– Tylko jeżeli znajdzie mojego Rembrandta.

– Czy dlatego próbowałaś mnie poderwać?

– To ty próbowałeś mnie poderwać, na wypadek gdybyś zapomniał. A na drugiej randce nawet się nie pojawiłeś.

– Już wysłuchałem wykładu – rzekł William, ujmując ją za rękę.

– Cóż, mam nadzieję, że nie myślisz o opuszczeniu wydziału dzieł sztuki i antyków przed znalezieniem mojego Rembrandta.

– Przez pewien czas nie będę się jeszcze przenosił. Ale jeżeli zdam egzamin na sierżanta, to w ciągu dwóch lat prawdopodobnie przejdę do innego wydziału.

– Nigdzie się nie wybierzesz, dopóki mój Rembrandt nie trafi z powrotem do swojej ramy, bo inaczej ulokuję moje uczucia w tym, który zajmie twoje miejsce.

– Szczęściarz. Ale jeśli się dowiemy, kto skopiował *Syndyków*, zbliżymy się o krok do odkrycia, co się stało z oryginałem.

Autobus się zatrzymał i William usunął się na bok, żeby przepuścić Beth.

– Niewielu mężczyzn zadaje sobie obecnie taki trud – zauważyła Beth, schodząc po schodkach. – Nie mogę się doczekać, kiedy spotkam twojego ojca. To musi być staromodny dżentelmen.

– Zawsze uważałem to za oczywiste – przyznał William – i dopiero niedawno zacząłem to doceniać.

– Pamiętasz, co powiedział Mark Twain o swoim ojcu? – zagadnęła Beth, gdy wysiedli z autobusu. – „Kiedy miałem czternaście lat, mój ojciec był tak nieokrzesany, że z trudem znosiłem jego obecność. Ale później, gdy miałem dwadzieścia jeden lat, byłem zdumiony, jak wiele się nauczył w ciągu tych siedmiu lat”.

William się roześmiał, a Beth zapytała:

– Czy masz pojęcie, dokąd iść?

– Nie – rzekł William – ale zobaczyłem kogoś, kto może mieć.

Zatrzymał przechodzącego policjanta i spytał go, czy wie, gdzie jest Abbots Road.

– Druga przecznica w prawo.

– Dziękuję – powiedział William.

– Nosiłeś kiedy mundur? – spytała Beth.

– Przez dwa lata w rewirze w Lambeth.

– A czy ludzie zawsze byli tak uprzejmi i grzeczni jak ty?

– Nie zawsze – cicho odrzekł William i pochylił głowę.

– Co ja powiedziałam? – spytała Beth, nagle zaniepokojona.

– Przypomniałaś mi starego przyjaciela, który powinien być na obchodzie dziś rano – odparł William, gdy skręcili za róg.

– Przepraszam – powiedziała Beth. Wzięła Williama za rękę, świadoma, że muszą jeszcze dużo się o sobie dowiedzieć.

– Skąd mogłaś wiedzieć? – rzekł William.

Kiedy znaleźli się na Abbots Road, William spostrzegł kolorowy szyld kołyszący się na wietrze.

– Staraj się nie robić wrażenia policjanta – szepnęła Beth, gdy wchodzili do galerii.

Mężczyzna w rozpiętej pod szyją różowej koszuli, marynarce i dżinsach wysunął się do przodu, żeby ich przywitać.

– Dzień dobry – powiedział. – Zac Knight. Jestem właścicielem galerii. Mogę zapytać, czy szukają państwo czegoś szczególnego?

Tak, pomyślał William, ale się nie odezwał.

– Nie szukamy – odparła Beth. – Przechodziliśmy tędy i pomyśleliśmy, że tu zajrzymy.

– Oczywiście. – Obdarzył ją serdecznym uśmiechem. – Galeria zajmuje dwa piętra. Tu na parterze są znakomite obrazy w stylu współczesnych mistrzów.

– Jestem zaskoczony, że to jest legalne – rzucił William.

Beth zmarszczyła brwi, zauważywszy, że Knight badawczo spojrzał na Williama. Potem zdjął obraz ze ściany i obrócił go, ukazując słowo „imitacja” namazane na płótnie dużymi czarnymi literami.

– Mogę zapewnić, że gdyby próbował pan usunąć te słowa, toby pan nieodwracalnie zniszczył malowidło.

William skinął głową, ale ponieważ Beth wciąż gniewnie na niego patrzyła, nie zadał następnego pytania.

– A w podziemiach – ciągnął Knight, umieszczając z powrotem obraz na ścianie – ujrzą państwo kopie znanych arcydzieł, wykonane przez wybitnie utalentowanych artystów.

– Czy też mają z tyłu napis „imitacja”? – zagadnęła Beth.

– Nie, proszę pani. Jednakże te obrazy są zawsze niepodpisane i są albo o kilka centymetrów mniejsze, albo większe niż oryginał, toteż żaden poważny kolekcjoner się nie nabierze. Życzę państwu miłego oglądania obu ekspozycji i proszę się nie krępować i zadawać pytania.

– Dziękuję panu, Zac – powiedziała Beth, odwzajemniając jego uśmiech.

Kiedy spacerowali po parterze, William był zaskoczony, że niektóre podróbki są tak przekonujące. Jeżeli ktoś miał ochotę na obraz Picassa,

Matisse’a czy van Gogha, mógł go kupić za niecały tysiąc funtów. Był tu wystawiony nawet *Wielki rozprysk* Hockneya, którego reprodukcja wisiała w jego sypialni. Kiedy jednak stanęli przed imitacją pracy Rothki, na którą nawet ekspert mógłby się nabrać, William powiedział Beth, że wolałby raczej mieć coś autorstwa Mary Fedden, Kena Howarda albo Anthony’ego Greena za podobną cenę.

– Czy zauważyłeś tego, kogo szukasz? – szepnęła Beth.

– Nie. Ale bardziej prawdopodobne, że jest na dole.

– Może byś tam skoczył i się rozejrzał? Gdyby pan Knight się pojawił, postaram się go zająć.

– Dobry pomysł – rzucił William i zszedł piętro niżej, gdzie ujrzał następną wielką galerię pełną obrazów, wielu mu znanych. *Ostatnia droga „Temeraire’a”* Turnera za dwa tysiące funtów, *Portret małżonków Arnolfinich* van Eycka, który wisiał obok znanego aktu Goi.

Kiedy zobaczył *Taniec ludzkiego życia* Poussina, wstrzymał oddech. Widział oryginał w Wallace Collection i mógł się tylko zdumieć, jak artysta osiągnął takie podobieństwo. Rzadki talent, który lśnił między topornymi rzemieślnikami. Niektóre z innych kopii były doskonałe, ale żadna nie dorównywała tej klasą. William nie wątpił, że znalazł tego, którego tropił, ale na dołączonej przywieszce nie było żadnej wskazówki co do tożsamości artysty.

Stał dość długo przed płótnem, po czym z ociąganiem wrócił na górę, gdzie ujrzał Beth zatopioną w rozmowie z właścicielem galerii.

– Myślę, że się pani przekona, że *Parasolki* Renoira raczej dowodzą mojej racji – mówił Knight, gdy stanął przy nich William i skinieniem głowy dał Beth znak.

– Może zechciałbyś mi pokazać, Zac – powiedziała miękko.

– Proszę za mną – rzekł Knight, ignorując Williama.

Gdy Beth mijała Williama, szepnął „Poussin”, zanim zeszła w ślad za właścicielem na dół. Powoli obchodził znowu górną galerię, ale myślami błądził gdzie indziej.

Jez wyjechał na weekend do Shropshire i William pragnął wyznać Beth swoje uczucia, ale martwił się, że dziewczyna może nie być gotowa podjąć zobowiązania po tak krótkim czasie, chociaż kiedy ojciec oświadczył się matce po zaledwie trzech tygodniach, odpowiedziała: „Co cię wstrzymywało tak długo?”, co wszyscy wciąż wspominają.

Beth i Knight przebywali na dole około dwudziestu minut i William zaczął się zastanawiać, czy nie powinien do nich pójść, ale jednak jakoś się powstrzymał. Dwadzieścia pięć minut. Trzydzieści minut. W chwili, gdy skierował się ku schodom, zjawiła się Beth, a tuż za nią właściciel galerii.

– Dziękuję ci, Zac – powiedziała. – To było fascynujące i będę czekała do środy na wernisaż. Aha, to jest mój brat, Peter.

Zac uścisnął rękę Williamowi.

– Cóż, musimy iść, siostrzyczko – rzekł William – jeśli mamy się nie spóźnić na lunch z matką.

– Muszę przyznać – powiedziała Beth – że tak przyjemnie spędzałam czas, że całkiem zapomniałam o kochanej mamie.

– Masz mój numer, Barbaro – przypomniał Zac. – Zadzwoń, kiedy zechcesz.

William udał, że nie widzi uwodzicielskiego uśmiechu, który Knight posłał Beth, otwierając drzwi.

– Do zobaczenia w środę, Zac – powiedziała Beth.

Gdy wyszli na ulicę, William rzekł:

– Idź, nie zatrzymuj się i rób wrażenie, jakbyś była moją siostrą, a nie dziewczyną, bo Zac patrzy na nas przez okno.

Beth zachowywała siostrzaną odległość i nie odezwała się ani słowem, dopóki nie skręcili za róg. Kiedy doszli do kawiarni, wybrała boks w najdalszym kącie, niewidocznym z ulicy.

– Całkiem jak Nell Gwynne – powiedział William, siadając naprzeciw niej.

– Raczej Katarzyna Wielka – zauważyła Beth, odwracając się tyłem do okna.

– Wyjaw wszystko.

– Zac też jest falsyfikatem – zaczęła – któremu się wydaje, że żadna kobieta mu się nie oprze. Zwodziłam go, dopóki nie zaczął mnie obmacywać.

– Zabiję go – rzucił William i wstał.

– Nie po tym, co ci muszę opowiedzieć. Jak mu wspomniałam, że jesteś moim bratem, zaczął mnie podrywać.

– Peter?

– Nie, Peter Paul. Nasza matka nadała ci imiona po Rubensie, a mnie po Hepworth. Uznałam to za stosowne.

– Jesteś niegodziwą kobietą.

– Przebiegłą, przyznam.

– To czego się dowiedziałaś?

– Wszystko w swoim czasie – powiedziała Beth, kiedy podszedł do nich kelner.

– Proszę cappuccino.

– Ja też – dodał William.

– Gdy zapytałam Zaca, kto namalował *Taniec ludzkiego życia*, z początku był ostrożny. Powiedział, że galeria stara się nie ujawniać tożsamości swoich artystów, bo inaczej klienci mogliby się starać kontaktować z nimi bezpośrednio i galeria by ich utraciła.

– I jak pokonałaś tę przeszkodę?

– Powiedziałam mu, że jestem zubożałą sekretarką i nie mogłabym sobie pozwolić na żaden z jego cudownych obrazów nawet za połowę ceny. Wtedy się wygadał, że ten artysta jest nieosiągalny w tym momencie. „Och, jak mi przykro, porzucił cię dla innej galerii?", zapytałam ze współczującą miną. Odparł, że to bardziej skomplikowane.

– Dobrze się bawisz, bezwstydnico.

– Jeszcze jedna taka uwaga, detektywie konstablu Warwick, i mogę zapomnieć, co mój nowy przyjaciel Zac mi oznajmił. Na czym to skończyłam?

– Że to bardziej skomplikowane…

– A, tak. „Nie jestem pewna, co masz na myśli – powiedziałam. – Ale jeżeli nie możesz mi powiedzieć, rozumiem to". Wtedy on przyznał: „Nie powinienem ci tego mówić, ale on jest w więzieniu".

– Uwielbiam cię.

– Sza!

– Za co siedzi?

– Chyba próbował sprzedać marszandowi na West Endzie zaginionego dawno temu Vermeera i został złapany na gorącym uczynku. „Jak?", zapytałam. Najwidoczniej nie zażądał odpowiednio wysokiej sumy, co nasunęło podejrzenia facetowi i zawiadomił policję.

– Jak się nazywa?

– Nie spytałam.

– Czemu nie?

– Zac zrobił się podejrzliwy, więc zainteresowałam się obrazem Renoira, i dlatego trwało to tak długo, zanim mogłam umknąć. A zresztą jednemu z czołowych w kraju detektywów nie powinno być zbyt trudno odnaleźć kogoś, kto siedzi w więzieniu za podrabianie Vermeera.

– To prawda. Czy Zac wciąż myśli, że wybierasz się na wernisaż w środę?

– Niestety Barbara nie zdąży na wernisaż ani nie skorzysta z jego uprzejmego zaproszenia na przyjęcie w Mirabelle.

– Ale podałaś mu swój numer.

– 01 730 1234.

– Co to takiego?

– Hala spożywcza u Harrodsa.

– Uwielbiam cię.

13

W niedzielę rano usiedli do śniadania dopiero tuż po dziesiątej.

Beth chciała pobiegać w Hyde Parku, twierdząc, że powinna zrzucić kilka funtów. William wprawdzie nie mógł zgadnąć, z jakiej części ciała, ale zgodził się pobiegać razem z nią.

– Nie musimy jeść lunchu – powiedział, smarując masłem drugą grzankę. – To się liczy za brunch. Ale muszę zadzwonić do matki i zawiadomić ją, że nie będę u nich.

– Mógłbyś zdążyć, gdybyś teraz wyruszył – przekomarzała się Beth.

William nie zareagował, lecz sięgnął po dżem pomarańczowy.

– Zwykle chodzimy z Jezem do kina w niedzielę wieczorem – rzekła Beth. – Tak żeby nie za późno położyć się spać.

– To mi odpowiada. Jutro z samego rana mam spotkanie z komendantem.

– Zabrzmiało imponująco.

– To imponująca postać. Ma pod sobą cztery wydziały. Wydział dzieł sztuki i antyków to jego ulubiony, chociaż najmniej ważny. – William ugryzł kęs grzanki, po czym dodał: – Zespół spotyka się w pierwszy poniedziałek każdego miesiąca, żeby przedstawić na bieżąco sprawy, nad którymi pracujemy.

– To będziesz miał mu sporo do powiedzenia, detektywie konstablu Warwick, czyż nie?

– Możesz być pewna, że jeżeli nasz artysta jest zapuszkowany, to Jastrząb będzie znał jego nazwisko, wiedział, w którym siedzi więzieniu i na ile lat go skazano.

– Chciałbyś pewnego dnia zająć jego miejsce, prawda? – rzuciła Beth, nalewając sobie drugi kubek kawy.

– Tak, ale się nie spieszę. A ty? Czy chcesz zająć miejsce Tima Knoxa?

– Kocham to, co robię, i chętnie zostanę na moim stanowisku, dopóki nie usłyszę lepszej propozycji.

– Założę się, że zostaniesz dyrektorką Tate, zanim ja usiądę na krześle komendanta.

– Nie wyobrażam sobie, że Tate kiedyś mianuje kobietę na stanowisko dyrektora.

– Nawet jeżeli była przewodniczącą samorządu szkolnego i kapitanem drużyny hokeja?

– Kto ci o tym powiedział?

– Policjant nigdy nie zdradza swoich źródeł.

– Zabiję tego Jeza.

– Szkoda. Dosyć go lubię.

– Jest idealnym współlokatorem – powiedziała Beth. – Czysty, porządny i taktowny, a czynsz, jaki wnosi, uzupełnia moją śmieszną pensję z Fitzmolean.

– Nie wiedziałem, że jesteś właścicielką mieszkania.

– Nie jestem. Należy do moich rodziców. Tata pracuje w banku HSBC i został oddelegowany do Hongkongu na trzy lata. Kiedy wrócą, Jez będzie musiał się wyprowadzić, a ja zajmę z powrotem jego pokój.

Albo mój, chciał powiedzieć William.

– Lepiej zadzwoń do matki, a ja pójdę pozmywać. Telefon jest w gabinecie.

– Jak w szkole, tak w życiu – powiedział William, wstał i poszedł do gabinetu. Podjął słuchawkę i wykręcił numer, który znał od zawsze. Miał nadzieję, że odbierze ojciec, ale odezwał się kobiecy głos.

– Nettleford 4163.

– Cześć, Grace, tu William. Nie dam rady przyjść dzisiaj na lunch. Coś mi wypadło. Czy przeprosisz ode mnie mamę i tatę?

– Coś czy ktoś?

– To związane z pracą.

– William, taki z ciebie wstrętny łgarz. Ale nic nie powiem, chociaż miałam nadzieję, że się zjawisz.

– Dlaczego? Jakiś problem?

– Tata pierwszy raz spotka się z Clare, więc liczyłam na twoje moralne wsparcie.

– Nigdy nie przepadałem za krwawymi sportami.

– Uprzejmie dziękuję. Wpadniesz w przyszłym tygodniu? Nie mogę się doczekać, żeby spotkać dziewczynę, która umówi się z tobą na drugą

randkę.

– A ja nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć dziewczynę, która umówi się na drugą randkę z tobą.

– Poddaję się! Ale wciąż żałuję, że nie przyjdziesz.

– Wszystko pójdzie dobrze, Grace. Pamiętaj, tata nie zionie ogniem jak smok.

– Łatwo ci tak mówić z odległości.

– Zresztą mama stanie po twojej stronie.

– Dwójka na jednego to będzie zacięty bój. Trójka przechyliłaby szalę na moją korzyść.

– Będę tam obecny duchem – rzekł William, życzył siostrze powodzenia i odłożył słuchawkę.

Już chciał wychodzić z pokoju, gdy zauważył na kominku rząd pocztówek z Hongkongu. Natura policjanta kazała mu obejrzeć je z drugiej strony, ale stłumił pokusę. Wrócił do kuchni, gdzie Beth zmywała naczynia.

– Zwykle Jez je wyciera.

– Delikatna aluzja – rzucił William i schwycił za ścierkę. – Gdy skończymy, pójdę do domu, włożę dres i dołączę do ciebie w parku.

– Nie trzeba. Znajdziesz wszystko, co potrzebne, w pokoju Jeza.

– Zawsze byłem ciekaw, jak wygląda trójkąt małżeński.

Bieganie w parku, film *Moja piękna pralnia*, pizza Margherita – po połowie – a potem powrót do mieszkania Beth i zanurkowanie pod kocami na zakończenie idyllicznego weekendu.

Gdy William się zbudził następnego ranka, musiał wyplątać się z pościeli, żeby spojrzeć na zegarek.

– Ratunku! – krzyknął, wyskakując z łóżka i pędząc do łazienki. To było jedyne spotkanie, na które nie mógł się spóźnić. Zacznie się o dziewiątej, z nim albo bez niego.

Wrócił z łazienki, ubrał się i pocałował zaspaną Beth.

– Miałeś nadzieję zwiać, zanim się obudzę?

– Muszę wrócić do siebie i się przebrać. Nie mogę znowu się spóźnić.

Beth usiadła w łóżku i się przeciągnęła.

– Teraz, skoro mnie uwiodłeś, detektywie konstablu Warwick, czy jeszcze kiedyś cię zobaczę? – Westchnęła żałośnie i zasłoniła czoło ramieniem.

– Mógłbym wrócić zaraz po pracy, jeżeli to ci odpowiada. Byłbym tu około siódmej.

– Dobrze. Potem moglibyśmy wszyscy zjeść razem kolację. Jez będzie gotował, a ty możesz pozmywać.

William usiadł na łóżku i wziął ją w ramiona.

– A ty co będziesz robić? – zapytał.

– Czytać Prousta.

– Przy okazji – rzekł William, wstając, żeby wyjść – moja siostra bardzo chce cię poznać.

– Dlaczego?

– To dość skomplikowane, ale wyjawię wszystko dziś wieczorem.

– Pamiętaj, znajdź mój obraz, detektywie konstablu Warwick – brzmiały ostatnie słowa, jakie William usłyszał, zanim zamknął drzwi sypialni.

Wychodząc na ulicę, spostrzegł autobus numer 22 zbliżający się do przystanku i zdążył akurat wskoczyć, gdy odjeżdżał.

– Szlag by trafił – rzucił.

– Słucham, młody człowieku? – rzekł konduktor. – Nie życzę sobie takiego języka w moim autobusie.

– Przepraszam, zapomniałem powiedzieć mojej dziewczynie, że wybieram się dzisiaj do Barnstaple.

– To na pewno wsiadł pan do złego autobusu.

– Przepraszam, że nie mogłem poświęcić wam dużo czasu w ostatnim miesiącu – powiedział Hawksby, zajmując miejsce u szczytu stołu. – Bez wątpienia wszyscy czytaliście o przechwyconej kontrabandzie narkotyków w Southampton w zeszłym tygodniu. Dwieście funtów kokainy i sześciu aresztowanych.

Wszyscy uderzyli otwartymi dłońmi w stół.

– Nie ma czego świętować – rzekł Hawksby. – Tych sześciu, których aresztowaliśmy, to tylko płotki. Grube ryby nadal opalają się na plaży na południu Francji, a największy rekin nigdy nie opuszcza swojej posiadłości w Kolumbii, gdzie nawet policja jest na jego liście płac. Możemy tylko próbować przechwycić następny transport i złowić kolejne płotki, nie mając pojęcia, jak wiele się przedostaje. Cieszcie się, że nikt z was nie jest w drużynie antynarkotykowej.

Jastrząb rozparł się, obrócił się w prawo i spytał:

– To co zdziałałeś pod moją nieobecność, Bruce?

– Miałem bardzo podobny problem jak pan, sir – odparł Lamont. – Wystarczy zamienić narkotyki na diamenty. Nieoszlifowane kamienie wyjeżdżają z Ghany i transportowane są do Dubaju, a potem wysyłane do Bombaju, gdzie sprzedaje się je za gotówkę. Tym sposobem unika się podatku eksportowego i przywozowego, a jednocześnie winduje ceny domów w Mayfair.

– Przestępcy zawsze chcą mieszkać w praworządnym kraju – powiedział Hawksby. – Wtedy łatwiej im prowadzić swoje biznesy.

– I tak jak pan, sir – ciągnął Lamont – my też łapiemy tylko płotki, dla których kilka lat w więzieniu to część interesu.

– Nic dziwnego, że piętnaście procent gospodarki światowej opiera się na działalności przestępczej i ten udział rośnie – skomentował Hawksby. – Jeszcze coś, Bruce?

– Tak, sir. Myślę, że możliwe, że detektyw konstabl Warwick dokonał przełomu w sprawie skradzionego obrazu Rembrandta, ale niech on zrelacjonuje szczegóły.

– Po dalszym śledztwie my… – zaczął William.

– My? – przerwał mu Hawksby.

– Dzięki pomocy asystentki z Fitzmolean i razem z nią zidentyfikowaliśmy artystę, który moim zdaniem mógł namalować kopię obrazu Rembrandta.

– Nazwisko?

– Eddie Leigh – powiedział Lamont. – Próbował sprzedać podrobionego Vermeera galerii na West Endzie. Prowadziłem tę sprawę i on od dwóch lat siedzi w Pentonville.

– Co nasunęło ci myśl, detektywie konstablu Warwick, że to Leigh namalował kopię obrazu Rembrandta? – zagadnął Hawksby.

– Widziałem jedną z jego prac w Fake Gallery w Notting Hill, sir. To rzadko spotykany talent, ale mimo wszystko nie sądzę, żeby mógł stworzyć coś tak doskonałego, jeżeli nie widział oryginału.

– Ale za pięć funtów mógł kupić reprodukcję *Syndyków* w Fitzmolean – rzekł Hawksby.

– Prawda, ale gdyby pracował tylko na podstawie reprodukcji, nie zdołałby tak doskonale uchwycić soczystej, wibrującej barwy i dotknięcia

geniuszu, co skłania mnie do myślenia, że możliwe, iż oryginał nie został zniszczony.

– Ale to wciąż cholernie mało prawdopodobne – rzucił Lamont bez cienia uśmiechu.

– Ile jeszcze zostało Leighowi do odsiadki? – spytał Hawksby.

– Trochę ponad cztery lata – odparł Lamont. – I myślę, że mu się wypsnęło, gdzie Faulkner uderzy następnym razem.

– Proszę, oświeć mnie – rzekł Hawksby.

– Wczoraj dzwonił starszy funkcjonariusz więzienny Langley, żeby mi powiedzieć, że regularnie podsłuchuje cotygodniowe rozmowy telefoniczne Eddiego Leigha z żoną, ale aż do ostatniego piątku nie było nic wartego uwagi.

– Ledwo możemy usiedzieć, Bruce – powiedział komendant.

Lamont odczytał słowo w słowo, co Leigh mówił do żony.

– „Jak praca nad obrazem? Możesz mu powiedzieć, że skończyłem *Kobietę na plaży*. W samą porę".

– To z okresu błękitnego Picassa – rzekł William.

– Mam gdzieś, z jakiego to okresu – sarknął Hawksby. – Kto ma oryginał?

– Państwo Brookes – odpowiedział Lamont. – Obecnie wisi w ich wiejskim domu w Surrey.

– Już niedługo, jak podejrzewam, a teraz, gdy wiemy, gdzie Faulkner zamierza uderzyć, musimy się dowiedzieć kiedy.

– Chyba mogę na to odpowiedzieć – wtrąciła Jackie z zadowoloną miną. Odczekała chwilę, po czym mówiła dalej: – „W samą porę" to klucz, sir, ponieważ państwo Brookes za dwa tygodnie wyjeżdżają na wakacje i chociaż nie będzie ich w domu przez czternaście dni, tylko jednego wieczoru dom będzie pusty. – Jackie umilkła na dłużej.

– Proszę dalej, pani sierżant – powiedział Lamont.

– Państwo Brookes mają szofera, Davida Cranna, i kucharkę Elsie. Oboje tam mieszkają, ale kucharka zwykle bierze urlop, kiedy właściciele wyjeżdżają.

– A szofer?

– Crann będzie w posiadłości dzień i noc, z wyjątkiem poniedziałku dwudziestego trzeciego, kiedy Chelsea gra z Liverpoolem na własnym boisku.

– Zaczynam rozumieć – rzekł Hawksby – ale proszę o szczegóły.

– Crann ma bilet sezonowy i nigdy nie opuszcza meczu Chelsea na ich własnym boisku. Mecz zaczyna się o siódmej, więc wyruszy z domu około piątej i nie wróci wcześniej jak tuż przed północą.

– Czy posiadłość jest wyposażona w alarm? – spytał Lamont.

– W najnowocześniejsze urządzenia, sir. Jednakże najbliższy posterunek dzieli od posiadłości około dwudziestu minut jazdy, co da łajdakom dość czasu, żeby ukraść obraz i znaleźć się na autostradzie, zanim dotrze tam lokalna policja.

– To kawał znakomitej policyjnej roboty, pani sierżant.

– Dziękuję, sir – powiedziała Jackie.

– Myślę, że dla odmiany – odezwał się Lamont – możemy być o krok przed Faulknerem.

– Miejmy nadzieję, że on nie jest dwa kroki przed nami – rzucił Hawksby. – Bruce, jednak przygotuj plan ramowy na dwudziestego trzeciego, z wytyczną złapania ich tym razem na gorącym uczynku. Potrzebujemy też konkretnych wyników, żeby zadowolić komisarza. Zatem, Warwick, nim wyjdziesz, powiedz, co słychać ostatnio ze sprawą Churchilla i starego srebra.

– Cyril Amhurst, fałszerz podpisów Churchilla, pod koniec tego tygodnia staje przed sądem koronnym w Snaresbrook – odparł William. – Spodziewamy się, że zostanie zwolniony za kaucją i stawi się przed sądem w ciągu najbliższych dwóch miesięcy. Zakładam, że przyzna się do winy.

– Nigdy niczego nie zakładaj – rzekł Lamont.

– A ten od srebra? – zagadnął Hawksby.

– Okazuje się, że to jeden z naszych stałych klientów – zabrał głos Lamont. – Kevin Carter. To w więzieniu, to na wolności, jak w szwajcarskim zegarze z kukułką. Ale nie jesteśmy pewni, co tym razem kombinuje, chociaż jedno jest oczywiste – nie kupuje tyle srebra za swoje pieniądze. To dalece przerasta jego możliwości. Detektyw sierżant Roycroft i detektyw konstabl Warwick wybierają się dzisiaj do Barnstaple, żeby poobserwować Cartera i spróbować odkryć, co szykuje.

William miał ochotę zakląć drugi raz tego przedpołudnia. Będzie musiał zatelefonować do Beth do galerii, a wiedział, że jej szef tego nie pochwala.

– Informuj mnie – powiedział Hawksby. – I, Bruce, sugeruję, żebyś razem z detektywem konstablem Warwickiem odwiedził Pentonville, jak

tylko William wróci z Barnstaple. Aha, wracając do Rembrandta. Radca królewski Booth Watson codziennie wydzwania do mnie do biura, żądając zwrotu kopii obrazu klienta.

– Jeszcze nie teraz – rzekł Lamont.

– Czemu nie? – spytał Hawksby.

– Bo gdybyśmy Jackie czy ja stanęli przed domem Faulknera, nie przeszlibyśmy przez bramę. Ale jeżeli wyślemy tam niedoświadczonego, naiwnego młodego konstabla, żeby oddał obraz, jest pewne prawdopodobieństwo, że postawi stopę w drzwiach.

– Słuszna uwaga – przyznał Hawksby. – Ale dlaczego jeszcze nie teraz?

– Na przyszły poniedziałek Faulkner ma zarezerwowany lot BA do Monte Carlo i nie wróci co najmniej przez miesiąc.

– Skąd ta pewność?

– On ma swoje przyzwyczajenia. Co roku w grudniu wyjeżdża do domu w Monte Carlo i rzadko wraca przed końcem stycznia.

– A skąd wiadomo, jakim samolotem poleci?

– Szefem ochrony BA jest były funkcjonariusz Met i on udziela mi informacji, sir.

– Jest jeszcze coś, co może być interesujące, sir – wtrąciła Jackie. – Tym razem nie będzie podróżował z żoną. Obok niego ma siedzieć panna Cheryl Bates. Bilet ma opłacony tą samą kartą American Express.

– Może to jego sekretarka – zauważył Hawksby.

– Nie sądzę, sir, żeby pisanie na maszynie było jej specjalnością – powiedziała Jackie i podała zdjęcie panny Bates w bikini.

Zebrani zareagowali śmiechem, ale gdy Hawksby się odezwał, prędko zapanował porządek:

– Kiedy więc Warwick zjawi się z kopią obrazu Rembrandta w Hampshire w domu Faulknera, on będzie już w Monte Carlo.

– Zgadza się, sir, ale jego żona wciąż będzie w Hampshire – powiedział Lamont.

– To dobrze, bo mam wrażenie, że pani Faulkner może się okazać trochę bardziej przychylna niż jej mąż – rzekł komendant, ponownie spojrzawszy na zdjęcie panny Bates.

14

– Mam poważny kłopot – powiedział William, włączając zapłon.

– Z Jastrzębiem czy Lamontem? – spytała Jackie, zapinając pas.

– Dużo gorzej. Z Beth. Powiedziałem, że wrócę dziś wieczór na kolację, a teraz jadę do Barnstaple z inną kobietą.

– Myślę, że sprawę załatwi tuzin róż – uznała Jackie. – I akurat znam kogoś, kto rozwiąże twój problem.

Kiedy przejeżdżali przez Earls Court, Jackie powiedziała:

– Zatrzymaj się.

– Ale tu jest podwójna żółta linia – zauważył William – a my zawsze jesteśmy dobrym celem dla służby parkingowej.

– To nam zajmie tylko dwie minuty. A zresztą to urzędowa sprawa policyjna.

Jackie wysiadła z samochodu i William niechętnie podążył za nią do kwiaciarni.

– Tuzin róż – poprosiła Jackie – i mają być świeże, bo inaczej aresztuję pana za udawanie kwiaciarza. I trzeba je dostarczyć.

Mężczyzna niespiesznie wybrał każdą różę, potem poprosił o nazwisko i adres.

– Beth Rainsford, Fitzmolean Museum, Prince Albert Crescent – powiedział William.

– Rainsford… Rainsford… czemu to nazwisko brzmi mi znajomo? – zastanowiła się Jackie.

– Czy chce pan dołączyć jakąś wiadomość? – spytał kwiaciarz.

– „Przepraszam, coś mi wypadło. Nie zdążę na wieczór. William”.

– Myślałam, że lubisz tę dziewczynę – powiedziała Jackie i przedarła kartkę. – To brzmi, jakbyś pisał do siostry z wiadomością, że masz świnkę. Spróbuj jeszcze raz.

– „Tęsknię za Tobą. Zadzwonię i wytłumaczę. Serdecznie pozdrawiam, William”.

– Niewiele lepiej, ale właśnie zauważyłam strażnika od parkingu, więc ruszajmy.

– Dwa funty proszę – powiedział ekspedient.

William podał dwa banknoty funtowe.

– Dziękuję, Mike.

– Cała przyjemność po mojej stronie, Jackie – rzekł kwiaciarz, a oni pobiegli do samochodu.

– To jaki mamy plan, kiedy dotrzemy do Barnstaple? – zagadnął William, gdy na autostradzie włączyli się do ruchu w kierunku zachodnim.

– Najpierw dowiemy się, gdzie mieszka Carter, a potem zatrzymamy się w pobliżu w jednogwiazdkowym hotelu albo pensjonacie.

– I czego mamy wypatrywać? – zapytał William, który nigdy nie uczestniczył w obserwacji policyjnej.

– Gości, zwłaszcza tych niewyglądających na miejscowych. Nie żebym myślała, że szef szajki odwiedzi Barnstaple, by sprawić nam przyjemność. Ale musimy sfotografować każdego, kto wchodzi do domu i wychodzi, a gdy będziemy z powrotem w Yardzie, sprawdzimy, czy któryś jest w naszym albumie z przestępcami.

– Jeszcze czegoś?

– Numerów rejestracyjnych każdego samochodu zaparkowanego blisko domu albo podejrzanie wyglądających pojazdów. Możemy je potem sprawdzić w ogólnokrajowym komputerze policyjnym. I nie sądź, że człowiek, którego szukamy, zaparkuje pod samymi drzwiami Cartera. Praca w policji to nie przelewki.

– Czy się rozdzielimy, czy będziemy pracować we dwójkę?

– To zależy od tego, czy zdołamy niepostrzeżenie obserwować dom z samochodu. Tak czy owak, czekają nas godziny cierpliwej obserwacji bez pewności, czy coś uzyskamy.

– Myślisz, że odkryjemy, co on kombinuje?

– Mało prawdopodobne – rzekła Jackie. – Ale murowane, że zdarzą się jakieś niespodzianki, kiedy trzeba będzie coś wymyślić na poczekaniu.

– Kto zdecyduje, kiedy wrócimy do Londynu?

– Lamont.

– To możemy tu tkwić w nieskończoność.

Jackie się roześmiała.

– Nie sądzę. Nie zapominaj, że on chce, żebyś mu towarzyszył, kiedy odwiedzi Pentonville, żeby przesłuchać Eddiego Leigha. Poza tym musisz dostarczyć kopię Rembrandta do wiejskiego domu Faulknera.

Przez pewien czas jechali w przyjaznym milczeniu.

– Czy Lamont ma rodzinę?

– To potrójny nieszczęśnik – odparła Jackie. – Trzy byłe żony i pięcioro dzieci. Te pierwsze trzy małżeństwa trwały odpowiednio sześć lat, trzy lata i rok, i nie jestem pewna, czy ostatnie przetrwa dużo dłużej. Bóg jeden wie, jak on może sobie pozwolić na alimenty. Wypadłoby mu taniej mieć od czasu do czasu kogoś na boku, jak my wszyscy.

William się roześmiał.

– A Jastrząb?

– Żonaty z Josephine od ponad trzydziestu lat. Trzy dorosłe córki, które mogą go sobie owinąć dokoła małego palca.

– Chciałbym to zobaczyć – zauważył William. – Ale przecież ty też masz córkę – powiedział, z nadzieją, że Jackie czuje się na tyle swobodnie, żeby się zwierzać, ale nie odpowiedziała. Zerknął w lewo i zobaczył, że zasnęła. Zawsze kimaj, kiedy tylko możesz, często mu przypominała.

Jackie nie chciała odpowiadać na więcej pytań, więc zamknęła oczy. Już kilka dni po tym, gdy William dołączył do zespołu, wiedziała, że pisane są mu wyższe cele. O wiele wyższe od tych, na jakie ona mogła liczyć.

Skarga na inspektora, który położył rękę na jej udzie, kiedy była młodym konstablem, nie poprawiła jej szans na promocję. A kiedy wróciła do pracy po sześciomiesięcznym urlopie, jaki wzięła po urodzeniu córki, została z powrotem odesłana do rewiru. Ale to jej nie zniechęciło.

Kiedy jednak pani Roycroft została współpozwana w sprawie rozwodowej wyższego rangą funkcjonariusza policji, lokalny komendant zasugerował, że może pora, aby rozważyła wcześniejsze przejście na emeryturę. Nie wysunęła argumentu, że ma zaledwie trzydzieści cztery lata i nie zamierza rezygnować z pracy, którą kocha, dobrze wiedząc, że nie mogą jej zwolnić. Utrzymała się, ale pogodziła się z tym, że stopień detektywa sierżanta to prawdopodobnie najwyższy osiągalny dla niej szczebel kariery.

William był inny. Może naiwny i trochę zbyt gładki, ale była pewna, że kiedy go wprowadzi do realnego świata, gdzie przestępcy nie mówią „proszę” i „dziękuję”, to prędko będzie się piął w górę. Jednak musi go chronić, ilekroć będzie miał do czynienia z mniej zdolnymi kolegami, którzy chętnie

zrzucą na niego swoje winy, a on, absolwent prywatnej szkoły, nie pójdzie na skargę.

Ciekawe, pomyślała, czy kiedy William w końcu zostanie komisarzem, będzie choćby pamiętał jej imię.

William jechał środkowym pasem i utrzymywał stałą prędkość, żeby nie obudzić Jackie. Wkrótce wrócił myślami do Beth. Jak długo będzie tolerować chłopaka, na którym nie można polegać? Zadzwoni do niej, jak tylko przyjadą do Barnstaple, i wytłumaczy, czemu nie będzie u niej na kolacji.

Stare srebro, skradziony obraz Rembrandta i to, jak dostać się do domu Faulknera i spotkać z jego żoną, wciąż zajmowało jego myśli, ale w tle nieustannie jawiła się Beth.

W chwili, gdy William zjechał z autostrady, Jackie się obudziła i natychmiast zajrzała do mapy, którą miała na kolanach.

– Kieruj się do centrum miasta – powiedziała, jakby wcale nie zasnęła. – Na ulicę, gdzie mieszka Carter, trzeba skręcić w lewo. Uprzedzę cię w odpowiednim momencie.

Po dalszych dwóch milach Jackie poleciła:

– Skręć w następną ulicę w lewo i zwolnij, gdy będziesz mijał numer dziewięćdziesiąty pierwszy. Potem skręć w prawo i postaraj się zaparkować tak, żeby nas nie widziano.

Kiedy przejeżdżali obok numeru 91 na Mulberry Avenue, Jackie dokładnie obejrzała nowoczesny bliźniak z mikroskopijnym ogródkiem, ale to nie dom zwrócił jej uwagę. William skręcił w prawo i zaparkował za wielkim furgonem.

Jackie wysiadła z samochodu, rozprostowała ramiona i zbadała wzrokiem horyzont.

– Czy widzisz to co ja? – zapytała.

William spojrzał w kierunku, jaki wskazywała.

– Chodzi ci o ten wielki dom na wzgórzu?

– Rzymianie zajęliby tam pozycję i wznieśli fortecę, żeby bacznie obserwować wrogów.

– Tyle że to daleko stąd.

– Tak, ale stamtąd jest panoramiczny widok na miasto i dom Cartera. A skoro nie jesteśmy Rzymianami, miejmy nadzieję, że to jest hotel. – Co powiedziawszy, Jackie wsiadła do samochodu.

William nie tracił budynku z oczu, wolno jadąc do góry krętą drogą, aż zobaczył znak z napisem „Sea View Hotel” i strzałką wskazującą długi podjazd.

– Teraz potrzebujemy tylko na kilka dni tego dużego pokoju z dużym wykuszowym oknem na froncie. – Ty rozmawiaj. Ja udam potulną kobietkę.

– To coś nowego – mruknął pod nosem William, parkując samochód.

– Dzień dobry – powiedziała młoda kobieta w recepcji. – W czym mogę państwu pomóc?

– Jesteśmy ciekawi, czy pokój z widokiem na zatokę jest wolny – rzekł William.

– Apartament królowej Anny? Pozwoli pan, że sprawdzę, sir. – Zajrzała do księgi gości hotelowych. – Tak – powiedziała – ale tylko na dwie doby. Jest zarezerwowany od środy.

– Ile kosztuje?

– Trzydzieści funtów za noc, ze śniadaniem.

William się zawahał.

– Bierzemy – powiedziała Jackie i zanim się wpisał do księgi, szepnęła: – Pan i pani Smith.

– Numerowy zaniesie bagaże do państwa pokoju, panie Smith – rzekła recepcjonistka i wręczyła Williamowi klucz.

William był ciekaw, jak liczni państwo Smith zajmowali apartament królowej Anny w ciągu lat. Z pewnością nikt z nich w celu, jaki przyświecał jemu i Jackie.

Pojechali windą na ostatnie piętro, gdzie numerowy z bagażami czekał już przy otwartych drzwiach.

– Czy państwo jeszcze czegoś sobie życzą? – spytał, wprowadzając ich do pokoju.

– Nie, dziękuję – odparł William, wręczywszy mu 50 pensów, których na pewno pani Walters mu nie zwróci.

Ledwo numerowy zamknął drzwi, Jackie wyjrzała z lornetką przez okno.

– Zawodowy płatny zabójca nie mógłby sobie życzyć lepszego zasięgu widzenia – powiedziała, nastawiając lornetkę na frontowy pokój Cartera.

– Czy Lamont nie będzie się awanturował o koszt apartamentu?

– Tylko jeżeli wrócimy do Londynu z pustymi rękami.

– Będę spał na kanapie – rzekł William, spoglądając zazdrośnie na podwójne łóżko.

– Nikt nie będzie spał na kanapie – powiedziała Jackie. – Będziemy pracować na zmiany, nocną i dzienną, więc oboje możemy się przekimać, nie spuszczając przy tym oka z Cartera. Teraz obserwuj dom, a ja zgłoszę się do miejscowego posterunku i ich zawiadomię, w jakim celu tu przyjechaliśmy. I nie zjedz wszystkich herbatników, bo nie będziemy wzywać hotelowego kelnera.

William umościł się w wygodnym fotelu i skierował lornetkę na dom Cartera. Mógł odczytać numer rejestracyjny samochodu Volvo zaparkowanego na podjeździe i zanotował go. Skupił uwagę na wielkiej szopie w kącie ogródka, potem znów popatrzył na dom, gdzie spostrzegł kogoś we frontowym pokoju. Jakiś osobnik, William sądził, że Carter, siedział przy kominku i czytał gazetę. Do pokoju weszła kobieta i zaczęła odkurzać. Czy to Angie? Przejrzawszy ostatnią stronę, Carter złożył gazetę, przegarnął ogień w kominku i wyszedł z pokoju. Chwilę potem otwarły się frontowe drzwi, Carter przemierzył trawnik, otworzył szopę i tam wszedł. William znów stracił go z oczu.

Prędko się obrócił, gdy drzwi za nim się otworzyły. Wiedział, że to nie może być Jackie.

– Przepraszam, sir – powiedziała pokojówka. – Czy życzy pan sobie, żebym pościeliła łóżka?

– Nie, dziękuję – odparł William, prędko wstając i zasłaniając lornetkę.

Gdy pokojówka zniknęła, zignorował polecenia Jackie i zaczął pogryzać herbatnik, po czym wrócił na stanowisko. Znowu przypatrywał się szopie i dojrzał coś, co wyglądało jak stół warsztatowy, oraz skurczoną postać, która nad czymś pracowała. Ale nad czym?

Po mniej więcej godzinie Carter wyłonił się z szopy i powędrował do domu. Zniknął w środku na kilka chwil, a potem pojawił się we frontowym pokoju i znów usiadł w fotelu.

William zaczynał rozumieć, co Jackie miała na myśli, kiedy mówiła o niekończących się godzinach nudy i skąpych rezultatach. Spędził tylko dwie godziny na obserwacji i już był znudzony. Kiedy Carter zdrzemnął się w swoim fotelu, William też miał na to chęć.

Drzwi za nim otworzyły się ponownie. Obrócił się i ujrzał Jackie z plastikową torbą w ręku.

– Widziałeś coś godnego zameldowania? – zapytała, spojrzawszy na talerz z okruchami herbatników.

– Carter wyszedł z domu do szopy i spędził tam godzinę. Myślę, że nad czymś pracował, ale nie mogłem wypatrzyć, co to takiego.

– Czyli jutro musimy się tego dowiedzieć. Poinformowałam miejscowego funkcjonariusza wywiadu, czego tu szukamy. Dobry chłop, choć trochę go ubodło, że Met bez uprzedzenia zapuścił się na jego teren. Ma informacje na temat przeszłości Cartera – w istocie to zawodowiec. Ale jak na razie nie sprawiał mu kłopotów. W gruncie rzeczy – wzorowy obywatel. Trochę graweruje dla kilku tutejszych szkół i klubów sportowych, chociaż twierdzi, że jest na emeryturze.

– Kryminaliści nigdy nie przechodzą na emeryturę – rzekł William. – Robią się tylko bardziej szczwani.

– Jastrząb?

– Nie, Fred Yates. A więc ty przejmujesz posterunek, a ja jadę na dół i poobserwuję z bliska?

– No pewnie. Jak Carter wyjdzie z domu, pójdź za nim. Ale gdyby wpadł do pubu, nie pokazuj się tam. Rzucałbyś się w oczy.

– A kiedy chcesz, żebym wrócił?

– Około północy, wtedy możesz trochę się przespać, a ja obejmę nocną zmianę. Zostawiłam ci w samochodzie trochę kanapek, ale teraz żałuję, że ich nie zjadłam – powiedziała Jackie, ponownie rzucając gniewne spojrzenie na okruchy herbatników.

– Przepraszam – rzekł William. – Jestem pewien, że coś musi być w lodówce.

– Co tylko zostanie dodane do naszego rachunku, a nie muszę ci przypominać, detektywie konstablu, że nie jesteśmy na wakacjach.

William wyśliznął się z pokoju, pojechał do miasta i zaparkował między dwoma samochodami po drugiej stronie Mulberry Avenue, skąd miał dobry widok na dom. Tuż po jedenastej zobaczył, że zgasło światło na parterze i po chwili zapaliło się na piętrze. Dwadzieścia minut później dom pogrążył się w ciemnościach.

William niespiesznie jadł kanapki i z każdym kęsem czuł się coraz bardziej winny. Bał się, że zaśnie, i próbował różnych sposobów, żeby tego uniknąć: recytował *Śmierć Artura* Tennysona, wyśpiewywał fałszywie *Nessun dorma* i przypominał sobie dziesięć najwyższych średnich punktów

wszech czasów w krykietowych rozgrywkach reprezentacji narodowych – Bradman 99,94, Pollock 60,97, Headley…

O północy pojechał z powrotem do hotelu, gdzie zastał Jackie już na nogach i gotową zająć jego miejsce.

– Coś ciekawego? – zagadnęła.

– Oglądał telewizję, jadł kolację, znowu oglądał telewizję i poszedł na piętro do sypialni tuż po jedenastej. Dwadzieścia minut później zgasły światła.

– Niczego lepszego nie można się spodziewać – rzekła Jackie. – Nocna zmiana jest jednak o wiele gorsza. Tak łatwo usnąć, a jeżeli zmorzy cię sen, możesz być pewien, że gdy się obudzisz, volvo nie będzie stało na podjeździe.

– Bezczynność jest wyczerpująca – stwierdził William, podając jej kluczyki.

– Jutro będziesz miał nocną zmianę, więc staraj się wyspać – powiedziała Jackie i wyszła.

William rozebrał się, wziął prysznic i wszedł do ciepłego łóżka. To nasunęło mu myśl o Beth. Do diabła, nie zadzwonił do niej, a teraz było za późno. Po chwili mocno spał.

15

Następnego ranka William zbudził się tuż po siódmej, wziął prysznic, ogolił się i zdążył ubrać, zanim Jackie powróciła z nocnego czuwania. Usiedli w wykuszu okiennym, rozkoszując się obfitym śniadaniem składającym się z bekonu i jajek, nie spuszczając oka z domu. Carter zszedł na dół po dziewiątej i nie dowiedzieli się, co jadł na śniadanie, ponieważ kuchnia była na tyłach domu.

– I co teraz?

– Wrócimy na Mulberry Avenue i miejmy nadzieję, że w jakimś momencie on oddali się od domu. Jeżeli samochodem, pojedziemy za nim. Jeżeli na piechotę, ja zostanę w samochodzie, a ty spróbujesz się dowiedzieć, co on robi w tej szopie. Może to całkiem niewinne czynności, jednak Lamont zechce to wiedzieć.

Dwadzieścia minut później zaparkowali po drugiej stronie ulicy, naprzeciw domu Cartera, około trzydziestu metrów od furtki, i nieustannie obserwowali frontowe drzwi.

– To bezcelowe – rzekł William po upływie kolejnej godziny bez żadnych efektów, wypełnionej rozmowami na wszelkie tematy, począwszy od proponowanej wizyty księżnej Diany w Scotland Yardzie, na dywagacjach, kto zostanie następnym komisarzem policji londyńskiej, kończąc.

– Czy Jastrząb ma szanse? – zagadnął William.

– Nie tym razem – powiedziała Jackie. – Ale możliwe, że w przyszłości, chociaż ma swoich wrogów.

Upłynęła kolejna godzina, gdy William zapytał:

– Co się stało z tym facetem, który był z tobą, kiedy pierwszy raz zobaczyłem kopię…

– To Ross Hogan – objaśniła Jackie. Po pauzie dodała: – Jastrząb wysłał go do Peckham.

– Gdzie ja miałem pójść!

– I wciąż możesz, jeżeli nie znajdziemy Rembrandta. Bo Ross zniknął z powierzchni ziemi.

– Prawdopodobnie zrezygnował po odesłaniu do Peckham.

– Albo pracuje w ukryciu.

– Myślałem o tym.

– Nie nadawałbyś się – zauważyła Jackie. – Wyglądasz, mówisz i pachniesz jak młodociany chórzysta.

– Nadawałbym się. A Ross byłby idealnym tajnym agentem. Nawet przestępcy biorą go za przestępcę.

– Skup się, bo nigdy nie wiadomo, kiedy wszystko się zmieni w ułamku sekundy.

– Ale kiedy ta sekunda nastąpi? – spytał William pod koniec trzeciej godziny.

Wtem otwarły się frontowe drzwi i oboje umilkli.

Pojawił się Carter z pustą torbą na zakupy. Przeszedł ścieżką, otworzył furtkę i podążył w przeciwnym kierunku.

– No, teraz mamy szansę – rzekła Jackie. – Weź aparat i zobacz, czy uda ci się zrobić jakieś zdjęcia wnętrza szopy.

– Czy możemy to uzasadnić?

– Z trudem. Twierdząc, że mamy podstawy do podejrzeń. – Głos Jackie wcale nie brzmiał przekonująco. – Z chwilą, gdy się pokaże, zatrąbię raz. Stój ukryty za szopą, dopóki nie wejdzie do domu. I pamiętaj o zasadzie trzech minut.

– A co z Angie?

– Jeżeli ona wyjdzie, zatrąbię dwa razy. Trzy razy, jeśli cię zauważy, a wtedy biegnij, bo będziemy musieli migiem wynosić się z miasta. Czasami ma się tylko jedną szansę.

– Wyluzuj – rzucił William. Wyjął aparat spod tylnego fotela, wysiadł z samochodu, przeciął drogę, omiatając spojrzeniem okolicę. Poszedł ostrożnie w stronę domu pod numerem 91. Żywego ducha, a Carter zostawił furtkę otwartą. Skoczył za volvo i zręcznie skradał się ku szopie. Najwyżej przez kilka sekund mógł być widziany z okna frontowego pokoju. Pchnął drzwi, ale były zamknięte. Nagle usłyszał samochód przejeżdżający drogą i póki nie skręcił za róg, kucał za szopą.

Zajrzawszy do środka przez okienko, dostrzegł drewniany stół warsztatowy i krzesło. Na powierzchni stołu walały się srebrne opiłki, ale było tak

ciemno, że z trudem mógł coś rozróżnić. Czy zaryzykować i włączyć flesz? Przysunął aparat do okna i wypstrykał całą rolkę filmu, ale nie był pewien, czy wyjdą jakieś zdjęcia.

Wyjął film i zakładał nowy w aparacie, gdy usłyszał pojedynczy klakson. Carter, nie Angie. Podniósł głowę i ujrzał przejeżdżającą Jackie. Szybko przykucnął za szopą, gdy Carter wszedł w furtkę z torbą Sainsbury'ego w ręku. William usłyszał, jak się otwierają i zamykają drzwi. Mężczyzna wracający do domu niemal zawsze idzie prosto do ubikacji, ten proces trwa co najmniej trzy minuty. William odczekał trzydzieści sekund przed następnym ruchem: dwadzieścia siedem, dwadzieścia osiem, dwadzieścia dziewięć, trzydzieści. Wstał, prędko przemierzył trawnik, okrążył volvo od tyłu i wyszedł przez furtkę. Nie biegł i nie oglądał się za siebie.

Na drodze w odległości stu metrów widział Jackie czekającą w samochodzie z włączonym silnikiem. Ruszyła, gdy tylko zamknął drzwi od strony pasażera.

– Myślisz, że mnie widział? – zapytał William, gdy jechali do hotelu.

– Nie. Obserwowałam drzwi frontowe, ale żadne z nich się nie pokazało. A więc, czy dowiedziałeś się, co majstruje w tej szopie?

– Było tak ciemno, że z trudem mogłem coś dojrzeć, ale zrobiłem całą rolkę zdjęć, więc musimy tylko poczekać i zobaczyć, jak wyjdą.

– Jutro musimy się stąd wynosić – William przypomniał Jackie, gdy zajechali na hotelowy parking.

– Nie zapomniałam – powiedziała Jackie. – Zauważyłam, że całkiem blisko jest pensjonat B&B, ale niestety nie widać stamtąd domu, zatem większość czasu będziemy spędzać w samochodzie.

Dopiero gdy znaleźli się w pokoju, Jackie zatelefonowała do Lamonta i zrelacjonowała mu sytuację. William siedział przy oknie, wyglądając przez lornetkę i chrupiąc najnowszą dostawę imbirowych ciasteczek. Carter wrócił do szopy. William widział, jak podnosi i opuszcza rękę; nad czymś pracował… ale nad czym?

– Co Lamont miał do powiedzenia? – spytał, gdy Jackie wreszcie skończyła rozmowę.

– Na razie mamy zostać na miejscu. Tymczasem ty miej oko na dom, a ja pójdę oddać film do wywołania.

William poczekał, aż wyjdzie, a potem usiadł na skraju łóżka i zadzwonił do Beth do domu. Nie było odpowiedzi. Nie mogła jeszcze wrócić z pracy. Zastanawiał się, czy zaryzykować i zatelefonować do galerii, ale się nie zdecydował.

Wrócił do okna i ponownie skupił wzrok na szopie. Carter zgięty nad stołem wciąż poruszał ręką. Nie wracał do domu do zapadnięcia zmroku, a wtedy William stracił go z oczu. Dobiegała szósta, gdy do pokoju wpadła Jackie z triumfalną miną.

– Carter wybija monety z formy, jak sugerował twój ojciec.

– Jakiego rodzaju monety?

– Poza tym, że srebrne, nie mam pojęcia. Będziesz musiał jakąś jutro zdobyć. Czy wiesz, jak sforsować zamek?

– Nie, to musieli pokazywać na jednym z kursów wprowadzających, który opuściłem.

– Więc ja to muszę zrobić.

– Bez nakazu rewizji?

– Lamont jest zdeterminowany, żeby odkryć, kto jest protektorem Cartera i jakie mają zamiary. Na końcu, przed odłożeniem słuchawki, powiedział: „Mam dość łapania płotek”.

– To pięknie – rzekł William – ale jak się do tego zabierzemy?

– To jutrzejszy problem – odparła Jackie. – A teraz zjedź na dół, żeby pełnić nocną wachtę, a ja się trochę prześpię. Pamiętaj, tylko nie zaśnij.

William z ociąganiem wyszedł z hotelu, ale przedtem wyjął dwa batony Mars i butelkę wody z lodówki. Na pewno pani Walters nie miałaby nic przeciwko temu. Słyszał, jak mówi: „Na przyszłość woda z kranu, konstablu”. Zjechał do miasta, skręcił na Mulberry Avenue i zaparkował za furgonem, skąd miał doskonały widok na frontowe drzwi domu Cartera.

Spostrzegł czerwoną budkę telefoniczną po drugiej stronie ulicy i zaklął. Wciąż jeszcze nie rozmawiał z Beth. Dziś wieczorem powinien zabrać ją do kina na film z Jamesem Bondem i obserwować Faulknera, a nie marznąć w niewygodnym samochodzie i gapić się na dom, który spowijały ciemności. 007 jakoś potrafił ocalić świat przed notorycznym przestępcą, podczas gdy William próbował walczyć ze snem, pilnując lokalnego złoczyńcy. Włączył radio. Synod Generalny Kościoła anglikańskiego debatował, czy kobiety powinny być wyświęcane na kapłanów. Słyszał, jak ojciec mówi: daj im palec, złapią całą rękę. „Potem będą chciały być biskupami”. Po wia-

domościach nadano program o trwającym namnażaniu się much tse-tse w Afryce. Zasnął i zbudził się dopiero na dźwięk sygnałów oznajmiających wiadomości o piątej rano.

– Dzień dobry, tu BBC. Premier…

William zamrugał, przetarł oczy i spojrzał na dom. Zobaczył, że na ostatnim piętrze jarzy się światło. Z miejsca oprzytomniał, serce waliło mu jak szalone. Po chwili światło na ostatnim piętrze zgasło, a zapaliło się na parterze. William otwarł butelkę z wodą, pociągnął łyk i spryskał kilkoma kroplami twarz, gdy w drzwiach domu pojawił się Carter z pokaźnych rozmiarów skórzaną torbą podręczną, którą umieścił w bagażniku samochodu, po czym usiadł za kierownicą. Po trzech próbach silnik zapalił.

Volvo wyjechało z podjazdu. William ostrożnie przejechał na drugą stronę ulicy, nie włączając świateł. Carter na końcu drogi skręcił w prawo i William pojechał za nim, trzymając się z dala, gdyż o tej porze niewiele było samochodów. Carter na rondzie skręcił w lewo i włączył się do wczesnorannego ruchu pojazdów opuszczających miasto.

– Proszę, proszę, proszę – zaklinał William Cartera, gdy ten nadal jechał w kierunku autostrady.

Na następnym rondzie modły Williama zostały wysłuchane, gdy Carter zjechał trzecim wylotem i włączył się w strumień pojazdów podążających do Londynu.

Carter kontynuował jazdę na lewym pasie i ani razu nie przekroczył dozwolonej prędkości. Najwyraźniej nie chciał, żeby policja go zatrzymała, i William zaczął się zastanawiać, co może być w jego torbie podróżnej. Z każdą milą William nabierał pewności, że Carter jedzie do stolicy, prawdopodobnie by spotkać się z człowiekiem, którego Lamont tak pragnął zidentyfikować. Wtem, nie włączając kierunkowskazu, Carter skręcił z autostrady i pojechał za znakami wskazującymi Heathrow, gdzie zaparkował na krótkoterminowym parkingu.

William zaparkował piętro wyżej, po czym poszedł za Carterem na terminal drugi, gdzie zobaczył, że kieruje się do stanowiska BA. William trzymał się z tyłu, gdy Carter zgłosił się do odprawy i dostał kartę pokładową, po czym wjechał windą na pierwsze piętro, trzymając mocno swoją skórzaną torbę, i podążył do stanowiska odlotów.

William podszedł szybko do stanowiska odprawy i pokazał kobiecie za ladą legitymację policyjną.

– Muszę wiedzieć, jakim lotem leci pan Kevin Carter.

Kobieta wahała się przez moment, zanim nacisnęła przycisk pod biurkiem. Po chwili stanął przy niej wysoki, mocno zbudowany mężczyzna. William ponownie pokazał legitymację i powtórzył swoje życzenie.

– Kto jest pana dowódcą? – krótko zapytał mężczyzna.

– Detektyw główny inspektor Lamont, szef wydziału dzieł sztuki i antyków w Scotland Yardzie.

Ochroniarz podniósł słuchawkę telefonu.

– Jaki numer? – spytał.

– 01 735 2916. – William modlił się, żeby Lamont był za biurkiem.

– Lamont – odezwał się głos.

Ochroniarz podał telefon Williamowi, który wytłumaczył Lamontowi, dlaczego jest na Heathrow.

– Daj mi go z powrotem, chłopcze – rzekł Lamont.

William oddał telefon ochroniarzowi i przysłuchiwał się fragmentarycznej rozmowie, która zakończyła się słowami:

– Tak, sir.

Ochroniarz skinął głową, więc kasjerka sprawdziła komputer i powiedziała:

– Pan Carter leci lotem 028 do Rzymu. Bramka zamyka się za dwadzieścia minut.

– Mam dwa problemy – rzekł William, zwracając się do ochroniarza. – Potrzebne mi jest miejsce w tym samolocie i nie mam paszportu.

– Wystaw kartę pokładową na detektywa konstabla Warwicka – polecił kobiecie ochroniarz – i jeżeli to możliwe, posadź go dwa rzędy za Carterem.

– Mogę tylko trzy rzędy za nim – powiedziała, ponownie sprawdzając w komputerze.

– Nie może być lepiej – uznał William.

Wydrukowała kartę pokładową i podała mu.

– Nazywam się Jim Travers – przedstawił się nowy opiekun Williama. – Proszę za mną. Nie mamy czasu do stracenia.

William został zaprowadzony na zaplecze i szedł z Jimem przez ponury korytarz z szarej cegły, gdzie nie było pasażerów, tylko personel lotniska. Po długiej, pospiesznej wędrówce Jim pchnął drzwi, którymi William wyszedł z terminalu na zewnątrz, gdzie na pasie startowym stał zaparko-

wany nieoznakowany samochód. Jim wskoczył do środka i zawiózł Williama do czekającego samolotu.

– Powodzenia – rzucił Williamowi, zanim ten wbiegł po schodkach do pustego samolotu.

William zajął swoje miejsce blisko tyłu i nie musiał długo czekać na pojawienie się pierwszego pasażera. Carter był jednym z ostatnich. Wciąż ściskając mocno torbę podręczną, usiadł przy oknie, trzy rzędy przed Williamem.

Kiedy samolot znalazł się w powietrzu, William zjadł pierwszy od dwóch dni przyzwoity posiłek, a potem skorzystał z okazji i zamknął oczy. W końcu Carter nie wysiądzie, dopóki nie wylądują w Rzymie.

Dwie godziny później samolot wylądował na lotnisku Da Vinci i kołując, zatrzymał się przed bramką. Gdy weszli do terminalu i skierowali się do kontroli paszportowej, Williama dzieliło od Cartera tylko dwoje pasażerów. Ratunku, krzyknął w duchu William, przypomniawszy sobie, że nie ma paszportu. Zdążył jednak przesunąć się tylko o kilka metrów, kiedy zjawiła się przy nim szykownie ubrana młoda kobieta i wzięła go pod rękę.

– Proszę zostać ze mną, detektywie konstablu Warwick.

– Ale mogę zgubić mężczyznę, którego śledzę.

– Dwóch naszych funkcjonariuszy już idzie za Carterem. Dogoni go pan po drugiej stronie.

Skierowali się do wyjścia z napisem „Załoga”, gdzie wyraźnie ich oczekiwano. Przeszli przez kontrolę paszportową, nie zwolniwszy nawet kroku. William czuł się potraktowany po królewsku, gdy błyskawicznie wyprowadzono go z terminalu, gdzie czekał samochód z otwartymi z tyłu drzwiami.

Zanim wsiadł, podziękował młodej kobiecie, a w środku ujrzał siedzącego na tylnej kanapie, najwyraźniej czekającego na niego mężczyznę w eleganckim beżowym mundurze.

– Dzień dobry – powiedział. – Porucznik Antonio Monti. Jestem tu, żeby udzielić panu wszelkiej pomocy, jakiej pan potrzebuje.

– *Grazie* – odparł William, wymieniając z nim uścisk ręki.

– *Parla l’italiano?*

– Wystarczająco, żeby sobie poradzić – rzekł William. – *Ma poi Roma è la mia città preferita*.

Musieli czekać jeszcze trzydzieści minut, zanim Carter, z torbą w ręku, wyłonił się z budynku i stanął w kolejce na postoju taksówek, a do tego

czasu porucznik zdążył się dowiedzieć o Carterze prawie tyle, ile wiedział William.

Włoch, policyjny kierowca, dowiódł w pogoni za Carterem, że jest w tej sztuce o wiele zręczniejszy od Williama, co pozwoliło naszemu detektywowi cieszyć wzrok znajomymi widokami: Koloseum, Bazyliką św. Piotra, Kolumną Trajana, co pamiętał ze studenckich czasów, kiedy siedział z tyłu przepełnionego autobusu bez klimatyzacji w drodze do młodzieżowego hostelu nie całkiem w centrum miasta.

Kiedy taksówka z Carterem w końcu się zatrzymała, to nie przed hotelem, jak spodziewał się William, lecz przed wielkim municypalnym gmachem z włoską flagą powiewającą z masztu na dachu.

– Proszę tu siedzieć i zostawić to mnie – rzekł porucznik. – Nie chcemy, żeby pana zauważył.

Wysiadł z samochodu i wszedł w ślad za Carterem do środka.

William też wysiadł, ale tylko po to, żeby rozprostować nogi, lecz nagle cofnął się i skrył za fontanną, gdy spostrzegł znajomą postać wchodzącą do budynku. Nie spuszczał wzroku z frontowych drzwi na dłużej niż kilka sekund, ale upłynęła niemal godzina, nim zjawił się porucznik i usiadł obok niego w samochodzie.

Carter wyszedł kilka chwil później i przywołał taksówkę, ale Monti nie kazał kierowcy za nim jechać.

– Wraca na lotnisko – wyjaśnił. – Jego torba jest teraz pusta – dodał bez wyjaśnienia. – Odlatują samolotem o trzeciej dziesięć na Heathrow.

– Więc powinienem być w tym samolocie – powiedział William.

– Niekoniecznie. Detektyw sierżant Roycroft będzie na nich czekać. A zresztą mamy ważniejsze rzeczy do zrobienia.

– Na przykład?

– Po pierwsze, musisz zaznać trochę włoskiej gościnności. Zjemy lunch w Casina Valadier, odwiedzimy Galerię Borghese, a i tak zdążysz na samolot odlatujący piąta dwadzieścia do Londynu.

– Ale ja mogę sobie pozwolić tylko…

– Jesteś we Włoszech, *mio amico* – powiedział porucznik – i właśnie oddałeś dużą przysługę Włochom. Zatem musisz zostać wynagrodzony. Poza tym my we Włoszech nie przejmujemy się tak bardzo jak wy, Anglicy, kosztami.

Widocznie nie muszą borykać się z żadną panią Walters, pomyślał William.

– Może chciałbyś rzucić na to okiem? – spytał Monti, podając Williamowi papiery wyglądające na dokument urzędowy.

William spojrzał na pierwszą stronę.

– Mój włoski nie jest tak dobry – przyznał.

– Wobec tego przy lunchu przeczytam ci go słowo w słowo, bo muszę wiedzieć, czy życzycie sobie, żebyśmy udzielili panu Carterowi pozwolenia, czy też Scotland Yard by wolał, żebyśmy odrzucili jego podanie.

William zapukał do frontowych drzwi i gdy Beth je otworzyła, usłyszał:

– O, kogo to widzimy! I jaką masz tym razem wymówkę?

– Byłem w Rzymie.

– Odwiedzić inną kobietę?

– Siostrę Napoleona.

– Mówiono mi, że ona jest dosyć zimna.

– Jak to marmur – rzekł William i schylił się, żeby ją pocałować, ale tylko musnął jej wargi, bo się uchyliła.

– Najpierw muszę usłyszeć tę opowieść od strony Pauliny Borghese – oznajmiła Beth, prowadząc go do kuchni.

Przy kolacji William opowiedział jej o wszystkim, co się wydarzyło od czasu, gdy ostatnio ją widział. O niezapomnianej uczcie w Casina Valadier i popołudniu spędzonym z Antoniem Montim w Galerii Borghese.

– Williamie, powinieneś wstąpić do włoskiej policji. Oni tam mają wspanialsze galerie, lepsze jedzenie i…

– Ale nie tak zachwycające kobiety – powiedział, obejmując ją.

Figlarnie go odsunęła.

– Przedtem musisz mi powiedzieć, na co Carterowi potrzebne pozwolenie – stwierdziła zdecydowanie.

16

– Zwołałem w trybie pilnym to zebranie – zaczął Hawksby – gdyż, jak sądzę, nastąpił pewien postęp w sprawie Cartera.

– Rzeczywiście, sir – rzekł Lamont. – Carter wyjechał z Barnstaple w środę wcześnie rano. Detektyw konstabl Warwick pojechał za nim na Heathrow, gdzie wsiadł do samolotu do Rzymu. Warwick zatelefonował do mnie z lotniska.Poleciłem mu nadal śledzić Cartera, który miał tylko torbę podręczną, więc najwyraźniej nie wybierał się na wakacje. Oddaję głos detektywowi konstablowi Warwickowi, który zrelacjonuje panu, co wydarzyło się później.

– Siedziałem w samolocie trzy rzędy za Carterem – powiedział William. – Na lotnisku Da Vinci czekał na mnie porucznik Monti z Włoskiego Specjalnego Wydziału Dochodzeniowego, nadzwyczaj chętny do pomocy. Carter wsiadł do taksówki i pojechaliśmy za nim do państwowego budynku w centrum Rzymu. Monti podążył za nim do środka i potem mnie poinformował, że Carter miał umówione spotkanie w biurze Wydziału Morskiego, gdzie złożył podanie o pozwolenie na nurkowanie i odzysk w celu zbadania wraku u wybrzeży Elby.

– Czego on szuka? – zapytał Hawksby.

– Siedmiuset osiemnastowiecznych hiszpańskich srebrnych monet macuquinas – odparł William. – W 1741 roku, podczas wyjątkowo gwałtownego sztormu, statek *Patrice* zatonął w pobliżu Elby, pociągając na dno wszystkich pięćdziesięciu dwóch pasażerów, dziewięciu członków załogi i ładunek, który zawierał monety i inne wartościowe przedmioty. Mam rejestr włoskiego urzędnika do spraw katastrof morskich z tamtego czasu – ciągnął William – w którym jest zapis: „To roszczenie zostało potwierdzone przez Lloyda w Londynie, który ubezpieczył statek i ładunek na dziesięć tysięcy gwinei i wypłacił tę kwotę w całości”.

– Nie do końca rozumiem – rzekł Hawksby.

– W ciągu lat kilka razy próbowano zlokalizować wrak i wydobyć monety, ale bezskutecznie.

– I Carter myśli, że mu się poszczęści wbrew prawdopodobieństwu?

– Nie sądzę, sir, żeby liczył na szczęście – odezwała się Jackie. – W czasie, kiedy detektyw konstabl Warwick wałkonił się w Rzymie, ja wróciłam do Londynu i poleciłam naszym specjalistom tu w Scotland Yardzie powiększyć zdjęcia, które zrobił przez okno szopy. Z jednym bezwzględnie się zgodzili: detektyw konstabl Warwick nie jest fotografem klasy Davida Baileya.

Wszyscy zareagowali śmiechem.

– Ale jedna z naszych ekspertek po dokładniejszym obejrzeniu zdjęć wysunęła bardzo interesującą sugestię. – Jackie wręczyła każdemu z zespołu powiększoną fotografię stołu warsztatowego w szopie Cartera.

– Czego tu szukamy? – spytał Hawksby, przyglądając się odbitce.

– Można tam zauważyć wszystkie zwykłe narzędzia potrzebne każdemu grawerowi – dłuta wszelkich rozmiarów, szczotki druciane, nawet pilnik do paznokci. Ale jeśli przyjrzycie się bliżej, zobaczycie, nad czym Carter pracuje. – Puściła w obieg trzy powiększenia z blatem stołu warsztatowego.

– To wygląda jak półkoronówka – rzucił Hawksby.

– Ten sam rozmiar, ten sam kształt, inna wartość – powiedział William – jak odkryłem, odwiedziwszy numizmatyka w Muzeum Brytyjskim, który mi powiedział, że jest całkiem pewien, że to hiszpańska macuquina, która, jak widać, nosi datę 1649.

– Niewątpliwie zapytałeś go o wartość monety…

– Nie miał pojęcia, sir, ale polecił, żebym odwiedził Dix Noonan Webb w Mayfair, specjalistów w tej dziedzinie. Pan Noonan pokazał mi podobną hiszpańską monetę w jednym ze swoich ostatnich katalogów, która poszła za tysiąc funtów z okładem.

– Pomnóżcie to przez siedemset – odezwał się Lamont – i Carter zgarnie ponad siedemset tysięcy funtów.

– Myślę, że wiem, co on kombinuje – rzekł William.

– Mówże, Warwick – przynaglił go Hawksby.

– Podejrzewam, że to całe stare srebro, które Carter ostatnio kupował, zostało przetopione i przez minione miesiące zajmował się wybijaniem siedmiu setek nowiutkich hiszpańskich monet.

– Jeśli bliżej przyjrzycie się fotografiom – rzekła Jackie – zobaczycie coś, co może umknąć uwagi w normalnych okolicznościach. – Wskazała dolny lewy róg jednego ze zdjęć.

– To mi przypomina wiadro wody – powiedział Hawksby.

– Taka była moja pierwsza myśl – rzucił William – dopóki nie przyszło mi do głowy, że wiem, jakie będzie następne posunięcie Cartera.

– Nie trzymaj nas wszystkich w niepewności.

– Podejrzewam, że zamierza jak najszybciej wrócić do Rzymu, odebrać pozwolenie, a potem na oczach wszystkich odpłynąć ku zachodzącemu słońcu na poszukiwanie skarbu spoczywającego na morskim dnie. Kilka dni później z powrotem wpłynie do portu z drewnianą kasetą pełną srebrnych monet. Jeżeli przyjrzeć się bliżej fotografii numer 2B, można nawet zobaczyć kasetę, która zostanie podniesiona z dna morza.

Minęło kilka chwil, zanim Lamont zapytał:

– A wiadro wody?

– Morskiej wody – powiedział William.

– Oczywiście – przytaknął Hawksby.

– Myślałem, że skarb z dna morskiego jest własnością państwa, na którego wodach został znaleziony – zauważył Lamont.

– Zgadza się, sir – rzekł William. – Ale ekipa wydobywców zazwyczaj otrzymuje pięćdziesiąt procent znaleźnego, co jest prawdopodobnie powodem, że pojawił się Booth Watson.

– Czy dobrze słyszałem? – spytał Hawksby.

– Tak, sir. Booth Watson wkroczył do budynku kilka minut po naszym przybyciu.

– Zostawiłeś najsmakowitszy kąsek na koniec, Williamie – rzekł komendant. – Czy masz jakiś pomysł, dlaczego tam był?

– Monti powiedział, że sprawdzał dokładnie wszystkie papiery, zanim Carter cokolwiek podpisał.

– Czyli że to może być jeszcze jedno z wielu przedsięwzięć Faulknera – powiedziała Jackie.

– Booth Watson ma też innych klientów – stwierdził komendant. – Ale zgadzam się, wszystko wskazuje na Faulknera, który może się spodziewać zgarnięcia około trzystu pięćdziesięciu tysięcy funtów, gdy Carter wydobędzie monety.

– Podejrzewam, że Carter nie dostanie więcej niż kilka tysięcy – powiedział Lamont – skoro wiemy, kto stoi za tym szwindlem.

– Czemu tak mówisz, Bruce?

– W ciągu ostatnich dziesięciu lat trzy razy wsadziłem go do paki, ale nigdy za coś na taką skalę. A jak odkrył porucznik Monti, gdy Carter starał się o pozwolenie na poszukiwanie zatopionego skarbu, wręczył pięć tysięcy funtów w gotówce w biurze Włoskiego Wydziału Morskiego w Rzymie, chociaż standardowa opłata to nawet nie połowa tej kwoty.

– To tłumaczy, dlaczego nigdy nie spuścił oczu ze swojej torby – powiedział William. – I czemu, według Montiego, była pusta, kiedy opuszczał budynek.

– Niewątpliwie miał nadzieję, że jego podanie w tajemniczy sposób znajdzie się na wierzchu sterty innych podań – zauważyła Jackie.

– Błyskawicznie – rzekł Lamont.

– To możliwe – powiedział William – ale porucznik Monti wyraźnie sugerował, że gdybyśmy chcieli, by bez końca wstrzymywać podanie Cartera albo nawet załatwić je odmownie, to wystarczy, że poprosimy.

– Bruce?

– Carter nie popełnił na terytorium Wielkiej Brytanii żadnego przestępstwa, o jakim byłoby nam wiadomo, i jedynym sposobem na odkrycie, co zamierza, jest powiedzieć Włochom, że nie mamy nic przeciwko temu, aby dostał pozwolenie. W gruncie rzeczy im szybciej, tym lepiej.

– Jeżeli tak – odezwała się Jackie – to czemu nie aresztować Cartera, zanim jeszcze dotrze na lotnisko, i skonfiskować monety?

– I o co go oskarżyć? – rzucił Hawksby. – Mając Bootha Watsona pod bokiem, będzie utrzymywać, że te monety to tylko kopie, które zamierzał sprzedać z niewielkim zarobkiem. Poza tym, jeżeli chcemy nakryć tego, kto finansuje Cartera, musimy pozwolić na przeprowadzenie całej operacji. Bo pomysłodawcą musi być ktoś z wyobraźnią, tupetem i wystarczającymi funduszami, żeby doprowadzić operację do końca, co, jak się zgodzę, coraz bardziej wygląda na Faulknera.

– Zatem za pańskim pozwoleniem, sir – rzekł Lamont – zatelefonuję do porucznika Montiego i poproszę, żeby przystawiono pieczątkę na podaniu i przekazywano nam wszystkie informacje. W międzyczasie zwrócę się do mojego kontaktu w BA, żeby zadzwonił, jak tylko Carter zarezerwuje następny lot do Rzymu.

– Gdzie ty, porucznik Monti i detektyw konstabl Warwick będziecie siedzieć na nabrzeżu i na niego czekać – rzekł Hawksby.

– Nie ja, sir – zaprzeczył Lamont. – Carter za dobrze mnie zna.

Na twarzy Jackie odmalował się wyraz nadziei.

– Wobec tego muszę się poświęcić i towarzyszyć detektywowi konstablowi Warwickowi – powiedział Hawksby. – Jeszcze coś?

– Tylko jedno, sir. Detektyw konstabl Warwick i ja jutro rano wybieramy się do Pentonville, żeby przesłuchać Eddiego Leigha.

– Człowieka, który według przekonania Warwicka skopiował obraz Rembrandta?

– Tak, sir. Ale nie będę udawał, że spodziewam się dużo od niego dowiedzieć. Ludzie, którzy pracowali w przeszłości dla Milesa Faulknera, nie są rozmowni, jeżeli chcą żyć.

– Pozwólcie mu mówić – rzekł Hawksby. – Może wypsnie mu się coś, czego później będzie żałował. A kiedy Warwick odniesie kopię *Syndyków* do domu Faulknera? Pytam tylko, ponieważ Booth Watson wciąż mi grozi ogniem piekielnym.

– Faulkner wyjeżdża do Monte Carlo w poniedziałek rano – powiedział Lamont. – Więc któregoś dnia w przyszłym tygodniu.

– Detektywie konstablu Warwick, czeka cię kolejny pracowity tydzień – stwierdził komendant – więc nie będę cię zatrzymywał.

17

– Dobry glina, zły glina to już trochę stara śpiewka – powiedział Lamont, kiedy razem z Williamem wyjechali ze Scotland Yardu do Pentonville. – A w naszym przypadku to pięciolatek by poznał, kto jest kto. Jednak musimy zdecydować, co chcemy spróbować osiągnąć na tym spotkaniu.

– Na pewno najważniejszą sprawą – odezwał się William, kiedy samochód stanął w korku na Trafalgar Square – byłoby się dowiedzieć, czy *Syndycy* zostali zniszczeni, a jeśli nie, to gdzie teraz są.

– To nie byłby dla mnie priorytet, chłopcze – rzekł Lamont, przy czym jego szkocki akcent zaznaczył się mocniej niż zwykle. – Ja chcę dowieść powiązania między tym gościem i Milesem Faulknerem, bo oddałbym połowę mojej emerytury, żeby wsadzić tego człowieka za kratki.

Ja oddałbym całą moją emeryturę, żeby się urodzić z talentem Eddiego Leigha, pomyślał William, gdy samochód wjechał na Kingsway, ale nie wyraził tej opinii.

– Więc przedyskutujmy taktykę – zaproponował Lamont. – Będę prowadził przesłuchanie, a jeżeli odchylę się na krześle, to będzie znaczyć, że ty je powinieneś przejąć. Ale wcześniej nie przerywaj, bo mam dokładnie opracowaną linię pytań.

– Co będzie, jeśli on zboczy w kierunku, którego żaden z nas nie przewidział?

– To mało prawdopodobne. Nie zapominaj, że mamy do czynienia z więźniem, który na długo nim nas zobaczył, dokładnie obmyślił, co nam powie.

I znów William nie wyraził opinii.

– A gdy zacznę z nim negocjować, milcz. Jastrząb wyraźnie mi powiedział, jak daleko mogę się posunąć.

– Jaki jest najgorszy możliwy scenariusz? – spytał William, kiedy samochód skręcił w lewo w Grays Inn Road.

– Że facet odmówi odpowiedzi na wszystkie nasze pytania. Wtedy przesłuchanie skończy się w kilka minut, a my tylko stracimy czas.

– To będzie moja pierwsza wizyta w więzieniu – odezwał się William po dłuższej chwili milczenia.

Lamont się uśmiechnął.

– Przy mojej pierwszej wizycie uśmiałem się z opowieści wesołego Irlandczyka o Szmaragdowej Wyspie.

– Za co siedział?

– Obrabowanie poczty, co się okazało trudne do udowodnienia, bo on nigdy nawet nie dotarł do okienka, a jedyną jego bronią był ogórek. Na szczęście przyznał się do winy.

– Więcej, proszę. Więcej – nalegał William.

– Innym razem – rzekł Lamont, gdy zajechali pod Więzienie Jej Królewskiej Mości Pentonville.

– Trudno byłoby winić Jej Królewską Mość – zadumał się William – gdyby uznała, że więzienia są zbędne w jej portfelu aktywów.

– Gdyby tak postanowiła, to może by się okazało, że w tym jej portfelu nie byłoby też pałacu Buckingham – powiedział Lamont, kiedy samochód skręcił w Caledonian Road.

William spojrzał ponad wysoki mur i zobaczył górujący nad krajobrazem odpychający budynek z cegły.

Samochód zahamował przed szlabanem. Strażnik w mundurze wystąpił do przodu. Lamont otworzył okno i pokazał legitymację policyjną.

– Pan Langley panów oczekuje, sir – powiedział mężczyzna, obejrzawszy legitymację. – Jeżeli pan zaparkuje o, tam, zawiadomię go, że panowie jesteście.

Kierowca wśliznął się na pierwsze wolne miejsce i zgasił silnik.

– Matt, nie jestem pewien, jak długo tam będziemy – zwrócił się Lamont do kierowcy, który wyjmował książkę ze schowka na rękawiczki. – Ale kiedy wrócimy, powiesz mi, czy najnowszą powieść Lena Deightona warto zabierać na tegoroczne wakacje.

– To trzecia część trylogii, sir, więc radzę zacząć od pierwszej, zatytułowanej *Gem w Berlinie*.

Kiedy wysiedli z samochodu, podszedł do nich wyższy rangą funkcjonariusz z widniejącą na kieszonce munduru plakietką z napisem „Starszy strażnik Langley”.

– Jak się miewasz, Bruce?

– Nie mogę się skarżyć, Reg. A to jest detektyw konstabl Warwick. Bacz na niego. Czyha na moją posadę.

– Dzień dobry, sir – powiedział William, ściskając podaną dłoń.

– Proszę za mną – rzekł Langley. – Przepraszam za zaostrzone procedury bezpieczeństwa, ale to normalne w każdym więzieniu kategorii B.

Obaj wpisali się do listy na portierni i dostali przepustki dla gości. William obliczył, że przeszli przez pięć kolejno zamykanych i otwieranych bram, zanim natknęli się na pierwszego więźnia.

– Leigh czeka na panów w sali przesłuchań, ale muszę cię uprzedzić, Bruce, że dziś jest szczególnie niechętny do współpracy. A skoro w przeszłości przymknąłeś go już trzy razy, to nie sądzę, żeby chciał ci się zwierzać.

William zauważył, że gdy wędrowali długim, zielonym, ceglanym korytarzem, więźniowie albo odwracali się do nich plecami, czemu zazwyczaj towarzyszyło przekleństwo, albo ich po prostu ignorowali. Tylko jeden mężczyzna w średnim wieku przestał myć mopem podłogę i przyjrzał się Williamowi. William pomyślał, że jego twarz wydaje mu się znajoma, i zastanawiał się, czy go przy jakiejś okazji nie zaaresztował, kiedy był na służbie w Lambeth.

William nie zdołał ukryć zaskoczenia, kiedy stanęli przed wielkim szklanym sześcianem, który wyglądał bardziej na współczesną rzeźbę niż salę przesłuchań. W środku przy stole siedział więzień ze zwieszoną głową, zapewne Eddie Leigh.

– Zanim zapytasz – powiedział Lamont, wskazując szklaną bryłę – to chroni zarówno ciebie, jak jego. Kiedy byłem młodym sierżantem, raz mnie oskarżono, że przyłożyłem więźniowi podczas przesłuchania. To prawda, że miałem ochotę zdzielić go pięścią, ale nie zrobiłem tego – zawiesił głos – przy tamtej okazji.

– Podać kawę i herbatniki? – zagadnął Langley.

– Daj nam wpierw kilka minut, Reg – odparł Lamont.

William z Lamontem weszli do szklanej sali i usiedli naprzeciwko Leigha. Nie było śladu kajdanek ani strażnika. Przywilej przysługujący tylko tym, którzy w przeszłości nie dopuścili się przemocy. Leigh pewno zrezygnował z przysługującego mu prawa do obecności adwokata.

William przyjrzał się uważnie siedzącemu z drugiej strony stołu więźniowi. Na pierwszy rzut oka czterdziestosiedmioletni fałszerz wyglądał jak każdy inny skazaniec w zwyczajowym więziennym ubraniu – niebieskiej koszuli w paski i znoszonych dżinsach. Był nieogolony, miał ciemne włosy i piwne oczy, ale Williama zdumiały jego ręce. Jak mężczyzna z rękoma murarza mógł osiągnąć tak delikatną fakturę malarską? A potem przemówił, wyjawiając, że pochodzi z tej samej części świata co Lamont.

– Możesz dać mi szluga, szefie? – zapytał grzecznie.

Lamont położył na stole paczkę papierosów, wyjął jednego i podał więźniowi. Nawet mu zapalił. Pierwsza łapówka została ofiarowana i przyjęta.

– Detektyw główny inspektor Lamont – powiedział, jakby nigdy jeszcze się nie spotkali – a to mój kolega, detektyw konstabl Warwick. – Leigh nawet nie spojrzał na Williama. – Chcielibyśmy zadać ci kilka pytań.

Leigh nie zareagował, tylko wydmuchał wielką chmurę szarego dymu.

– Prowadzimy dochodzenie w sprawie kradzieży obrazu Rembrandta z Fitzmolean Museum w Kensington jakieś siedem lat temu. Niedawno natrafiliśmy na kopię, którą, jak przypuszczamy, ty namalowałeś.

Leigh ponownie zaciągnął się papierosem, ale nic nie powiedział.

– Namalowałeś tę kopię? – spytał Lamont.

Leigh wciąż nawet nie próbował odpowiedzieć, niemal jakby nie słyszał pytania.

– Jeżeli będziesz z nami współpracował – powiedział Lamont – to może przekażemy przychylne zalecenie radzie do spraw zwolnień warunkowych, przed którą masz stanąć za parę miesięcy.

Wciąż żadnej reakcji. Gdy William zobaczył ponure spojrzenie Leigha, zaczął sobie uświadamiać, jak daleko sięgają macki Faulknera.

– Z drugiej strony, jeżeli nie będziesz współpracował, to też możemy zgłosić radzie. Twój wybór.

Wydawało się, że nawet to nie poruszyło Leigha. Kilka sekund później drzwi się otworzyły i wszedł więzień funkcyjny, niosąc tacę z kawą i herbatnikami. Postawiwszy ją na stole, prędko odszedł. Leigh schwycił kubek z czarną kawą, wrzucił cztery kostki cukru i zaczął ją mieszać. Lamont odchylił się na krześle.

– Panie Leigh – odezwał się William, świadom, że podczas ostatnich czterech lat żaden strażnik więzienny nie zwrócił się do niego per „pan” –

ponieważ jest jasne, że nie ma pan zamiaru odpowiedzieć na żadne nasze pytanie, chciałem tylko coś dodać, zanim odejdziemy.

Lamont wrzucił drugą kostkę cukru do kawy.

– Pasjonuję się sztuką, jestem na jej punkcie sfiksowany, czy jak pan to nazwie, ale co ważniejsze, jestem admiratorem pana prac.

Leigh obrócił się, żeby pierwszy raz spojrzeć na Williama, i popiół z papierosa osypał mu się obficie na stół.

– Pański Vermeer, *Dziewczyna siedząca przy klawesynie*, jest z pewnością znakomity, chociaż nie byłem zaskoczony, że nie zmylił wybitnych uczonych holenderskich, zwłaszcza Ernsta van de Weteringa. Ale kopia *Syndyków* to niewątpliwie dzieło geniuszu. Obecnie znajduje się w naszym biurze w Scotland Yardzie i nie mam ochoty zwrócić jej Milesowi Faulknerowi, który twierdzi, że do niego należy. Po prostu szkoda, że nie urodził się pan w Amsterdamie trzysta lat temu, kiedy mógłby pan być uczniem mistrza, a nawet samym mistrzem. Gdybym miał chociaż cząstkę pańskiego talentu, nie pomyślałbym nawet, żeby wstąpić do policji.

Leigh nadal wpatrywał się w Williama i już nie zaciągał się papierosem.

– Czy mogę zadać panu pytanie, które nie ma nic wspólnego z naszym przesłuchaniem?

Leigh skinął głową.

– Nie mogę wpaść na to, jak się panu udało osiągnąć efekt żółci na szarfach sukienników…

Minęła dłuższa chwila, zanim Leigh odpowiedział:

– Żółtko jajka.

– Tak, oczywiście, jakiż jestem głupi – rzekł William, który dobrze wiedział, że Rembrandt, mieszając pigmenty, eksperymentował z żółtkiem jaj mew. – Ale czemu nie dodał pan dobrze znanego RvR? Tylko brak tego znaku uświadomił mi, że to nie jest oryginał.

Leigh znów zaciągnął się papierosem, tym razem jednak nie odpowiedział, zapewne bał się, że już posunął się za daleko. William odczekał kilka chwil, po czym uznał, że Leigh nie odpowie na żadne więcej pytanie.

– Dziękuję. Chciałbym powiedzieć, że było dla mnie zaszczytem spotkać pana.

Leigh go zignorował, popatrzył na Lamonta i zapytał:

– Mogę dostać jeszcze jednego szluga?

– Weź sobie paczkę – powiedział Lamont i odwrócił się, by dać znak Langleyowi, że przesłuchanie skończone.

Langley wszedł do szklanego pomieszczenia.

– Wracaj do celi, Leigh, pędem.

Leigh wolno podniósł się z krzesła, schował paczkę papierosów do kieszeni, a potem przechylił się nad stołem i uścisnął rękę Williamowi. Lamont nie zdołał ukryć zdumienia. Nikt się nie odzywał, póki Leigh nie opuścił szklanego pawilonu.

– Nie ma żadnej wątpliwości, że namalował tę kopię – rzekł Lamont – co tym bardziej utwierdza mnie w przekonaniu, że Faulkner stoi za tą kradzieżą. Zauważyłeś, jak Leighowi drżały ręce na sam dźwięk jego nazwiska? Gratuluję, Williamie.

– Dziękuję, sir.

– Reg, czy ty wciąż słuchasz, co Leigh mówi przez telefon?

– Tak. Rozmawia co czwartek o szóstej wieczorem, zawsze z żoną.

– Nie wspomina o Picassie? – spytał William.

– Ani słowem.

– Jasne, że nie – stwierdził Lamont. – Leigh nie zaryzykuje powtórnego przekazania wiadomości, więc Jastrząb musi zdecydować, czy to nam wystarczy, żeby wszcząć operację na pełną skalę.

– Ja bym to zrobił – rzucił William.

– Nie masz jeszcze jego posady, chłopcze.

Pierwsze, co zrobił William, gdy wrócili do Scotland Yardu, to wyszukał pewien numer w książce telefonicznej od S do Z.

– Mówi detektyw konstabl Warwick – przedstawił się dziewczynie, która odebrała telefon. – Czy może mi pani powiedzieć, czy Edward Leigh studiował w Slade? To mogło być na początku lat sześćdziesiątych.

– Proszę chwilę poczekać, panie Warwick, sprawdzę nazwisko. – Po kilku minutach znów się odezwała: – Tak, skończył studia z wyróżnieniem w 1962 roku. Zdobył w tamtym roku Nagrodę Założyciela, a obrazy z jego wystawy indywidualnej zostały wykupione.

– Dziękuję, pani informacje są bardzo pomocne.

William odłożył słuchawkę i uśmiechnął się, zajrzawszy do innej teczki, gdzie znalazł potwierdzenie, że Faulkner studiował w Slade w latach 1960–1963. Fred Yates nauczył go, żeby nigdy nie wierzyć w przypadek.

Następną godzinę poświęcił na pisanie raportu o wizycie w Pentonville. Położył go na biurku Lamonta i spojrzał na zegarek. Wprawdzie było dopiero pół do szóstej, ale uważał, że może wyjść, zanim pod drzwiami Jastrzębia zgaśnie światło.

Schwycił płaszcz i zamierzał chyłkiem się oddalić, gdy odezwała się Jackie:

– Życzę ci miłego weekendu. Zasłużyłeś sobie.

– Dzięki – rzucił William. Nie mógł się doczekać, kiedy zobaczy Beth i powie jej, że jest pewna możliwość, iż ponownie się połączy z drugim mężczyzną swego życia.

Po powrocie do swojego pokoju w Trenchard House ogolił się i przebrał w swobodniejsze ubranie. Cieszył się na weekend, podczas którego pogrąży się w rozpuście. Oto jego wyobrażenie o rozpuście – posiłek u Eleny, dwa kieliszki wina, poranny bieg wokół Hyde Parku i ostatni film wieczorem – byle bez policjantów – i w łóżku z Beth o jedenastej.

Postanowił, że pójdzie na piechotę, żeby po drodze kupić kwiaty Beth. Gdy stanął pod frontowymi drzwiami, serce zaczęło mu bić szybciej. Zapukał dwa razy i po chwili pojawił się Jez. Spojrzał na kwiaty i spytał:

– Czy to dla mnie?

– Chciałbyś.

– Ale Beth wyjechała na weekend.

– Co? Myślałem, że…

– Prosiła, żebym cię przeprosił. Coś jej wypadło w ostatniej chwili. Zaraz jak wróci, zadzwoni do ciebie.

– Więc są dla ciebie – powiedział William i rzucił mu kwiaty.

Jez patrzył, jak zawiedziony zalotnik obrócił się na pięcie i zgarbiony powoli się oddalił. Zamknął drzwi i wrócił do pokoju dziennego, gdzie wręczył kwiaty Beth i powiedział:

– Czy nie sądzisz, że czas powiedzieć mu prawdę?

18

Beth zatelefonowała do Williama do domu w niedzielę wieczorem z przeprosinami, tłumacząc, że musiała odwiedzić przyjaciółkę w szpitalu i obawiała się dzwonić do niego do pracy.

– Oczywiście możesz dzwonić, o ile to jest na tyle ważne, żeby pozbawić mnie snu – rzekł William.

– Możesz przyjść jutro na kolację?

– Jeżeli coś innego mi nie wypadnie – odparł William, z chwilą odłożenia słuchawki żałując, jak szorstko zabrzmiały te słowa.

W poniedziałek rano przybył do biura jako pierwszy. Usiadł za biurkiem i chciał otworzyć teczkę z jedną ze spraw, kiedy zadzwonił telefon. Od razu poznał głos w słuchawce.

– William, prosiłeś mnie, żeby dać ci znać, jak tylko Carter dostanie pozwolenie na poszukiwanie *Patrice* – powiedział porucznik Monti. – Zostało podstemplowane dzisiaj rano i wysłane na jego adres domowy. Powinien je dostać do końca tygodnia.

– Dziękuję ci, Toni. Natychmiast powiem szefowi.

– Co mi powiesz? – zapytał Lamont, który właśnie wszedł do pokoju.

– Carter dostał pozwolenie na poszukiwania, więc w najbliższych dniach ruszy do ataku.

– Zatelefonuję do policji w Devon i poproszę, żeby mieli go na oku. Dam też cynk Jimowi Traversowi w British Airlines, żeby miał oczy otwarte i zadzwonił, kiedy będzie rezerwacja na nazwisko Cartera. Czy nie powinieneś być w drodze?

– W drodze, sir?

– Masz się stawić przed południem w Sądzie Koronnym Snaresbrook, żeby złożyć zeznania. W piątek po południu, gdy tylko się wymknąłeś, dostaliśmy telefon z wiadomością, że ku zaskoczeniu wszystkich Cyril Amhurst oznajmił, że nie przyznaje się do winy, i jeszcze dziś odbędzie się

rozprawa. Lepiej ruszaj w drogę, jeśli nie chcesz przegrać swojej pierwszej sprawy, zanim rozpocznie się postępowanie sądowe.

William prędko odszukał w szufladzie biurka akta Amhurst–Churchill i włożył marynarkę.

– Dopilnuj, żeby go przymknęli na dwadzieścia lat – rzucił Lamont.

– Co najmniej – dodała Jackie, która się zjawiła, kiedy William zmierzał do drzwi.

W trakcie długiej podróży metrem do Snaresbrook William ponownie zaznajomił się ze szczegółami sprawy, lecz kiedy dotarł do ostatniej strony, nadal nie rozumiał, czemu Amhurst nie przyznaje się do winy.

Pociąg zajechał na stację tuż po 9.45 i gdy William wyszedł na ulicę, zapytał sprzedawcę gazet o drogę do Sądu Koronnego. Kierując się jego wskazówkami, wkrótce ujrzał wznoszący się przed nim okazały gmach. Przesadził schody susami i wpadł do środka tuż przed dziesiątą. Sprawdził wokandę i zobaczył, że sprawa Korony przeciwko Amhurstowi rozpoczyna się o dziesiątej w sali numer pięć. Wbiegł po kolejnych schodach na pierwsze piętro, gdzie zobaczył młodego człowieka w długiej czarnej todze i z peruką w ręku. Miał zaniepokojoną minę, chodził w kółko.

– Czy pan Hayes? – spytał William.

– Tak, i mam nadzieję, że jest pan detektywem konstablem Warwickiem.

William skinął głową.

– Pierwsze, co powinienem panu powiedzieć – rzekł Hayes – to że skoro sprawę Amhursta wyznaczono tak nagle, mogę wystąpić o odroczenie i przełożenie procesu na późniejszy termin.

– Nie, załatwmy to – powiedział William. – Ten cholerny facet nie ma się czym podeprzeć.

– Zgadzam się, ale pańskie zeznanie może się okazać decydujące, więc prędko omówię z panem istotne moim zdaniem punkty.

– Jak pan myśli, kiedy zostaniemy wezwani? – zapytał William, gdy usiedli na ławce przed salą numer pięć.

– Mają być rozpoznane dwa wnioski o zwolnienie za kaucją oraz wniosek o przyznanie koncesji na alkohol, więc około wpół do jedenastej.

Gdy Hayes skończył pouczać Williama, ten nabrał jeszcze większego przekonania, że Amhurst nie ma szans, chociaż przyznał Hayesowi, że w sądzie będzie zeznawał pierwszy raz.

– Jestem pewien, że pójdzie panu dobrze – powiedział Hayes. – Teraz muszę pana zostawić i zająć swoje miejsce na sali rozpraw. Niech pan spokojnie czeka, dopóki nie wywołają pańskiego nazwiska.

William nie czekał spokojnie. Przemierzał tam i z powrotem korytarz, z każdą minutą bardziej zdenerwowany. W końcu z sali wyszedł woźny sądowy i zawołał:

– Detektyw konstabl Warwick.

William, pełen obaw, podążył za nim. Przeszedł obok Amhursta siedzącego na ławie oskarżonych i nie patrząc na niego, skierował się prosto do miejsca dla świadka.

Sekretarz sądu podał mu Biblię. William wygłosił przysięgę, czując ulgę, że jego głos brzmiał pewniej, niż on sam się czuł. Ale gdy Hayes wstał, cała niewielka pewność siebie opuściła Williama.

– Detektywie konstablu Warwick, proszę powiedzieć sądowi, jak to się stało, że zetknął się pan z tą sprawą.

Na początek William opisał spotkanie z panem Giddym, kierownikiem księgarni Hatcharda, który się martwił, że być może sprzedano mu komplet *Drugiej wojny światowej* ze sfałszowanymi autografami Winstona Churchilla. Potem opowiedział o swoich wizytach w innych księgarniach; kilku zaoferowano, a niektóre nabyły wszystkie dwadzieścia dwa tomy pamiętników Churchilla, rzekomo podpisanych przez byłego premiera.

– I co wydarzyło się potem? – spytał Hayes.

– Zatelefonował do mnie sprzedawca z John Sandoe Books w Chelsea i poinformował, że podejrzany wrócił, więc pojechałem prosto do księgarni. Ale on chwilę wcześniej wyszedł.

– Zatem zgubił go pan?

– Nie. Sprzedawca pokazał mi tego mężczyznę, który szedł w stronę Sloane Square. Popędziłem za nim i niemal go dogoniłem, gdy zniknął mi z oczu na stacji metra Sloane Square. Dalej go ścigałem i w ostatniej chwili, tuż przed zamknięciem drzwi, wskoczyłem do pociągu, do którego wsiadł.

– I co było dalej?

– Podejrzany wysiadł w Dagenham East i stamtąd poszedłem za nim pod dom na Monkside Drive. Zanotowałem adres, a potem wróciłem metrem do Scotland Yardu. Nazajutrz uzyskałem nakaz rewizji domu oskarżonego, gdzie znalazłem pewną liczbę podpisanych książek, w tym komplet *Drugiej*

wojny światowej sir Winstona Churchilla z trzema podpisanymi tomami. Zauważyłem też kilka kartek z rzędami odręcznych podpisów Churchilla.

– Wysoki Sądzie, to wszystko znajduje się na liście dowodów rzeczowych – powiedział Hayes, nim zwrócił się znów do świadka. – Czy odkrył pan coś szczególnie interesującego?

– Tak, sir. Znalazłem pierwsze wydanie *Opowieści wigilijnej* z podpisem Charlesa Dickensa.

– Wysoki Sądzie – powiedział Hayes – to również znajduje się w zbiorze dowodów. Może Wysoki Sąd i przysięgli zechcieliby zbadać te dowody.

Sędzia skinął głową i przysięgli niespiesznie przestudiowali książki oraz kartki z podpisami Churchilla, po czym wszystko zwrócili sekretarzowi sądu.

– I co pan potem zrobił, detektywie konstablu Warwick?

– Aresztowałem pana Amhursta i doprowadziłem go na posterunek policji w Dagenham, gdzie został później oskarżony o oszustwo, wyłudzenie i fałszerstwo.

– Dziękuję, detektywie konstablu Warwick. Wysoki Sądzie, nie mam więcej pytań do tego świadka – powiedział Hayes i usiadł.

William poczuł ulgę, że ten koszmar już za nim. Nie było tak źle, jak się bał. Właśnie zamierzał opuścić miejsce dla świadka, kiedy Hayes nagle wstał i powiedział:

– Proszę, żeby został pan na miejscu dla świadka, bo podejrzewam, że moja uczona koleżanka zechce zadać panu jakieś pytania.

– Z całą pewnością – potwierdziła obrończyni, która podniosła się z drugiego końca ławki.

William z niedowierzaniem wlepił w nią wzrok.

– Wysoki Sądzie, zanim zacznę przesłuchiwać świadka, powinnam zwrócić uwagę sądowi, że ten świadek jest moim bratem.

Sędzia pochylił się do przodu i przyjrzał się bliżej najpierw Grace, potem Williamowi, ale się nie odezwał.

– Mogę zapewnić Wysoki Sąd, że ani moja doradczyni, ani mój klient nie są zaniepokojeni tą niezwykłą sytuacją. Lecz oczywiście mój uczony kolega bądź też sam świadek mogą być. W takim przypadku wycofam się i pozwolę adwokat młodszej przeprowadzić przesłuchanie.

Pan Hayes poderwał się z miejsca.

– Myślę, że to byłoby najprostsze rozwiązanie, Wysoki Sądzie.

– Być może – rzekł sędzia. – Ale bardziej mnie interesuje opinia detektywa konstabla Warwicka.

William przypomniał sobie słowa ojca: „Grace zajmuje się tylko beznadziejnymi sprawami i nigdy nie wygrywa”.

– Dawajcie ją – mruknął, spoglądając wyzywająco na siostrę.

– Słucham? – powiedział sędzia.

– Wysoki Sądzie, nie mam nic przeciwko temu, żeby przesłuchiwała mnie moja siostra.

– Zatem proszę zaczynać, pani Warwick.

Grace ukłoniła się, poprawiła togę i zwróciła się ku świadkowi. Obdarzyła go ciepłym uśmiechem, którego nie odwzajemnił.

– Konstablu Warwick, pozwoli pan, że na początek powiem, jak bardzo mi się podobała pańska barwna opowieść o tym, jak ścigał pan mojego klienta przez pół Londynu i potem nie zdołał go aresztować, lecz wrócił następnego ranka, żeby ponowić próbę. To wszystko brzmiało niczym epizod z *Gliniarzy z Keystone* o policjantach niedorajdach, co zapewne sprawiło, że przysięgli się zastanawiają, jak długo jest pan detektywem.

William się zawahał.

– Proszę się nie krępować, konstablu. Czy mówimy o tygodniach, miesiącach czy latach?

– Trzy miesiące – powiedział William.

– A czy to było pańskie pierwsze aresztowanie jako detektywa konstabla?

– Tak – przyznał niechętnie William.

– Czy może pan mówić głośniej, konstablu? Nie jestem pewna, czy przysięgli słyszeli pana odpowiedź.

– Tak, pierwsze – powtórzył William, chwyciwszy się mocno barierki.

– Konstablu, chciałabym zrozumieć, dlaczego śledząc mojego klienta z Chelsea do Dagenham, nie aresztował go pan na długo przedtem, zanim schronił się w domu.

– Musiałem uzyskać nakaz rewizji, żeby przeszukać jego dom.

– To zastanawiające – powiedziała Grace. – Bo na pewno mógł pan aresztować pana Amhursta w chwili, gdy wysiadł z pociągu na Dagenham East, zaprowadzić go na lokalny posterunek policji, od wyższego rangą dyżurnego oficera otrzymać pozwolenie na podstawie paragrafu osiemnastego i tego samego dnia przeszukać dom.

William wiedział, że Grace ma rację, ale nie mógł przyznać, że popełnił tak elementarny błąd, dlatego milczał.

– Czy mogę domniemywać, konstablu, że przeczytał pan paragraf osiemnasty Ustawy o dowodach policyjnych i kryminalnych z 1984 roku, która daje panu prawo do rewizji miejsca zamieszkania podejrzanego po jego aresztowaniu?

Kilkakrotnie – chciałby powiedzieć William, ale znów się nie odezwał.

– Skoro nie chce pan, konstablu, odpowiadać na moje pytania, to czy mogę przyjąć, że nie bał się pan, iż mój klient może zniszczyć wszelkie dowody bądź ulotnić się, zanim pan wróci nazajutrz rano?

– Byłem przekonany, że mnie nie widział – William spróbował się odgryźć.

– Czy na pewno, konstablu? Czy pan pamięta, co powiedział pan Amhurst, gdy następnego dnia przyszedł pan z koleżanką z nakazem rewizji domu? – Grace schwyciła wyłogi swej togi, poprawiła perukę i spojrzała na brata z tym samym rozbrajającym uśmiechem, a potem dodała: – Czy mogę panu przypomnieć? – Chwilę odczekała, pogłębiając zakłopotanie Williama, po czym zwróciła się ku przysięgłym: – On powiedział: Czy napiją się państwo herbaty?

Kilka osób w sali sądowej zaczęło się śmiać. Sędzia spojrzał na nie, marszcząc brwi.

– Czy nie zgodziłby się pan, że to nie brzmi jak reakcja człowieka poczuwającego się do winy, który się boi, że zostanie aresztowany i zamknięty w więzieniu?

– Tak, ale…

– Gdyby mógł pan, konstablu, odpowiadać na moje pytania, a nie wyrażać własnych opinii, byłoby to o wiele bardziej pomocne.

William był oszołomiony gwałtownością jej ataku i z pewnością nieprzygotowany na jej następne pytanie.

– Czy jest pan ekspertem, który umie rozpoznać podrobiony podpis, czy też założył pan z góry, że mój klient jest winny?

– Nie, nie założyłem. Miałem oświadczenia na piśmie dziewięciu księgarzy, którym pan Amhurst zaoferował kompletne opatrzone autografami Churchilla wydania jego historii drugiej wojny światowej.

– Żaden z nich, niestety, łącznie z kierownikiem księgarni Hatcharda, który pierwszy złożył skargę, nie znalazł czasu, żeby dzisiaj przyjść do sądu

i zeznawać. Czy był pan przypadkiem dziś rano w tej księgarni?

– Nie – odparł William, zdziwiony pytaniem.

– Gdyby pan tam był, konstablu Warwick, mógłby pan nabyć egzemplarz najnowszej powieści Grahama Greene'a *Dziesiąty człowiek* z autografem, ponieważ autor podpisał u nich ponad sto egzemplarzy, po czym podpisywał je także w innych księgarniach na West Endzie. A skoro sir Winston był politykiem, nie przypuszczam, żeby się wzbraniał przed podpisaniem od czasu do czasu jakiegoś egzemplarza własnej książki.

Jedna czy dwie osoby z ławy przysięgłych skinęły głową.

– Ale myśmy znaleźli kilka innych książek – wyjąkał William, wciąż usiłując się bronić. – Proszę nie zapominać na przykład o pierwszym wydaniu *Opowieści wigilijnej* podpisanej przez Charlesa Dickensa.

– Cieszę się, że poruszył pan temat Dickensa – powiedziała Grace – bo mój klient od dawna pieczołowicie przechowywał tę szczególną pamiątkę rodową, którą zostawił mu zmarły ojciec, więc nigdy by nie brał pod uwagę jej sprzedaży. Doprawdy, sąd może być zainteresowany informacją, że mój klient posiada oryginalne pokwitowanie zakupu tej książki w cenie pięciu szylingów z 19 grudnia 1843 roku.

Pan Hayes poderwał się z miejsca.

– Milordzie, muszę zaprotestować. Ten dokument nie został przedstawiony przez obronę jako dowód.

– Wysoki Sądzie, to można łatwo wytłumaczyć – powiedziała Grace. – Mój klient szukał tego pokwitowania od dnia, kiedy go aresztowano, ale konstabl Warwick i jego koleżanka zostawili taki bałagan w jego domu, że znalazł kwit dopiero dzisiaj rano.

– Sprytnie pomyślane! – rzucił Hayes tak głośno, żeby przysięgli go usłyszeli.

Sędzia spojrzał na niego wilkiem, ale go nie upomniał.

I znowu przysięgli niespiesznie przestudiowali pokwitowanie.

– Mam nadzieję, konstablu Warwick – rzekła Grace, kiedy William popatrzył przelotnie na pokwitowanie – że nie zamierza pan sugerować, że mój klient to też podrobił.

Kilka osób spośród przysięgłych zaczęło szeptać między sobą, a Hayes coś zapisał w swoim bloczku.

Grace uśmiechnęła się do brata i powiedziała:

– Wysoki Sądzie, nie mam więcej pytań do tego świadka.

– Dziękuję pani – rzekł sędzia. – Może to dogodny moment, żeby ogłosić przerwę sądu na lunch.

– Jeszcze nie zostaliśmy pokonani – powiedział Hayes, pałaszując w stołówce sałatkę Cezara.

– Ale ja na pewno nie pomogłem pańskiej sprawie – rzekł William, który nie był w stanie jeść. – Powinienem przypomnieć mojej siostrze o kartkach z podpisami Churchilla, które znaleźliśmy w domu Amhursta.

– Proszę się nie obawiać – uspokoił go Hayes. – Gdy Amhurst zjawi się na miejscu dla świadka, będę wciąż przypominał o fałszywych podpisach.

– I zastanawia mnie to pokwitowanie – zauważył William. – Dlaczego nie znaleźliśmy go, kiedy przeszukiwaliśmy dom?

– Bo podejrzewam, że go tam nie było. Amhurst prawdopodobnie kupił je niedawno, żeby się zabezpieczyć. Na tę okoliczność każę złożyć mu przysięgę.

William rzucił spojrzenie na siostrę, która jadła lunch po drugiej stronie stołówki razem ze swoją doradczynią. Podejrzewał, że to jest Clare. Ale żadna z nich na niego nie spojrzała.

Kiedy posiedzenie sądu zostało wznowione, sędzia Gray zapytał obrończynię, czy chce wezwać swojego pierwszego świadka. Panna Warwick wstała i oznajmiła:

– Nie będę wzywać żadnych świadków, Wysoki Sądzie.

Sala zareagowała pomrukiem. William się pochylił i szepnął Hayesowi do ucha:

– Więc jeśli Amhurst nie będzie zeznawał, to czy przysięgli nie uznają, że jest winny?

– Możliwe. Ale niech pan nie zapomina, że pana siostra będzie miała ostatnie słowo. A gdybym ja reprezentował Amhursta, tak samo bym mu poradził.

Sędzia zwrócił się ku oskarżycielowi.

– Panie Hayes, czy jest pan gotów wygłosić podsumowanie w imieniu Korony?

– Jak najbardziej, Wysoki Sądzie – powiedział Hayes, wstając i umieszczając tekst podsumowania na małym pulpicie. Odkaszlnął, poprawił perukę i zwrócił się twarzą ku przysięgłym. – Państwo przysięgli, jakaż ta

sprawa okazała się fascynująca – chociaż może czujecie się, jakbyście byli na przedstawieniu *Hamleta* bez księcia. Zacznę od pytania, czemu obrończyni podczas przesłuchania detektywa konstabla Warwicka ani razu nie wspomniała o znalezionych w domu oskarżonego podpisach Winstona Churchilla, widniejących na kartkach wyrwanych z liniowanego bloczka W.H. Smitha za 49 pensów. Uważam, że możemy uznać, że nie zostały one złożone przez wielkiego wojennego przywódcę, zwłaszcza że umarł przed przejściem na system dziesiętny. Wiemy też, że detektyw konstabl Warwick znalazł w domu oskarżonego komplet *Drugiej wojny światowej* Churchilla, w którym trzy z sześciu tomów były podpisane, a trzy niepodpisane. Zatem muszę zapytać, dlaczego tamte trzy nie były podpisane – Hayes zawiesił głos. – Może czekały w kolejce?

Kilku przysięgłych nagrodziło Hayesa uśmiechem.

– I dalej, powinniście wziąć pod uwagę podpisany egzemplarz *Opowieści wigilijnej* Charlesa Dickensa. Obrończyni każe wam wierzyć, że to jest pamiątka rodzinna, przekazywana z pokolenia na pokolenie. Czy nie sądzicie, że to trochę zbyt wygodne? Czy nie jest bardziej prawdopodobne, że pan Amhurst kupił niepodpisany egzemplarz *Opowieści wigilijnej* wraz z oryginalnym pokwitowaniem podczas jednej z wielu wizyt w księgarniach w całym Londynie? Może też zadacie sobie pytanie, dlaczego dwoje detektywów ze Scotland Yardu w trakcie drobiazgowej rewizji domu pana Amhursta nie natknęło się na to pokwitowanie. Z zadowoleniem przyjmę waszą decyzję – ciągnął Hayes, bez przerwy wpatrując się w przysięgłych – czy wybierzecie bardziej romantyczną wersję przedstawioną przez moją uczoną koleżankę, czy wersję bardziej prawdopodobną, opartą na faktach. Jestem przekonany, że przeważy zdrowy rozsądek.

Kiedy Hayes zajął z powrotem miejsce na ławce, William chciał mu bić brawo i czuł, że nie są bez szans. Sędzia spojrzał na pannę Warwick i zapytał, czy jest gotowa przedstawić argumenty obrony.

– Bardziej niż gotowa, Wysoki Sądzie – odparła Grace, wstając. Przez pewien czas wpatrywała się w przysięgłych, po czym przemówiła.

Zaczęła od przypomnienia, że prawo angielskie przyznaje oskarżonemu przywilej nieskładania zeznań w charakterze świadka, co mogłoby się okazać męczarnią dla „tego słabowitego starego dżentelmena”.

– On ma tylko sześćdziesiąt dwa lata – mruknął Hayes, ale Grace żeglowała dalej, ignorując niesprzyjający wiatr.

– Zastanówmy się teraz nad tym, co jest niewątpliwie zasadniczym dowodem w tej sprawie. Jeśli pan Amhurst jest winny zarzucanego mu czynu i posiadał pierwsze wydanie *Opowieści wigilijnej* z oryginalnym podpisem, to dlaczego nie zaoferował książki na sprzedaż, skoro przyniosłoby to dziesięć razy większy zarobek niż podpisany komplet historii drugiej wojny światowej pióra Churchilla? Powiem wam dlaczego. Bo nie chciał rozstawać się z pamiątką rodową, którą z czasem przekaże następnemu pokoleniu.

– On nie ma dzieci – szepnął William na ucho Hayesowi.

– Powinien mi pan o tym wcześniej powiedzieć.

– Wczoraj wieczorem, sędziowie przysięgli – ciągnęła Grace – gdy pracowałam nad tą sprawą, spędziłam trochę czasu, obliczając, ile by pan Amhurst uzyskał, gdyby sprzedał te trzy tomy pamiętników Churchilla, które konstabl Warwick przedstawił jako dowody i twierdził, że zostały opatrzone sfałszowanymi podpisami. Wyszło mi niewiele ponad sto funtów. Zatem, panie i panowie przysięgli, powiedziałabym, że to nie jest zbrodnia stulecia. Jednakże z powodów znanych najlepiej im samym funkcjonariusze Scotland Yardu postanowili zaatakować pana Amhursta całą potęgą prawa. Jeżeli ponad wszelką wątpliwość wierzycie – zaakcentowała – że oskarżenie dowiodło, iż Cyril Amhurst jest mistrzowskim fałszerzem i wytrawnym oszustem, to powinien spędzić nadchodzące Boże Narodzenie w więzieniu. Jeśli jednak uznacie, jak wierzę, że Korona nie dowiodła oskarżenia, to z pewnością uwolnicie go z tego koszmaru i pozwolicie mu, żeby jak ojciec Małego Tima cieszył się świętami na łonie rodziny.

Gdy Grace usiadła, Hayes odwrócił się i szepnął Williamowi:

– Prawdziwa profesjonalistka. Nieodrodna córka swojego ojca. Pański ojciec byłby z niej dumny.

– Ale nie z syna – syknął William, który by chętnie zamordował Grace.

Mowa podsumowująca sędziego była bezstronna i wyważona. Przedstawił fakty, nie próbując wpływać na przysięgłych w żadnym kierunku. Mocno podkreślił niewyjaśnioną sprawę kartek z podpisami Churchilla, ale położył też nacisk na to, że przedstawiciel Korony nie przedłożył żadnych dowodów, że *Opowieść wigilijna* nie jest pamiątką rodową. Po zakończeniu podsumowania polecił przysięgłym opuścić salę sądową i rozważyć werdykt.

Nieco ponad dwie godziny później siedmiu mężczyzn i pięć kobiet zasiadło z powrotem na ławie przysięgłych. Sekretarz sądu poprosił przewodniczącego, żeby wstał. Tęga kobieta o srogim wyglądzie, w szykownym kostiumie w kratkę, wstała z miejsca na skraju pierwszego rzędu.

– Pani przewodnicząca sędziów przysięgłych, czy uzgodniliście werdykt, co do którego jesteście jednomyślni?

– Tak, Wysoki Sądzie.

– Czy uznajecie więźnia za winnego czy niewinnego co do pierwszego zarzutu, mianowicie sfałszowania autografu sir Winstona Churchilla w osiemnastu książkach z zamiarem oszukania ludzi i osiągnięcia zysku? Jak brzmi wasz werdykt?

– Niewinny – padła stanowcza odpowiedź.

– Czy uznajecie więźnia za winnego czy niewinnego co do drugiego zarzutu, mianowicie posiadania książki ze sfałszowanym autografem Charlesa Dickensa z zamiarem oszukania społeczeństwa i osiągnięcia zysku?

– Niewinny.

– Czy uznajecie więźnia za winnego czy niewinnego co do trzeciego zarzutu, mianowicie posiadania trzech tomów *Drugiej wojny światowej* ze sfałszowanymi autografami sir Winstona Churchilla?

– Winny.

Z sali dobiegły stłumione okrzyki zdziwienia, lecz William odetchnął z ulgą. Nazajutrz będzie mógł wrócić do pracy wprawdzie nie triumfalnie, ale przynajmniej nie całkiem przegrany.

– Więzień, proszę wstać – powiedział sekretarz sądu.

Amhurst wstał. Głowę miał lekko spuszczoną.

– Cyrilu Amhurście, jesteś winien poważnego przestępstwa, za co skazuję cię na rok więzienia.

William powściągnął uśmiech.

– Ponieważ jednak do tej pory twoja przeszłość była bez zarzutu i to jest twoje pierwsze przestępstwo, wyrok zostanie zawieszony na dwa lata i zalecałbym, abyś w tym czasie nie odwiedzał zbyt wielu księgarń. Jesteś wolny, możesz opuścić sąd.

– Dziękuję, Wysoki Sądzie – powiedział Amhurst. Opuścił ławę oskarżonych i obdarzył serdecznym uściskiem obrończynię.

William uścisnął dłoń Hayesowi i podziękował mu za jego chwalebny występ.

– Pańska siostra była doprawdy znakomita – przyznał Hayes. – Nie mając niemal nic do ugrania, pobiła nas jak dwa do jednego i w końcu nawet zyskała przychylność sędziego. Nie popełnię tego samego błędu, kiedy znów będę miał z nią do czynienia.

– Ja również – rzekł William i po cichu wymknął się z sali.

Na korytarzu ujrzał Grace, która na niego czekała.

Rzuciła dobrze znany mu uśmiech.

– Masz chwilę na drinka, braciszku?

Wieczorem przy kolacji William dokładnie zrelacjonował Beth, co wydarzyło się w sądzie. Wybuchnęła śmiechem i powiedziała:

– Jesteś kompletnym idiotą.

– Zgoda. Przeraża mnie myśl o pójściu jutro do pracy. Jeżeli nie trafię z powrotem na rewir, to na pewno zakują mnie w dyby.

– Raczej wystawią cię na publiczne pośmiewisko – powiedziała Beth. – Żałuję, że mnie tam nie było i nie widziałam twojej miny, kiedy sędzia postanowił zawiesić wyrok.

– Dziękuję Bogu, że cię tam nie było. Ale jeżeli kiedyś znowu będę miał do czynienia z moją siostrą, to postaram się lepiej przygotować.

– Ona też.

– Po której ty jesteś stronie?

– Jeszcze nie zdecydowałam, bo wciąż mi nie mówisz, jak ci poszło, kiedy odwiedziłeś Eddiego Leigha w Pentonville.

William odłożył nóż i widelec i szczegółowo opisał to spotkanie. Kiedy skończył, Beth powiedziała tylko:

– Żółtko jaja. To z nadwyżką kompensuje twój dzisiejszy żałosny występ w roli świadka. Ale czy myślisz, że Leigh wie, gdzie jest ten Rembrandt?

– Jestem pewien, że tak, bo się okazało, że byli z Faulknerem w Slade w tym samym czasie. Ale nam o tym na pewno nie powie. W gruncie rzeczy przypuszczam, że żałuje, że posunął się tak daleko.

– Może dowiesz się więcej, kiedy jutro odniesiesz kopię do domu Faulknera.

– Może nie przekroczę nawet bramy.

19

William siedział za biurkiem, nerwowo czekając swego losu. Czytał o najnowszych postępach śledztwa w sprawie okresu błękitnego Picassa, gdy Lamont wpadł do pokoju.

– Jaki jest wczorajszy wynik? – brzmiały pierwsze słowa detektywa głównego inspektora.

William zaczerpnął tchu.

– Amhurst został skazany na rok, ale sędzia zawiesił mu na dwa lata.

– Nie mogło wypaść lepiej. – Lamont zatarł ręce z satysfakcją.

– Co pan chce przez to powiedzieć? – zapytał William.

– Wygrałem zakład z kolegami z wydziału. Rok zawieszenia – powiedział.

Gdy to mówił, do pokoju wkroczyła Jackie.

– Kto zgarnął pulę? – spytała, zanim jeszcze zdjęła płaszcz.

– Ja – odparł Lamont.

– Cholera.

– A co ty przewidywałaś? – zagadnął William.

– Sześć miesięcy zawieszenia. Nie dość, że przegrałam, to jeszcze pokonałeś mnie ty, fartowny draniu.

– Co ty mówisz?

– Sędzia wyrzucił z sądu moją pierwszą sprawę i mnie wraz z nią. Zostawiłam kluczowy dowód w samochodzie, więc oskarżony został zwolniony, zanim dotarł na miejsce dla świadków.

William wybuchnął śmiechem.

– Dobra – powiedział Lamont. – Wracajmy do roboty. Jackie, chcę, żebyś omówiła ze mną szczegóły jutrzejszej nocnej operacji, zanim ostatecznie dam jej zielone światło.

Jackie prędko podeszła do swojego biurka i schwyciła właściwą teczkę.

– William, kopia obrazu Rembrandta jest umieszczona w zamkniętej furgonetce, którą znajdziesz na parkingu. Weź kluczyki z recepcji i ruszaj.

Nikt oczywiście nie ręczy, że przepuszczą cię przez bramę posiadłości.

– Czy Faulkner poleciał wczoraj do Monte Carlo? – spytał William.

– Tak, wylądował w Nicei około południa i prawdopodobnie nie wróci wcześniej niż za miesiąc.

W drzwiach pokazała się głowa komendanta Hawksby'ego.

– I jaki werdykt?

– Rok w zawieszeniu.

– Cholera.

– Czy mogę spytać, sir? – odważył się William.

– Pięćdziesiąt godzin prac społecznych.

– Czy możemy przyjść do pana, sir, z detektyw sierżant Roycroft, gdy tylko dopracuję szczegóły operacji „Okres błękitny"? – spytał Lamont.

– Tak, oczywiście, Bruce. I Williamie, życzę ci szczęścia z panią Faulkner.

William zgłosił się do recepcji po kluczyki do furgonu, po czym udał się na podziemny parking. Sprawdził, czy skrzynia z malowidłem jest bezpiecznie umieszczona z tyłu furgonu, i wyjechał z Yardu na Broadway. Podczas jazdy do Limpton powtarzał po kolei części A, B i C swojego planu, świadom, że w ciągu godziny może się znaleźć w drodze powrotnej do Scotland Yardu, jeżeli nie wpuszczą go przez frontowe drzwi.

Gdy tego ranka opuszczał Beth, obiecał, że wróci na kolację.

– Z wszystkimi sześcioma syndykami bezpiecznymi w furgonie – zażartowała.

Pamiętając o umieszczonym z tyłu obrazie, William ani razu nie przekroczył dozwolonej prędkości. Lamont go ostrzegł, że jeśli malowidło nie zostanie zwrócone w stanie idealnym, to radca królewski Booth Watson pod koniec tygodnia zażąda odszkodowania dla klienta.

Kiedy dotarł do malowniczej wioski Limpton w Hampshire, bez trudu zorientował się, gdzie mieszkają państwo Faulkner. Limpton Hall wznosił się majestatycznie na wzgórzu górującym nad krajobrazem. William podążył za znakiem, który poprowadził go krętą wiejską drogą przez dwie mile do żelaznych wrót z kamiennym słupem zwieńczonym sprężonym do skoku lwem po każdej stronie.

Wysiadł z samochodu i podszedł do bramy. Spostrzegł dwa dzwonki umieszczone na murze. Przy jednym była mosiężna tabliczka z napisem „Limpton Hall", przy drugim poniżej „Dostawcy". Nacisnął górny guzik

i natychmiast pożałował decyzji, gdyż mógł mieć większą szansę dostania się do środka, gdyby wcisnął dolny. Głos w domofonie zapytał:

– Kto tam?

– Mam specjalną przesyłkę dla pani Faulkner.

William wstrzymał oddech i ku jego zdumieniu wrota się otworzyły.

Jechał wolno, podziwiając stuletnie dęby stojące po obu stronach długiego podjazdu, i obmyślał drugą część planu. Wreszcie zatrzymał się przed domostwem, które mogłoby widnieć na okładce „Country Life”.

Frontowe drzwi otworzył wysoki szczupły mężczyzna w czarnym fraku i spodniach w prążki. Spojrzał na Williama tak, jakby przybył pod niewłaściwe wejście. Dwaj młodsi mężczyźni zbiegli po schodach i szybko podeszli do tyłu furgonu. Pora rozważyć plan B.

William otworzył tylne drzwi i wziął do ręki notatnik, podczas gdy dwaj młodzi mężczyźni ostrożnie wyjęli skrzynię, wnieśli obraz po schodach i oparli o ścianę w korytarzu. Kamerdyner zamykał już drzwi, kiedy William powiedział kategorycznym tonem, który – miał nadzieję – brzmiał podobnie do tonu jego ojca:

– Zanim wydam przesyłkę, muszę mieć podpis.

Nie zdziwiłby się, gdyby drzwi zamknięto mu przed nosem. Ale kamerdyner z wewnętrznej kieszeni marynarki frakowej niechętnie wyjął pióro. Czas na plan C.

– Przykro mi, ale poświadczenie zwrotu musi być podpisane przez pana Faulknera – powiedział William, wsuwając stopę w drzwi niczym domokrążca. Gdyby kamerdyner rzekł: „albo to, albo nic”, musiałby to przełknąć i odjechać.

– Czy wystarczy podpis pani Faulkner? – odezwał się inny głos.

W korytarzu ukazała się elegancka kobieta w średnim wieku. Ubrana była w czerwony jedwabny szlafrok uwydatniający jej zgrabną figurę. Czy bogaci, jak często mawiał Fred Yates, nie wstają przed dziesiątą rano? Jednak jej kruczoczarne włosy, opalona twarz i aura spokojnego autorytetu nie pozostawiały wątpliwości, że to pani domu.

Podpisała formularz i William chciał odejść, kiedy powiedziała:

– Dziękuję, panie…

– Warwick, William Warwick – odparł, łamiąc zasadę, żeby nie mówić jak absolwent szkoły prywatnej.

– Christina Faulkner. Czy ma pan czas, panie Warwick, żeby wypić ze mną kawę?

William nie wahał się, chociaż tego nie przewidywał plan A, B ani C.

– Dziękuję – powiedział.

– Makins, proszę podać kawę w salonie – oznajmiła pani Faulkner. – I gdy obraz zostanie rozpakowany, chcę, żeby zawisł na swoim miejscu.

– Tak, oczywiście, proszę pani.

– Miles tak się ucieszy, widząc obraz, gdy wreszcie wróci – rzekła pani Faulkner z naciskiem na słowo „wreszcie”, kiedy prowadziła gościa do salonu.

William nie mógł oderwać oczu od wspaniałych obrazów zdobiących każdą ścianę. Miles Faulkner mógł być oszustem, ale bez wątpienia oszustem z poczuciem smaku. Płótna Sisleya, Sickerta, Matisse’a i Pissarra byłyby chlubą każdej kolekcji, ale William utkwił wzrok w małej martwej naturze z pomarańczami w misie pędzla artysty, którego nie znał.

– Fernando Botero – powiedziała pani Faulkner. – Mój rodak, który jak ja uciekł z Kolumbii w młodym wieku – dodała, gdy zjawił się kamerdyner z tacą z kawą i ciasteczkami.

William usiadł i spojrzał na dużą pustą przestrzeń nad kominkiem, gdzie na pewno wisiała kopia płótna Rembrandta. Kamerdyner postawił tacę na antycznym niskim stoliku, który William chyba gdzieś już widział, ale wejście do salonu dwóch młodych ludzi niosących malowidło oderwało jego uwagę.

Kamerdyner dopilnował powieszenia obrazu i gdy płótno znalazło się na miejscu, lekko się skłonił pani Faulkner i dyskretnie się oddalił.

– Czy słusznie się domyślam – odezwała się pani Faulkner, nalewając gościowi kawy – że jest pan detektywem?

– Tak, owszem – odparł William, nie dodając, że niezbyt doświadczonym.

– Zastanawiam się, czy mogę pana prosić o radę w sprawie osobistej – powiedziała, zakładając nogę na nogę.

William przestał wpatrywać się w *Syndyków* i zwrócił twarz ku gospodyni.

– Tak, oczywiście – wybąkał.

– Zanim to zrobię, muszę być pewna, że mogę polegać na pańskiej dyskrecji.

– Tak, oczywiście – powtórzył.

– Potrzebny mi jest prywatny detektyw. Ktoś dyskretny, dobry w swoim fachu i, co ważniejsze, komu można zaufać.

– Kilku emerytowanych oficerów policji londyńskiej działa w charakterze prywatnych detektywów – rzekł William – i jestem pewien, że mój szef chętnie poleci jednego z nich. Nieoficjalnie – dodał.

– Dobrze to wiedzieć, proszę pana. Jednak muszę podkreślić, jak ważne jest, żeby mój mąż się o tym nie dowiedział. Wyjechał i nie wróci wcześniej niż za miesiąc.

– Jestem pewien, że potrafię znaleźć odpowiedniego człowieka na długo przed powrotem pani męża.

Rzucił ostatnie spojrzenie na *Syndyków*, których, jak przypuszczał, nigdy więcej nie ujrzy.

– Panu naprawdę podoba się ten obraz, czyż nie?

– Tak, owszem – przyznał prostodusznie William.

– To też jeden z ulubionych obrazów Milesa i może dlatego mamy drugi podobny w naszym salonie w Monte Carlo. W gruncie rzeczy nigdy nie mogę ich odróżnić.

Williamowi tak mocno zaczęła drżeć ręka, że rozlał trochę kawy na dywan.

– Bardzo przepraszam – powiedział. – Co za niezdara ze mnie.

– Niech się pan nie przejmuje, to nieważne.

Gdybyś tylko wiedziała, kobieto, jakie to ważne, pomyślał William, nie mogąc się opędzić od refleksji o implikacjach tego, co właśnie ujawniła.

– Czy da się pan namówić i zostanie na lunch? – spytała pani Faulkner. – To byłaby sposobność pokazania panu całej kolekcji.

– To uprzejme z pani strony, ale mój szef będzie zachodził w głowę, gdzie się podziewam. Więc powinienem wracać.

– A zatem może następnym razem.

William nerwowo skinął głową. Pani Faulkner odprowadziła go na korytarz, gdzie ujrzał stojącego przy frontowych drzwiach kamerdynera.

– Miło było pana widzieć – powiedziała kobieta, wymieniając z Williamem uścisk rąk.

– Panią również – rzekł William, świadom, że kamerdyner bacznie mu się przygląda.

William nie mógł się doczekać, kiedy znajdzie się w Yardzie i powiadomi drużynę, że pani Faulkner przypadkiem wyjawiła, że oryginał *Syndyków* wisi w willi Faulknera w Monte Carlo. Już widział, jak Beth podskakuje z radości, gdy podzieli się z nią tą nowiną. Kiedy jednak brama za nim się zamknęła, objął głowę rękoma i krzyknął:

– Jesteś idiotą!

Czemu nie przyjął jej zaproszenia na lunch?

Mógłby obejrzeć całą kolekcję i być może rozpoznać inne obrazy, z którymi nie wiadomo, co się stało.

– Idiota! – powtórzył jeszcze głośniej.

Może lepiej w raporcie dla Lamonta nie wspominać o straconej okazji.

William z ociąganiem opuścił posiadłość, ale zanim się znalazł na autostradzie, jeszcze kilkakrotnie powtórzył słowo „idiota”.

Po powrocie do Scotland Yardu zaparkował furgon, oddał kluczyki i udał się prosto do biura. Zastał Lamonta i Jackie pochylonych nad mapą upstrzoną małymi czerwonymi chorągiewkami, dopracowujących ostatnie szczegóły operacji „Okres błękitny”, która, jak wiedział, jest zaplanowana na następny wieczór. Oboje podnieśli głowy, kiedy wszedł do pokoju.

– Udało ci się przejść przez bramę?

– Nie tylko przedostałem się przez bramę, ale mogę wam powiedzieć, gdzie jest obraz Rembrandta.

Lamont i Jackie porzucili czerwone chorągiewki i wysłuchali sprawozdania Williama. Kiedy już o wszystkim – no, może nie całkiem – ich poinformował, Lamont powiedział tylko:

– Powinniśmy natychmiast powiadomić komendanta.

William i Jackie uznali, że Lamont nie użył pluralis maiestaticus, więc wyszli za nim z pokoju i podążyli korytarzem do biura Hawksby’ego.

– Angelo, muszę pilnie widzieć się z komendantem – powiedział Lamont sekretarce Hawksby’ego, gdy weszli do pokoju.

– W tej chwili jest u niego główny inspektor Mullins – odparła – ale nie sądzę, żeby to długo trwało.

– Mullins? – szepnął William do Jackie.

– Narkotyki. Módl się, żeby cię nie przenieśli do tego wydziału. Nieliczni wytrzymują, a ci, którym się to udaje, nigdy już nie są tacy sami.

Kilka minut później drzwi się otworzyły i wyszedł główny inspektor Mullins w towarzystwie komendanta Hawksby’ego.

– Dzień dobry, Bruce – odezwał się Mullins, nie zwalniając kroku, i opuścił pokój.

– Mam nadzieję, że przychodzicie do mnie z jakąś dobrą wiadomością – rzekł Hawksby. – Bo jak na razie to jest jeden z tych nieudanych dni.

– Możliwy przełom w sprawie skradzionego obrazu Rembrandta, sir.

– To lepiej wejdźcie do środka.

Kiedy zasiedli wszyscy wokół stołu w biurze Hawksby’ego, William bardzo szczegółowo opisał spotkanie z panią Faulkner. Zaskoczyła go natychmiastowa reakcja Jastrzębia.

– Nie sądzę, żeby słowa „mamy drugi podobny w naszym salonie w Monte Carlo. W gruncie rzeczy nigdy nie mogę ich odróżnić” były przypadkowe. Myślę, że pani Faulkner dokładnie wiedziała, co mówi młodemu detektywowi, którego zaprosiła na kawę.

– Zgadzam się – przytaknął Lamont. – I w dodatku poprosiła o nazwisko prywatnego detektywa, któremu można zaufać. Nic dziwnego, że brama się otworzyła.

– To o co jej chodzi? – zagadnął William.

– Ryzykując, że stwierdzę rzecz oczywistą – odezwała się Jackie – założę się, że potrzebuje prywatnego detektywa, bo zamierza rozwieść się z mężem i sowita rekompensata jej nie zadowoli. Ona chce się zemścić, a czy jest lepszy sposób, niż powiedzieć nam, gdzie jest ten Rembrandt?

– To ryzykowna gra – rzekł Hawksby – jeśli zważyć, z kim ma do czynienia.

– Miała siedem lat, żeby to przemyśleć – powiedział William.

– Może to wciąż za mało – zauważył Lamont.

– Masz kogoś do tej roboty, Bruce? – spytał Hawksby.

– Typuję Mike’a Harrisona. Kompetentny, niezawodny i godny zaufania. I jeśli da mu to zadanie, będziemy mieć źródło informacji.

– Zainicjuj spotkanie – rzekł Hawksby – i jeśli on się zgodzi, William może go przedstawić pani Faulkner.

– Już się do tego zabieram, sir – powiedział Lamont.

– I, William, dobra robota. Chociaż nie będzie łatwo zabrać obraz z Monte Carlo za bytności Faulknera. Ale jeśli jego żona jest po naszej stronie, to może, dla odmiany, uda się nam go zaskoczyć. A teraz przejdźmy do

najpilniejszych spraw. Jackie, czy jesteście wszyscy gotowi do przeprowadzenia operacji „Okres błękitny”?

– Zaczynamy jutro wieczorem, sir. Posiadłość została tak otoczona, że nawet kret by się tam nie podkopał bez naszej wiedzy.

– Bruce, czy jesteś pewien, że macie konieczne wsparcie?

– Policja w Surrey robi wszystko, żeby nam pomóc, sir. Dają nam około dwudziestu funkcjonariuszy, którzy będą zgromadzeni w dwóch autobusach koło wejścia i wyjścia. My będziemy siedzieć i czekać na chwilę, kiedy łobuzy opuszczą dom.

– A właściciele?

– Spędzają wakacje na Seszelach, o czym Faulkner musi wiedzieć, w bezpiecznym oddaleniu.

– Gdy tylko złodzieje znajdą się w areszcie, koniecznie do mnie zadzwońcie, nie bacząc na porę.

– To może być druga albo trzecia nad ranem, sir – powiedziała Jackie.

– Nie bacząc na porę – powtórzył Hawksby.

Lamont, Jackie i William podnieśli się z miejsc, świadomi, że spotkanie dobiegło końca.

– Warwick – rzekł Hawksby, kiedy skierowali się do wyjścia – czy mógłbyś zostać na chwilę? Mam słówko na osobności.

Williama rozbawił zwrot „czy mógłbyś”, chociaż przypuszczał, że dostanie burę za brak przygotowania do sprawy Amhursta.

– William – powiedział Hawksby po odejściu Lamonta i Jackie – z zasady nigdy nie wtrącam się w osobiste życie moich podwładnych, jeżeli nie ma wpływu na śledztwo, które jest w toku.

William siedział w napięciu na brzeżku krzesła.

– Jednak dowiedziałem się, że zaprzyjaźniłeś się z młodą kobietą, która pracuje w Fitzmolean Museum, jest więc zainteresowaną stroną w sprawie skradzionego obrazu Rembrandta.

– To więcej niż przyjaźń, sir – przyznał William. – Ja z nią prawie mieszkam.

– Tym bardziej należy zachować ostrożność. I to, co teraz powiem, to rozkaz, nie prośba. Czy to jasne?

– Tak, sir.

– Nigdy, w żadnych okolicznościach, nie wyjawisz nikomu poza tym biurem, że być może wiemy, gdzie jest skradziony obraz Rembrandta.

W gruncie rzeczy byłoby mądrze nic więcej nie mówić pannie Rainsford na temat naszego śledztwa, powtarzam – nic.

– Rozumiem, sir.

– Nie muszę ci przypominać, że jako policjant zobowiązałeś się do honorowania Ustawy o tajemnicy państwowej, a gdybyś jej nie dochował albo naraził na szwank jakąkolwiek operację, w której uczestniczysz, możesz trafić przed komisję dyscyplinarną, co by niewątpliwie przystopowało twoją karierę, jeżeli nie wykoleiło. Czy masz jakieś pytania?

– Nie, sir.

– Zatem wracaj do swojej drużyny i nie opowiadaj o tej rozmowie nikomu, nawet kolegom. Czy to jasne?

– Tak, sir.

Usiadłszy za swym biurkiem, William objął wzrokiem leżącą przed nim stertę oczekujących spraw, ale nie mógł przestać myśleć o słowach komendanta. Tego ranka bał się przyjść do biura. Tego wieczoru bał się wrócić do domu.

Kiedy Beth usłyszała, że otwierają się drzwi frontowe, od razu wybiegła z kuchni na korytarz.

– I jak przebiegło spotkanie z panią Faulkner? – zapytała, zanim William zdążył zdjąć marynarkę.

– Nie udało mi się przejść przez bramę.

– Jesteś kochanym facetem – powiedziała, zarzucając mu ręce na szyję – ale zupełnie nie umiesz kłamać.

– Nie, to prawda – zaprotestował William.

Odstąpiła o krok i uważnie mu się przyjrzała.

– Co oni ci o mnie mówili? – spytała całkiem innym tonem.

– Nic. Przysięgam. Nic.

I wtem przypomniał sobie słowa Hawksby’ego: „Nigdy, w żadnych okolicznościach… nic… nie mówić pannie Rainsford na temat naszego śledztwa, powtarzam – nic”. W jakich okolicznościach? – pomyślał. I wtem przypomniał sobie, co powiedziała Jackie, kiedy kupił Beth kwiaty przed wyjazdem do Barnstaple: „Rainsford… Czemu to nazwisko brzmi mi znajomo?”.

Pierwsze, co zrobił William po przyjściu do pracy następnego dnia rano, to przystąpił do pisania szczegółowego raportu o wizycie w Limpton Hall. Wręczył raport Lamontowi i zadzwonił do pani Faulkner na prywatną linię.

– Myślę, że znalazłem odpowiedniego człowieka, który pani pomoże. Kiedy chciałaby się pani z nim spotkać?

– W najbliższy poniedziałek jadę do Londynu. Może pan towarzyszyć mi przy lunchu? Nie mogę ryzykować ponownej pana wizyty w tym domu.

– Dlaczego? – spytał William tonem zawodu.

– Makins zatelefonuje do mojego męża, zanim pan dojedzie do bramy. W istocie Miles dzwonił do mnie wczoraj wieczorem i pytał, dlaczego wpuściłam pana do domu.

– Co pani mu powiedziała?

– Że kiedy zwrócił pan obraz, wypsnęło się panu, że śledztwo w sprawie obrazu Rembrandta zarzucono i przeniesiono do akt spraw nierozwiązanych.

– Myśli pani, że uwierzył?

– Z Milesem nigdy nic nie wiadomo. Myślę, że nawet on nie wie, kiedy mówi prawdę. Powiedzmy u Ritza o pierwszej? Ja stawiam.

No cóż, pani Walters na pewno na to nie pozwoli – pomyślał William, odkładając słuchawkę.

Kilka godzin później towarzyszył Lamontowi przy innego rodzaju lunchu. Zapiekana wieprzowina, frytki i duże piwo w pubie Sherlocka Holmesa oraz szansa spotkania Mike’a Harrisona. Arcypolicjant, jak określił go Lamont, i William od razu pojął dlaczego. Był prostolinijny, bezpośredni i od chwili, gdy się spotkali, traktował Williama jak równego sobie. Co ważniejsze, był tak samo żywo zainteresowany odszukaniem skradzionego obrazu Rembrandta jak reszta zespołu. Przed siedmiu laty, kiedy obraz został skradziony, był członkiem wydziału, więc uważał to za niezałatwioną sprawę.

Wracając do domu wieczorem, William kupił bukiet kwiatów dla Beth na znak pokoju. Ale w chwili, gdy przekręcał klucz w zamku, wiedział, że jej nie ma. Wtedy sobie przypomniał – wtorek to był Wieczór Patronów w Fitzmolean. Kanapki z wędzonym łososiem, misy pełne orzechów, musujące wino, żeby odchudzić portfele lojalnych fanów muzeum. Nie wróci przed jedenastą. Drugą noc z rzędu powrócił do Trenchard House, zadzwo-

nił do Beth o wpół do jedenastej i potem o jedenastej, ale nie odebrała telefonu, więc poszedł spać.

20

5.43 CZASU GREENWICH

William obudził się na dźwięk telefonu. Schwycił słuchawkę, ciekaw, kto może dzwonić do niego tak wcześnie rano. Miał nadzieję, że to Beth.

– Carter wyruszył – odezwał się głos, który od razu rozpoznał. – Spotkajmy się na Heathrow, w terminalu drugim. Samochód w drodze. Powinien być pod twoim domem za kilka minut. Zabierz torbę podróżną i nie zapomnij tym razem paszportu.

William odłożył słuchawkę i skierował się prosto do łazienki. Wziął krótki prysznic, jeszcze szybciej się ogolił, dwukrotnie się zaciąwszy, wrócił do sypialni, żeby się spakować. Wrzucił do torby dwie koszule, slipy, skarpetki i szczoteczkę do zębów, na koniec wyjął paszport z szuflady biurka. Na dworze czekał samochód z włączonym silnikiem. William z miejsca poznał kierowcę, który wiózł go do Chelsea.

– Dzień dobry, Danny – powiedział.

6.37 CZASU GREENWICH

Tego ranka nie trzeba było budzić Jackie. Gdy William pędził autostradą M4, ona już podążała w stronę stacji Waterloo.

Lamont czekał na nią na peronie jedenastym i wsiedli do wagonu drugiej klasy pociągu odjeżdżającego o 7.29 do Guildford. Na miejscu oczekiwał ich inspektor Wall, jedyny człowiek z policji w Surrey w pełni wtajemniczony w ich plany na resztę dnia.

– Nie macie kierowcy? – spytał Lamont, gdy Wall usiadł za kierownicą i uruchomił silnik.

– Cięcia – mruknął.

7.14 CZASU GREENWICH

William spostrzegł go w chwili, gdy wszedł do terminalu. Granatowa dwurzędowa marynarka, biała koszula i krawat w paski. Prawdopodobnie komendant spał w dwurzędowej piżamie.

– Dzień dobry, sir.

– Dzień dobry, Williamie. Carter ma zarezerwowany lot 003 British Airways do Rzymu za półtorej godziny, a my lecimy samolotem Alitalii, który startuje za czterdzieści minut. Porucznik Monti będzie na nas czekał na lotnisku i odwiezie nas do Citavecchia. Pokręcimy się tam kilka minut, by się upewnić, że Carter przyleciał. Gdyby podejrzewał, że ktoś go śledzi, może zaniechać całej wyprawy, a wtedy wrócimy do Scotland Yardu, zamiast lecieć do Rzymu.

Komendant jeszcze mówił, wtem schwycił Williama za rękę i wskazał w stronę stanowisk British Airways. Carter kroczył ku stanowisku odprawy w towarzystwie mężczyzny, którego William nie znał; mężczyzna niósł pękatą torbę podróżną i pchał wózek z dwiema małymi walizkami.

– Mam wrażenie, że wiem, co jest w tej torbie – rzekł Hawksby. – Ale niewiele z tym możemy zrobić.

– Możemy polecić ochronie, żeby ich przeszukała, zanim on wsiądzie do samolotu.

– Tego akurat nie chcemy.

– Czemu?

– Z dwóch powodów. Po pierwsze, aby brać pod uwagę sprawdzenie jego bagażu, musielibyśmy mieć uzasadnione podejrzenie, że popełnił przestępstwo, a po drugie, gdybyśmy nie znaleźli niczego podejrzanego, odstraszylibyśmy ich i byśmy się ujawnili – objaśnił Hawksby, podczas gdy Carterowi wydawano kartę pokładową.

– Czy poznaje pan drugiego mężczyznę? – spytał William, gdy zmierzali do kontroli paszportowej.

– Damien Grant, były ciężarowiec, wyrok za ciężkie uszkodzenie ciała, a ostatnio wykidajło. Jest tu tylko po to, żeby dopilnować, aby torba

podróżna dotarła do celu.

– Po raz ostatni wzywamy pasażerów Alitalii, lot numer…

10.07 CZASU GREENWICH

Kiedy trzej policjanci usiedli w biurze inspektora Walla, omówili raz i drugi szczegóły przebiegu operacji „Okres błękitny”. Gdy Lamont odpowiedział na ostatnie pytanie, Wall spojrzał na zegarek.

– Czas zejść do podziemnego parkingu i poinstruować drużynę. To jedyne tak przestronne miejsce, żeby pomieścić pańskie prywatne wojsko.

Lamont i Jackie wyszli za inspektorem z biura i po wytartych schodach zeszli na parking, gdzie pogrążona w rozmowie grupa dwudziestu czterech policjantów i dwu policjantek czekała, żeby się dowiedzieć, po co ich tu zgromadzono. Umilkli na widok inspektora.

– Dzień dobry – powiedział Wall, uderzając laseczką w nogę. – Dołączyło dziś do nas dwoje oficerów z Met. Jesteśmy tu, żeby im pomóc w specjalnej operacji, która odbędzie się na naszym terenie. Oddaję głos detektywowi głównemu inspektorowi Lamontowi, który zapozna was ze szczegółami.

Lamont poczekał, aż Jackie ustawi stojak i umieści na nim zrobione z powietrza zdjęcie wielkiej posiadłości wiejskiej.

– Panie i panowie – rzekł Lamont – Met przygotowuje tę operację od kilku miesięcy, ale zawsze wiedzieliśmy, że jej wynik będzie zależał od profesjonalizmu miejscowych funkcjonariuszy. – Wskazał na nich. – To wy!

Odpowiedzią były wybuchy śmiechu i oklaski.

– Mamy podstawy sądzić – odezwał się Wall – że dziś w nocy dobrze zorganizowana szajka przestępcza dokona napadu na tę posiadłość.

Jackie wskazała fotografię olbrzymiej rezydencji projektu Lutyensa otoczonej kilkoma akrami parku.

– Szajka zamierza skraść obraz Picassa wart kilka milionów dolarów i zwiać na długo przed pojawieniem się policji. Ale my będziemy na nich czekać. Może zapytacie, dlaczego potrzebujemy tak dużych sił do przeprowadzenia operacji, skoro będzie trzech, może czterech złodziei. Ano dla-

tego, że wiemy, kto stoi za tym szwindlem, a on już niejeden raz nas wykiwał. Więc tym razem chcemy złapać go za jaja, zanim pomyśli, żeby załatwić nas znów.

Teraz oklaski zabrzmiały głośniej.

– Mogę was zapewnić, że dranie dobrze się przygotowali do tej szczególnej, doskonale zaplanowanej operacji – zabrał głos Lamont. – Oni wiedzą, że właściciele są na wakacjach, wiedzą też, że do najbliższego posterunku policji jedzie się dwadzieścia minut, co ich zdaniem da im aż nadto czasu, żeby zniknąć bez śladu, zanim pojawi się policja. Moja zastępczyni, detektyw sierżant Roycroft, przedstawi wam teraz szczegóły operacji „Okres błękitny” i powie wam, jaką rolę będziecie odgrywać. Detektyw sierżant Roycroft.

Jackie wystąpiła do przodu, zachwycona widokiem tylu rozentuzjazmowanych twarzy; wszyscy aż się palili, żeby schwytać prawdziwych drani i przygwoździć zwłaszcza jednego z nich.

12.45 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

Samolot linii Alitalia wylądował na lotnisku Da Vinci z kilkuminutowym opóźnieniem. William, schodząc po schodkach, od razu spostrzegł porucznika Montiego czekającego obok nieoznakowanego samochodu.

William przedstawił Hawksby’ego Montiemu, ten zasalutował, otworzył tylne drzwi samochodu i czekał, aż usiądą. Hawksby się dziwił, że porucznik jest nieogolony i wonieje czosnkiem, ale nic nie powiedział.

– Bez kontroli paszportowej i celnej? – spytał William.

– Gdybyś to był tylko ty, Williamie – rzekł Monti – czekałbym na ciebie w hali przylotów, ale kiedy mój *comandante* usłyszał, że będzie z tobą komendant Hawksby, rozkazał mi włączyć wszystkie rejestry. Mam nadzieję, że to właściwe angielskie wyrażenie?

– Bezbłędne – odparł William. – Wywodzi się ono z gry na organach i oznacza sytuację, kiedy organista włącza wszystkie rejestry, żeby osiągnąć pełne natężenie dźwięku.

– Dziękuję, konstablu – odezwał się Hawksby. – To bardzo interesujące.

– Do Civitavecchia nie jest daleko – powiedział Monti, kiedy wyruszyli. – Ale musimy tam dotrzeć dobrze przed Carterem i Grantem. Mają rezerwację w Grand Hotelu – „grand” tylko z nazwy.

– A my gdzie się zatrzymamy? – zagadnął Hawksby.

– Obawiam się, że pański hotel jest nawet mniej paradny. Ale ma tę zaletę, że znajduje się na nabrzeżu, więc zarezerwowałem panu pokój z widokiem na port.

– A William?

– Będzie cały czas ze mną. Kapitan portu poinformował mnie, że Carter wyczarterował na siedem dni mały, w pełni wyekwipowany statek płytkowodny do poszukiwań i wydobywania zatopionych obiektów. Idealnie się nadaje na ekspedycje w poszukiwaniu skarbów na dnie morskim.

– Dlaczego siedem dni – spytał William – skoro wezmą na pokład to, czego szukają?

– To tylko na pokaz – wyjaśnił Monti – chociaż nie jesteśmy pewni, ile osób z załogi bierze udział w tym szwindlu. Zakładamy, że na pewno kapitan i dwóch nurków.

– Czyli mamy tylko siedzieć w Civitavecchia, czekając na ich powrót, i dopiero potem ich zaaresztować?

– Skądże – odpowiedział Monti. – Zgłosiłem nas obu jako marynarzy pokładowych. Im wyraźnie zależy na licznych niczego nieświadomych widzach, świadkach ich niezwykłego odkrycia.

– Ale mój włoski nie jest taki dobry – przypomniał William.

– Wiem – rzekł Monti. – Toteż jak będziemy na pokładzie, mnie pozwolisz mówić. I powinienem cię ostrzec: to morze bywa wzburzone.

– A ja powinienem cię ostrzec – odrzekł William – że nie jestem dobrym marynarzem.

12.21 CZASU GREENWICH

– Jakieś pytania? – zwróciła się do wszystkich Jackie, kiedy zakończyła instruktaż.

Czyjaś ręka wystrzeliła w górę.

– Który z dwóch zespołów może być bardziej potrzebny?

– Nie będziemy tego wiedzieć do ostatniej chwili. Są dwa wyjścia z domu, tu i tu, gdzie będą ukryte autobusy. – Jackie wskazała mapę. – Ale nie mamy pojęcia, które wybiorą. Jeżeli z jakiegoś powodu nie uda się nam ich przechwycić, mamy w pogotowiu helikopter.

– Powinienem podkreślić – wtrącił Lamont – że gdy będziecie czekać, nie możecie słuchać radia ani nawet rozmawiać, bo najcichszy dźwięk ich zaalarmuje. Nie okażcie się durniami, nie spłoszcie ich.

– Jak pan przypuszcza, sir, jakim pojazdem przyjadą?

– Ze względu na rozmiar obrazu, który zamierzają ukraść – rzekł Lamont – może to być duży furgon. Oni dokładnie wiedzą, czego szukają, i możecie być pewni, że opracowali drogę ucieczki w najdrobniejszych szczegółach. To dlatego potrzeba was tak wielu, żeby otoczyć cel.

– Czy mogą być uzbrojeni?

– Uważamy, że to mało prawdopodobne – odparł Lamont. – Za zbrojną napaść można dostać dożywocie, a za włamanie rzadko więcej niż sześć miesięcy. Ale dla bezpieczeństwa będziemy mieć mały oddział uzbrojonej jednostki specjalnej, dobrze ukryty.

– Jakiś cynk, kiedy mogą uderzyć? – spytał młody konstabl.

– Nie przed szóstą i nie po północy – powiedział Lamont bez wyjaśnienia.

Zapadło długie milczenie.

– Jeżeli nie ma więcej pytań – odezwała się Jackie – zróbmy przerwę na lunch. Po południu spróbujcie uderzyć w kimono i zanim wsiądziecie do autobusu, koniecznie skorzystajcie z toalety. Pierwszy autobus odjedzie o czwartej dziesięć. Drugi ruszy dwadzieścia minut później, żeby to nie wyglądało jak konwój.

– A jak będziecie na miejscu – powiedział Lamont – nie zapominajcie, że milczenie jest naszą najskuteczniejszą bronią.

14.08 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

Monti zawiózł Williama i Hawksby’ego prosto do hotelu na nabrzeżu w Civitavecchia i poszli razem do pokoju na trzecim piętrze, który Monti zarezerwował dla komendanta. Pierwsze, co zrobił Hawksby, to sprawdził

widoczność z okna. Wyraźnie widział port i nie potrzebował lornetki, żeby obserwować wyczarterowany przez Cartera statek. Monti dostarczył nawet broszurkę firmy w języku angielskim z fotografią wraku statku na okładce, mającą skusić potencjalnych klientów. Jednak nie podano w niej liczby niepowodzeń w ciągu lat. Ale przecież załogą byli w najlepszym wypadku piraci, natomiast klienci, którzy wynajmowali statek, to często byli romantycy goniący za marzeniem. Nie tym razem.

William chciał już wziąć prysznic, ale Monti powiedział:

– Nie zawracaj sobie głowy. Nie zapominaj, że jesteś marynarzem pokładowym. Nie trzeba, żebyś pachniał jak lilia.

Teraz Hawksby zrozumiał, dlaczego porucznik od kilku dni się nie golił i śmierdział czosnkiem.

Monti otworzył duży kufer, który już wcześniej zostawił w pokoju, i zaprezentował kostiumy odpowiednie do ról, które mieli odegrać: dwie pary mocno znoszonych dżinsów, dwie koszulki bawełniane, gładkie, bez żadnych napisów, dwa swetry – jeden niebieski, jeden szary – i dwie pary sportowych butów bez nazwy firmy. Wszystko wyglądało na przechodzone i było przechodzone.

– Miejmy nadzieję, że wybrałem dobry rozmiar – powiedział Monti, kiedy William zaczął wciągać dżinsy.

– A co ze mną? – spytał Hawksby.

– Z panem wszystko w porządku, sir – orzekł Monti. – Gdy będzie się pan przechadzał nabrzeżem ubrany tak jak teraz, wszyscy pomyślą, że jest pan właścicielem wielkiego jachtu, a nie że wypatruje pan dwóch złoczyńców.

– Chciałbym…

– Musimy teraz pana opuścić, sir. Powinniśmy być na pokładzie przed przyjściem Cartera.

– Czy mam jakieś wsparcie, gdyby oni nagle zmienili plany?

– Ujrzy pan ludzi ze wsparcia, tylko jeśli będzie pan ich potrzebował – rzekł Monti. – Ale mogę pana zapewnić, że to nie jest jedyny pokój, jaki tu zarezerwowaliśmy.

– *Chapeau* – skwitował Hawksby, dotykając czoła.

Gdy Monti i William wyszli, komendant powrócił do punktu obserwacyjnego i patrzył na dwóch młodych policjantów, gdy wędrowali nabrze-

żem i wchodzili na statek, by się zgłosić do starszego marynarza pokładowego. Jakże chciałby być o dwadzieścia lat młodszy!

13.08 CZASU GREENWICH

Lamont i Jackie dołączyli w stołówce do drużyny, żeby zjeść lunch. Gwar pełnych oczekiwania rozmów dowodził, jak wszyscy byli chętni do podjęcia roboty.

O czwartej, po ostatniej odprawie detektyw sierżant Roycroft, Lamont podzielił młodych policjantów na dwie grupy, które załadowały się do dwóch autobusów. W tym czasie oddział ze specjalnego wydziału policji zbrojnej wyruszył ze Scotland Yardu z rozkazem skontaktowania się z detektywem głównym inspektorem Lamontem w chwili dotarcia do miejsca przeznaczenia.

Jedenaście po czwartej pierwszy autobus ruszył z parkingu i podjazdem wyjechał na główną ulicę. Utrzymywał stałe tempo jazdy, cały czas trzymając się lewego pasa ruchu i nie przekraczając limitu prędkości. Trzydzieści trzy po czwartej drugi autobus zręcznie włączył się w arterię komunikacyjną i przebijał się przez zator samochodów, którymi pierwsze osoby wracały już do domu z pracy, podczas gdy pasażerowie autobusu do pracy się wybierali.

Kiedy inspektor Wall oznajmił, że razem z nimi weźmie udział w akcji, Lamont był zaskoczony. Uznał, że jeżeli Wall ma nadzieję poprzedzić swój stopień przedrostkiem „główny”, to operacja „Okres błękitny” będzie dobrze wyglądać w zapisie przebiegu jego służby. Lamont musiał przyznać, choćby tylko przed sobą, że myśl o awansie też przemknęła mu przez głowę.

Inspektor, Lamont i Jackie jako ostatni wyjechali z posterunku policji w Guildford nieoznakowanym samochodem. Gdy dotarli do celu, obydwa

autobusy były na miejscu, z wyłączonymi silnikami i światłami. Dwudziestu sześciu mężczyzn i trzy kobiety siedzieli i czekali w milczeniu.

16.23 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

Po złożeniu bagaży w kajutach na dole dwaj nowi wędrowni marynarze zgłosili się do służby na głównym pokładzie.

– Jak długo będziemy płynąć na miejsce? – zapytał Monti starszego marynarza.

– To około osiemdziesięciu mil morskich, czyli trochę powyżej ośmiu godzin. Wypływamy, jak tylko nasi klienci i nurkowie wejdą na pokład. A tymczasem wy dwaj możecie pomóc w załadunku.

William i Monti przyłożyli się do roboty, ładując wszystko, od skrzynek z jabłkami do nowego kołowrotu, bo szyper najwyraźniej chciał, żeby wyglądało, że spędzą na morzu co najmniej siedem dni.

William przerwał pracę raz – gdy przy schodni zatrzymał się mercedes i dwóch mężczyzn wysiadło na nabrzeże. Rozpoznał ich natychmiast. Dwóch marynarzy zabrało ich bagaż – dość skromny, pomyślał William, skoro wynajęli statek na tydzień. Grant wciąż dzierżył pękatą torbę podróżną i pilnował, żeby dwaj marynarze nawet się do niej nie zbliżyli.

William i Monti usunęli się na bok, unikając spotkania z dwoma pasażerami w chwili, gdy wsiadali na statek.

– Nie wyobrażam sobie, żeby dużo się działo przed dotarciem na miejsce – szepnął Monti – ale nie możemy ryzykować. Musimy więc zostać na pokładzie do końca wachty.

18.22 CZASU GREENWICH

– Ekipa z uzbrojonej jednostki specjalnej w gotowości, sir – odezwał się głos przez interkom, co po dwu godzinach milczenia zabrzmiało jak trzask pioruna.

– Witamy na pokładzie – rzekł Lamont. – Zachowajcie ciszę radiową, dopóki nie zobaczycie, jak rabusie wchodzą do domu.

– Przyjąłem, sir.

21

22.06 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

William położył się na pryczy tuż po dziesiątej, ale nie spał. Część marynarzy grała w karty, inni opowiadali nieprawdopodobne historie o skarbach, które wydobyli z dna oceanu. Wkrótce stało się jasne, że nie mieli pojęcia, jak udana będzie ta wyprawa, i niewielu wyrażało optymizm.

Podczas gdy William odpoczywał, Monti nadal pracował i pełnił straż na pokładzie. Tuż po północy pojawił się przy koi Williama i ponieważ panował większy spokój, mógł zdać relację koledze bez obawy podsłuchu.

– Na pokładzie nie wydarzyło się nic szczególnego – powiedział. – Carter i Grant nie opuścili swoich kabin, odkąd wypłynęliśmy w morze. Wątpię, czy ujrzymy któregoś z nich przed świtem. Ale nie możemy sobie pozwolić na ryzyko, więc lepiej mnie zmień. Jak wyjdziesz na pokład, zobaczysz szalupę ratunkową po stronie sterburty.

– Która to? – zapytał William.

– Prawa, idioto. Myślałem, że pochodzisz z kraju marynarzy. Wleź pod plandekę, żeby ktoś, kto wyjdzie na pokład, cię nie zobaczył. Tylko nie zaśnij. Zbudź mnie o czwartej, wtedy cię zmienię.

William wszedł spiralnymi schodami i stanął na pokładzie. Ujrzał szalupę lekko kołyszącą się na wietrze i ostrożnie zaczął się ku niej skradać, przystając przy najcichszym obcym odgłosie.

Ostatni raz sprawdził, czy nikt go nie obserwuje. Przytrzymał łódkę i wśliznął się pod brezent. Prędko sobie uświadomił, że nie musi się obawiać, że zmorzy go sen. O wiele bardziej prawdopodobne, że zwymiotuje.

Próbował wypracować specjalną technikę i kołysać się wraz z łódką, a ilekroć spojrzał na zegarek, wskazówka minutowa jakby stała w miejscu.

Nagle, bez uprzedzenia, usłyszał tupot zbliżających się ciężkich kroków, a potem głos mówiący po angielsku.

22.19 CZASU GREENWICH

Jackie uznała, że to jest nawet gorsze niż obserwacja, bo czekali na kogoś, kogo tu nie było, a nie kogoś, kto tu jest i w końcu musi się pokazać.

00.58 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

– Wszystko na miejscu. Teraz musimy tylko…

William ani drgnął, dopóki głos nie ucichł. Padło więcej słów, ale zagłuszył je wiatr. William uniósł nieznacznie brezent i utkwił wzrok w czterech mężczyznach stojących w niewielkiej odległości od szalupy.

Grant rozsunął suwak torby podróżnej i wydobył z niej starą drewnianą kasetę, którą William pierwszy raz widział w warsztacie Cartera. Postawił ją ostrożnie na pokładzie. Starszy marynarz zręcznie omotał ją liną, jakby obwiązywał dużą paczkę z prezentem na Boże Narodzenie. Gdy się upewnił, że wszystko w porządku, przeszedł na drugą stronę i przywiązał linę do kołowrotu, który William i Monti pomagali wnieść na pokład. Marynarz pokładowy ujął korbę i wolno nią kręcił, aż lina się naprężyła. Starszy mężczyzna o ogorzałej twarzy i ciemnej rozczochranej brodzie, w czapce z galonem, przytrzymywał kasetę, która wznosiła się centymetr po centymetrze nad pokładem.

Gdy znalazła się w powietrzu na wysokości mniej więcej metra, kapitan ostrożnie ją skierował ponad poręcz nadburcia i dał znak głową. Starszy marynarz zaczął obracać kołowrotem w przeciwną stronę. Kaseta wolno opadała ku wodzie. William nie tracił jej z oczu, aż zniknęła pod falami. Upłynęło jeszcze kilka minut, nim marynarz pokładowy skończył robotę i kaseta spoczęła na morskim dnie, jakieś 130 stóp pod nimi. Wtedy kapitan i starszy marynarz opuścili za burtę małą kotwicę z boją ze światłem błyskowym, wskazującą dokładnie położenie kasety.

Carter przytknął dwa palce do czapki i skłonił się kapitanowi. Grant podniósł pustą torbę i obaj przemierzyli pokład. William wśliznął się z powrotem pod brezent, ale nie dosłyszał, co mówili, przechodząc obok szalupy.

– Mam nadzieję, że można im zaufać.

– Dostali dobrą zapłatę, a gdyby…

William nie poruszył się, postanowił czekać, dopóki nie będzie pewien, że wrócili do swoich kabin.

00.00 CZASU GREENWICH

Inspektor policji założył nogę na nogę. Bardzo chciało mu się sikać, ale nie zamierzał pierwszy się do tego przyznać. Lamont nadal wpatrywał się z nadzieją w długi podjazd wiodący do budynku, nasłuchując uważnie odgłosu silnika.

Przez ostatnie trzy godziny Jackie wielokrotnie spoglądała na zegarek i z każdą minutą ogarniał ją coraz większy niepokój.

2.00 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

William uniósł nieznacznie brezent i rozejrzał się dokoła. Nikogo nie widać. Spojrzał na zegarek, po czym wyczołgał się spod brezentu rozkołysanej szalupy i z trudem przerzucił się przez burtę, omal nie tracąc uchwytu. Wylądował głową naprzód na śliskim pokładzie.

Próbował odzyskać równowagę i wstać, ale był tak słaby i tak kręciło mu się w głowie, że musiał się uchwycić relingu. W końcu się poddał, wychylił za burtę i zwymiotował. Gdy podniósł wzrok, zauważył, że statek okrąża teraz boję podskakującą na wodzie.

Minęło trochę czasu, zanim przyszedł do siebie i zdołał zejść krętymi schodami, a potem paść na koję, gdzie leżał nieruchomo, powstrzymując się od wymiotów.

Postanowił nie budzić Montiego, bo nie było sensu, żeby tkwił przez dwie godziny w szalupie, skoro nic nie miało się wydarzyć przed świtem. Nie mógł zasnąć.

1.07 CZASU GREENWICH

Lamont usłyszał z tyłu dźwięk zbliżającego się samochodu. Po chwili obok przemknął zielony jaguar i wjechał na podjazd z włączonymi światłami. Zatrzymał się przed domem.

Kierowca wysiadł z samochodu, otworzył frontowe drzwi i zniknął w środku. Po chwili zapłonęło światło w holu.

Lamont kilkakrotnie zaklął, a potem przerwał ciszę radiową i wydał rozkaz, którego tak się obawiał.

– Operacja „Okres błękitny” nieudana. Powrót do bazy.

Może dobrze, że nie słyszał chóru pomruków i przekleństw w dwóch autobusach, gdzie lojalni szeregowi policjanci trwali w milczeniu ponad pięć godzin. Kilku wyskoczyło z autobusu i zaczęło jednocześnie sikać.

6.09 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

– Dlaczego nie zbudziłeś mnie o czwartej? – spytał Monti.

Gniewnie spojrzał na Williama, który miał twarz w kolorze swojego przepoconego prześcieradła i nadal się pocił. William położył palec na ustach i pokazał, że powinni wyjść na pokład.

Nad ich głowami krążyły skrzeczące mewy, podczas gdy William pokazywał błyskającą boję, która podskakiwała na falach, a potem tłumaczył Montiemu, czemu go nie obudził.

– Słusznie – przyznał Monti.

Popatrzyli na mostek, skąd kapitan sterował statkiem, który okrążał boję, zataczając coraz mniejsze koła. Nigdzie nie było widać Cartera ani Granta, ale William wątpił, żeby spali.

Przez czterdzieści minut Monti i William wypełniali polecenia starszego marynarza, ale ich spojrzenia wciąż wracały do wejścia do prywatnych

kabin w oczekiwaniu na pojawienie się głównych aktorów.

Tuż po siódmej na pokładzie zjawił się Carter w towarzystwie dwóch nurków w strojach piankowych. Nurkowie włożyli maski i płetwy, usiedli tyłem na burcie i włożyli aparaty tlenowe. Po czym wpadli do wody i zniknęli pod falami.

5.20 CZASU GREENWICH

Inspektor Wall odwiózł Lamonta i Jackie do Guildford i wysadził ich w centrum miasta.

– Jestem pewien, że potraficie znaleźć drogę na stację – rzucił i odjechał.

– Trudno mieć do niego pretensje – powiedziała Jackie dwadzieścia minut później, gdy stali na zimnym, ponurym peronie, czekając na pierwszy pociąg do Waterloo.

– Kiedy wrócimy do Yardu – rzekł Lamont – prawdopodobnie się dowiemy, że główny inspektor Warwick jest nowym szefem wydziału sztuki i antyków, a ja zostałem zdegradowany do rangi detektywa sierżanta i muszę mu mówić sir.

– A ja trafię z powrotem do rewiru jako funkcjonariuszka drogówki.

8.30 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

W ciągu następnej godziny dwaj nurkowie wynurzyli się na powierzchnię cztery razy, przy każdej okazji z kciukami w dół na znak niepowodzenia, po czym wracali do roboty. Po dalszych dwu godzinach wyczerpani wdrapali się na pokład i leżeli płasko na deskach, dochodząc do siebie. William podejrzewał, że ani razu nie zanurzyli się głębiej niż na metr.

Carter i Grant mieli miny odpowiednio zawiedzione i załoga już traciła zainteresowanie tymi próbami. Lecz William wiedział, że to tylko pierwszy akt przedstawienia i że po przerwie kurtyna znów pójdzie w górę.

Gdy nurkowie nabrali sił, wrócili do zadania. Podczas następnych dwóch godzin wszyscy widzieli trzy razy kciuki w dół. To Monti zauważył, że nie widać już boi i migającego światła.

– Musieli zlokalizować kasetę – szepnął.

– Ale jeszcze nie chcą się do tego przyznać – zauważył William.

Nurkowie znów zniknęli pod falami, a gdy się wynurzyli, jeden z nich wymachiwał ręką jak szalony, a drugi trzymał kciuk w górę. Załoga pobiegła do sterburty i zaczęła wznosić okrzyki, William zauważył jednak, że kapitan zachowuje niezwykły spokój. Ale on już znał drugi akt.

Starszy marynarz prędko podszedł do kołowrotu i zaczął wybierać linę. Carter i Grant dołączyli do członków załogi, którzy wychylili się za burtę pełni oczekiwania, i kiedy parę minut później wyłoniła się kaseta obrosła skorupiakami, mieli miny tak zaskoczone i wniebowzięte jak reszta załogi.

Starszy marynarz zwolnił tempo, aby cenny ładunek bezpiecznie przenieść nad relingiem i złożyć na pokładzie. Ukląkł i zaczął rozwiązywać linę, a tymczasem kapitan zszedł z mostka. Wszyscy utworzyli krąg i czekali niecierpliwie, żeby zobaczyć, co jest w kasecie. Hm, nie wszyscy.

Gdy zdjęto linę, starszy marynarz odstąpił na bok, aby Carter dokonał ceremonii otwarcia, ale on wciąż udawał, że potrzebuje pomocy Granta do otwarcia zardzewiałego starego zamka. William zachodził w głowę, w jakim sklepie ze starociami Carter znalazł tak przekonujący rekwizyt. Kiedy w końcu uniesiono wieko, nastał moment kompletnej ciszy, bo wszyscy na pokładzie wlepili z niedowierzaniem wzrok w 712 srebrnych monet o nieregularnym kształcie. Tylko Carter wiedział, ile dokładnie ich jest.

Załoga statku zaczęła wznosić okrzyki, gdy Grant podniósł kasetę i utulił ją w ramionach, niby jedyne dziecko ocalone z morskiej głębi. Potem wolno powędrował w stronę kabin, o krok za nim szedł śmiejący się Carter.

Kapitan ogłosił załodze, że natychmiast wracają do portu, ale i tak każdy marynarz pokładowy otrzyma pełną zapłatę. To wywołało jeszcze głośniejszą owację.

10.54 CZASU GREENWICH

– Biuro komendanta Hawksby’ego.

– Tu Bruce Lamont, Angelo. Możesz mnie połączyć z szefem?

– On jest jeszcze we Włoszech, Bruce. Nie spodziewam się go przed poniedziałkiem.

– Czy przypadkiem tam nie zostanie?

– Słucham, główny inspektorze?

– Angelo, nigdy tego nie słyszałaś.

– Nie może to poczekać do poniedziałku?

– Będzie musiało. Ale ja już się przyzwyczajam do czekania tylko po to, żeby się przekonać, że nie było na kogo.

12.36 CZASU ŚRODKOWOEUROPEJSKIEGO

Kiedy statek przybił do portu, William i Monti przechylili się przez reling i patrzyli, jak Grant taszczy kasetę, schodząc trapem. Wciąż ją tulił do piersi, gdy wsiadał na tył czekającego samochodu.

William rozpoznał kierowcę. Zabawne, pomyślał, że dokładnie wiedział, kiedy będzie potrzebny, żeby zabrać dwóch pasażerów, chociaż nie mieli sposobu komunikowania się ze sobą. Carter wymienił uścisk rąk z kapitanem, starszym marynarzem i dwoma nurkami, ujawniając, kto był w spisku. Potem zszedł po schodni i dosiadł się do Granta.

Gdy samochód odjechał i zanim William mógł o to zapytać, Monti powiedział:

– Nie martw się, ktoś za nimi jedzie. Zresztą i tak wiemy, dokąd zmierzają.

– Ale gdyby zmienili plany? – spytał William.

– To ich aresztujemy, ukradniemy kasetę i przejdziemy na emeryturę.

William się roześmiał w chwili, gdy szykownie ubrany mężczyzna w dwurzędowej marynarce, wyglądający na bogatego turystę, przeszedł koło statku i skierował się z powrotem do hotelu.

William i Monti stanęli w kolejce z resztą załogi po zapłatę za cały tydzień pracy. To nie była tania operacja, pomyślał William, ale przecież Carter potrzebuje też aktorów drugoplanowych, by powtarzali rodzinom, przyjaciołom i wszystkim, którzy zechcą słuchać, przekonujące opowieści o tym, czego byli świadkami.

Gdy się obaj zmustrowali, powrócili do hotelu, gdzie czekał Hawksby. Teraz William mógł wziąć prysznic, a Monti ogolił się i pierwszy raz od kilku dni umył zęby.

Przebrali się w swoje ubrania i poszli z Hawksbym na lunch, chociaż William wcale nie był głodny. Właśnie kończyli główne danie, gdy do stolika podszedł kelner i oznajmił porucznikowi Montiemu, że jest do niego telefon, który może odebrać w recepcji.

– Porządny facet ten Monti – powiedział Hawksby, unosząc kieliszek, kiedy Włoch się oddalił.

– Na pewno – przytaknął William, dolewając sobie wina. – Ciekaw jestem, jak powiodła się operacja „Okres błękitny”.

Hawksby spojrzał na zegarek.

– Tak czy inaczej, powinna się już skończyć – powiedział, gdy porucznik wrócił do stolika.

– Mogę potwierdzić, że drewniana kaseta mieszcząca ponad siedemset srebrnych monet została przekazana Włoskiemu Urzędowi Morskiemu w Rzymie. Pan Carter okazał urzędowe pozwolenie i twierdzi, że znalazł ukryty skarb. Towarzyszył mu pan Booth Watson – oznajmił Monti.

Jastrząb i William uderzyli dłońmi w stół.

– Ostatnio widziano pana Cartera, jak go fotografowano i jak rozmawiał z dziennikarzami o swym niezwykłym odkryciu – rzekł Monti, gdy William napełniał mu kieliszek. – Jak zamierza pan teraz postąpić, sir?

– Nie ma pośpiechu – odpowiedział Hawksby. – Młyny rządowe mielą wolno, więc dlaczego nie pozwolić łotrom cieszyć się przez kilka dni profitami, których nie zarobią, i dopiero potem rozgłosić światu, że ich zadziwiające odkrycie nie jest warte siedmiuset tysięcy funtów, ale kilka tysięcy z górą.

– I nawet nie dostaną tego do rąk – powiedział Monti – ponieważ musimy skonfiskować kasetę i jej zawartość jako dowód w zbliżającym się procesie, który odbędzie się nie wcześniej niż za rok.

13.25 CZASU GREENWICH

William z komendantem rozstali się na Heathrow.

– Zgłoś się u mnie w biurze w poniedziałek rano, żeby złożyć raport – powiedział Hawksby. – Życzę ci miłego weekendu.

Po raz pierwszy William czuł się pełnoprawnym członkiem zespołu.

Wsiadłszy do metra jadącego do Londynu, zastanawiał się, czy Lamontowi i Jackie też się powiodło z operacją „Okres błękitny”. Chciał zadzwonić do niej do domu, ale uznał, że to może poczekać do spotkania z Jastrzębiem w poniedziałek.

Wyszedł ze stacji metra South Kensington i podążył w stronę domu. Ale czy to jeszcze był dom? Czy Beth mu wybaczyła i zapomniała już ich pierwszą sprzeczkę, czy nie otworzy mu drzwi? A jeśli tak, to kto ją potępi? Pełen niepokoju zbliżył się do frontowych drzwi, kiedy jednak włożył klucz, nie tylko drzwi się otworzyły, ale jego kwiaty stały w holu w wazonie.

Beth wybiegła z kuchni i zarzuciła mu ręce na szyję.

– Przepraszam – powiedziała. – Zachowałam się jak idiotka. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że nie możesz rozmawiać o swojej pracy, zwłaszcza kiedy dotyczy to Rembrandta. Ale proszę, gdy następnym razem wymkniesz się w środku nocy, to przynajmniej zatelefonuj i daj mi znać, kiedy wrócisz do domu. Przez ostatnie trzy dni zastanawiałam się, czy mnie zostawiłeś, a kiedy nie dzwoniłeś…

– Wykonywałem zadanie.

– Nie muszę wiedzieć – zapewniła Beth, prowadząc go do kuchni. Stół był już nakryty, należało tylko zapalić świece. – Ugotowałam specjalne danie dla skłóconych kochanków, żeby wynagrodzić ci moje okropne zachowanie. Będzie gotowe za jakieś pół godziny i wtedy powiem ci nowinę.

William objął ją i pocałował.

– Tęskniłem za tobą.

– Ja też tęskniłam. Myślałam, że cię straciłam.

Schwycił ją za rękę i wyprowadził z kuchni.

– Ale nie jedliśmy jeszcze obiadu – zaprotestowała, kiedy ciągnął ją na górę.

– Ludzie nie stronią od seksu przed obiadem.

– Jaskiniowiec – powiedziała Beth, gdy zaczął jej rozpinać sukienkę.

William czytał artykuł w „Guardianie” – gazecie, której nigdy nie brał do ręki, zanim poznał Beth. Przejrzał dwukrotnie sprawozdanie rzymskiego korespondenta, potem podał gazetę Beth i czekał na jej reakcję.

– O rety! Ponad siedemset tysięcy funtów – powiedziała. – Ale wyczyn. Czy dlatego wyszedłeś w takim pośpiechu? Przepraszam, nie powinnam pytać.

William przytaknął.

– Prawdziwa historia ukaże się niedługo, ale nie zostanie wydrukowana na dwunastej, tylko na pierwszej stronie. Do tej pory nie mogę nic powiedzieć.

– Rozumiem – stwierdziła Beth, ścinając czubek jajka.

– Wczoraj wieczorem – rzekł William – napomknęłaś, że też masz jakąś ciekawą wiadomość.

– To było, zanim mi przerwałeś, jaskiniowcu.

– Więc mi powiesz?

– Mam nową pracę.

– Odchodzisz z Fitzmolean?

– Nie, dopóki nie odzyskasz obrazu, nie wolno mi się rozglądać za czymś innym.

– Więc co takiego?

– Awansowali mnie na stanowisko asystentki kustosza w dziale obrazów.

– Całkiem mi się podoba, że mieszkam z asystentką kustosza, ale nie wiem, co ona robi.

– Będę organizowała specjalne wydarzenia, jak wystawa van Eycka w przyszłym miesiącu, i będę podlegać bezpośrednio kustoszowi Markowi Cranstonowi.

– Dostaniesz podwyżkę?

– Nie ma o czym mówić. Ale szczerze: nawet nie wiedziałam, że zaproponują mi to stanowisko.

– Rodzice będą z ciebie dumni – rzekł William.

– Wczoraj wieczorem zatelefonowałam do ojca, żeby podzielić się z nim dobrą nowiną.

William się zdziwił, ale nic nie powiedział.

– I mam jeszcze jedną nowinę: Jez się wyprowadza.

– Do faceta?

– Tak, do swojego przyjaciela Drew, więc będę się rozglądała za nowym lokatorem. I zanim zapytasz, odpowiedź brzmi: nie.

22

W poniedziałek rano William i Beth wyszli razem z domu. Nowa asystentka kustosza w dziale obrazów chciała być wcześnie pierwszego dnia, a William musiał napisać raport z wyprawy do Włoch.

Rozstali się przed stacją metra South Kensington, Beth poszła do muzeum na piechotę. William rozmyślał o weekendzie, który spędzili razem. Nie mógł się udać lepiej i teraz jeszcze bardziej pragnął, żeby Beth spotkała się z jego rodzicami. Spytał ją, czy mogłaby zjeść u nich lunch w niedzielę, ale ona znów go zbyła, tłumacząc, że obiecała przyjaciółce odwiedzić ją tego popołudnia w szpitalu i nie może odwołać wizyty z tak krótkim wyprzedzeniem. Więc może w następną sobotę, zasugerował. Nagle przyszło mu coś do głowy, coś, co powinno już dawno zaniepokoić detektywa. Dokładnie obejrzy pocztówki z Hongkongu, kiedy wieczorem wróci do mieszkania.

Wchodząc do biura, William się zdumiał, nie zobaczywszy ani Lamonta, ani Jackie. Usiadł przy swoim biurku i zaczął sporządzać raport, przy czym myślał, że musi pamiętać, by zadzwonić do Montiego i podziękować mu, bo bez jego poparcia i pomocy Carter spieniężyłby monety i teraz by sobie żył z nieuczciwie zdobytych zysków.

Za pięć dziewiąta William zabrał teczkę Cartera, powędrował korytarzem i zapukał do drzwi komendanta: Angela zaprosiła go gestem do świętego przybytku szefa, gdzie ujrzał Lamonta i Jackie, którzy siedzieli przy stole i uważnie słuchali przełożonego.

Hawksby skinął na Williama, kiedy ten zajął swoje zwykłe miejsce obok Jackie.

– Przez prawie cały weekend odbierałem telefony od szefa policji w Surrey i inspektora Walla z policji w Guildford – oznajmił Hawksby. – I powiadam wam, żaden nie przebierał w słowach. Niekompetentni, nieprofesjonalni, amatorzy – to były najłagodniejsze określenia. Komisarz z Surrey mnie ostrzegł, że jeżeli do południa nie złożę sprawozdania zastępcy komi-

sarza policji londyńskiej, on to zrobi. I nie mogę powiedzieć, że go obarczam winą.

– To ja ponoszę winę, sir – odezwała się cicho Jackie. – Byłam przekonana, że mój kontakt jest wiarygodny, ale okazało się, że to mnie wystrychnięto na dudka.

– Wraz z dwudziestoma sześcioma funkcjonariuszami policji, nie licząc elitarnego oddziału policji zbrojnej, załogi helikoptera w gotowości i rozsierdzonego inspektora, którego stanowisko jest teraz zagrożone.

Ani Lamont, ani Jackie nie próbowali się bronić.

– I nie dość tego – ciągnął Hawksby – bo się okazało, że to tylko misternie przygotowana pułapka, ponieważ kiedy siedzieliście, czekając na tych drani, oni włamali się do domu parę mil dalej, gdzie skradli Renoira wartego kilka milionów. Leigh dobrze wiedział, że słuchacie jego rozmów telefonicznych, i po prostu skierował was do innego domu, z którego, jak myśleliście, miał być skradziony Picasso. Nie dziwcie się, jeżeli Booth Watson po raz kolejny wystąpi o wysokie odszkodowanie dla anonimowego klienta.

William widział, że Jackie z trudem hamuje wzburzenie.

– Nikt inny nie ponosi winy – powtórzyła, patrząc prosto na Hawksby’ego.

Komendant zamknął teczkę i William uznał, że teraz pora wystąpić, ale Hawksby powiedział:

– Dlaczego nie stosujecie podstawowej zasady, której każdy gliniarz uczy się pierwszego dnia w rewirze? W nic nie wierz, nikomu nie ufaj i wszystko podawaj w wątpliwość.

William zawsze będzie pamiętał człowieka, który pierwszy mu to powiedział.

– Może twój niedawny awans, detektyw sierżant Roycroft, był przedwczesny – ciągnął Hawksby. – Kilka tygodni kierowania ruchem ci nie zaszkodzi.

Co najmniej na to zasłużyła.

Zapadło długie milczenie, które w końcu przerwał Lamont:

– Rozumiem, sir, że pańska ekspedycja śledcza do Włoch nie mogła pójść lepiej.

– Z tym że, jak zauważył komisarz, kiedy Carter zostanie w końcu aresztowany, to włoska policja, nie Met, otrzyma laury za operację, którą my

zorganizowaliśmy i przeprowadziliśmy.

– Ale gdybyśmy odnaleźli skradzionego Rembrandta i zwrócili obraz do Fitzmolean… – włączył się William, próbując przyjść na ratunek kolegom.

– Miejmy nadzieję, że to nie jest kolejny fałszywy alarm – rzekł Hawksby. – Czy będziesz dziś na lunchu z panią Faulkner?

– Tak, sir. Zamelduję się głównemu inspektorowi Lamontowi, jak tylko wrócę po południu.

– Czy Mike Harrison będzie ci towarzyszył? – spytał komendant trochę spokojniejszym tonem.

– Nie, sir. Ona ma się z nim spotkać w jego biurze o czwartej po południu.

– Ta kobieta coś kombinuje – rzekł Lamont. – Powinniśmy założyć, że jest równie przebiegła jak mąż i zdolna kusić nas przynętą odzyskania Rembrandta, szczególnie że wie, że dziewczyna Williama pracuje w Fitzmolean.

– Skąd może to wiedzieć? – spytał William.

– Spróbuj dla odmiany myśleć jak przestępca – warknął Lamont.

– Zgadzam się – powiedział Hawksby. – Jeżeli się okaże, że ona też bierze cię na plewy, to nie tylko detektyw sierżant Roycroft pójdzie kierować ruchem. A teraz wracajmy do pracy i nie chcę widzieć nikogo z was, dopóki nie będziecie mieli czegoś pozytywnego do zameldowania.

Gdy wrócili do biura, nastrój przypominał celę więzienną, w której skazana kobieta czeka na księdza i ostatnie błogosławieństwo.

Tuż po wpół do pierwszej William z ulgą wymknął się na lunch z panią Faulkner.

Dziarsko wędrował przez park i znalazł się na St James’s dobrze przed czasem. Gdy wkraczał do Ritza, portier w liberii przywitał go niczym stałego bywalca, przytknąwszy dwa palce do czapki. William musiał się zatrzymać w recepcji i spytać, gdzie jest sala restauracyjna.

– Na końcu korytarza, proszę pana. Nie może pan nie trafić.

Powędrował wyłożonym grubym dywanem korytarzem, mijając niewielkie wnęki, gdzie ludzie sobie gawędzili i zamawiali egzotyczne koktajle. Musiał się zgodzić z F. Scottem Fitzgeraldem, że bogaci są inni niż my.

– Dzień dobry, sir – powiedział kierownik sali, gdy William stanął u wejścia do restauracji. – Czy ma pan rezerwację?

– Jestem gościem pani Faulkner.

Kierownik sali sprawdził listę.

– Madame jeszcze nie przyszła, ale pozwoli pan, że zaprowadzę go do jej stolika.

William podążył za nim przez wielką, bogato zdobioną salę restauracyjną do stolika pod oknem z widokiem na Green Park. Czekając, dyskretnie się przyjrzał innym biesiadującym. Uderzyło go, że mogłoby to być zgromadzenie ONZ-tu.

Wstał w chwili, gdy pani Faulkner weszła do restauracji. Miała na sobie elegancką, sięgającą tuż za kolano zieloną sukienkę z harmonizującym z nią szalem i jasnobrązową skórkową torebkę, jakiej pozazdrościłaby jej Beth. Lekkim krokiem przemierzyła salę, nie pozwalając wątpić Williamowi, że inaczej niż w jego przypadku nie była to jej pierwsza wizyta u Ritza. Mimo zastrzeżeń Jastrzębia nawet on nie mógłby odmówić jej stylu i klasy.

Podczas gdy jeden kelner odsuwał jej krzesło, podszedł drugi.

– Czy mogę podać pani coś do picia?

– Tylko kieliszek szampana, a tymczasem zdecyduję, co będę jeść.

– Oczywiście, proszę pani – powiedział i się ulotnił.

– Tak się cieszę, Williamie, że mogłeś przyjść, żeby zjeść ze mną lunch – oświadczyła, gdy zjawił się kelner i podał jej szampana. – Obawiałam się, że odwołasz w ostatniej minucie.

– Czemu miałbym to zrobić, pani Faulkner?

– Christino, proszę. Bo komendant Hawksby mógłby uznać, że to niewłaściwe, skoro stawka jest tak wysoka.

– Pani zna komendanta? – zapytał zdumiony William.

– Znam tylko opinie mojego męża o nim i dlatego chcę go mieć po swojej stronie – powiedziała, gdy kierownik sali wręczył im karty dań.

– Ja poproszę tylko o wędzonego łososia, Charles – rzuciła, nie otworzywszy nawet menu. – I może jeszcze kieliszek szampana.

– Tak, oczywiście, proszę pani.

William przestudiował listę dań, która nie zdradzała cen.

– A dla pana, sir?

– Proszę o rybę z frytkami, Charles. – Nie mógł się oprzeć i dodał: – I małe piwo.

Christina stłumiła śmiech.

– Tak, oczywiście, sir.

– Czy jesteś pewna, że to nie z Mikiem Harrisonem powinnaś jeść lunch? – zagadnął William, kiedy kelner odszedł.

– Na pewno. Gdyby coś poszło nie tak, chcę wiedzieć, że kawaleria jest po mojej stronie, nie tylko były żołnierz piechoty.

– Zatem może powinnaś zaprosić na lunch komendanta Hawksby'ego?

– Gdybym to zrobiła – rzekła Christina – Miles by o tym wiedział, zanim by podano kawę, i wtedy nie miałabym szansy na przeprowadzenie mojego zamachu.

– Ale dlaczego ja?

– Jeżeli Milesowi powiedzą, że jadłam lunch w towarzystwie przystojnego młodego człowieka, to uzna, że mamy romans, bo to jest jego sposób myślenia. I jeśli potrafisz przekonać swojego szefa, że nie jestem Matą Hari, jest spora szansa, że Fitzmolean dostanie z powrotem Rembrandta, i nie mówię o kopii.

William chciał jej wierzyć, ale wspomniał słowa Lamonta „ta kobieta coś kombinuje".

– A czego oczekujesz w zamian? – spytał.

– Jestem pewna, że wiesz, że mój mąż w zeszłym tygodniu poleciał do Monte Carlo ze swoją najnowszą dziwką, i każę panu Harrisonowi zebrać dość dowodów, żebym mogła wystąpić o rozwód.

Więc Jackie to przewidziała, pomyślał William.

– Chcę też wiedzieć, gdzie będzie przebywał w dzień i w nocy podczas przyszłego miesiąca.

– Dlaczego to takie ważne? – zagadnął William, gdy położono przed nią cienką jak opłatek porcję łososia, a jemu podano rybę z frytkami, i nie w gazecie.

– Za moment do tego przejdę – rzekła Christina, gdy inny kelner napełnił jej kieliszek szampanem, a jej gościowi wlał ćwierć kwarty piwa do kryształowej szklanicy.

– Najpierw muszę ci powiedzieć, co szykuję dla Milesa, którym, jak przypuszczam, gardzisz tak samo jak ja.

William usiłował się skupić, wiedząc, że komendant będzie oczekiwał dokładnej, słowo w słowo, relacji z tego, co pani Faulkner powiedziała od chwili przyjścia do odejścia.

– Czy znasz wielkiego aktora szekspirowskiego Dominica Kingstona?

– Widziałem go w roli Leara w Royal National Theatre w zeszłym roku – rzekł William. – Doskonały.

– Nie tak doskonały jak ostatni występ jego żony.

– Nie wiedziałem, że ona jest aktorką.

– Nie jest – powiedziała Christina – ale od czasu do czasu daje przedstawienie, które powala publiczność na kolana.

William przestał jeść.

– Okazuje się, że pani Kingston co do minuty znała porządek teatralnych zajęć męża, kiedy grał, i to wykorzystała. Zamierzam zrobić to samo. Kiedy Kingston występował w roli Leara w National, nigdy nie zmieniał ustalonych zwyczajów. Wychodził z domu w Notting Hill około piątej po południu i przed szóstą był w garderobie, co mu dawało dość czasu, żeby zmienić się w podstarzałego króla przed podniesieniem kurtyny o wpół do ósmej. Pierwsza część sztuki trwa godzinę z okładem, a kurtyna ostatni raz opada mniej więcej dwadzieścia po dziesiątej. Po złożeniu ukłonów publiczności Kingston wraca do garderoby, zmywa charakteryzację i przebiera się, a potem odwożą go do domu w Notting Hill, dokąd przybywa około wpół do dwunastej. Tak więc od chwili, gdy wychodzi z domu, do momentu powrotu upływa ponad sześć godzin. Aż dość czasu.

– Na co aż dość czasu? – spytał William.

– Pewnego czwartkowego wieczoru, tuż po szóstej – ciągnęła Christina – trzy furgony przeprowadzkowe pojawiły się przed domem Kingstona i odjechały pięć godzin później. W tym czasie zabrano wszystkie meble i, co ważniejsze, jego sławną kolekcję sztuki. Kiedy więc Kingston wrócił do domu o wpół do dwunastej w nocy, zastał tam kompletne pustki.

– Czy podać panu jeszcze piwa, sir? – spytał kelner roznoszący trunki.

– Nie, dziękuję – odparł William, nie chcąc przerywać Christinie.

– Jestem wdzięczna pani Kingston – ciągnęła Christina – ponieważ zamierzam dokonać jeszcze więcej spustoszeń w majątku Milesa i, co ważniejsze, będę mieć nie siedem godzin, ale siedem dni, żeby wprowadzić w życie mój fortel.

– Dlaczego potrzeba ci siedmiu dni? – zapytał William.

– Bo tak jak pani Kingston dokładnie wiem, co on będzie robił w następnym miesiącu. 23 grudnia zamierza pozbyć się dziwki i wręczyć jej bilet powrotny na lotnisko Stansted, a sam poleci do Melbourne, żeby spędzić Boże Narodzenie w towarzystwie kilku swoich podejrzanych przyjaciół. 26

grudnia będzie siedział w loży, przyglądając się otwarciu drugiego meczu reprezentacji narodowych, więc najwcześniej może wrócić do Monte Carlo lub do Anglii 31 grudnia. Kiedy będzie pochłonięty rozgrywkami krykietowymi po drugiej stronie świata, ja będę pakowała wszystkie jego najwartościowsze obrazy w Monte Carlo i wysyłała je statkiem do Southampton. Potem wrócę do Anglii i powtórzę to w Limpton Hall. Kiedy on zawita do domu, jego cenna kolekcja sztuki będzie się składać tylko z jednego obrazu: kopii Rembrandta.

Kierownik sali sprzątnął ich talerze, a kelner winny dolał pani Faulkner jeszcze szampana.

– A co z Makinsem? On nie będzie tylko siedział i patrzył, jak pakujesz obrazy męża.

– Makins spędzi Boże Narodzenie z córką i zięciem w Krainie Jezior i nie wróci przed drugim stycznia, kiedy ja już będę w Nowym Jorku, wynosząc obrazy z naszego mieszkania na Piątej Alei. Między innymi dwa płótna Rothki, Warhola i wspaniałego Rauschenberga.

– Ale on będzie cię ścigać.

– Nie sądzę, ponieważ moim miejscem przeznaczenia będzie kraj, w którym on jest persona non grata i zostałby aresztowany jeszcze przed kontrolą paszportu. Muszę przyznać, że mam kilka do wyboru.

– Czy zdajesz sobie sprawę, że wszystko, co mi właśnie powiedziałaś, będzie powtórzone słowo w słowo komendantowi Hawksby'emu?

– Miałam nadzieję, że to powiesz. – Lekko dotknęła ręki Williama i dodała: – Nie wiem jak ty, kochanie, ale ja jestem gotowa wybrać deser.

– Czy myśli pan, że jest jakaś szansa, że ona mówi prawdę? – zapytał Lamont, kiedy William drobiazgowo zrelacjonował przebieg lunchu z panią Faulkner.

– Możliwe – rzekł Hawksby – chociaż bym się o to nie zakładał. Ale tak długo, jak Mike Harrison będzie po drugiej stronie kuli ziemskiej, mając oko na Faulknera, nie możemy wiele zrobić, dopóki ona nie zaprosi Williama do Monte Carlo.

– Dlaczego pan myśli, że to zrobi? – spytał William.

– Ponieważ z obrazem Rembrandta sama sobie nie poradzi, to zbyt ryzykowne, poza tym zdaje sobie sprawę, że to jedyna szansa, byśmy pozostali po jej stronie. Uważam, że nie skontaktuje się z tobą przynajmniej przez

dwa tygodnie, a do tej pory Carter powinien zostać aresztowany i pamięć o katastrofalnej nocy w Surrey trochę się zatrze.

Zadzwonił telefon na biurku komendanta.

– Komendant Hawksby.

– Dzień dobry, sir. Tu porucznik Monti. Pomyślałem, że do pana zadzwonię i powiem, co się u nas dzieje.

– Doceniam to, poruczniku – rzekł Hawksby, włączywszy interkom, żeby William mógł przysłuchiwać się rozmowie.

– Jak pan wie, Carter wystąpił we Włoskim Urzędzie Morskim z roszczeniem o pięćdziesiąt procent wartości monet, które, jak mówi dziennikarzom, są warte około siedmiuset tysięcy funtów.

– Co byłoby uczciwą ceną, gdyby pochodziły z Madrytu około roku 1649, a nie z Barnstaple z 1985.

– Próbna moneta została wysłana do Muzeum Artefaktów Antycznych we Florencji do zbadania przez profesora numizmatyki. Oczekuję, że jego opinia trafi na moje biurko za kilka dni.

– Z pewnością uzna tę monetę za złoto głupców.

– Co takiego?

– Podróbkę.

– Zgadzam się, sir – przytaknął Monti. – I z chwilą, gdy to zrobi, będę potrzebował tylko nakazu ekstradycji, żebyście wy mogli aresztować Cartera i Granta, kiedy pojawią się w Anglii.

– Gdzie są w tej chwili ci dwaj?

– Zatrzymali się w hotelu Albergo Del Senato, gdzie czekają na opinię eksperta.

– No to, jak się u nas mówi, będzie ich to kosztowało ręce i nogi – rzekł Hawksby.

– Jakże à propos – rzucił William.

– Ręce i nogi? Nie rozumiem – powiedział Monti.

– W szesnastym wieku włoscy malarze malowali portrety za ustaloną cenę, ale gdy ktoś chciał mieć portret całej postaci, która ma ręce i nogi, to płacił jak za zboże.

– Fascynujące – rzekł Monti.

Hawksby nie wyglądał na zafascynowanego.

– Proszę do mnie zadzwonić, gdy tylko opinia profesora trafi na pana biurko.

– Oczywiście, sir.

– Dziękuję, poruczniku.

– Właściwie, sir, gdy zadzwonię następnym razem, mogę być już kapitanem.

– Gratuluję – powiedział Hawksby. – Na pewno pan na to zasłużył.

William wrócił do swojego biura i spojrzał na nigdy niemalejącą górę teczek ze sprawami. Czeka go ciężki tydzień, ale przynajmniej przed nim miły weekend, do którego tęskni. Tylko w sobotę ma wizytę u lekarza w związku z corocznym badaniem kontrolnym, a w niedzielę lunch z rodzicami. Beth obiecała wrócić po wizycie u chorej przyjaciółki, tak żeby zdążyli pójść do kina wieczorem, ale był rozczarowany, że jeszcze nie poznała jego rodziny, bo uważał, że nie może się jej oświadczyć, zanim to nastąpi. Już słyszał, jak ojciec mówi: „I ty nazywasz mnie staroświeckim”.

23

William przybył kilka minut przed umówioną wizytą na Wimpole Street 31 A i nacisnął dzwonek z napisem Dr Ashton. Był pewien, że przejdzie badanie śpiewająco. W końcu biegał dwa, trzy razy w tygodniu, regularnie grał w squasha, a jego nowa praktyka przejścia pięciu mil dziennie zwykle bywała uwieńczona sukcesem, kiedy wracał wieczorami na piechotę na Fulham.

– Wystarczy, chłopcze – powiedział mu Lamont – że wykonasz pełny skłon, zrobisz dwadzieścia pompek, kaszlniesz, gdy doktor cię chwyci za jaja, i będziesz miał spokój przez rok.

Zabrzmiał brzęczyk. William otworzył drzwi, wszedł na drugie piętro i podał recepcjonistce swoje nazwisko.

– Doktor ma w tej chwili pacjenta, ale niedługo pana przyjmie. Proszę usiąść.

William rozsiadł się w wysłużonym skórzanym fotelu i przejrzał skąpy zestaw pism ułożonych starannie na stoliku. Nieaktualne egzemplarze „Puncha” i „Country Life” wydawały się obowiązkowe w każdej lekarskiej poczekalni. Poza tym jedynym innym czasopismem był dwutygodnik policji londyńskiej „The Job” w dużym wyborze.

Kiedy już nasycił się mądrością i dowcipem Pana Puncha i naoglądał fotografii kilku wiejskich rezydencji, na jakie nigdy nie będzie go stać, poddał się i wziął do ręki wystrzępione egzemplarze gazety policyjnej. Przerzucił kilka wydań i zatrzymał się tylko na numerze ze zdjęciem Freda Yatesa na starej okładce. Artykuł redakcyjny o bohaterstwie jego mentora, który uratował mu życie, zajmował cztery strony. William kolejny raz pomodlił się cicho za Freda. Już chciał odłożyć gazetę na stolik, kiedy tytuł na pierwszej stronie wcześniejszego wydania pozbawił go tchu: „RAINSFORD SKAZANY NA DOŻYWOCIE ZA ZAMORDOWANIE WSPÓLNIKA. Pochwała dwóch funkcjonariuszy policji londyńskiej za przeprowadzenie sprawy”.

– Doktor teraz pana przyjmie, detektywie konstablu Warwick – powiedziała recepcjonistka, zanim mógł skończyć artykuł.

Jak przewidział Lamont, badanie było dosyć pobieżne, chociaż doktor Ashton dwukrotnie zbadał ciśnienie Williama w stanie spoczynku, gdyż uważał, że na mężczyznę w jego wieku było zdecydowanie za wysokie.

Gdy kartkę z małymi rubrykami pokryły ptaszki, William otrzymał świadectwo zdrowia.

– Do zobaczenia w przyszłym roku – powiedział Ashton.

– Dziękuję – rzekł William, zapinając spodnie.

Po powrocie do poczekalni wziął do ręki gazetę policyjną, żeby dokończyć artykuł. Gdyby morderca nazywał się Smith lub Brown, nie zastanawiałby się nad zbiegiem okoliczności, ale Rainsford to nie było pospolite nazwisko. Odłożył gazetę na stolik i próbował odrzucić nasuwającą się myśl. Ale nie potrafił.

– Jesteś idiotą – powiedział.

Recepcjonistka wyglądała na obrażoną.

– Przepraszam – rzekł William. – Mówię o sobie, nie o pani.

W drodze do stacji metra nie mógł wykluczyć tej ewentualności i wiedział, że tylko jedna osoba może rozproszyć jego lęki.

Wysiadł z metra na St James’s Park i przeciął ulicę, jakby to był normalny dzień pracy. Od razu podszedł do swojego biurka i poszukał numeru telefonu. Był w pełni świadom, że nie powinien wykonywać prywatnych telefonów z biura, ale nie miał wyboru.

– Funkcjonariusz Rose – odezwał się głos.

– Dzień dobry, sir – powiedział William. – Dzwoni detektyw konstabl Warwick ze Scotland Yardu. Pan mnie pewno nie pamięta, ja…

– Jak mógłbym cię zapomnieć, konstablu. Nieborak, który popiera Fulham. Co tym razem mogę dla pana zrobić?

– Chcę spytać o waszego więźnia, Arthura Rainsforda, skazanego za morderstwo.

– Jeśli Rainsford jest mordercą – rzekł Rose – to ja jestem Kuba Rozpruwacz. Chce pan go widzieć?

– Nie, sir. Ale ciekaw jestem, czy Rainsforda ktoś dzisiaj odwiedza.

– Momencik, zaraz sprawdzę.

William czuł, jak wali mu serce, i był zadowolony, że doktor Ashton nie mierzy mu w tym momencie pulsu.

– Tak, Rainsford ma gościa dziś po południu. To jego córka. Regularnie go odwiedza. Uwielbia ojca i oczywiście jest absolutnie przekonana o jego niewinności. Ale oni zawsze tak myślą.

– Jak się nazywa? – spytał William łamiącym się głosem.

Po chwili usłyszał:

– Elizabeth Rainsford.

– Czy nie wie pan przypadkiem, gdzie pracuje?

– Każdy, kto odwiedza więzienie kategorii A, musi zgłaszać, gdzie pracuje. – Po przerwie Rose dodał: – Ona pracuje w Fitzmolean Museum. Zanim spytasz, konstablu, założę się o moją emeryturę, że nie ma nic wspólnego z kradzieżą Rembrandta.

– Nie martwię się o Rembrandta.

– To się cieszę.

– Dziękuję za pańską pomoc, sir – powiedział William i odłożył słuchawkę.

Musiał siedzieć tam ponad godzinę, usiłując coś z tego zrozumieć. Teraz pojął, dlaczego w mieszkaniu nie ma żadnych fotografii jej ojca. A kiedy zaraz po jego powrocie z Rzymu mówiła, że telefonowała do rodziców w Hongkongu, najwyraźniej zapomniała, że na Dalekim Wschodzie był wtedy środek nocy. Żałował, że nie obejrzał pocztówek z drugiej strony. Z zamyślenia wyrwał go dźwięk otwieranych drzwi i widok Hawksby'ego, który zajrzał do środka.

– Zobaczyłem światło pod drzwiami – powiedział – i pomyślałem, że sprawdzę.

William podniósł oczy na szefa. Twarz miał zalaną łzami.

– Czy stało się coś złego, Williamie? – spytał Hawksby i usiadł przy nim.

– Od kiedy pan wie?

Hawksby nie od razu odpowiedział.

– Od czasu kradzieży obrazu Rembrandta regularnie sprawdzamy wszystkich, którzy pracują w Fitzmolean, i pojawiło się nazwisko jej ojca. Jak zacząłeś się z nią widywać, omawiałem problem z Bruce'em i obaj uznaliśmy, że musiała ci powiedzieć o ojcu.

– Właśnie się dowiedziałem.

– Bardzo mi przykro – rzekł Hawksby, kładąc Williamowi rękę na ramieniu. – Wiemy wszyscy, co do niej czujesz, i Jackie uprzedziła nas, że

to może być poważne.

– Właśnie odkryłem, jak poważne – wyznał William. – Teraz nie wiem, co robić.

– Gdybym miał ci radzić, tobym sugerował, żebyś wszystko powiedział swojemu ojcu. To bystry i wnikliwy człowiek i jedno jest pewne – on ci nie da odpowiedzi, jaką chcesz usłyszeć.

– Czy pamięta pan tę sprawę, sir?

– Nie za bardzo, ale pamiętam dwóch policjantów, którzy się nią zajmowali: Sterna i Clarksona. Detektyw inspektor Stern przeszedł na emeryturę zaraz po zakończeniu procesu i szczerze mówiąc, był już najwyższy czas. Ale czy teraz wiesz, co zamierzasz z tym zrobić?

– Iść do domu i czekać, aż Beth wróci z Pentonville.

– A dlaczego nie jechać prosto do więzienia? Być tam, kiedy wyjdzie, i zabrać ją do domu.

William nie odpowiedział, siedział, patrząc przed siebie, jakby nie słyszał komendanta.

– A jeżeli chcesz zdążyć – dodał Hawksby, spoglądając na zegarek – lepiej się pospiesz.

– Jasne, że ma pan rację, sir – rzucił William. Poderwał się, schwycił płaszcz i pomknął ku drzwiom. Odwrócił się i dodał: – Dziękuję.

Znalazłszy się na ulicy, zatrzymał pierwszą nadarzającą się taksówkę.

– Gdzie jedziemy, szefie?

– Więzienie Pentonville.

– Akurat tego mi potrzeba – mruknął kierowca, gdy William usiadł z tyłu.

– O co chodzi?

– Dla taksówkarza to najgorszy możliwy kurs.

– Dlaczego?

– Jak człowiek zabiera kogoś do Pentonville, to nigdy nie dostaje zapłaty za powrót, bo większość to dożywotniacy. – William się roześmiał, chociaż zaledwie kilka minut temu wydawałoby mu się to niemożliwe. – Czy pan tam się zgłasza, czy jedzie w odwiedziny?

– Nie, zabieram moją dziewczynę.

– Nie wiedziałem, że w Pentonville siedzą też kobiety.

– Nie, nie ma tam kobiet. Ona odwiedza ojca.

– Nic poważnego, mam nadzieję.

– Morderstwo.

Długie milczenie, które zapadło, pozwoliło Williamowi zebrać myśli i zaplanować, co powie, gdy Beth zobaczy go przed więzieniem. Zrazu będzie zaszokowana, może nie zdoła uwierzyć, że chce podzielać jej kłopoty, a nie odejść.

Taksówka zjechała z głównej drogi i podążyła boczną ulicą w stronę wysokiego ceglanego muru, niemal zasłaniającego słońce. Zatrzymali się przed szlabanem.

– Dalej nie wolno mi jechać – powiedział taksówkarz.

William utkwił spojrzenie w olbrzymich drewnianych wrotach. Napis na nich głosił: Więzienie Jej Królewskiej Mości Pentonville.

– Wchodzi pan do środka, szefie?

– Nie, poczekam na zewnątrz.

– Czy chce pan, żebym zawiózł was oboje z powrotem do miasta?

– Obawiam się, że to niemożliwe – rzekł William, spoglądając na licznik i wręczając taksówkarzowi ostatnie dwa funty. – Nie wiem nawet, czy mi starczy na powrót autobusem.

– To ja panu zafunduję, szefie. Zresztą i tak muszę wracać.

– To bardzo hojne z pana strony, ale może trochę potrwać, zanim…

– Nie szkodzi. Może w ten sposób odrobię to, że nie pilnuję własnego nosa.

– Dziękuję – rzucił William, gdy otworzyły się boczne drzwi, którymi tylko jedna osoba naraz mogła opuścić więzienie.

Strumyczek odwiedzających zaczął wypływać na ulicę.

Dla wielu tych, którzy odwiedzali krewnych albo przyjaciół, to było tylko jeszcze jedno sobotnie popołudnie. Ale niektórzy szli z pochylonymi głowami, a inni wyraźnie chcieli stamtąd jak najszybciej uciec. Matki, ojcowie, żony, dziewczyny, niektóre z malutkimi dziećmi na rękach, wszyscy nieśli w sobie jakąś opowieść. I wtem pojawiła się ona, wyczerpana, z twarzą zalaną łzami. Gdy Beth go spostrzegła, zamarła, najwidoczniej przerażona, że prawda wyszła na jaw.

William szybko podszedł do niej i wziął ją w ramiona.

– Kocham cię – powiedział – i zawsze będę cię kochał.

Czuł, jak osuwa mu się w rękach, musiał ją podtrzymać.

Minęło ich kilku odwiedzających, a ona cały czas trzymała się go kurczowo jak świeżo zwolniony więzień.

– Tak mi przykro – powiedziała, nie puszczając go. – Powinnam ci powiedzieć, kiedy spotkaliśmy się pierwszy raz, ale z każdym dniem było mi trudniej. Nie planowałam, że się w tobie zakocham. Czy kiedykolwiek mi przebaczysz?

– Nie ma nic do przebaczenia – powiedział William, ujmując ją za rękę.

Otworzył dla Beth drzwi taksówki, potem usiadł koło niej.

– Dokąd, szefie?

– Fulham Gardens 32 – powiedział.

Beth położyła mu głowę na ramieniu.

– Kiedy się dowiedziałeś?

– Dziś rano.

– Zrozumiałabym, gdybyś chciał się wyprowadzić.

– Powiem to raz, Beth, i tylko raz. Nie pozbędziesz się mnie, więc do tego przywyknij.

– Ale…

– Nie ma żadnych ale.

– Jest jedno ale – powiedziała cicho. – Musisz zrozumieć, że nie mam żadnych wątpliwości, że mój ojciec jest niewinny.

„Oni wszyscy tak mówią” – William przypomniał sobie słowa Rose’a.

– Dla mnie to nie ma znaczenia – powiedział, chcąc ją uspokoić. – Tak czy owak, nie dbam o to.

– Ale mnie to obchodzi – rzekła Beth – ponieważ jestem zdecydowana oczyścić jego imię, nawet gdyby to miała być ostatnia rzecz, jaką zrobię.

Przez pewien czas siedzieli w milczeniu, wreszcie William się odezwał:

– Mogę cię o jedno poprosić?

– O wszystko. Zawsze myślałam, że mnie porzucisz, jak tylko się dowiesz o moim ojcu. Więc co zechcesz.

– Jak wiesz, mój ojciec jest jednym z czołowych adwokatów specjalizujących się w sprawach karnych.

– A ja głupio zakochałam się w jego synu.

– Gdybym go poprosił, żeby zapoznał się ze sprawą i wydał bezstronną opinię, to czy byłabyś skłonna przyjąć tę opinię?

Beth nie odpowiedziała natychmiast, ale po namyśle rzekła:

– Przynajmniej to mogę zrobić.

– A jeśli usłyszysz nie to, czego się spodziewałaś, czy pogodzisz się z sytuacją i będziesz gotowa żyć dalej własnym życiem?

– To mogłoby być trochę trudniejsze.

– Cóż, przynajmniej tyle na początek – powiedział William. – Kiedy będziemy jutro na rodzinnym lunchu, możesz powiedzieć mojemu staruszkowi, dlaczego jesteś taka przekonana, że twój ojciec jest niewinny.

– Nie jestem jeszcze na to gotowa – przyznała Beth, biorąc go za rękę. – Dzień po wizycie u ojca jest najgorszy. Czasem po prostu wciąż płaczę i nie mogę się doczekać poniedziałku i powrotu do pracy. Krok po kroku, proszę. Kiedy wrócimy do domu, wszystko ci opowiem, ale może trochę potrwać, zanim zdołam stawić czoło osądowi twojego ojca.

– Ale musisz go w końcu poznać, niezależnie od tego, co zdecyduje, ponieważ moi rodzice będą chcieli zobaczyć kobietę, którą zamierzam poślubić.

Przeważnie oświadczyny przyjmowane są z radością i obchodzone uroczyście, lecz Beth zalewała się łzami.

Gdy samochód zajechał pod ich dom, William wysiadł i podziękował taksówkarzowi.

– Przyjemność po mojej stronie, szefie, i muszę przyznać, że pierwszy raz ktoś się oświadczył w mojej taksówce.

Ten facet drugi raz rozśmieszył Williama.

William otworzył drzwi i usunął się na bok, żeby wpuścić Beth. Pierwsze, co zrobiła, to poszła prosto do pokoju, zdjęła wszystkie pocztówki znad kominka, podarła je na kawałeczki i wyrzuciła do kosza na śmieci. Potem otworzyła dolną szufladę biurka, wyjęła fotografię rodziców i ustawiła ją na półce nad kominkiem.

– Dość sekretów – oznajmiła, gdy szli do kuchni. – W przyszłości – tylko prawda.

William skinął głową, przechylił się przez stół i ujął jej rękę, a ona zaczęła mu opowiadać, jak i dlaczego ojciec został uznany za winnego morderstwa i skazany na dożywocie.

Od czasu do czasu przerywał, żeby zadać pytanie, i gdy kładli się spać, też chciał wierzyć, że Arthur Rainsford może być niewinny. Jednak wiedział, że jego ojciec, rozważając fakty w tej sprawie, będzie o wiele bardziej wymagający i sceptyczny niż niedoświadczony detektyw konstabl i młoda kobieta, która bezgranicznie uwielbia swojego ojca. Obydwoje zgodzili się honorować opinię sir Juliana.

W niedzielę rano po nieprzespanej nocy William miał do rozważenia dużo więcej pytań niż odpowiedzi, przygotowując się na spotkanie z ojcem. Kiedy po śniadaniu wychodził na stację, ani on, ani Beth nie mieli cienia wątpliwości, o co toczy się gra.

Chociaż William siedział ze spojrzeniem wbitym w okno wagonu, nie widział umykającego do tyłu wiejskiego krajobrazu. Kiedy wysiadł w Shoreham, postanowił przejść ostatnie dwie mile do Nettleford, żeby zebrać myśli i powtórzyć sobie, co zamierza powiedzieć, świadomy, że będzie miał do czynienia nie tylko ze swoim ojcem, ale też z jednym z najznamienitszych adwokatów w kraju.

Kiedy ujrzał dom kryty strzechą, w którym się wychował, zwolnił kroku. Otworzył frontowe drzwi, wiedząc, że są zamknięte tylko na klamkę, i zastał ojca siedzącego w gabinecie przy kominku, czytającego „Observera".

– Dobrze cię widzieć, mój chłopcze – powiedział, odkładając gazetę. – Znalazłeś już ten obraz Rembrandta?

– Ojcze, spotkałem kobietę, którą chcę poślubić.

– To wspaniała wiadomość. Twoja matka będzie zachwycona. Więc czemu ta młoda dama nie dołączy do nas i nie zje z nami lunchu?

– Bo jej ojciec odsiaduje dożywocie za morderstwo.

Radca królewski sir Julian Warwick siedział u szczytu stołu i uważnie przysłuchiwał się synowi, który opowiadał rodzinie, jak jego życie się zmieniło w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin.

– Nie mogę się doczekać, kiedy ją poznam – odezwała się matka. – Wydaje się wyjątkowa.

Sir Julian nie wyraził opinii.

– Ojcze, czy pamiętasz tę sprawę? – spytała Grace, kiedy William skończył swoją opowieść.

– Niejasno przypominam sobie proces, ale tylko tyle. Rainsford sam się pogrążył, kiedy przyznał się do zbrodni w obecności dwóch wyższych rangą policjantów.

– Ale… – zaczął William.

– Przeczytam jednak odpis protokołu sądowego i jeżeli coś wzbudzi choćby cień wątpliwości, odwiedzę Rainsforda w Pentonville i wysłucham, jak sprawa się przedstawia z jego strony. Ale muszę cię uprzedzić, Willia-

mie, że prokurator generalny nie zgodzi się na powtórny proces, jeśli nie będzie nowego dowodu sugerującego, że mogła zajść pomyłka sądowa. To się zdarza rzadko, ale nie jest nieznane. Więc cieszę się, że Beth zgodziła się nie drążyć tego dalej, jeżeli uznam, że nie warto kwestionować wyroku.

– Dziękuję, ojcze. Nie mógłbym prosić cię o więcej.

– Gdybyś odwiedzał pana Rainsforda – odezwała się Grace – to czy mogłabym pójść z tobą?

– W jakim celu, jeśli mogę spytać?

– Ponieważ jeżeli uznasz, że może być niewinny, i jeżeli wyjdą na światło dzienne nowe dowody, i jeżeli…

– Jeżeli, jeżeli, jeżeli. Do czego to wszystko prowadzi?

– Jeżeli zdecydujesz się podjąć tej sprawy i dojdzie do procesu przed Wysokim Trybunałem, będzie ci potrzebny adwokat młodszy.

24

– Będę w kontakcie, Ross – powiedział komendant, gdy usłyszał pukanie do drzwi.

Weszli we troje do środka i zajęli swoje miejsca wokół stołu w biurze Hawksby'ego, rozpoczynając poranne poniedziałkowe spotkanie. Wszyscy wiedzieli, że jest problem, o którym się nie mówi, ale komendant był zdecydowany prowadzić naradę jakby nigdy nic.

– Właśnie usłyszałem, że Kevina Cartera widziano znowu w Barnstaple – zaczął Lamont – i według miejscowej policji jego dom został wystawiony na sprzedaż.

– Więc Carter musiał w końcu poznać prawdę – rzekł William – i wygląda na to, że Faulkner pokrył nawet jego koszty.

– Chyba czas znów porozmawiać z porucznikiem Montim – podsunął Hawksby. – Musiał dostać ekspertyzę profesora, zatem powinniśmy się przygotować do aresztowania Cartera.

– Nic by mi nie sprawiło większej przyjemności – oznajmił Lamont – niż wyjazd do Barnstaple i aresztowanie tego drania.

– I być może także faceta, który stoi za tym szwindlem – dodał William.

– Jeszcze lepiej.

– Może Monti nawet wie, kto to jest – rzekł Hawksby. – Zatelefonuję teraz do niego i włączę głos, żebyśmy wszyscy usłyszeli, co powie. Jeśli ktoś z was będzie miał jakąś uwagę, nie przerywajcie. Napiszcie, co macie do powiedzenia, na kartce i mi podsuńcie.

Nie czekał na odpowiedź, tylko odszukał numer telefonu i go wybrał.

Odezwał się nieznany sygnał i upłynęło trochę czasu, zanim ktoś się odezwał.

– Dzień dobry, tu komendant Hawksby…

– Przepraszam, nie znam angielski.

Zapadła cisza, ale nie było sygnału wskazującego, że przerwano połączenie.

– Dzień dobry. Mówi kapitan Loretti. W czym mogę być pomocny?

– Dzień dobry, kapitanie, tu komendant Hawksby ze Scotland Yardu. Miałem nadzieję porozmawiać z porucznikiem Montim o sprawie, nad którą obaj pracowaliśmy.

– Porucznika Montiego już u nas nie ma, sir. Ale mogę panu powiedzieć, że sprawa, o której pan wspomina, została zadowalająco rozwiązana.

– Rozwiązana? Ale myśmy się umówili, że będziemy czekać, aż Monti otrzyma opinię profesora z Muzeum Artefaktów Antycznych we Florencji i wtedy jednocześnie ogłosimy, że hiszpańskie srebrne monety to falsyfikaty, a cała operacja wydobywcza została sfingowana.

– Nie tak rozumiem tę sytuację – powiedział kapitan. – Profesor z Florencji potwierdził, że przykładowy egzemplarz tych monet jest autentyczny, i w efekcie Włoski Urząd Morski uznał je oficjalnie za odnaleziony skarb. Rozpisywała się o tym włoska prasa. I dobra wiadomość, komendancie, jest taka, że porucznik Monti dokonał nie lada sztuki dla tego wydziału.

– Jakiej? – zapytał Hawksby, usiłując zachować spokój.

– Po kilku dniach trudnych negocjacji Włoski Urząd Morski zgodził się wycenić resztę monet dużo poniżej wartości proponowanej przez przedstawiciela pana Cartera.

– Na ile? – rzucił Hawksby.

– Sześćset tysięcy funtów, z czego rząd włoski musiał wypłacić tylko trzysta tysięcy. Czyli że zręczne negocjacje porucznika Montiego zaoszczędziły rządowi około pięćdziesięciu tysięcy funtów.

– Jedna moneta? – wyszeptał William, łamiąc rozkazy komendanta.

– Porucznik Monti wysłał profesorowi tylko jedną monetę do oceny? – spytał Hawksby.

– Tak – odparł kapitan. – Pozostałą część trzymano pod kluczem w Rzymie. Monti uważał, że wysłanie całej kasety do Florencji byłoby bezcelowe i niepotrzebnie ryzykowne.

Lamont naskrobał kilka słów na skrawku papieru i podsunął go Hawksby’emu.

– Powiedział pan, że porucznik Monti już u was nie pracuje…

– Tak, komendancie. Niedawno przeszedł na wcześniejszą emeryturę.

– Ale kiedy ostatnio z nim rozmawiałem, wspomniał o możliwym awansie.

– Tak, to nastąpiło nagle – powiedział kapitan Loretti. – Chyba jego matka choruje na raka i uznał, że jako jedyne jej dziecko powinien zrezygnować i wrócić do domu, żeby się nią zaopiekować. To duże poświęcenie, bo, ma pan rację, właśnie miał otrzymać awans i zostać szefem wydziału.

„Gdzie on jest?” – napisał William.

– Czy mógłbym się jakoś z nim porozumieć? – zapytał Hawksby.

– Mamy jego nowy adres na Sycylii, skąd, jak mi się wydaje, pochodzi jego rodzina.

Lamont wyrzucił ręce w górę.

– Powinienem był się urodzić we Włoszech – mruknął.

Tymczasem William zanotował kolejną sugestię i podał kartkę Hawksby’emu.

– Jeszcze jedno pytanie, jeśli można – rzekł Hawksby. – Czy wolno zapytać, kto prowadził pertraktacje w imieniu Cartera?

– Chwilkę, komendancie, zaraz sprawdzę.

William zapisał nazwisko i czekał, czy kapitan Loretti je potwierdzi.

– Ach tak, jest tutaj – powiedział Loretti. – Prawnik z Lincoln’s Inn w Londynie. Niejaki pan Booth Watson, radca królewski.

– Dziękuję, kapitanie – rzekł Hawksby, usiłując ukryć rozdrażnienie.

– Cała przyjemność po mojej stronie, komendancie. To zawsze zaszczyt pracować razem z naszymi kolegami z policji londyńskiej.

Hawksby rzucił słuchawkę, Lamont zaś w kółko powtarzał to samo słowo na cztery litery.

– Dlaczego mimo wszystko nie ruszyć do przodu i nie aresztować Cartera? – zagadnął spokojnie William.

– I zerwać wszelkie stosunki, jakie jeszcze mamy z włoską policją? Nie, nie sądzę, żeby to ucieszyło polityków w jednym czy drugim kraju.

– Czyli że nie możemy nic na to poradzić? – spytał William.

– Tylko zastrzelić Milesa Faulknera i mieć nadzieję, że starczy kuli także dla Bootha Watsona – rzucił Lamont.

– Uspokój się, Bruce. Nie mamy dowodu, że Faulkner jest w to zamieszany. Zaczerpnij tchu i idźmy dalej.

– Jak sobie życzysz, szefie – rzekł Lamont – ale jest jeszcze jedno pytanie, które chciałbym ci zadać.

Hawksby przyzwolił mu skinieniem głowy.

– Ilu ludzi, którzy pracowali we Włoskim Urzędzie Morskim, też poszło na wcześniejszą emeryturę? – powiedział i wypadł jak burza z pokoju.

William chciał pójść w jego ślady, gdy Hawksby rzucił:

– Nie zapomnij swoich teczek, detektywie konstablu.

– Ale ja nie… – zaczął William, obrócił się i spostrzegł dwie pękate teczki na stole. Schwycił je i bez słowa wyszedł z pokoju.

Po powrocie do swojego biura ujrzał, jak Lamont uderza pięścią w książkę telefoniczną.

– Faulkner czy Carter? – spytał William z głupia frant.

– System – warknął Lamont. – On zawsze sprzyja oszustom.

William usiadł przy biurku i otworzył pierwszą z dwu teczek, jakie Hawksby zostawił na stole. Wystarczyło mu przejrzeć kilka kartek, żeby zrozumieć, jakie ryzyko podjął komendant.

– Skąd to masz? – spytała Grace, pobieżnie przejrzawszy zawartość.

– Nie mogę ci powiedzieć – rzekł William.

Grace przewracała kartki.

– To wygląda obiecująco, ale muszę dokładniej przeczytać, kiedy wrócę wieczorem do domu, a zaraz rano zreferować adwokatowi głównemu.

– Czy to znaczy, że tata zgodził się odwiedzić pana Rainsforda w Pentonville?

– Tak. Przez resztę weekendu czytał odpisy protokołu sądowego z pierwotnego procesu przy akompaniamencie „hm”, „no cóż”, a nawet „to skandaliczne”.

– Czy więc sądzi, że może być szansa…

– Nie, nie sądzi – powiedziała zdecydowanie Grace. – Jednak sądzi, że jest ci winien odwiedziny u pana Rainsforda, zanim przedstawi przemyślaną opinię.

– Czy ja też mogę pójść?

– Tak, ale pod jednym warunkiem.

– A jakim to?

– Kiedy ojciec zacznie zadawać pytania panu Rainsfordowi, ty nie możesz, w żadnym wypadku, mu przerywać. Gdybyś to zrobił, ojciec zakończy spotkanie i całkowicie wycofa się ze sprawy.

– Mimo to chcę pójść.

– Więc nie lekceważ jego groźby.

– Czy ty też tam będziesz?

– Tak, mianował mnie adwokatem młodszym w tej sprawie i dał mi niewdzięczne zadanie uzyskania nowych dowodów, które by mu umożliwiły wystąpienie z wnioskiem o rewizję procesu.

– Czy coś już masz?

– Nic, ale to dopiero pierwsze dni. A jeżeli mam przed północą przeczytać te akta detektywa inspektora Sterna i konstabla Clarksona, to muszę już zacząć.

– Czy pozwolisz swojej przyjaciółce Clare je czytać?

– Zgodziła się zostać doradczynią w tej sprawie.

– To miło z jej strony – rzekł William. – Teraz musimy tylko poczekać na werdykt taty.

– Bądź wdzięczny, że masz go po swojej stronie. Bo jeżeli uzna, że nastąpiła pomyłka sądowa, nie tylko będzie walczył jak zawodnik wagi ciężkiej, którym jest, ale i wytrwa przez całe piętnaście rund.

25

Sir Julian, Grace i William jechali do Więzienia Jej Królewskiej Mości Pentonville różnymi środkami lokomocji: William autobusem z Fulham z dwiema przesiadkami; Grace metrem z Notting Hill z jedną przesiadką; sir Julian samochodem z szoferem z Shoreham w hrabstwie Kent.

Spotkali się wszyscy w recepcji, gdzie zostali zarejestrowani przez strażnika więziennego.

– Rainsford czeka na was – oznajmił strażnik i zaprowadził ich do sali przesłuchań.

Arthur Rainsford wstał, gdy weszli do ogromnego szklanego sześcioboku, i uścisnął ręce przybyłym.

– Nie wiem, sir Julianie, jak dziękować za pańską uprzejmość – powiedział. – Czuję, że już znam pańskiego syna, bo kiedy Beth mnie odwiedza, tylko o nim mówi. Chociaż wydaje mi się trochę paradoksalne, że moja córka zakochała się w detektywie, skoro moje doświadczenia z policjantami nie okazały się specjalnie szczęśliwe.

– Myślę, że się pan dowie, że to ja ją pokochałem – rzekł William, gdy obaj mężczyźni pierwszy raz uścisnęli sobie ręce i zajęli miejsca przy stole. – Przy okazji, Beth przekazuje pozdrowienia i marzy o zobaczeniu pana w sobotę.

– Dziękuję – rzekł Rainsford. – Ja też o tym marzę.

Sir Julian nie odezwał się do tej chwili, chociaż nie spuszczał oka z więźnia, usiłując dokonać oceny tego człowieka, co czynił zawsze przy pierwszym spotkaniu z potencjalnym klientem. Z listy zarzutów Rainsforda wiedział, że ma pięćdziesiąt trzy lata, jest wysoki i ma złamany nos z czasów, kiedy był bokserem w kolegium. Podejrzewał, że Rainsford osiwiał, gdy się znalazł w więzieniu. Wyglądał na wysportowanego, co świadczyło o tym, że spędzał każdego popołudnia wolną godzinę raczej na sali gimnastycznej, a nie na spacerniaku z papierosem w ustach, i że unikał więziennego jedzenia w postaci kiełbasek, fasolki i frytek. Miał łagodny głos, było

widać, że jest człowiekiem wykształconym, i na pewno nie wyglądał na mordercę. Sir Julian przekonał się w ciągu lat, że mordercy przybierają różne kształty i rozmiary, jedni mają uniwersyteckie dyplomy z wyróżnieniem, inni kończą naukę w wieku czternastu lat.

– Panie Rainsford… – zaczął sir Julian.

– Arthurze, proszę.

– Panie Rainsford, przeczytałem bardzo uważnie odpis protokołu sądowego, sprawdziłem dowody przedstawione przez oskarżyciela publicznego, zapoznałem się słowo po słowie z pańskim przyznaniem się do winy. Ponieważ jednak każde z nas spotyka się z panem po raz pierwszy, chciałbym usłyszeć, jak cała sprawa wygląda z pana strony. Proszę wybaczyć, jeżeli od czasu do czasu panu przerwę, żeby poprosić o wyjaśnienie jakiegoś punktu albo zadać pytanie.

– Oczywiście, sir Julianie. Urodziłem się w Epsom, gdzie mój ojciec był lekarzem rodzinnym, i odkąd byłem dzieckiem, miał nadzieję, że pójdę w jego ślady. W szkole uczyłem się na tyle dobrze, że przyjęto mnie na medycynę w University College Hospital, co ucieszyło ojca. Ale prędko się przekonałem, że nie jestem stworzony na lekarza. I tak, ku jego rozczarowaniu, odwiesiłem krótki biały kitel, zamieniłem go na długą czarną togę akademicką i przeniosłem się do London School of Economics na studia ekonomiczne, które polubiłem od pierwszego wykładu. Po ukończeniu studiów zatrudniłem się w Barclays Bank jako stażysta, ale znów prędko zdałem sobie sprawę, że nie jestem z natury zwierzęciem korporacyjnym. Zatem wróciłem na uczelnię i podjąłem wieczorowe studia doktoranckie w dziedzinie zarządzania, i tak odkryłem swoje powołanie. Z licznymi tytułami i małym zarobkiem zatrudniłem się w banku handlowym w City.

– W jakim? – spytał sir Julian.

– Kleinwort Benson. Zacząłem w dziale drobnej przedsiębiorczości i przez następne trzy lata pomagałem klientom banku rozwijać ich firmy. Nic nie sprawiało mi większej przyjemności niż obserwowanie, jak te firmy przekształcają się w większe przedsiębiorstwa.

Miałem wtedy dwóch bliskich przyjaciół, Hamisha Galbraitha, starego szkolnego kumpla, i Gary’ego Kirklanda, którego poznałem w LSE. Hamish po szkole zatrudnił się u Johna Lewisa jako stażysta menedżer. Miał dar zjednywania sobie ludzi i umiejętność wydobywania z nich tego, co najlepsze. Gary był o wiele bystrzejszy niż my dwaj, ale w czasach stu-

denckich dużo pił i udzielał się towarzysko. Prawdę mówiąc, dziwiłem się, że nie tylko uzyskał dyplom, ale był jednym z najlepszych na roku. Został księgowym w City i bardziej lubił czytać arkusze kalkulacyjne niż powieści.

Pewnego piątkowego wieczoru, kiedy wszyscy trochę za dużo popiliśmy, Hamish zasugerował, że powinniśmy otworzyć własną firmę. Przez cały weekend rozmyślałem, czy ma rację. W końcu spędziłem trzy lata, doradzając innym, jak rozwijać swoją firmę, więc może byłem gotów sam taką założyć. Przygotowałem tak szczegółową propozycję, jakiej spodziewałbym się od potencjalnego klienta, przypisując sobie rolę sprzedawcy, Hamishowi rolę szefa biura firmy i Gary'emu – księgowego. Po czym przedstawiłem swoje pomysły moim potencjalnym partnerom.

– Z jakim rezultatem? – zapytał sir Julian.

– Obaj naturalnie chcieli wiedzieć, co firma będzie robić. Powiedziałem im, że powinniśmy otworzyć małą firmę specjalizującą się w doradztwie inwestycyjno-finansowym i wykorzystać moją wiedzę i kontakty w dziedzinie medycyny. W tym czasie dokonywano ekscytujących odkryć na tym polu, a to stwarzało sposobność obiecujących okazji inwestycyjnych. Minęło jeszcze sześć miesięcy, zanim wszyscy trzej odważyliśmy się złożyć rezygnacje. Nie zrobiłbym tego, gdyby mój szef w Kleinwort Benson mnie nie zachęcił i nie zaoferował wyłożenia początkowego kapitału inwestycyjnego w zamian za pięćdziesiąt procent udziałów spółki.

Grace skrzętnie notowała; William chciał zadać kilka pytań; natomiast sir Julian z nieodgadnioną miną siedział i słuchał z niezmąconym spokojem.

– Założyliśmy RGK Ltd w 1961 roku i wynajęliśmy dwa pokoje w Marylebone, ale mogliśmy sobie pozwolić tylko na jedną sekretarkę na nas trzech. Objeżdżałem kraj, odwiedzając lekarzy i szpitale, brałem udział w konferencjach medycznych. Firma prawie upadła w trakcie pierwszych pięciu lat, ale wszystko się zmieniło z dnia na dzień, kiedy zainwestowałem część pieniędzy naszych klientów w małą spółkę farmaceutyczną tuż przed opracowaniem przez nią beta-blokerów. W następnym roku wypracowaliśmy czternastoprocentowy zysk dla naszych poplecznikόw i nagle staliśmy się bardzo popularni, zarówno wśród potencjalnych inwestorów, jak i poszukujących kapitału. Świętowaliśmy naszą dziesiątą rocznicę, odku-

piwszy pięćdziesięcioprocentowy pakiet naszych akcji od Kleinworta i wynająwszy całe jedno piętro w Marylebone.

William bardzo chciałby teraz zadać kilka pytań, ale jedno spojrzenie na siostrę przypomniało mu, że byłoby to nierozsądne.

– Podczas kilku następnych lat tylko Beth rosła szybciej od naszej spółki. Mimo niepewnej sytuacji ekonomicznej w latach siedemdziesiątych nadal wierzyliśmy w przyszłość firmy. Nie spostrzegłem zagrażającego nam problemu, chociaż można było go zobaczyć gołym okiem. Wiedziałem, że małżeństwo Gary'ego się rozpada, i nie powinienem był się dziwić, kiedy zakończyło się kosztownym rozwodem. W kolejnych latach przewijało się tyle kobiet, że nawet nie pamiętam ich imion. Ale nic nie mówiłem, nawet gdy jego zachowanie w biurze skłoniło jedną z naszych młodych sekretarek do rezygnacji, a inna zagroziła, że wniesie oskarżenie, i musieliśmy zawrzeć ugodę pozasądową.

Pięć dni w tygodniu byłem w biznesowych rozjazdach, toteż nie zdawałem sobie sprawy z całej powagi problemu aż do wieczoru, kiedy w biurze odbyło się przyjęcie z okazji świąt Bożego Narodzenia, podczas którego Gary się upił i zaczął przystawiać do mojej zamężnej sekretarki. Następnego dnia złożyła rezygnację i firma wypłaciła jej hojne odszkodowanie w zamian za nieujawnianie sprawy. Hamish i ja wyraźnie powiedzieliśmy Gary'emu, że jeśli znów nieodpowiednio się zachowa, będzie musiał ustąpić. Prawdę mówiąc, od tej pory nie było żadnych skarg i dwa lata później Gary oznajmił, że zamierza ponownie się ożenić i w końcu ustatkować.

Bridget, jego narzeczona, była atrakcyjna i inteligentna i wyglądało na to, że jest mu oddana. Ale okazało się, że zależało jej tylko na jego pieniądzach i prędko opróżniła mu konto w banku. Potem zerwała zaręczyny i zaczęła szukać następnej ofiary, a Gary musiał ratować sytuację. Niestety wkrótce kobiety w biurze znów zaczęły się skarżyć na jego zachowanie, nawet gdy był trzeźwy. Kiedy jednak po pewnym przyjęciu Beth mi powiedziała, że teraz rozumie, dlaczego w biurze mówią, że Gary nie potrafi trzymać rąk przy sobie, straciłem panowanie i uznałem, że on musi odejść. Zażądałbym rezygnacji następnego dnia, gdyby nie spotkanie w Coventry z potencjalnym inwestorem, umówione od miesiąca. Zatelefonowałem do Hamisha, żeby go zawiadomić o tym, co zamierzam, i zgodziliśmy się, że należy poczekać do mojego powrotu nazajutrz, kiedy postawimy Gary'emu wspólne ultimatum. Złóż rezygnację albo cię wyrzucimy.

Odbyłem owocne spotkanie z moim potencjalnym nowym klientem, a potem zaprosiłem go na lunch. Przy kawie wymienił kwotę, jaką zamierzał zainwestować w naszą firmę – więcej niż się spodziewałem. Kiedy jednak podałem firmową kartę kredytową, by zapłacić za posiłek, zakłopotany kelner wrócił po kilku minutach i szepnął, że została odrzucona. Niezręcznie w obecności przyszłego inwestora. Zapłaciłem własną kartą, ale stało się. Zatelefonowałem ze stacji do dyrektora mojego banku i zażądałem wyjaśnienia. W końcu w poprzednim roku firma wykazała ponad milion funtów zysku. Powiedział, że przekroczyliśmy dopuszczalny debet i że kilka razy rozmawiał o tej sytuacji z panem Kirklandem.

Natychmiast zadzwoniłem do Gary’ego. Zaprzeczył, że jest jakiś problem. Zasugerował, żebym po drodze do domu wpadł do biura, to wszystko wytłumaczy. Jak tylko wysiadłem z pociągu na Euston, wziąłem taksówkę do biura. Kiedy otwierałem frontowe drzwi, niski, mocno zbudowany mężczyzna, który wydawał mi się znajomy, przemknął obok mnie i wybiegł na ulicę. Poszedłem do gabinetu Gary’ego na pierwszym piętrze i zobaczyłem, że leży na dywanie z rozrzuconymi rękami i nogami. Podbiegłem do niego, ale nie był mi potrzebny dyplom medyka, żeby stwierdzić, że jest martwy. Miał złamaną szczękę i głęboką ranę ciętą z tyłu czaszki. Chciałem wezwać policję, gdy usłyszałem syrenę na ulicy, i po chwili kilku policjantów wpadło do pokoju i ujrzało, jak klęczę nad ciałem. Następne, co skojarzyłem, to odczytanie mi moich praw przez jednego z nich.

– Czy coś pan wtedy powiedział? – spytał sir Julian.

– Tylko że dopadli nie tego człowieka. Przypuszczałem, że cała sprawa prędko się wyjaśni. Zawieźli mnie na najbliższy posterunek policji i zostawili samego w celi na kilka godzin. W końcu zabrano mnie do pokoju przesłuchań, gdzie czekali na mnie dwaj detektywi.

– Czy to byli detektyw inspektor Stern i detektyw konstabl Clarkson? – spytał sir Julian.

– Zgadza się. Opowiedziałem im dokładnie, co się wydarzyło, ale było oczywiste, że oni już podjęli decyzję i nic ich nie przekona. W trakcie przesłuchania wypsnęło im się jednak, że dostali anonimowy telefoniczny cynk, co tłumaczyło, dlaczego policja tak prędko się tam pojawiła.

Grace coś zapisała i podała kartkę ojcu przez stół. Przeczytał uważnie.

– I podczas procesu zwrócił pan uwagę, że to niezbity dowód, że ktoś inny musiał zabić pańskiego wspólnika.

– Tak. Zasugerowałem też, że to mężczyzna, który wybiegł z budynku, prawdopodobnie zatelefonował do nich, ale nie okazali zainteresowania.

– I co było potem?

– Stern spytał mnie, czy jestem gotów złożyć zeznanie. Oczywiście, że tak, przecież nie miałem nic do ukrycia. Spisał moje słowa, a ja dwukrotnie sprawdziłem każdą stronę, zanim ją podpisałem, zwłaszcza że czułem od niego alkohol.

Grace znowu coś zanotowała.

– Podczas procesu twierdził pan, że pańskie zeznanie zajęło trzy kartki, podczas gdy wersja odczytana w sądzie miała tylko dwie. Muszę więc zapytać – czy podpisał pan wszystkie trzy kartki?

– Tak. Dwie pierwsze inicjałami AR, ale podpisałem się pełnym imieniem i nazwiskiem na trzeciej.

– Czy te trzy strony były ponumerowane?

– Nie pamiętam.

– Jak wygodnie. Kiedy policja przedłożyła przed procesem pańskie zeznanie jako dowód, miało ono tylko dwie kartki, wyraźnie oznaczone numerami jeden i dwa, i u dołu drugiej kartki był pański podpis, a obok podpisy Sterna i Clarksona. Jak pan to może wytłumaczyć?

– Jedyne wytłumaczenie, jakie przychodzi mi do głowy – rzekł Rainsford – to że ktoś musiał usunąć środkową kartkę, a numery dopisał później.

– Tajemniczy mężczyzna, być może? – rzucił sir Julian. – Co wydarzyło się później?

– Nazajutrz rano stanąłem przed sędzią pokoju, ale moja prośba o zwolnienie za kaucją została odrzucona. Odesłano mnie do aresztu śledczego i skierowano do Pentonville, gdzie miałem czekać na proces.

– Który odbył się pięć miesięcy później, a pan w tym czasie przebywał w areszcie.

– Tak. Byłem jednak pewien, że ława przysięgłych uzna, że moje zeznanie spisano na trzech, a nie dwóch kartkach, ponieważ mogłem odtworzyć każde słowo zapisane na brakującej kartce.

– Jednakże sędzia Melrose nie wyraził zgody na przedstawienie przez pana odtworzonej brakującej kartki jako dowodu. Czy pod koniec procesu czuł pan, że sędzia podsumował sprawę sprawiedliwie i bezstronnie?

– Tak. Jego podsumowanie było sprawiedliwe i wyważone, co tylko umocniło moje przekonanie, że przysięgli wypowiedzą się na moją korzyść.

– Ale nie uczynili tego.

– Nie, obradowali przez cztery długie dni i jeszcze dłuższe wieczory. Piątego dnia uznali mnie za winnego morderstwa większością dziesięciu do dwóch głosów. Następnego dnia rano sędzia Melrose skazał mnie na dożywocie z zaleceniem, że mogę ubiegać się o zwolnienie warunkowe po dwunastu latach. Odsiedziałem już dwa lata.

Grace znowu napisała kilka słów i podkreśliła wyraz „dwanaście”, po czym podsunęła kartkę ojcu.

– Czy kiedykolwiek rozważał pan możliwość zmiany linii obrony i przyznania się do zabójstwa nieumyślnego? – spytał sir Julian. – „Uderzyłem go pod wpływem chwili, nigdy nie miałem zamiaru go zabić, będę tego żałował do końca życia”?

– Ale ja go nie uderzyłem, sir Julianie. Mój adwokat zasugerował mi to wtedy i powiedział, że jeżeli zgodzę się zmienić linię obrony i wycofać z nieprzyznania się do winy, mogę dostać tylko cztery lata i zostanę zwolniony po dwóch. Odmówiłem.

– Dlaczego?

– Bo mój adwokat, tak jak pan, nie wierzył, że jestem niewinny.

– Ale nie może pan zaprzeczyć, panie Rainsford, że wpadł pan w gniew, kiedy się dowiedział, że pańska córka była napastowana seksualnie przez pana Kirklanda. I jeszcze bardziej się pan zezłościł, gdy odkrył, że on sprzeniewierzył pieniądze firmy, żeby opłacać różne swoje kobiety. Zatem dlaczego przysięgli mieliby wierzyć, że pańskie zeznanie było spisane na trzech, a nie na dwóch kartkach, i że morderstwo zostało popełnione przez tajemniczego mężczyznę, który zjawił się znikąd i potem, jakże dogodnie, rozpłynął się w powietrzu i nigdy więcej go nie widziano?

– Bo to jest prawda, sir Julianie – rzekł Rainsford. Oparł łokcie na stole i ujął dłońmi głowę. – Ale oczywiście rozumiem, dlaczego pan mi nie wierzy.

Zapadło długie milczenie i wszyscy troje czekali, aż sir Julian sięgnie po swoją walizeczkę i ulotni się, aby więcej go tu nie widziano.

– Ja ci wierzę, Arthurze – powiedział jednak cicho. – Teraz nie mam żadnych wątpliwości, że nie zamordowałeś wspólnika.

Arthur z niedowierzaniem podniósł wzrok i zobaczył, że dystyngowany radca królewski się do niego uśmiecha.

– Co cię ostatecznie przekonało, ojcze? – spytał William, nie zważając na świdrujące spojrzenie siostry.

– Trzy sprawy, całkowicie niepowiązane ze sobą, które, gdyby przysięgli byli wtedy ich świadomi, mogłyby ich równie dobrze skłonić do wydania innego orzeczenia. – Sir Julian nie mógł się powstrzymać i przed wygłoszeniem końcowego oświadczenia przemierzył salę tam i z powrotem. – Podczas wszystkich lat w sądzie nigdy nie słyszałem o mordercy, który by nie wybrał przyznania się do nieumyślnego spowodowania śmierci i skróconego wyroku.

– A drugi argument, ojcze? – zagadnęła Grace.

– Czas, po którego upływie Arthurowi będzie przysługiwać prawo do ubiegania się o zwolnienie warunkowe.

– Dwanaście lat – rzekł William.

– Dokładnie tyle. Ponieważ sędzia Melrose jest znany w branży pod przydomkiem „Pan Dożywocie Znaczy Dożywocie”. Zeszłego wieczoru sprawdziłem jego akta i okazuje się, że podczas zasiadania na ławie sędziowskiej w Sądzie Koronnym przewodniczył w ponad dwudziestu procesach o morderstwa, kiedy oskarżony został uznany za winnego. Arthur jest jedynym, któremu przyznał minimalny okres dwunastu lat. Dlaczego zatem znany ze swojej determinacji, że dożywocie znaczy dożywocie, złamał zwyczaj, któremu hołdował przez całe życie? Czy możliwe, że też nie był przekonany, że Arthur jest winny?

– A trzecia rzecz? – spytała Grace.

– Musimy za to podziękować Williamowi.

I znów sir Julian przespacerował się wokół sali i dopiero potem podzielił się swymi myślami. Schwycił za wyłogi wyimaginowanej togi i przemówił:

– Mówiłeś mi, Williamie, że kiedy pierwszy raz wymieniłeś nazwisko Arthura strażnikowi Rose’owi, jego natychmiastowa reakcja brzmiała: „Jeśli Rainsford jest mordercą, to ja jestem Kuba Rozpruwacz”. Według mojego doświadczenia starszy rangą strażnik więzienny nigdy by nie przyznał, nawet prywatnie, że jakiś więzień może być niewinny.

– Czy to znaczy, ojcze, że podejmujesz się tej sprawy? – zagadnęła Grace.

– Już się jej podjęliśmy, moja droga. I w związku z tym czeka nas poważne zadanie odkrycia nowych dowodów, aby przekonać prokuratora

generalnego, że powinien zarządzić ponowny proces. Bo jeżeli tego nie uczyni, to nasze prywatne opinie są bez znaczenia.

– Niezupełnie, sir Julianie – odezwał się Arthur – bo ja jestem szczęśliwy, że mój przyszły zięć wie, że jestem niewinny.

26

Zaczął dzwonić telefon.

– Kto śmie nas niepokoić w święta Bożego Narodzenia? – powiedział sir Julian. – I to w chwili, kiedy zabieram się do krojenia indyka.

– *Mea culpa* – rzekł William. – Obawiam się, że powiedziałem w biurze, gdzie będę.

– To lepiej idź i odbierz telefon, a my będziemy się radować świątecznym obiadem. Beth, wolisz udo czy pierś?

William prędko poszedł do gabinetu i podniósł słuchawkę dzwoniącego telefonu.

– William Warwick – przedstawił się.

– Christina Faulkner. Szczęśliwych świąt Bożego Narodzenia, Williamie.

– Szczęśliwych świąt, Christino. Skąd dzwonisz?

– Z Monte Carlo.

– I niewątpliwie rozpakowujesz prezenty.

– Nie, właściwie je pakuję i dlatego dzwonię. Chcę, żebyś do mnie jak najszybciej przyjechał, żebym mogła dać ci prezent, na jaki w tej chwili patrzę.

– Muszę zatelefonować do szefa – powiedział William, który chętnie by pojechał natychmiast. – Jeśli dostanę jego błogosławieństwo, mógłbym polecieć jutro po południu.

– Ale nie później – rzekła Christina – bo jak skończę pakowanie, wszystkie sześćdziesiąt dziewięć skrzyń zostanie załadowanych na jacht Milesa.

– Czy też będziesz na jachcie?

– Nie, tego nie planuję. Kiedy *Christina* – tak nazwana w szczęśliwszych czasach – wypłynie do Southampton, ja polecę z powrotem na Heathrow. Potem szofer zawiezie mnie do Limpton Hall, gdzie popakuję jeszcze więcej prezentów, które muszą być gotowe, kiedy rano następnego dnia podjadą pod dom samochody przeprowadzkowe, żeby je zawieźć do

Southampton, gdzie również zostaną załadowane na pokład *Christiny*. Wszystko polega na idealnym zgraniu w czasie.

– Czy wypada mi zapytać, co będzie potem?

– Wszystko zostanie wyjawione, kiedy jutro zobaczymy się w Monte Carlo. Zadzwoń, kiedy będziesz wiedział, o której masz samolot, to wyślę po ciebie samochód na lotnisko.

– Oddzwonię, jak tylko porozmawiam z komendantem. Do widzenia, Christino, i szczęśliwych świąt.

William odłożył słuchawkę i wrócił do jadalni. Jakże chciałby powiedzieć obecnym, a zwłaszcza Beth, że jutro o tej porze może być w posiadaniu obrazu Rembrandta. Usiadł koło narzeczonej i ujrzał przed sobą pusty talerz.

– Przepadło ci główne danie, mój chłopcze. Ale nie martw się, jestem pewien, że coś pozostało z deseru.

– Nie słuchaj go – powiedziała matka. – Nawet jeszcze nie zaczęliśmy. Joanna opowiadała nam, czym się zajmuje podczas nieobecności Arthura.

William uśmiechnął się do matki Beth i nałożył sobie trochę brukselki.

– Gdy Arthur pierwszy raz znalazł się w więzieniu – powiedziała Joanna – wszyscyśmy myśleli, że firma upadnie. Ale prędko odkryliśmy, że Hamish jest z twardszego kruszcu, niż nam się wydawało, i nadal kierował biurem, jakby Arthur wciąż był w rozjazdach. Tymczasem Arthur założył biuro w celi w Pentonville, a ja siedziałam za jego biurkiem w Marylebone. Codziennie do niego pisałam, informując go na bieżąco.

– Ale co się działo, kiedy ktoś umówił spotkanie z prezesem, po to tylko, żeby się przekonać, że ten siedzi w więzieniu? – zagadnęła Grace.

– Po jakimś czasie zajęłam jego miejsce i nawet zaczęłam objeżdżać kraj i odwiedzać klientów firmy. Byłam mile zdziwiona, że tak niewielu nas opuściło.

– Reputacja to tarcza sprawiedliwych w trudnym czasie – rzekł sir Julian.

– Kto to powiedział? – spytał William.

– Ja, ty zuchwały dzieciaku. Ale proszę, kontynuuj, Joanno. Straciliście księgowego i wasz bank też musiał się niepokoić.

– Barclays zrobił wszystko, żeby nam pomóc – powiedziała Joanna – ale to Kleinwort Benson pospieszył nam na ratunek i sprawił, że inwestorzy

zaufali nam i nas się trzymali. A potem, kiedy się tego najmniej spodziewaliśmy, zdarzył się szczęśliwy traf.

Wszyscy przy stole przestali jeść.

– Gary Kirkland nie wpisał testamentu i wszystko odziedziczył jego syn Hugh, łącznie ze smykałką ojca do liczb, więc teraz siedzi w dawnym biurze Gary'ego i rozlicza do pensa wydatki firmy. I zanim zapytacie, powiem, że inaczej niż ojciec jest szczęśliwie żonaty.

– Czy to znaczy, że przedsiębiorstwo znów funkcjonuje jak przedtem? – spytała Grace.

– Nie, ledwo wychodzimy na czysto, ale gdy tylko Arthur wróci, szybko wykażemy zysk.

– Więc bez nerwów – zauważył sir Julian. W tym momencie znów zabrzmiał dzwonek telefonu. – Czy my spożywamy posiłek świąteczny w British Telecom Tower? – spytał, teatralnie wzdychając. – Jeżeli to do ciebie, Williamie, to dlaczego nie zaprosisz do nas tego człowieka, żeby nam więcej nie przeszkadzał?

William umknął z pokoju i wrócił do gabinetu ojca. Schwycił słuchawkę, przypuszczając, że to komendant.

– William Warwick – rzucił.

– Przepraszam, że przeszkadzam w Boże Narodzenie – odezwał się głos, który mógł należeć tylko do nowojorczyka – ale chciałbym mówić z panią Grace Warwick w sprawie prywatnej.

– Czy mogę spytać, kto dzwoni?

– Leonard Abrahams.

– Proszę poczekać, panie Abrahams, powiem jej, że pan telefonuje.

William szybko wrócił do jadalni.

– To do ciebie, siostrzyczko. Leonard Abrahams?

– Grace, powiedz temu panu, kimkolwiek jest, że mamy nadzieję spożyć przynajmniej jedno danie, przy którym obecna będzie cała rodzina.

– Myślę, że to może być profesor – rzekła Grace.

– Więc lepiej natychmiast z nim porozmawiaj – powiedział sir Julian nagle całkiem innym tonem.

Grace skinęła głową i prędko opuściła pokój.

– Panie profesorze Abrahams, tu Grace Warwick. Przepraszam, że musiał pan czekać.

– Nie, pani Warwick, to ja powinienem przeprosić. Nie śmiałbym państwu przeszkadzać w Boże Narodzenie, gdyby to nie było pilne, ale pomyślałem sobie, że chciałaby pani wiedzieć, że jutro będę w Londynie.

– To wspaniała wiadomość. Gdzie się pan zatrzyma?

– Prawdopodobnie w poczekalni na lotnisku. Mam tylko cztery godziny przerwy w podróży przed lotem do Warszawy, gdzie odwiedzę moją drogą matkę. My, Żydzi, jesteśmy zmyślni – dodał profesor. – Zawsze wiemy, kiedy wy, goje, świętujecie, i jeżeli 27 grudnia znów siedzimy za biurkiem, nawet nie zauważycie, że wyjeżdżaliśmy.

Grace się roześmiała.

– Czy miał pan okazję przeczytać zeznania złożone w sądzie pod przysięgą, które panu wysłałam?

– Tylko je pobieżnie przejrzałem. Ale dokładniej zapoznam się z nimi w trakcie lotu, kiedy zatem dotrę na Heathrow, powinienem dać pani wstępną opinię.

– Zarezerwuję pokój w Hiltonie na lotnisku, żeby nam nie przeszkadzano. O której godzinie mam pana oczekiwać?

– Lecę z lotniska JFK liniami Pan Am, lot 716, na miejscu będę około dziesiątej dwadzieścia waszego czasu.

– Wobec tego będę czekać na pana przy wyjściu z hali przylotów.

– To miło z pani strony. Ale jak mnie pani rozpozna?

– Proszę się nie martwić. Czytałam pańską książkę.

– Minęło trochę lat od czasu, kiedy zrobiono tę fotografię – powiedział, chichocząc. – Ale cieszę się, że zobaczę panią jutro, pani Warwick, i jeszcze raz przepraszam, że przeszkodziłem w Boże Narodzenie.

– Proszę nawet tak nie myśleć. Wiem, że mój ojciec będzie zachwycony, gdy usłyszy, że się pan odezwał.

Grace wśliznęła się z powrotem do jadalni i usiadła bez słowa, chociaż William zauważył, że dwoje prawników dało sobie znak skinieniem głowy.

– Pozwolę sobie ostrzec was wszystkich – rzekł sir Julian, gdy Marjorie podała mu sos z masła, cukru i brandy – że jeśli ktoś odważy się zatelefonować, kiedy o godzinie trzeciej Jej Królewska Mość będzie wygłaszać bożonarodzeniowe posłanie do narodu, telefon nie zostanie odebrany, nawet gdyby to był arcybiskup Canterbury.

William zgłosił się do odprawy na Heathrow następnego dnia tuż po dziewiątej. Nie mówił Beth, dokąd się wybiera, a ona nie pytała. Bilet do Nicei czekał na niego na stanowisku BA.

Ku wielkiej dezaprobacie ojca zatelefonował do Scotland Yardu, ledwo królowa zakończyła swoje orędzie. Centrala przełączyła go bezpośrednio do domu komendanta.

Kiedy Hawksby usłyszał nowinę Williama, powiedział:

– Zarezerwuj sobie pierwszy możliwy lot do Nicei. Jeżeli pani Faulkner jest w posiadaniu obrazu Rembrandta, nie możemy pozwolić jej czekać. Cokolwiek się wydarzy, natychmiast daj mi znać niezależnie od pory dnia czy nocy, bo nie będę mógł spać, dopóki się czegoś nie dowiem.

William zapiął pas bezpieczeństwa, gdy samolot kołował na północny pas startowy.

Grace dotarła na Heathrow tuż po dziesiątej i sprawdziła tablicę przylotów. Przekonała się, że lot 716 linii Pan Am ma dwudziestominutowe opóźnienie. Kupiła „Guardiana” i cappuccino, usiadła i czekała.

Gdy na tablicy przy locie numer 716 pojawił się napis „Wylądował”, zajęła miejsce za barierą, tłocząc się wraz z niecierpliwymi oczekującymi.

Profesor Abrahams był jednym z pierwszych pasażerów, którzy wyłonili się z bramki, gdyż jego bagaż został przeniesiony bezpośrednio do samolotu odlatującego do Warszawy. Zatrzymał się i przeszukiwał wzrokiem tłum. Kiedy Grace go ujrzała, była zaskoczona. Zdjęcie z tyłu okładki książki nie pokazywało, że jest tak niski. Ale po olbrzymim wypukłym czole i grubych szkłach okularów można go było od razu rozpoznać, chociaż żółty dres i najnowsze buty sportowe firmy Nike lekko dziwiły.

– Zawsze noszę dres podczas lotów długodystansowych – wyjaśnił, gdy uścisnęli sobie ręce. – Pożyczyłem ten pomysł od Joan Collins, ale w odróżnieniu od niej przed wyjściem z samolotu nie przebieram się dla fotoreporterów.

– Pomyślałam, że przejdziemy na piechotę do Hiltona – powiedziała Grace. – To nie jest daleko, a skoro do taksówek jest zawsze długa kolejka, to prawdopodobnie będziemy tam szybciej.

– I zaoszczędzimy parę dolarów – rzekł profesor, gdy szli do hotelu, gawędząc o wszystkim oprócz jednego tematu, który ich oboje zajmował. Grace zarezerwowała apartament na dwie godziny i recepcjonistka, wręcza-

jąc jej klucz, pomyślała, co to za niespotykana para, która wynajmuje pokój o porannej porze.

Grace podała profesorowi kubek parującej czarnej kawy, a on wyjął z aktówki tekturową teczkę i położył ją na stole między nimi. Zaczął przewracać kartki, zarazem na bieżąco objaśniając, jakby uczył bystrego studenta podczas jednego ze swoich wykładów, jak ta szczególna wiedza być może – kilkakrotnie powtórzył „być może” – okaże się pomocna w sprawie Rainsforda. Gdy przewrócił ostatnią kartkę, Grace znała odpowiedzi na wszystkie swoje wątpliwości, udzielone z pewnością, która nie budziła zastrzeżeń. Gdy zaś odpowiedział na jej ostatnie pytanie, Grace wiedziała, że znalazła właściwego człowieka.

Abrahams spojrzał na zegarek i z powrotem włożył teczkę do aktówki.

– Powinienem już ruszać, jeśli chcę zdążyć na samolot – powiedział, wstając z krzesła. – Nie mogę się spóźnić na spotkanie z matką. Pewno już czeka na mnie na lotnisku.

Grace odprowadziła Abrahamsa na drugi terminal i zanim udał się do wyjścia, jeszcze raz mu podziękowała i spytała:

– Czy mogę powiedzieć ojcu, że zechce pan wystąpić jako biegły, jeżeli będzie ponowny proces?

– Nie zabierałbym pani czasu na próżno, młoda damo, gdybym nie chciał tego zrobić. Jednakże muszę zobaczyć oryginalne dwustronicowe zeznanie Rainsforda, przedstawione jako dowód w sądzie, zanim się przekonam, że ja też nie będę tracił czasu na próżno.

Profesor Abrahams wsiadł do samolotu lecącego do Warszawy akurat wtedy, gdy William wylądował w Nicei. Miał tylko bagaż podręczny, więc pomaszerował prosto do kontroli paszportowej i był jednym z pierwszych pasażerów, którzy wyłonili się w holu lotniska, gdzie powitał go mężczyzna z planszą z napisem WARWICK.

William zapadł się w kanapę z tyłu bentleya i próbował zebrać myśli przed ponownym spotkaniem z Christiną Faulkner. Ale szofer miał inne plany.

Zanim zajechali przed Villa Rosa, William poznał poglądy szofera na wszystko, począwszy od Centrum Pompidou zaprojektowanego przez Anglika, kończąc na Europejskiej Wspólnocie Gospodarczej, do której Wielka Brytania nigdy nie powinna była przystąpić. Jednak nie poruszył

jedynego tematu, o jakim William chętnie by się więcej dowiedział: pana i pani Faulkner.

Wielkie wrota z kutego żelaza otworzyły się, gdy samochód znajdował się w odległości stu metrów. Wjechali w długi podjazd okolony z obu stron wysokimi cyprysami, wiodący do dużej willi w stylu belle époque, przy której Limpton Hall wyglądał jak wiejski domek.

Gdy William wysiadł z samochodu, otworzyły się frontowe drzwi i stanęła w nich Christina, żeby go powitać. Ucałował ją w oba policzki, jakby była francuskim generałem. Wzięła go za rękę i zaprowadziła do przestronnego holu, gdzie stały stłoczone drewniane skrzynie różnych rozmiarów. Wystarczyło spojrzeć na wyblakłe zarysy na ścianach, żeby sobie wyobrazić, co tam było zaledwie dzień wcześniej. Zaczynał rozumieć, dlaczego Christina do przeprowadzenia planu potrzebowała miesięcznej nieobecności męża.

– Jeszcze jeden obraz czeka na spakowanie – powiedziała, gdy szedł za nią do salonu, gdzie jedyne płótno w ramie wisiało na swoim miejscu nad kominkiem.

William patrzył z podziwem na obraz, który nawet takiemu amatorowi jak on z miejsca jawił się jako dzieło geniusza. Wyjął z kieszeni pocztówkę z Fitzmolean i sprawdził róg płótna z prawej strony, by potwierdzić charakterystyczny podpis Rembrandta. RvR znajdowało się na swoim miejscu. Potem zwrócił znów wzrok ku wyniosłym syndykom w długich czarnych szatach ze sztywnymi białymi krezami, w czarnych kapeluszach z szerokim rondem, rozkoszujących się swoją wysoką pozycją wśród amsterdamskiej socjety.

– Widzę, że podoba ci się twój świąteczny prezent – powiedziała Christina.

Grace zatelefonowała do ojca kilka minut po powrocie do swojego mieszkania w Notting Hill i dokładnie zrelacjonowała mu spotkanie z profesorem.

– Sądzę, że czas, abym zadzwonił do prokuratora generalnego i umówił się z nim na spotkanie, zanim moi koledzy wrócą po przerwie świątecznej – powiedział sir Julian. – Muszę sprawić, żeby data procesu jak najszybciej znalazła się na wokandzie.

– To może nie być łatwe – zasugerowała Grace.

– Zawsze są jakieś zwolnione okienka, które trzeba wypełnić. Muszę tylko zapewnić, żeby moje nazwisko znalazło się na górze listy.

– Ale dlaczego prokurator generalny miałby wybrać ciebie, a nie innych równie godnych chętnych?

– Powiem ci, Grace, ale nie przez telefon.

William uważnie obserwował pakowaczy, gdy ekipa tragarzy ostrożnie opuściła obraz Rembrandta do skrzyni zbudowanej na zamówienie, a potem przeniosła ją do holu i postawiła między innymi skrzyniami.

Na każdej z nich widniała duża kwadratowa naklejka oznajmiająca: „Własność Christiny Faulkner. Zostawić na pokładzie". Jedynym wyjątkiem była skrzynia z obrazem Rembrandta, na której znajdowała się jeszcze większa okrągła naklejka z napisem: „Własność Fitzmolean Museum. Prince Albert Crescent, London SW7. Do odbioru".

– Czy jesteś pewien – spytała Christina – że komendant będzie czekał na nabrzeżu, żeby powitać znakomitych pasażerów *Christiny*, gdy przybędą do Southampton?

– Gdy wpłyniemy do portu, on będzie pierwszą osobą na pokładzie – powiedział William. – Zatelefonuję do niego jutro, jak tylko wszystkie obrazy znajdą się na statku.

– Jego będzie interesował tylko jeden.

– A co się stanie z resztą? – zagadnął William, chociaż przypuszczał, że Christina nie ujawni ich miejsca przeznaczenia.

– Następny postój będzie w Nowym Jorku, gdzie do obrazów dołączy kolekcja współczesnych artystów amerykańskich, którzy obecnie rezydują w naszym mieszkaniu na Manhattanie.

– Ale gdy jacht wpłynie do portu, twój mąż może stać na nabrzeżu i czekać na ciebie.

– Nie, nie sądzę. Miles planuje polecieć z Melbourne do Sydney, więc będzie wśród pierwszych, którzy powitają Nowy Rok, a do tego czasu wszystkie jego obrazy zawisną w ich nowym domu – moim nowym domu.

William nie marnował czasu na pytanie, gdzie to może być.

Grace i ojciec spędzili wieczór zaszyci w jego gabinecie.

– Następne, co musi zrobić profesor Abrahams – powiedziała Grace – to przestudiować oryginalne dwustronicowe zeznanie Arthura, przedstawione

w sądzie. Uprzedził mnie, że ono może również dowieść, że Arthur kłamie i przysięgli mieli rację.

– Jeżeli tak się stanie – rzekł sir Julian – nie powiemy Joannie ani Beth nic oprócz tego, że nie zdołaliśmy wyszukać żadnego nowego dowodu, który by nam pozwolił wystąpić z wnioskiem o ponowny proces.

– A jeżeli Arthur mówi prawdę?

– Wtedy zatelefonuję do biura prokuratora generalnego z żądaniem ponownego procesu.

– Ojcze, wciąż mi nie powiedziałeś, dlaczego prokurator generalny potraktuje tę sprawę priorytetowo?

– Desmond Pannel i ja byliśmy razem w Oksfordzie. Byłem szefem jego kampanii, kiedy pretendował do stanowiska przewodniczącego Uniwersyteckiego Towarzystwa Prawniczego, i nigdy nie uwierzysz, kto był jego głównym rywalem. Praca przewodniczącego była niewdzięcznym zadaniem, ale Desmond jest człowiekiem, który zawsze lubił podejmować właśnie takie zadania, co tłumaczy, dlaczego został prokuratorem generalnym. I teraz, po trzydziestu latach, zamierzam upomnieć się o zwrot długu.

Ledwo William położył się do łóżka, usłyszał, że otwierają się drzwi. Nagle całkiem oprzytomniał. Eteryczna postać obrysowana światłem księżyca przemknęła przez pokój, wsunęła się pod koc i zaczęła obsypywać mu kark pocałunkami.

Nie miał dużo czasu do namysłu, co powinien zrobić. Zapalić światło i grzecznie ją poprosić, żeby odeszła – to była jego pierwsza myśl, albo poddać się jej, ale nie mówić Beth – to była druga. I nagle sobie uświadomił, co by powiedziała Beth, gdyby jej wyznał, że odrzucił awanse Christiny i poświęcił Rembrandta. Przygoda na jedną noc w zamian za arcydzieło. Nie wątpił, czego by się po nim spodziewała.

Profesor Abrahams w drodze powrotnej do Nowego Jorku drugi raz zatrzymał się w Londynie i znowu w hali przylotów czekała na niego Grace. Tym razem trzymał czule urządzenie, które zwał kuferkiem trików.

Nazajutrz sir Julian i Grace powędrowali wraz z nim do pokoju w podziemiach Scotland Yardu, gdzie w obecności niezależnego świadka spędził kilka godzin, dokładnie badając dwustronicowe zeznanie przedstawione na procesie Arthura.

Sir Julian i Grace powrócili do kancelarii adwokackiej, gdzie z niepokojem oczekiwali wyniku dociekań profesora. To Grace spostrzegła, jak Abrahams niespiesznie kroczy dziedzińcem Lincoln’s Inn z magicznym kuferkiem w jednej ręce i butelką szampana w drugiej. Aż podskoczyła i radośnie krzyknęła.

Oboje wysłuchali w milczeniu opinii profesora, po czym zaczęli bombardować go pytaniami, na które zawsze miał odpowiedź. W końcu sir Julian podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił prywatny numer. Kiedy odezwał się prokurator generalny, powiedział tylko:

– Desmondzie, wyświadcz mi przysługę.

O dziewiątej rano wielki przeprowadzkowy furgon zajechał przed willę i ekipa tragarzy potrzebowała niemal dwóch godzin, by przenieść do niego wszystkie sześćdziesiąt dziewięć skrzyń. Następnie wolno, bardzo wolno zawieziono je do portu, gdzie kolejne trzy godziny trwało przetransportowanie skrzyń do ładowni *Christiny*. William, który pilnował, żeby wrota ładowni zostały zamknięte i zaryglowane, wyszedł na brzeg i zatelefonował do komendanta Hawksby’ego z informacją, że wraca najbliższym samolotem.

– Nie, nie leć samolotem – zabronił mu kategorycznie Hawksby. – Wracaj na tę łajbę i nie spuszczaj Rembrandta z oka aż do Southampton.

– Ale czy nie powinienem pilnować pani Faulkner?

– Nie, powinieneś pilnować sześciu syndyków z Amsterdamu, bo nie wolno pozwolić, żeby znów gdzieś wywędrowali.

William nie oponował.

– Kiedy jutro wieczorem wpłyniesz do portu – rzekł Hawksby – będę na nabrzeżu z małą armią, aby obraz został bezpiecznie dostarczony do Fitzmolean.

Christina była rozczarowana, że komendant polecił Williamowi zostać na jachcie, bo miała nadzieję, że to z niej nie będzie spuszczał z oka. William przechylił się przez reling i pomachał do niej, gdy jacht wypływał z portu. Ledwo zniknął jej z oczu, Christina poleciła kierowcy odwieźć się na lotnisko, żeby przystąpić do realizacji drugiej części swojego planu.

27

Jeśli wszystko miało polegać na idealnej koordynacji w czasie, jak mówiła Christina Faulkner Williamowi, to popełniła ona fatalny błąd. Poleciła swojemu adwokatowi rozpocząć kroki rozwodowe 22 grudnia. Pozew trafił na biurko Bootha Watsona dwa dni później.

Bootha Watsona nie zdziwił wybór chwili, gdyż sądził, że pani Faulkner wybrała datę z arogancką intencją popsucia jego klientowi świąt Bożego Narodzenia. Zdecydował, że nie będzie się kontaktował z Milesem przed powrotem do kancelarii 28 grudnia. W końcu czy kilka dni sprawi jakąś różnicę? Schował pozew w sejfie i udał się do domu.

Mike Harrison zatelefonował do pani Faulkner z Melbourne 27 grudnia, żeby donieść, że jej mąż spędził dzień w prywatnej luksusowej loży na stadionie Melbourne Cricket Ground, oglądając drugi dzień meczu krykieta reprezentacji narodowych. Po zakończeniu meczu poszedł na kolację z przyjaciółmi i wziął z recepcji klucz do pokoju tuż po północy.

– Czy był sam? – spytała Christina.

– Nie, była z nim młoda kobieta, która pracuje jako kelnerka podająca koktajle w apartamencie gościnnym. Mam zdjęcie i nazwisko.

– Dziękuję, Mike.

Następnie Harrison zadzwonił do detektywa głównego inspektora Lamonta w Scotland Yardzie, powtórzył tę samą wiadomość i poszedł spać.

Booth Watson powrócił do kancelarii tuż po dziesiątej rano 28 grudnia, zadowolony, że święta się skończyły i może przystąpić do pracy. Przeczytał pozew rozwodowy drugi raz, świadom, że powody są istotnie niepokojące. Najwyraźniej żona Faulknera przygotowywała pozew od pewnego czasu, gdyż wymieniono w nim kilka kobiet. Postanowił zatelefonować do swojego klienta i zawiadomić go o zbliżającym się rozwodzie, chociaż podejrzewał, że nie będzie to duża niespodzianka.

Najpierw zadzwonił do Limpton Hall, ale telefon nie odpowiadał, uznał więc, że Makins ma jeszcze urlop. Gdyby zatelefonował godzinę później, odpowiedziałaby pani Faulkner. Następny telefon wykonał do Monte Carlo, odebrała pokojówka.

– Czy mogę mówić z panem Faulknerem? – spytał.

– Nie tutaj.

– Czy pani wie, gdzie on jest? – zapytał Booth Watson, powoli wymawiając każde słowo.

– Nie. Młody człowiek mówić Australia.

Booth Watson zanotował w bloczku: Australia/młody człowiek.

– A czy jest tam pani Faulkner? – spytał też bardzo wolno.

– Nie. Madame polecieć dom.

– Dom?

– Angleterre.

– Dziękuję – powiedział Booth Watson. – To bardzo pomocne.

Zastanawiał się, co takiego Miles może robić w Australii i w jakim jest mieście. Pomógł mu Reg Bates, główny kancelista w kancelarii adwokackiej.

– To musi być Melbourne, sir. Będzie oglądał drugi mecz reprezentacji narodowych.

Booth Watson nie interesował się krykietem i po prostu polecił kanceliście odszukać swojego klienta.

Bates przez całe przedpołudnie telefonował do wszystkich najważniejszych hoteli w Melbourne i gdy Booth Watson wrócił z lunchu, znalazł na biurku żółtą kartkę ze szczegółowymi informacjami. Natychmiast zadzwonił do Sofitelu i poprosił o przełączenie do apartamentu Milesa Faulknera.

– Zanim pana połączę, sir – odezwał się głos w słuchawce telefonu – zapytam, czy zdaje pan sobie sprawę, że jest wpół do drugiej w nocy?

– Nie, nie wiedziałem – przyznał Booth Watson. – Zadzwonię później.

Odłożył słuchawkę, dokonał obliczeń i postanowił, że spróbuje jeszcze raz, gdy wróci wieczorem do domu.

Miles Faulkner się golił, kiedy w jego apartamencie zadzwonił telefon, ale odłożył maszynkę do golenia, kiedy usłyszał donośny głos Bootha Watsona. Kiedy on dzwonił, rzadko zwiastowało to dobrą wiadomość. Faulkner usiadł na brzeżku łóżka i słuchał, co jego adwokat ma do powiedzenia.

– Czy jest jakiś powód, żebym się spieszył z powrotem? – zapytał, gdy Booth Watson poinformował go o pozwie. – Mecz jest bardzo wyrównany. Zamierzałem lecieć do Sydney, żeby świętować Nowy Rok, więc wróciłbym do domu najwcześniej trzeciego.

– To nie powinien być problem. Mamy czternaście dni na potwierdzenie przyjęcia pozwu, zatem możemy się tym zająć, kiedy wrócisz.

– Dobrze. Wobec tego zatelefonuję do ciebie za dwa tygodnie. Coś jeszcze?

– Tak, jest jeszcze coś. Wydaje się, że twoja żona spędziła Boże Narodzenie w Monte Carlo z jakimś młodym mężczyzną. Do twojego powrotu będę znał jego nazwisko i wszystkie szczegóły. To może być pomocne, kiedy przyjdzie do zaspokojenia roszczeń.

– Natychmiast weź do tego prywatnego detektywa – powiedział Faulkner.

– Już to zrobiłem – odparł Booth Watson – i powinieneś założyć, że twoja żona zrobiła to samo.

– Jakieś dobre wiadomości? – zagadnął Miles.

– Przekazałem Renoira do Standard Life, a oni przesłali pół miliona na twój rachunek na Kajmanach.

– To pół miliona, którego Christina nie dostanie w swoje ręce.

– Miłego oglądania rozgrywek krykieta i zadzwoń, kiedy wrócisz.

Miles odłożył telefon i skończył się golić. Po wyjściu kelnerki roznoszącej koktajle – jej imienia nie pamiętał – postanowił sprawdzić, czy żona jest wciąż w Monte Carlo.

Pokojówka mogła opowiedzieć o wiele więcej szczegółów pryncypałowi niż Boothowi Watsonowi, bo Faulkner mówił płynnie po francusku. Zapytał, czy madame udała się do Anglii, ale dziewczyna odparła:

– Nie jestem pewna, sir. Wiem tylko, że pojechała za furgonem do jachtu.

– Jakim furgonem? – spytał Faulkner.

– Przeprowadzkowym, który przyjechał, żeby wywieźć wszystkie wasze obrazy.

Miles rzucił słuchawkę, żeby ją natychmiast podnieść.

– Wyjeżdżam – zawiadomił główną recepcjonistkę. – Proszę mi zarezerwować pierwszy dostępny lot do Londynu, nie dbam o to, jaką linią.

– Ale wygląda na to, że Australia wygra… – zaczęła.

– Pieprzyć Australię.

Mike Harrison wykręcił numer pani Faulkner w Monte Carlo i usłyszał od pokojówki:

– Madame lecieć do domu.

Potem próbował się dodzwonić do Limpton Hall, ale telefon nie odpowiadał. W końcu zatelefonował do komendanta, który był w biurze.

– Faulkner leci samolotem linii Qantas, który ląduje na Heathrow jutro o drugiej po południu. Tego nie miał w planach.

– Tego mi jeszcze trzeba – rzekł Hawksby. – I nie mam możliwości porozumienia się z detektywem konstablem Warwickiem, żeby go ostrzec.

Gdy samolot Christiny Faulkner wylądował na Heathrow, szofer męża zabrał ją z lotniska i zawiózł do Limpton Hall, gdzie zjadła lekką kolację i położyła się spać. Przecież czekał ją pracowity dzień.

William siedział na pokładzie, wystawiając twarz do słońca i delektując się kieliszkiem pinot grigio, gdy samolot Faulknera wystartował w dwudziestotrzygodzinną podróż do Londynu. Miał dobry widok na wjazd do ładowni, gdzie nikt się nie zbliżał przez ostatnie dwa dni. Ale po co ktoś miałby to robić? Świeciło słońce, morze było spokojne, a on o nic nie musiał się martwić.

Nazajutrz, o dziewiątej rano, samochód firmy przeprowadzkowej Bishop’s Move zajechał pod frontowe drzwi. Tragarze niespiesznie spakowali sześćdziesiąt dziewięć dzieł sztuki do skrzyń i władowali do furgonu. Po długiej przerwie na lunch wyruszyli do Southampton.

– W żadnym wypadku proszę nie jechać szybciej niż trzydzieści mil na godzinę – poinstruowała Christina kierowcę. – Nie można ryzykować uszkodzenia żadnego obrazu.

– Jak pani sobie życzy – powiedział, zadowolony, że dzięki temu nabije sobie i ekipie tragarzy więcej nadgodzin.

Christina spożywała powoli lunch w jadalni pełnej haków po obrazach, rozkoszując się tym widokiem. Wyruszyła do Southampton tuż po trzeciej, ale nie miała po co się spieszyć, bo *Christina* dopłynie do portu dopiero późnym wieczorem. Miała nadzieję, że Miles emocjonuje się meczem kry-

kieta. Z zadowoleniem przeczytała rano w „Mail”, że mecz jest bardzo wyrównany.

Miles Faulkner wyszedł z odprawy celnej na Heathrow tuż po drugiej. Zastanawiał się, czy zatelefonować do Limpton Hall z poczekalni pierwszej klasy na lotnisku w Melbourne i poprosić swojego kierowcę, żeby przyjechał po niego na lotnisko, ale uznał, że to mogłoby ostrzec Christinę o jego nieplanowanym powrocie.

Ucieszył taksówkarza, gdy na pytanie, dokąd jadą, dostał odpowiedź:

– Do Limpton w Hampshire. I zapłacę podwójnie, jeżeli dojedziemy w mniej niż godzinę.

Mike Harrison podróżował tym samym samolotem co Faulkner, ale nie w tej samej klasie. Nie śledził Faulknera po wyjściu z terminalu, gdyż uznał, że ważniejsze będzie nawiązanie kontaktu z panią Faulkner i uprzedzenie jej, że mąż jedzie do Limpton Hall. Ale telefon milczał.

Wtedy zadzwonił do Scotland Yardu i poprosił o połączenie z detektywem głównym inspektorem Lamontem.

– Detektyw sierżant Roycroft – odezwał się głos.

– Cześć, Jackie, tu Mike Harrison. Czy mogę zamienić słowo z Bruce’em?

– Ponad godzinę temu wyruszyli z komendantem Hawksbym do Southampton, Mike.

– Dziękuję – rzekł Harrison. – Cieszę się, że wróciłaś, Jackie – dodał.

– Prawdopodobnie na okres próbny – powiedziała Jackie i odłożyła słuchawkę.

Harrison uszczęśliwił innego taksówkarza, gdy polecił:

– Do Southampton.

Jechali sporo ponad godzinę, nim Faulkner wysiadł przed Limpton Hall, ale przecież on wiedział, że nie ma szans, żeby przybyć tam w krótszym czasie.

– Poczekaj pan – rzucił kierowcy, wyskakując z samochodu. – To nie potrwa długo.

Wbiegł po schodach i otworzył frontowe drzwi. Gdy wszedł do holu, ogarnęły go mdłości. Brak Constable’a, brak Turnera. Zabrała nawet Henry’ego Moore’a. Obszedł w koło dom, przejęty zgrozą ogromem gra-

bieży, widokiem ciemnych prostokątów i kwadratów, gdzie wisiały przedtem obrazy, i pustych postumentów, na których dumnie wznosiły się rzeźby. Ale ostateczne upokorzenie spotkało go, kiedy wszedł do salonu i ujrzał jedyne malowidło, jakie zostawiła. Kopia obrazu Rembrandta autorstwa Eddiego Leigha wciąż wisiała nad kominkiem. Gdyby Christina w tym momencie weszła do pokoju, z radością by ją udusił. Wybiegł z domu i krzyknął do taksówkarza:

– Brama wjazdowa!

Taksówka pospiesznie pokonała długi podjazd i zatrzymała się przy bramie. Faulkner wyskoczył z samochodu i pobiegł do stróżówki.

– Czy widziałeś dziś panią Faulkner? – wysapał.

– Tak, sir – odparł dozorca, spojrzawszy na listę przyjazdów i odjazdów. – Wyjechała ponad godzinę temu.

– Dokąd?

– Nie mam pojęcia, sir.

– A to co? – spytał Faulkner, wskazując palcem słowa: „Bishop’s Move, przyjechali 8.55 rano, odjechali 2.04 po południu”. Gdzie jechali?

– Nie mam pojęcia, sir – powtórzył nieszczęsny dozorca.

Faulkner chwycił słuchawkę telefonu i po dwóch rozmowach i wielu groźbach terenowy przedstawiciel firmy niechętnie przekazał mu informację, jakiej potrzebował. Wskoczył do taksówki i nie patrząc na tykający licznik, polecił:

– Southampton.

Taksówkarz nie mógł uwierzyć swojemu szczęściu.

Komendant siedział sam z tyłu jadącego na czele samochodu. Za nim jechała karetka więzienna z sześcioma konstablami i sierżantem w środku. Karawanę zamykał Wolseley z detektywem głównym inspektorem Lamontem za kierownicą. Lamont orzekł, że to cały tabun, ale Jastrząb nie zamierzał ryzykować.

Mały konwój trzymał się lewego pasa na autostradzie i chociaż ani razu nie przekroczył dozwolonej prędkości, i tak zdołał dojechać do zjazdu na nabrzeże Southampton o dwie godziny za wcześnie.

Hawksby natychmiast zgłosił się do kapitana portu, który potwierdził, że motorowiec *Christina* ma przybić do nabrzeża dwudziestego dziewiątego około siódmej wieczorem. Komendant wręczył mu wtedy specjalny nakaz

z upoważnieniem odbioru jednej konkretnej skrzyni z jachtu bez ingerencji i kontroli urzędu celno-skarbowego.

– Pewno są tam klejnoty koronne – skomentował kapitan portu po przestudiowaniu nakazu.

– Prawie że – przyznał Hawksby. – Ale mogę panu powiedzieć tylko tyle, że ze skrzynią należy się obchodzić z największą ostrożnością, a jej zawartość nie może być wystawiona na światło słoneczne.

– Niczym Drakula.

– Nie, tak polecił obecny właściciel.

– Czy mogę jakoś pomóc?

– Nie zaszkodziłoby mieć w pobliżu ze dwóch pańskich chłopców w razie jakichś kłopotów.

– Mądre głowy czy siłaczy?

– Dwóch takich i dwóch takich, jeżeli to możliwe.

– Zrobione. Zgłoszą się u pana pół godziny przed przewidywanym przypłynięciem *Christiny*. Myślę, że ja sam też przyjdę – powiedział. – Zapowiada się ciekawie.

Hawksby wsiadł z powrotem do samochodu i niewielki konwój podążył do nabrzeża dwudziestego dziewiątego, aby czekać na sześciu syndyków spokojnie odpoczywających w ładowni *Christiny*.

Wszyscy byli na miejscu i niecierpliwie czekali, gdy wtem na nabrzeżu pojawił się bentley i zaparkował o pięćdziesiąt metrów od nich.

– Kto to, do diabła? – rzucił Lamont.

– To musi być pani Faulkner – rzekł Hawksby. – Po prostu nie zwracaj na nią uwagi. Skoro obraz Rembrandta zostanie przekazany, nie interesuje nas, co zrobi z resztą kolekcji męża, chociaż mam nadzieję, że wie, że on wrócił do kraju.

– Powinniśmy ją poinformować? – zapytał Lamont.

– To nie nasz interes.

– A co ci tutaj robią? – spytał Lamont, gdy wielki furgon firmy Bishop’s Move zajechał wolno na nabrzeże i zatrzymał się przy bentleyu.

– Nietrudno zgadnąć, co jest w środku – rzekł Hawksby, gdy kierowca wysiadł z szoferki i podszedł do bentleya.

Pani Faulkner opuściła szybę samochodu.

– Co, do diabła, te typy tu robią? – zapytał kierowca, pokazując trzy pojazdy policyjne.

– Odbierają skrzynię z jachtu męża i zwracają prawowitemu właścicielowi w Londynie. Kiedy zostanie im przekazana, wtedy odjadą i pan może ładować obrazy na jacht.

– Co tych gliniarzy tak interesuje?

– Sześciu dżentelmenów z Amsterdamu, którzy kilka lat temu wyjechali z kraju bez wizy.

– Śmiechu warte – mruknął kierowca i wrócił już bez słowa do furgonu.

Christina podniosła szybę z powrotem, kiedy pojawiła się czarna taksówka. Mike Harrison zapłacił taksówkarzowi i prędko usiadł obok swej klientki z tyłu bentleya, nie pozdrawiając nikogo z dawnych kolegów.

– Chyba widzę naszych holenderskich przyjaciół – powiedział Lamont, który wycelował lornetkę na wejście do portu. Podał ją Hawksby'emu.

– Jak pan ocenia, kiedy oni tu będą? – Hawksby zwrócił się do kapitana portu, nie spuszczając oczu z *Christiny*.

– Za dwadzieścia, najpóźniej trzydzieści minut.

– Właśnie spostrzegłem Warwicka na mostku kapitańskim – rzucił Hawksby. – Czy sądzisz, że opanował jacht?

– Albo został zakuty w kajdany – rzekł Lamont. – Tak czy owak, lepiej postawię chłopców w pogotowiu.

Komendant, kapitan portu, główny inspektor Lamont, sierżant i sześciu konstabli, pani Faulkner, Mike Harrison i tragarze z furgonu przeprowadzkowego patrzyli, jak *Christina* coraz bardziej się zbliża, w końcu wpływa do portu i cumuje przy nabrzeżu. William pierwszy zbiegł schodnią.

– Jesteśmy gotowi, sir. Skrzynia zostanie wyładowana za kilka minut.

– Więc będziemy… – zaczął Hawksby, ale w tym momencie przemknęła koło nich druga taksówka i zahamowała z piskiem opon przed jachtem.

Wyskoczył z niej Faulkner, wbiegł po schodni, przystanął, zamienił kilka słów z kapitanem i zniknął w ładowni.

– Nie ruszaj się – rzucił Hawksby Williamowi, który wyrywał się, żeby wrócić na jacht. – Jeżeli nasza skrzynia nie zostanie wyładowana, wyślemy go za kratki.

– Ale…

– Cierpliwości, Williamie. On nigdzie nie ucieknie. Panie kapitanie, gdyby oni chcieli zwiać…

– Dopłyną najwyżej do wejścia do portu, a tam moi chłopcy ich zablokują – wyjaśnił kapitan portu.

– Więc jeśli tylko spróbują odcumować – powiedział Hawksby Williamowi – to pozwalam ci wrócić na pokład i aresztować Faulknera.

– To chyba nie będzie konieczne – zauważył Lamont, gdy czterech członków załogi wyłoniło się z ładowni, dźwigając wielką skrzynię.

Przeniesienie jej przez pokład i wąską schodnią na nabrzeże zajęło im trochę czasu.

Hawksby niespiesznie sprawdził naklejkę: „Własność Fitzmolean Museum, Prince Albert Crescent, London SW7. Do odbioru". Skinął głową i czwórka konstabli zmieniła czterech członków załogi.

– Postawcie ją w tyle furgonetki – rozkazał Hawksby – i nie spuszczajcie z niej z oka.

Czterech młodych konstabli podniosło skrzynię i niczym kraby zaczęli posuwać się wolno w stronę karetki więziennej.

– W porządku, Bruce – powiedział Hawksby. – Myślę, że sobie zasłużyłeś, żeby poprowadzić konwój z powrotem do Londynu. Warwick, usiądź przy mnie. Jest coś, o czym muszę z tobą porozmawiać.

William się nie poruszył. Wciąż patrzył na Milesa Faulknera, który stał na mostku i wyglądał na zadowolonego z siebie, podczas gdy załoga szykowała się do rychłego odpłynięcia.

– Chodźmy, Warwick. Mamy to, po co przyjechaliśmy.

– Nie jestem pewien, że mamy, sir.

– Ale mamy twoją skrzynię. Widziałeś naklejkę.

– Tak, widziałem naklejkę, ale nie jestem przekonany, czy dostaliśmy właściwą skrzynię. Czy ma pan, sir, uprawnienia, żeby otworzyć jakąś skrzynię na jachcie?

– Nie – odparł Hawksby. – Żeby to zrobić, musielibyśmy mieć nakaz.

– Ale ja mam prawo – powiedział kapitan portu i ruszył do schodni, a William o krok za nim. Hawksby i Lamont pogonili za nimi.

William skierował się prosto do ładowni, gdzie stało osiemdziesiąt skrzyń różnej wielkości.

– Na jednej z nich podmieniono naklejkę – oznajmił.

– Ale na której? – spytał Hawksby.

– Nie krępujcie się, panowie – powiedział Faulkner, wróciwszy do ładowni, tuż za nim szedł kapitan. – Ale jeżeli zniszczycie jakieś moje bezcenne dzieło sztuki, zapewniam was, że wasze pensje razem wzięte nie wystarczą na odszkodowanie – dodał z uśmieszkiem.

William przyjrzał się bliżej Faulknerowi. Jeśli spodziewał się bandziora ze złamanym nosem, muskularnego, pokrytego tatuażami, to nie mógłby się bardziej pomylić. Faulkner był wysoki, elegancki, miał gęstą, falującą blond czuprynę i ciemnobłękitne oczy. Jego ciepły uśmiech tłumaczył, dlaczego tak wiele kobiet dawało się zwieść pozorom. Był w blezerze i swobodnych spodniach, rozpiętej pod szyją białej koszuli i w mokasynach, co nadawało mu wygląd raczej międzynarodowego playboya, a nie zatwardziałego przestępcy.

Po raz pierwszy William zrozumiał, co komendant miał na myśli, gdy mówił, żeby poczekał, aż zobaczy tego człowieka.

– Może byłoby rozsądnie, gdybyście sobie przypomnieli, co się stało ostatnio, kiedy dokonaliście nalotu na moją posiadłość – rzekł Faulkner. – Byłem w stanie przedstawić kwity na wszystkie moje dzieła sztuki. A gdybyście zapomnieli, to przypomnę, że wtedy także myśleliście, że dopadniecie Rembrandta.

William wahał się, przeszukując wzrokiem ładownię, ale był bezradny.

– To którą chce pan otworzyć, detektywie konstablu? – wyzywająco rzucił Hawksby.

– Tę tutaj – powiedział William, podchodząc do dużej skrzyni i klepiąc ją pewnie.

– Jest pan absolutnie przekonany, że to właściwa? – spytał Faulkner.

– Tak – odpowiedział William, z brawury raczej niż z przekonania.

– Widzę, komendancie, że jakiś młody nowicjusz kieruje teraz pańskim wydziałem – rzekł Faulkner.

– Otwórzcie ją – polecił Hawksby.

Kapitan portu wystąpił do przodu i z pomocą swojej załogi zaczął wyciągać gwoździ po gwoździu, aż w końcu można było podważyć pokrywę skrzyni. Gdy usunięto kilka warstw stanowiących osłonę, obecnych powitało sześciu przyglądających się im syndyków z Amsterdamu.

– Od lat na to czekałem – rzekł Hawksby.

Komendant postąpił o krok, oznajmił Faulknerowi, że jest aresztowany, i odczytał mu jego prawa. Lamont wykręcił ręce Faulknera do tyłu, skuł kajdankami i wyprowadził go z jachtu, a czterej konstable znieśli wolno schodnią drugą skrzynię i umieścili ją ostrożnie z tyłu karetki więziennej obok niezidentyfikowanej towarzyszki.

– Skąd wiedziałeś, w której skrzyni jest obraz Rembrandta? – spytał Lamont Williama, gdy stanęli na brzegu.

– Nie byłem tego absolutnie pewien – przyznał William – ale tylko ta jedna miała odciśnięty duży okrągły znak po oryginalnej naklejce. Faulkner najwyraźniej zamienił naklejki, ale nie spostrzegł, że skrzynia, którą wybrał, jest o wiele większa od tej, w której umieszczono obraz Rembrandta, i że na skrzyni z Rembrandtem, z której zerwano oryginalną naklejkę, został okrągły ślad.

– A jednak jeszcze będzie z ciebie detektyw – rzucił Hawksby.

– To co jest w drugiej skrzyni? – zagadnął Lamont.

– Nie mam pojęcia – odparł William. – Dowiemy się, dopiero gdy zostanie dostarczona do Fitzmolean, jak wyraźnie głosi naklejka.

Pani Faulkner siedziała w bentleyu, z daleka obserwując sytuację. Nie poruszyła się, póki nie ujrzała, że Miles został aresztowany, a wtedy wyskoczyła z samochodu i pobiegła ku nabrzeżu, wołając:

– Zatrzymajcie ich! Zatrzymajcie!

Mike Harrison podążał metr za nią i oboje patrzyli, jak *Christina* wypływa z portu i kieruje się na pełne morze.

– Na jakiej podstawie? – spytał Harrison, zrównawszy się z nią.

– Tam są moje obrazy!

– To będzie trudno udowodnić – powiedział Harrison – skoro kapitan prawdopodobnie wykonuje polecenia pani męża.

– Po czyjej jest pan stronie? – zaperzyła się Christina.

– Po pani stronie i jestem pewien, że gdy pani mąż trafi za kratki, znajdzie pani sposób, żeby odzyskać obrazy.

– Ale on będzie mnie ścigał – zaprotestowała Christina.

– Nie sądzę – rzekł Harrison. – Pani mąż zostanie odstawiony do Pentonville i nie myślę, żeby był zwolniony wcześniej niż za kilka lat.

– W porządku, chłopaki – rzucił Hawksby. – Czas zwrócić obraz Rembrandta prawowitemu właścicielowi wraz z tym – cokolwiek może to być – co jest w drugiej skrzyni.

– Przepraszam, że zawracam głowę – powiedział mężczyzna, który wyglądał na jeszcze bardziej zrozpaczonego niż pani Faulkner. – Ale ten gość, któregoście dopiero co aresztowali, jest mi winien dwieście siedemdziesiąt cztery funty za jazdę taksówką.

– Których, jak się obawiam, nie ujrzy pan przez jakiś czas – rzekł Lamont. – Proponuję się skontaktować z jego adwokatem, panem Boothem Watsonem w Lincoln’s Inn. Jestem pewien, że chętnie wyświadczy panu przysługę.

– Dobra robota, detektywie konstablu Warwick – powiedział Hawksby, kiedy William usiadł koło niego w samochodzie i mały konwój ruszył do Londynu. – Możesz być dumny z roli, jaką odegrałeś.

William nic nie odpowiedział.

– O co chodzi? – zagadnął komendant. – Aresztowaliśmy Faulknera, odzyskaliśmy Rembrandta i mamy w drugiej skrzyni nagrodę, jakiej się nie spodziewaliśmy. Czego więcej można żądać?

– Coś jest nie całkiem w porządku.

– Na przykład?

– Nie wiem. Ale Faulkner się uśmiechał, kiedy go pan aresztował.

28

– Myślę, że wiem, co jest w drugiej skrzyni – rzekł William.

– Ale mi nie powiesz, czy tak? – spytała Beth.

– Nie. A nuż się mylę i byłabyś potem rozczarowana.

– Zdajesz sobie sprawę, że obraz musiałby być pochodzenia holenderskiego albo flamandzkiego i wywodzić się sprzed 1800 roku, żeby nasza komisja kwalifikacyjna dzieł sztuki wzięła go pod uwagę?

– Jeśli mam rację – powiedział William – to nie będzie problem. I jego pochodzenie jest równie imponujące jak to obrazu Rembrandta. Tak czy owak, dzięki tobie jestem zaproszony na ceremonię otwarcia.

– Nie dzięki mnie – odparła Beth. – To dyrektor muzeum, Tim Knox, zaprosił cię na „uroczystość otwarcia skrzyń”. Mogę powiedzieć, że nie byłbyś moim pierwszym kandydatem.

– Śmiem spytać: kto?

– Christina Faulkner, kobieta, która sprawiła, że to wszystko stało się możliwe. Nie mogę się doczekać, kiedy ją spotkam i osobiście jej podziękuję.

Williamowi nie trzeba było przypominać, kiedy ostatnio widział Christinę, i zastanawiał się, czy kiedykolwiek nadarzy się lepsza okazja, żeby opowiedzieć Beth, co się wydarzyło tamtej nocy w Monte Carlo.

– Mogę nawet wpaść na nią w sobotę – ciągnęła Beth – jeżeli odwiedzi Pentonville, by pocieszyć męża.

– Nie sądzę – powiedział William. – Ale mój ojciec i Grace wybierają się dziś z rana do więzienia, żeby przekazać twojemu ojcu ważną wiadomość.

– Dobrą czy złą? – spytała z niepokojem Beth.

– Nie mam pojęcia. Ojciec nie powiedziałby nawet mojej matce.

– Szkoda, że mnie tam nie będzie, żeby wysłuchać tej wiadomości – rzekła Beth – ale lepiej chodźmy, jeżeli nie mamy się spóźnić na uroczystość otwarcia skrzyń. To jeden z tych dni, kiedy chciałabym być w dwóch miejscach naraz.

– Dzień dobry, sir Julianie. Więzień czeka na pana w sali przesłuchań.

– Dziękuję panu, panie Rose.

Wybitny radca królewski i adwokat młodsza podążyli za strażnikiem nazbyt im znanym korytarzem więziennym.

Gdy weszli do pokoju przesłuchań, sir Julian uścisnął rękę swojemu klientowi.

– Dzień dobry, Arthurze.

– Dzień dobry, sir Julianie – odparł Arthur i pocałował Grace w oba policzki.

– Zacznę od dobrej wiadomości – rzekł sir Julian, usiadłszy i położywszy obok swoją walizeczkę.

Arthur wyglądał na zaniepokojonego.

– Dzięki kompetencjom profesora Leonarda Abrahamsa, analityka dokumentów sądowych z Columbia University w Nowym Jorku, prokurator generalny zgodził się poprzeć twój wniosek o odwołanie od wyroku, co praktycznie oznacza ponowny proces.

– To wspaniała wiadomość – powiedział Arthur.

– A w dodatku – wtrąciła Grace – dostaliśmy wczesny termin na wokandzie, tak że rozprawa odbędzie się już za kilka tygodni.

– Jak to się udało?

– Czasem ma się szczęście.

– Zwłaszcza jeżeli ty i prokurator generalny byliście razem w Oks…

– Zachowuj się, Grace – upomniał ją ojciec. – Chociaż muszę przyznać, że użyłem wszystkich możliwości.

– Jestem bardzo wdzięczny – rzekł Arthur.

– Warto było rozegrać długi mecz – powiedział sir Julian bez dalszych tłumaczeń. – Jednak, Arthurze, skoro mamy tylko godzinę, musimy wykorzystać czas konstruktywnie. Przed wszystkim powinienem ci powiedzieć, że zamierzam powołać tylko trzech świadków.

– Czy ja będę jednym z nich? – spytał Arthur.

– To by nie miało sensu – rzekł sir Julian. – Rozprawy apelacyjne odbywają się przed trzema sędziami, nie przed przysięgłymi, a ty nie masz im nic nowego do powiedzenia. Ich będą interesować tylko świeże dowody.

– A więc kogo wezwiesz?

– Dwóch policjantów, którzy zeznawali podczas pierwotnego procesu.

– Ale mało prawdopodobne, żeby zmienili swoje zeznania.

– Zapewne masz rację. Jednak William otrzymał pewną informację z niepodważalnego źródła, w której świetle ich zeznania mogą się okazać trochę mniej wiarygodne. Naszym głównym świadkiem będzie natomiast profesor Abrahams. Grace porozumiewała się z nim bezpośrednio i teraz przedstawi ci dowody, jakie zebrał, i co ważniejsze – jego wnioski.

Grace wyjęła z aktówki grubą teczkę i położyła na stole.

– Pozwolę sobie zacząć…

– Pozwolę sobie zacząć – oznajmił Tim Knox, dyrektor Fitzmolean Museum, stojąc przed niewielkim zgromadzeniem przyjaciół i personelu – od powitania wszystkich na „uroczystości otwarcia skrzyń”, jak to nazwała moja koleżanka Beth Rainsford. Gdy wyjmiemy obraz Rembrandta ze skrzyni i z powrotem umieścimy na jego miejscu, to otworzymy drugą skrzynię i zobaczymy, jaki kryje skarb.

Pospieszcie się – chciałby powiedzieć William.

Beth zadowoliła się słowami:

– Nie mogę się doczekać.

– Jesteś gotów, Mark? – spytał dyrektor.

Mark Cranston, kustosz działu obrazów, wystąpił z gromady i niczym iluzjonista powoli uniósł pokrywę pierwszej skrzyni. Pokazało się mnóstwo wiórków polistyrenowych, które przez pewien czas usuwała jego ekipa, po czym się okazało, że malowidło jest owinięte w kilka warstw muślinu. Cranston delikatnie zdejmował warstwę po warstwie, aż wreszcie wyjrzało utracone dawno temu arcydzieło.

Znieruchomiali widzowie wydali stłumione okrzyki zachwytu i po chwili zaczęli spontanicznie bić brawo. Kierownik warsztatów i jego ekipa powoli unieśli płótno i delikatnie umieścili je w ramie, umocowując maleńkimi klipsami. Drugi raz zerwała się burza oklasków, kiedy obraz został powieszony na hakach i znów zapełnił przestrzeń, która była pusta przez siedem lat.

– Witamy w domu – powiedział dyrektor.

Zgromadzeni patrzyli z podziwem na sześciu syndyków cechu sukienników, którzy lekceważąco odpowiedzieli na ich zachwyt. Upłynęło trochę czasu, zanim kustosz zasugerował, że należy teraz otworzyć następną

skrzynię, chociaż było widać, że niektórzy patroni muzeum nie kwapią się do rozstania z dawno niewidzianymi towarzyszami.

Wreszcie wszyscy zebrali się wokół dyrektora przy drugiej skrzyni, niektórzy bardziej z nadzieją niż oczekiwaniem. W milczeniu czekali na powtórzenie ceremonii. Najpierw kustosz uniósł wieko skrzyni, potem usunięto wiórki, wreszcie zdjęto warstwy muślinu, a wtedy okazało się, że Rembrandt ma prawdziwego rywala.

Rozległ się stłumiony okrzyk zachwytu, gdy ukazał się wspaniały obraz *Zdjęcie Chrystusa z krzyża* autorstwa Petera Paula Rubensa.

– Jakże wspaniałomyślny jest pan Faulkner – powiedział jeden z patronów, a drugi dodał: – Dwa w cenie jednego. Zostaliśmy sowicie obdarowani.

– Czy mam powiesić obraz obok Rembrandta? – spytał kustosz.

– Niestety, nie – powiedział dyrektor. – Właściwie muszę poprosić o umieszczenie płótna z powrotem w skrzyni i przybicie pokrywy gwoździmi.

– Dlaczego? – spytał inny patron. – Naklejka na skrzyni wyraźnie mówi, że obraz jest własnością Fitzmolean.

– Rzeczywiście – przyznał dyrektor. – I nie przeczę, że ten niezwykły obraz ozdobiłby naszą kolekcję i przyciągnął miłośników sztuki z całego świata. Niestety dziś rano dostałem list od pana Bootha Watsona, radcy królewskiego, który podkreślił, że naklejki na dwóch skrzyniach najwyraźniej zostały przez kogoś podmienione, ale z pewnością nie przez jego klienta. Pan Faulkner zawsze zamierzał zwrócić obraz Rembrandta i jest szczęśliwy, że znalazł się na swoim prawowitym miejscu. Jednakże obraz Rubensa, który od dwudziestu lat jest w prywatnej kolekcji pana Faulknera, należy natychmiast mu zwrócić.

William teraz zrozumiał, czemu Faulkner się uśmiechał, kiedy go aresztowano. Nie wytrzymał jednak i spytał:

– Gdzie on go powiesi? W celi?

– Oczywiście bezzwłocznie zwróciłem się o poradę prawną – mówił dyrektor, ignorując tę odzywkę – i nasi adwokaci potwierdzili, że nie mamy wyjścia i musimy się przychylić do żądania pana Bootha Watsona.

– Czy podali powód? – spytał kustosz.

– Według ich opinii, gdyby spór o własność miał doprowadzić do procesu, to nie dość, że byśmy przegrali, ale byłoby to niezwykle kosztowne.

Na razie obraz zostanie umieszczony w zabezpieczonym magazynie do czasu, aż zarząd podejmie ostateczną decyzję, chociaż nie mam powodu uważać, że nie zgodzi się z naszymi prawnymi doradcami i zapewne poinstruuje mnie, żebym wydał Rubensa panu Faulknerowi.

Część patronów muzeum i gości nadal podziwiała płótno Rubensa, zdając sobie sprawę, że więcej go nie zobaczą. William odwrócił się, dopiero gdy pokrywa skrzyni została zabita gwoździmi. Przejął go zimny dreszcz na widok Beth pogrążonej w rozmowie z Christiną Faulkner. Zastanawiał się, czy Christina opowiada jej o tym, co się wydarzyło tamtej nocy w Monte Carlo.

Booth Watson nie pozdrowił sir Juliana, gdy mijali się w korytarzu.

– Nietrudno się domyślić, z kim będzie się naradzał – powiedziała Grace. – Jakie spekulacje krążą w przebieralni adwokackiej?

– Faulknera czeka co najmniej sześć, możliwe, że osiem lat, ale nie pomaga to, że brukowce przedstawiają go jako współczesnego Stamforda Rafflesa, a nie pospolitego przestępcę, jakim jest.

– Ale to sędzia, a nie prasa zdecyduje o długości jego wyroku – zauważyła Grace.

– Zakładając, że przysięgli go nie uniewinnią. Możesz być pewna, że kiedy stanie na miejscu dla świadka, będzie miał do perfekcji opracowaną opowieść i wygłosi ją z przekonaniem.

Wyszli z więzienia w tym czasie, kiedy Booth Watson wkroczył do rozmównicy.

– Dzień dobry, Miles – powiedział, opadłszy na krzesło naprzeciw klienta. – Żałuję, że nie zostałeś w Melbourne i nie obejrzałeś meczu krykieta, jak ci zalecałem.

– Gdybym to zrobił – rzekł Faulkner – cała moja kolekcja sztuki byłaby teraz po drugiej stronie świata.

– Nie, gdybyś mi pozwolił zająć się tym Warwickiem w Southampton, zanim wysiadł z *Christiny*.

– Kim jest ten Warwick?

– Młody detektyw, który odwiedził twoją żonę w Monte Carlo, doszedł z nią do porozumienia, a potem w nocy przypieczętował umowę w łóżku.

– Więc będziesz miał nad nim przewagę, kiedy stanie na miejscu dla świadka.

– Jeżeli kiedykolwiek tam stanie. Na pewno nie powinien, gdybym miał doradzać tamtej stronie. Wezwałbym starego wygę, jak Hawksby, nie Warwicka. Na razie musimy o nim zapomnieć i skupić się na twojej obronie, która, szczerze mówiąc, wygląda dość smętnie.

– O co mnie oskarżają?

Booth Watson wyjął z aktówki kartkę.

– „Że celowo i z premedytacją skradłeś narodowy skarb bez zamiaru zwrócenia go prawowitemu właścicielowi". I nim cokolwiek powiesz, muszę ci zwrócić uwagę, że byłoby trudno twierdzić, że nigdy przedtem nie widziałeś obrazu Rembrandta, bo twoja żona bez wątpienia zezna, że był w twoim domu w Monte Carlo przez ostatnie siedem lat. A prokurator z pewnością zapyta, że jeśli nie ty zamieniłeś naklejki na skrzyniach, to kto to zrobił.

– Konkluzja?

– Najwyżej osiem lat, ale bardziej prawdopodobne, że sześć, zależnie od tego, jakiego dostaniemy sędziego.

– Możesz to ustawić, BW?

– Nie w Anglii, Miles. Zatrudniłem jednak zespół kreujący twój wizerunek i obecnie media przedstawiają cię jako skrzyżowanie Szkarłatnego Kwiatu i Rafflesa. Niestety to nie opinia publiczna, ale przysięgli zawyrokują o twoim losie.

– Czy trzymasz, BW, kartę w rękawie, która uwolni mnie z więzienia?

Booth Watson spojrzał swemu klientowi głęboko w oczy, a potem rzekł:

– Tylko jeżeli się zdobędziesz na cholernie wielkie poświęcenie.

29

Prasa miała używanie. Apelacja od wyroku za morderstwo w Old Bailey i zwrot skradzionego skarbu narodowego w tym samym tygodniu. Ludzie na Fleet Street nie mogli się zdecydować, który temat umieścić na pierwszej stronie w ten poniedziałkowy poranek.

„Guardian” preferował Arthura Rainsforda i możliwość pomyłki sądowej, a Miles Faulkner okazał się bardziej interesujący dla „Daily Mail”, która pytała czytelników: „Raffles czy Rasputin?”.

„Sun” umieścił obu na pierwszej stronie i pochwalił się wyłącznością praw, ujawniając związek między dwoma mężczyznami: detektyw konstabl William Warwick aresztował złodzieja arcydzieł i był zaręczony z córką „mordercy z Marylebone”.

Kilka gazet przedstawiło sylwetki szacownych obrońców zaangażowanych w dwa procesy, radcy królewskiego sir Juliana Warwicka i radcy królewskiego pana Bootha Watsona. „The Times” dał do zrozumienia, że nie pozostają w dobrych stosunkach, podczas gdy „Mirror” stwierdził, że są śmiertelnymi wrogami.

Lojalność Williama i Beth też była podzielona. Tego ranka wyszli razem z mieszkania na Fulham, ale rozdzielili się na schodach Royal Courts of Justice na Strandzie: William skierował się do sali numer czternaście, żeby uczestniczyć w procesie Faulknera, natomiast Beth udała się na salę dwudziestą drugą, aby wspierać swojego ojca. Oboje wstali, kiedy każdy z sędziów wkroczył na swoje włości.

KORONA PRZECIW RAINSFORDOWI

Trzech sędziów weszło na salę sądową numer dwadzieścia dwa i zajęło miejsca przy swoim stole na podwyższeniu. Przewodniczył Lord Sędzia

Arnott, natomiast jego dwaj uczeni koledzy będą obecni i przydatni w omawianiu subtelniejszych kwestii prawnych.

Lord Sędzia Arnott zasiadł w środkowym fotelu i ułożył odpowiednio fałdy czerwonej togi, a wszyscy w sali zajęli miejsca. Sir Julian lubił wierzyć, że sędziowie są jak sędzia w krykiecie – bezstronni i sprawiedliwi – i wprawdzie kilka razy w przeszłości on i sędzia Arnott skrzyżowali miecze, lecz nigdy nie słyszał, żeby był niesprawiedliwy.

– Sir Julianie – przemówił sędzia, spojrzawszy życzliwie z wysoka. – Moi koledzy i ja spędziliśmy sporo czasu na sprawdzaniu dowodów z pierwotnego procesu, podczas którego pozwany został skazany za morderstwo wspólnika pana Gary'ego Kirklanda. Jedyne, co nas interesuje podczas tego postępowania, to przedłożenie świeżych dowodów, które mogą wskazywać, że nastąpiła wówczas pomyłka sądowa. Zatem poproszę pana, sir Julianie, żeby pan miał to na uwadze.

– Z całą pewnością, milordzie – powiedział sir Julian, wstając. – Jednak może być konieczne, żebym od czasu do czasu wrócił do pierwotnego procesu. Ale uczynię wszystko, co w mojej mocy, aby nie nadużyć pańskiej cierpliwości.

– Jestem zobowiązany, sir Julianie – rzekł Lord Sędzia Arnott, chociaż ton jego głosu wcale o tym nie świadczył. – Może zechce pan teraz wygłosić oświadczenie wstępne.

KORONA PRZECIW FAULKNEROWI

W sali sądowej numer czternaście pan Booth Watson zbliżał się do końca oświadczenia wstępnego. Po argumentacji radcy królewskiego pana Adriana Palmera reprezentującego Koronę przysięgli mogli pomyśleć, że Miles Faulkner to diabeł wcielony, kiedyś zaś pan Booth Watson usiadł z powrotem na swoim miejscu, mogliby się łudzić, iż jego klient jest prawie święty.

– Panie Palmer, może pan wezwać swojego pierwszego świadka – powiedział sędzia Nourse, spojrzawszy z wysoka.

– Wzywamy panią Christinę Faulkner – oznajmił Palmer.

Z chwilą gdy dziennikarze siedzący w galerii dla prasy ujrzeli olśniewającą kobietę, która zjawiła się w sali, niewielu powątpiewało, czyja fotografia nazajutrz zajmie pierwsze strony gazet.

W prostym, dobrze skrojonym popielatym kostiumie Armaniego, z pojedynczym sznurem pereł na szyi, pani Faulkner zajęła miejsce dla świadka i wypowiedziała przysięgę cichym, ale pewnym głosem.

Pan Palmer wstał i uśmiechnął się do swojego głównego świadka.

– Pani Faulkner, jest pani żoną oskarżonego, pana Milesa Faulknera.

– Jestem teraz, proszę pana, ale już niedługo, jak mam nadzieję – odpowiedziała, gdy mąż spiorunował ją wzrokiem z ławy oskarżonych.

– Pani Faulkner – powiedział sędzia – zechce pani ograniczyć się do odpowiedzi na pytania oskarżyciela, a nie wygłaszać opinii.

– Przepraszam, milordzie.

– Od jak dawna jest pani żoną oskarżonego? – spytał Palmer.

– Od jedenastu lat.

– I niedawno wystąpiła pani o rozwód, podając jako przyczynę zdrady i psychiczne znęcanie się.

– Czy to dotyczy sprawy, panie Palmer? – spytał sędzia.

– Wysoki Sądzie, chodzi tylko o pokazanie, że związek tych dwojga osób jest nieodwracalnie zerwany.

– Zatem osiągnął pan, panie Palmer, swój cel, proszę kontynuować.

– Jak Wysoki Sąd sobie życzy. Ten proces, jak pani wie, pani Faulkner, dotyczy kradzieży obrazu *Syndycy cechu sukienników* pędzla Rembrandta, dzieła o nieocenionej wartości, które miłośnicy sztuki uważają za skarb narodowy. Zatem muszę panią zapytać, kiedy pierwszy raz zobaczyła pani ten obraz.

– Trochę ponad siedem lat temu w salonie naszego domu w Limpton Hall.

– Trochę ponad siedem lat temu – powtórzył Palmer, patrząc na przysięgłych.

– Zgadza się, panie Palmer.

– A czy mąż powiedział pani, jak wszedł w posiadanie tak wspaniałego dzieła sztuki?

– Z początku odpowiadał wymijająco, ale gdy nalegałam, wytłumaczył, że kupił obraz od przyjaciela, który był w kłopotach finansowych.

– Czy spotkała pani kiedy tego przyjaciela?

– Nie.

– A kiedy pani sobie uświadomiła, że w rzeczywistości obraz został skradziony z Fitzmolean Museum?

– Dwa tygodnie później, kiedy zobaczyłam go w *Wiadomościach o dziesiątej*.

– Czy powiedziała pani mężowi o tym doniesieniu?

– Ależ skąd. Byłam zbyt przestraszona, bo aż za dobrze wiedziałam, jak zareaguje.

– To zrozumiałe.

– Panie Palmer – powiedział stanowczo sędzia.

– Proszę wybaczyć, Wysoki Sądzie – rzekł Palmer z lekkim ukłonem, dobrze wiedząc, że dopiął swego. Zwrócił się z powrotem do świadka. – I gdy nie mogła pani dłużej znosić oszustwa, postanowiła pani sama coś z tym zrobić.

– Tak, uważałam, że gdybym nic nie zrobiła, to godziłabym się na przestępstwo. Kiedy więc mąż był w Australii podczas świąt Bożego Narodzenia, spakowałam obraz i odesłałam go do Anglii na naszym jachcie z wyraźnym poleceniem, że ma być zwrócony Fitzmolean.

Booth Watson coś zanotował w leżącym przed nim bloczku.

– Ale czy nie martwiła się pani, jakie będą konsekwencje tej decyzji, gdy wróci mąż?

– Bardzo się martwiłam, dlatego postanowiłam wyjechać z kraju przed jego powrotem.

Booth Watson znów coś zanotował.

– To dlaczego pani tego nie zrobiła?

– Bo Miles jakoś odkrył, co planuję, i przyleciał pierwszym samolotem do Londynu, żeby nie dopuścić, abym zwróciła obraz prawowitemu właścicielowi. – Opuściła skromnie głowę.

– I kiedy zobaczyła pani męża?

– W Southampton, kiedy wszedł na pokład naszego jachtu i był tak zdesperowany możliwą utratą obrazu Rembrandta, że zamienił naklejki na skrzyniach.

Booth Watson sporządził trzecią notatkę.

– Ale ta próba zmylenia policji zawiodła.

– Na szczęście tak, ale tylko dlatego, że detektyw ze Scotland Yardu, który przybył do Southampton, żeby zabrać obraz, nabrał podejrzeń i zażą-

dał otwarcia drugiej skrzyni. I wtedy policja odkryła skradziony obraz Rembrandta.

Dziennikarze notowali bez wytchnienia.

– I tak dzięki pani odwadze i sile ducha, pani Faulkner, skarb narodowy znowu wisi na ścianie w Fitzmolean Museum.

– Tak jest, panie Palmer. Ostatnio odwiedziłam muzeum i byłam świadkiem, jak to arcydzieło zawisło na właściwym miejscu. Z wielką przyjemnością patrzyłam, jaką radość sprawiło to przeżycie licznym zgromadzonym, równą mojej.

– Dziękuję pani, pani Faulkner. Wysoki Sądzie, nie mam więcej pytań.

Booth Watson obrzucił spojrzeniem przysięgłych, którzy byli gotowi bić brawo, gdy pan Palmer usiadł.

– Panie Booth Watson – powiedział sędzia – czy życzy pan sobie przesłuchać świadka?

– Z całą pewnością, Wysoki Sądzie – odparł Booth Watson, wstając i mile uśmiechając się do świadka.

– Pani Faulkner, proszę mi przypomnieć, kiedy pierwszy raz zobaczyła pani obraz Rembrandta?

– Siedem lat temu w naszym wiejskim domu.

– Zatem muszę zapytać, dlaczego czekała pani tak długo.

– Nie jestem pewna, czy wiem, do czego pan zmierza – odparła Christina.

– Myślę, pani Faulkner, że pani aż za dobrze wie, do czego zmierzam. Ale pozwolę sobie panią wyręczyć. Po prostu, skoro siedem lat temu pani wiedziała, że obraz został ukradziony, to dlaczego czekała pani do tej pory, żeby powiadomić policję?

– Czekałam na odpowiednią sposobność.

– I ta sposobność nie nadarzyła się przez siedem lat? – spytał Booth Watson głosem pełnym niedowierzania.

Christina zawahała się, pozwalając Boothowi Watsonowi zadać cios.

– Sugerowałbym, pani Faulkner, że sposobność, na jaką pani w istocie czekała, to kradzież całej kolekcji sztuki męża w czasie, gdy on przebywał w bezpiecznej odległości po drugiej stronie świata.

– Ale ja nie planowałam… – Zawahała się znowu, dając Boothowi Watsonowi okazję do pogłębienia ciosu.

– Myślę, że planowała pani tę skandaliczną kradzież na wielką skalę od dłuższego czasu i tylko użyła pani obrazu Rembrandta jako wybiegu, żeby zapewnić sobie szansę na bezkarność.

W sali sądowej rozległ się szmer przyciszonych rozmów, ale Booth Watson cierpliwie czekał, aż nastanie cisza, i dopiero wtedy zaczął wolno wyciągać sztylet z zadanej rany.

– Pani Faulkner, czy kiedy mąż był w Melbourne, poleciła pani zapakować wszystkie dzieła sztuki z jego domu w Monte Carlo i przewieźć do portu, gdzie zostały umieszczone w ładowni jachtu męża?

– Ale i tak ich połowa byłaby moja – zaprotestowała Christina.

– Dobrze wiem, że wystąpiła pani z pozwem o rozwód – rzekł Booth Watson – jak mój uczony kolega tak subtelnie nam przypomniał, ale w tym kraju, pani Faulkner, zgodnie z tradycją to sądowi pozwala się decydować, jaka część majątku mężczyzny powinna być przydzielona żonie. Najwyraźniej nie miała pani ochoty czekać.

– To była zaledwie mniej więcej trzecia część kolekcji.

– Całkiem możliwe, ale gdy jacht wypłynął z Monte Carlo do Southampton z jedną trzecią kolekcji sztuki pani męża, to co pani zrobiła potem?

Christina znów spuściła głowę. William zmarszczył brwi.

– Skoro wydaje się, że nie jest pani skłonna odpowiedzieć na moje pytanie, pozwolę sobie, pani Faulkner, przypomnieć, co mianowicie pani zrobiła. Poleciała pani pierwszym samolotem do Londynu, pojechała do swojej wiejskiej posiadłości i jeszcze raz zabrała się do zdejmowania wszystkich obrazów w domu.

Jeden czy dwóch przysięgłych wydało stłumiony okrzyk, a Booth Watson cierpliwie czekał na odpowiedź świadka. Gdy odpowiedź nie padła, przewrócił kartkę w notesie i mówił dalej:

– Następnego dnia rano przed domem pojawił się furgon przeprowadzkowy, załadował obrazy i zgodnie z pani poleceniem zawiózł je do Southampton, żeby tam czekać na przybycie jachtu pani męża i w nim je umieścić. A więc miała pani już dwie trzecie kolekcji. Spiorunował wzrokiem swoją ofiarę, która patrzyła na niego jak zahipnotyzowany zając schwytany w światła reflektorów. – I nawet to nie było dla pani dość – kontynuował – bo potem poinformowała pani kapitana jachtu, że wsiądzie pani na pokład, żeby popłynąć do Nowego Jorku, aby udać się prosto do apartamentu męża na Piątej Alei i uwolnić go od reszty legendarnej kolekcji.

Potem pragnęła pani jak sowa z kicią z uroczego wierszyka Leara odpłynąć na rok i jeden dzień w pięknej zielonej łódce, a ściślej mówiąc, na pięknym jachcie pani męża.

– To wszystko nie zmienia faktu, że najpierw Miles ukradł obraz Rembrandta, a potem zamienił naklejki na skrzyniach, usiłując nie dopuścić, żeby obraz wrócił do Fitzmolean.

William się uśmiechnął.

Sędzia skinął rozważnie głową, co sprawiło, że Booth Watson niby zręczny sternik zmienił kurs.

– Pozwoli pani, że zadam proste pytanie, pani Faulkner – powiedział niemal szeptem: – Czy nazwałaby pani swojego męża sprytnym?

– Sprytnym, intryganckim i przedsiębiorczym – padła natychmiastowa odpowiedź.

– Zatem muszę panią zapytać, pani Faulkner, jeżeli jest tak sprytny, intrygancki i przedsiębiorczy, to czemu umieścił naklejkę na innej skrzyni, zawierającej obraz wart nawet więcej niż dzieło Rembrandta, które, jak twierdzi oskarżenie, skradł?

Booth Watson nie dał świadkowi szansy na odpowiedź, gdyż dodał:

– Nie, pani Faulkner, to pani jest sprytna, intrygancka i przedsiębiorcza i dlatego o mało nie udało się pani skraść jednej z najwartościowszych kolekcji sztuki na świecie i urzeczywistnić plan uwięzienia mojego klienta za przestępstwo, którego nie popełnił. Nie mam więcej pytań, Wysoki Sądzie.

KORONA PRZECIW RAINSFORDOWI

– Sir Julianie, może pan wezwać swojego pierwszego świadka.

– Dziękuję, milordzie. Wzywam pana Barry’ego Sterna.

– Czy to jest ten detektyw inspektor, który był głównym świadkiem oskarżenia w pierwotnym procesie? – spytał sędzia w imieniu swoich kolegów.

– Tak, milordzie. I musiałem wysłać mu nakaz stawiennictwa w sądzie, ponieważ nie jest już funkcjonariuszem policji, musi więc być uznany za świadka wrogo nastawionego do powołującej go strony.

– Mam nadzieję, sir Julianie, że zamierza pan przedstawić nowe dowody, a nie zajmować się gdybaniem.

– Wierzę, że przedstawię nowe dowody, milordzie, ale podobnie jak pan zamierzam trochę nagiąć granice prawa, gdyby to miało oznaczać choćby najmniejszą szansę, że niewinnemu człowiekowi zostanie oddana sprawiedliwość.

Lord Sędzia Arnott nie wyglądał na zadowolonego, ale tylko zmarszczył brwi, gdy otworzyły się drzwi sali sądowej i pojawił się przysadzisty mężczyzna po pięćdziesiątce, krótko ostrzyżony, w dżinsach i skórzanej marynarce. Stern stanął w miejscu dla świadka i wyrecytował przysięgę ani razu nie spoglądając na kartę, którą trzymał przed nim sekretarz sądu. Potem zmierzył wzrokiem obrońcę niby bokser czekający na gong.

– Ile lat pełnił pan służbę w policji, panie Stern?

– Dwadzieścia osiem. Najlepsze lata mojego życia.

– Czy tak? – powiedział sir Julian. – Dlaczego więc odszedł pan z policji wcześniej, skoro po zaledwie dwóch latach miałby pan prawo do pełnej emerytury?

– Chciałem odejść u szczytu, no nie?

– Kończąc karierę wyrokiem skazującym za morderstwo? Zanim do tego dojdę, muszę pana zapytać, panie Stern: ile razy podczas swych najlepszych lat życia był pan zawieszony?

– Czy ten sposób zadawania pytań jest istotny dla sprawy, sir Julianie? – spytał Lord Sędzia Arnott.

– Milordzie, to dotyka sedna sprawy – rzekł sir Julian, biorąc do ręki pierwszą z dwu teczek osobowych, na jakie natknął się William. Ostentacyjnie otworzył ją na stronie zaznaczonej dużą czerwoną etykietką. – Ile razy? – powtórzył.

– Trzy – odparł Stern z niezbyt pewną miną.

– Czy pierwszy raz to było za pijaństwo na służbie?

– Mogłem od czasu do czasu w piątek wieczorem wychylić ze dwa kufle piwa – przyznał Stern.

– Podczas pełnienia służby?

– Tylko jakeśmy capnęli jakiegoś drania.

– A dokładnie ile razy był pan ukarany za picie alkoholu na służbie w piątek wieczorem po capnięciu jakiegoś drania?

– Myślę, że dwa.

– Niech pan pomyśli jeszcze trochę, panie Stern – powiedział sir Julian, dając świadkowi czas na zastanowienie.

– Może to było trzy razy.

– Myślę, że się pan przekona, że cztery, panie Stern. A ile jeszcze razy był pan pijany podczas pełnienia służby, ale nie został pan ukarany?

– Nigdy – Stern podniósł głos. – Tylko te cztery razy przez dwadzieścia osiem lat.

– I zawsze w piątek wieczorem?

Stern zrobił zdziwioną minę.

– Czy może pan powiedzieć, za co został pan ukarany drugim razem?

– Nie pamiętam. To było tak dawno temu.

– Więc pozwolę sobie panu przypomnieć, panie Stern. Przyłapano pana w trakcie stosunku seksualnego z prostytutką zamkniętą w celi. Czy teraz pan sobie przypomniał?

– Tak. Ale ona była…

– Kim była, panie Stern?

Stern nie odpowiedział.

– To może powinienem panu przypomnieć, co pan wtedy powiedział. – Sir Julian zajrzał do teczki, Stern zaś milczał. – „To była zwykła zdzira, która dostała to, na co sobie zasłużyła”.

Nagle wybuchł gwar przyciszonych głosów. Lord Sędzia Arnott odczekał, aż ucichnie, i wtedy spytał:

– Czy to nie jest dowód ze słyszenia, sir Julianie?

– Nie, milordzie. Ja po prostu odczytałem zeznanie pana Sterna ze sprawozdania sądowego.

Sędzia z powagą skinął głową.

– Panie Stern, kilka chwil temu powiedział pan sądowi, że był karany trzy razy, ale to był piąty raz, a ja jeszcze nie skończyłem.

Żaden z sędziów nie spuszczał ze świadka wzroku.

– Miałem na myśli trzy różne wykroczenia.

– Zatem nie zawsze pan mówi, co ma na myśli.

Stern wyglądał, jakby chciał odpowiedzieć, ale tylko zacisnął pięści.

– Więc przejdźmy do szóstego incydentu, po którym odbyło się pełne śledztwo i został pan zawieszony na sześć miesięcy.

– Ale wypłacano mi pensję, a potem zarzuty wycofano.

– To nie jest całkiem ścisłe, prawda? W rzeczywistości wystąpił pan o wcześniejszą emeryturę zaledwie kilka tygodni przed zakończeniem śledztwa. A przy tej okazji został pan oskarżony o kradzież czterech tysięcy funtów więźniowi, który przebywał w areszcie.

– To był diler narkotykowy.

– Naprawdę? – spytał sir Julian. – Zatem uważa pan, że jest dopuszczalne, aby policjant okradł dilera narkotykowego?

– Tego nie mówiłem. Pan mi wkłada w usta niewypowiedziane słowa. A zresztą on wycofał zarzuty następnego dnia.

– Jestem pewien, że to zrobił. Jednak…

– Myślę, sir Julianie – przerwał mu Lord Sędzia Arnott – że powinniśmy przejść do roli, jaką ten policjant odegrał w procesie pana Rainsforda.

– Jak pan sobie życzy, milordzie – powiedział sir Julian, skinąwszy na Grace, która podała mu drugą teczkę. – Panie Stern, czy słusznie uważam, że w sprawie pana Rainsforda był pan wyższym rangą policjantem prowadzącym śledztwo?

– Tak, byłem – odparł Stern, który wyglądał teraz, jakby znalazł się z powrotem na bezpiecznym gruncie.

– Czy w trakcie dochodzenia myślał pan kiedyś o odszukaniu niskiego, mocno zbudowanego mężczyzny, który – jak wielokrotnie mówił panu mój klient – w wieczór morderstwa przebiegł koło niego przez korytarz biura?

– Mówisz pan o tym tajemniczym mężczyźnie? – rzekł Stern. – Po co było sobie zawracać głowę jakimś przywidzeniem Rainsforda.

– I nie próbował pan zidentyfikować anonimowego mężczyzny, który zatelefonował i dał znać policji o śmierci pana Kirklanda?

– Czy anonimowy nie to właśnie znaczy? – rzucił Stern i się roześmiał, ale nikt mu nie zawtórował.

– Czy nie przyszło panu do głowy, panie Stern, że anonimowy telefon mógł wykonać tylko ktoś, kto w rzeczywistości był świadkiem morderstwa?

– Ale Rainsford się przyznał. Czego więcej pan chcesz?

– Chcę sprawiedliwości – powiedział sir Julian. – I tą na pozór niewinną uwagą, panie Stern, podniósł pan pozostawione bez odpowiedzi najważniejsze pytanie w tej sprawie. Po czyjej stronie jest prawda: pana czy pana Rainsforda?

– Po mojej – rzekł Stern – jak zawyrokowali przysięgli.

– Zatem nie sprawi panu żadnego kłopotu przekonanie trzech sędziów, prawda?

Stern podniósł wzrok na trzech mężczyzn, którzy niczym nie zdradzali, co myślą.

Sir Julian pozwolił Ich Lordowskim Mościom na chwilę refleksji, po czym kontynuował:

– Czy pan Rainsford mówił prawdę, kiedy twierdził, że spisane przez pana oryginalne zeznanie składało się z trzech kartek, z których jedna potem zaginęła? Czy też mamy wierzyć, jak pan stwierdził pod przysięgą jako świadek podczas procesu, że były tylko dwie kartki?

– Nigdy nie było środkowej kartki – powiedział Stern.

– Środkowej kartki, panie Stern? Ja nie wspomniałem o środkowej kartce.

– Co to za różnica?

– Ta różnica pokazuje, że pan wiedział, której kartki brakuje. Chcę spytać: czy numerował pan kartki zeznania pana Rainsforda?

– Pewnie, że tak, pierwszą i drugą, i Rainsford obie podpisał. Co więcej, detektyw konstabl Clarkson razem ze mną poświadczył jego podpis.

– Ale kiedy detektyw konstabl Clarkson poświadczył to zeznanie, panie Stern?

Stern po chwili wahania odpowiedział:

– Następnego dnia rano.

– Co dało panu aż nadto czasu, żeby usunąć środkową kartkę.

– Ile razy mam panu powtarzać, że nigdy nie było środkowej strony?

– Mamy na to tylko pana słowo, panie Stern.

– I detektywa konstabla Clarksona, który został awansowany, nie mówiąc o przysięgłych, którzy nie mieli żadnych wątpliwości, że pana klient jest winny.

– Sugerowałbym, że mieli poważne wątpliwości – przerwał mu sir Julian – ponieważ wydanie werdyktu, i to tylko głosami dziesięć do dwóch, zajęło im cztery dni.

– Mnie to wystarczyło – rzekł Stern lekko podniesionym głosem.

– Oczywiście – powiedział sir Julian – bo to pozwoliło panu zakończyć karierę zawodową u szczytu, jak pan to elegancko ujął, i odejść, uniknąwszy kolejnego śledztwa.

Radca królewski pan Alun Llewellyn, który występował w imieniu Korony, wstał z ociąganiem z drugiego końca stołu i się odezwał:

– Czy mogę przypomnieć mojemu uczonemu koledze, że to jego klient jest sądzony, nie pan Stern?

Na twarzy Sterna pokazał się wyraz zadowolenia.

– Czy był pan trzeźwy, kiedy aresztował Arthura Rainsforda o piątej trzydzieści po południu w tamten piątek? – spytał sir Julian.

– Trzeźwy jak, nie przymierzając, przysłowiowi sędziowie lordowie – oznajmił Stern, szczerząc zęby w uśmiechu do trzech sędziów, z których żaden nie odpowiedział mu uśmiechem.

– I wtedy, kiedy go pan spisał o szóstej czterdzieści dwie? – spytał sir Julian, zaglądając do notatek.

– Jak sędziowie lordowie – powtórzył Stern.

– I gdy zamknął go pan o szóstej czterdzieści dziewięć i zostawił samego w celi na prawie dwie godziny?

– Chciałem mu dać dosyć czasu na przemyślenie, co ma mówić, no nie? – rzekł Stern, uśmiechając się do sędziów.

– I dać sobie dość czasu, aby wychylić kilka piw po przymknięciu jeszcze jednego drania w piątkowy wieczór.

Stern zacisnął pięści i wyzywająco spojrzał na przeciwnika.

– A co, gdybym wypił ze dwa piwa? Byłem na tyle trzeźwy, żeby…

– Na tyle trzeźwy, żeby spisać zeznanie pana Rainsforda dwadzieścia trzy po ósmej.

– Tak, tak, tak – rzucił Stern, podnosząc z każdym słowem głos. – Ile razy mam to panu mówić?

– I na tyle trzeźwy, żeby później w nocy usunąć środkową kartkę z zeznania mojego klienta, by zapewnić sobie odejście ze służby u szczytu?

– Niczego nie usunąłem tej nocy – odburknął Stern.

– To może następnego ranka? – powiedział spokojnie sir Julian. – Wyobrażam sobie, że był pan wystarczająco trzeźwy, żeby usunąć ją rano.

– I byłem wystarczająco trzeźwy nocą, żeby dopilnować, by ten drań dostał to, co mu się należy! – wykrzyczał Stern, wymierzając palec w obrońcę.

W sali zapadło kamienne milczenie, gdyż wszyscy wlepili wzrok w świadka.

– „I byłem wystarczająco trzeźwy nocą, żeby dopilnować, by ten drań dostał to, co mu się należy” – powtórzył sir Julian, odpowiadając spojrzeniem Sternowi. – Nie mam więcej pytań, milordowie.

– Może pan odejść, panie Stern – powiedział ze znużeniem Lord Sędzia Arnott.

Kiedy Stern wyszedł z sali rozpraw, sir Julian podniósł wzrok na trzech sędziów, którzy byli pogrążeni w rozmowie. Grace wyrwała go z zamyślenia, gdy się przechyliła i powiedziała:

– Muszę zostawić cię na moment. Zaraz wrócę.

Sir Julian skinął głową, a adwokat młodsza prędko opuściła salę, zbiegła szerokimi marmurowymi schodami i wyszła na ulicę, gdzie grupa fotografów czekała na „dzisiejsze” zdjęcie Faulknera opuszczającego sąd. Jedyną szansę sfotografowania Rainsforda mieliby wtedy, gdyby opuścił sąd jako wolny człowiek.

Grace przez jakiś czas przyglądała im się z oddalenia, a potem wybrała jednego, bez przerwy wypatrującego fotografii na pierwszą stronę. Przeszła na drugą stronę ulicy i szepnęła:

– Czy możemy zamienić słowo na osobności?

Fotograf odłączył się od grupy i wysłuchał jej prośby.

– Z największą przyjemnością pomogę – powiedział, gdy Grace wsunęła mu do ręki pięciofuntowy banknot. – To nie będzie konieczne, panienko – dodał, nie przyjmując pieniędzy. – Przede wszystkim Arthur Rainsford nigdy nie powinien był trafić do więzienia.

30

Następnego dnia rano sir Julian przybył do Royal Court of Justice na godzinę przed rozprawą. Urzędnik sądowy towarzyszył jemu i Grace do cel w podziemiu, żeby mogli skonsultować się z klientem.

– Rozgromił pan Sterna – powiedział Arthur, mocno ściskając dłoń sir Julianowi. – Gdyby pan reprezentował mnie podczas pierwotnego procesu, werdykt mógłby być inny.

– To uprzejme z twojej strony, Arthurze. Może od czasu do czasu zadałem Sternowi cios, ale go nie znokautowałem. I pozostaje faktem, że mamy przed sobą trzech sędziów Sądu Najwyższego, a nie ławę przysięgłych. Zanim Ich Lordowskie Mości rozważą obalenie werdyktu przysięgłych i ogłoszą pomyłkę sądową, oprą się nie na uzasadnionych wątpliwościach, ale na o wiele bardziej wymagających kryteriach. Bardzo dużo teraz zależy od świadectwa profesora Abrahamsa.

– Nie jestem całkiem pewna, jak trzech czcigodnych Salomonów zareaguje na profesora – odezwała się Grace.

– Ani ja – przyznał sir Julian. – Ale w nim pokładamy nadzieję.

– Przesłuchasz jeszcze detektywa sierżanta Clarksona – przypomniał mu Arthur.

– Pomagier Sterna będzie powtarzał jak papuga, co już powiedział jego mistrz. Możesz być pewien, że ostatni wieczór spędzili ze Sternem w pubie, analizując każde z moich pytań. – Sir Julian spojrzał na zegarek. – Lepiej chodźmy. Nie możemy kazać czekać Ich Lordowskim Mościom.

– Wczoraj nieźle skołowałeś moją żonę, BW – powiedział Faulkner przy śniadaniu w Savoyu.

– Dziękuję ci, Miles. Ale kiedy Palmer będzie cię przesłuchiwał, i tak musisz wytłumaczyć przysięgłym, gdzie był obraz Rembrandta przez ostatnie siedem lat, przede wszystkim jak dostał się w twoje ręce i dlaczego zamieniłeś naklejki na skrzyniach. Lepiej, żebyś miał jakieś naprawdę prze-

konujące odpowiedzi na te wszystkie pytania i kilka dodatkowych, bo Palmer zaatakuje cię z wszystkich dział.

– Będę gotów się z nim zmierzyć. I zdecydowałem, że zdobędę się na poświęcenie, jakie zaleciłeś.

– To bardzo roztropnie. Ale na razie trzymaj tę kartę w rękawie i pozwól mi zdecydować, kiedy ją rzucisz na stół.

– Rozumiem, BW. Co teraz?

– Prokuratura wezwie komendanta Hawksby'ego, a on bez wątpienia poprze słowa twojej żony. Dla niego to ona jest mniejszym złem.

– Zatem musisz go rozgromić.

– Nie zamierzam go przesłuchiwać.

– Dlaczego? – spytał Faulkner, gdy kelner dolewał im kawy.

– Hawksby to stary wyga i juryści mu ufają, więc powinniśmy jak najszybciej zdystansować się od komendanta.

– Ale nie od tego dzieciucha? – zagadnął Faulkner.

– Zgadzam się, tyle że prokurator nie pozwoli mu się nawet zbliżyć do miejsca dla świadka. To byłoby zbyt ryzykowne.

– To dlaczego my go nie wezwiemy?

– Też za duże ryzyko. Warwick to niewiadoma, a adwokaci zawsze lubią znać odpowiedź, zanim zadadzą pytanie. Dzięki temu nie są zaskakiwani. Zatem, szczerze mówiąc, Miles, musisz być w jak najlepszej formie, bo najważniejsza dla przysięgłych podczas rozważania werdyktu będzie twoja wiarygodność.

– Nie ma obawy – rzekł Miles.

– Bywałeś już w opałach.

– Nigdy w tak ciężkich.

– Dlatego musisz rozegrać to po mistrzowsku.

– A jeżeli mi się nie uda?

Booth Watson dopił kawę i dopiero wtedy odparł:

– To przez dłuższy czas nie będziesz jadał w Savoyu jajek na bekonie.

KORONA PRZECIW RAINSFORDOWI

– Milordowie, zgodnie z tradycją angielskiego prawa karnego, obrońca może powołać obrońcę młodszego, aby przeprowadził jedno z bezpośrednich przesłuchań świadka. Za pozwoleniem Waszych Lordowskich Mości zaproszę moją adwokat młodszą, żeby przesłuchała następnego świadka.

– Pozwolenie udzielone, sir Julianie – odpowiedział Lord Sędzia Arnott po krótkiej naradzie z kolegami i obdarzył Grace najmilszym uśmiechem, na jaki się zdobył podczas procesu.

Grace niepewnie wstała, świadoma, że nie dość, że wszyscy na nią patrzą, to jeszcze los Arthura Rainsforda jest teraz w jej rękach. Te wszystkie lata studiów i przygotowań, nie mówiąc o godzinach spędzonych u stóp ojca, gdy interpretował prawo i tłumaczył jej sądowe procedury. Teraz przekazywał jej pałeczkę, oczekując, że przebiegnie ostatnie okrążenie.

Sir Julian usiadł wygodnie, z nadzieją, że nie rzuca się zbytnio w oczy, iż jest tak samo niespokojny jak córka. Nie dodawał odwagi Grace widok matki, która siedziała z tyłu między Beth i Joanną Rainsford, wychylonymi do przodu w pozie kibiców piłkarskich czekających na pierwszego gola.

Grace położyła teczkę na małym pulpicie, który dał jej ojciec w dniu, gdy dołączyła do niego w kancelarii. Otworzyła teczkę, spojrzała na pierwszą stronę i poczuła pustkę w głowie.

– Czy jest pani gotowa wezwać następnego świadka, pani Warwick? – spytał Lord Sędzia Arnott tonem dobrotliwego wujaszka.

– Wzywamy profesora Leonarda Abrahamsa – powiedziała Grace, zaskoczona, że jej głos brzmi tak pewnie, ponieważ jej drżącym nogom tej pewności brakowało.

Gdyby drzwi sali sądowej nie otworzyły się i nie zamknęły, obserwatorom należałoby wybaczyć, jeśliby wątpili, czy następny świadek rzeczywiście wszedł do środka. Abrahams zmrużył oczy, rozejrzał się dokoła i w końcu spostrzegł stanowisko dla świadka w dalekim kącie sali. Kiedy tam dotarł, zaskoczyło go, że nie ma krzesła, na którym mógłby usiąść, i że

oczekują od niego, by stał w trakcie całego przesłuchania. Typowo brytyjskie, pomyślał.

Sekretarz sądu uniósł kartę, nie okazując zaskoczenia, że świadek jest w krótkim kitlu laboratoryjnym i w niezapiętej pod szyją zielonej koszuli. Abrahams położył jedną rękę na Biblii – cóż, przynajmniej był tam Stary Testament – i odczytał słowa: „Przysięgam Wszechmocnemu Bogu, że powiem prawdę, całą prawdę i tylko prawdę” – po czym dodał: – „tak mi dopomóż Bóg”. Następnie obrzucił wzrokiem salę i z ulgą stwierdził, że jego kuferek trików jest ustawiony na podłodze między miejscem dla świadka a trojgiem sędziów, tak jak sobie życzył.

W końcu jego spojrzenie spoczęło na Grace, jednej z najbystrzejszych młodych kobiet, jakie spotkał w ciągu wielu lat uczenia bystrych młodych kobiet. Polubił ją od chwili, kiedy się spotkali na Heathrow, ale dopiero później poczuł szacunek dla jej rozumienia szczegółów, dla cierpliwego tropienia faktów i jej żarliwej wiary w sprawiedliwość. Ciekaw był, czy sir Julian zdaje sobie sprawę, jak utalentowana jest jego córka.

– Profesorze Abrahams – odezwała się Grace. – Chciałabym zacząć od pytania o pańskie przygotowanie zawodowe, żeby milordowie mogli docenić szczególne umiejętności i wiedzę, jaką pan wnosi do tej sprawy.

Abrahams tak przywykł, że Grace mówi mu „Len”, że był zaskoczony, kiedy zwróciła się do niego „profesorze”.

– Jaka jest pańska narodowość, profesorze?

– Jestem Amerykaninem, ale urodziłem się w Polsce. Wyemigrowałem do Stanów Zjednoczonych w wieku siedemnastu lat, kiedy dostałem stypendium na studia z fizyki na Columbia University w Nowym Jorku. Doktorat uzyskałem w Brown University za rozprawę o wykorzystaniu ESDA w sprawach kryminalnych.

– ESDA? – powtórzyła Grace, żeby zaznajomić z tym terminem wszystkich w sali sądowej oprócz ich dwojga.

– Electrostatic Detection Apparatus, czyli aparat do wykrywania ładunków elektrostatycznych.

– Od tamtej pory napisał pan również dwie ważne prace na ten temat, a ostatnio został nagrodzony Narodowym Medalem Nauki.

– Zgadza się.

– Ponadto jest pan…

– Myślę, pani Warwick, że pani ustaliła – przerwał jej Lord Sędzia Arnott – że profesor jest wybitny w swojej dziedzinie. Może czas, żeby nam pani przedstawiła, jaki związek jego umiejętności mają z tą konkretną sprawą. Mam tylko nadzieję – dodał, odwracając się ku świadkowi – że moi koledzy i ja będziemy w stanie podążać za pana myślą, profesorze.

– Proszę się nie obawiać, Wysoki Sądzie – rzekł Abrahams. – Potraktuję was trzech, jakbyście byli studentami pierwszego roku.

Sir Julian wstrzymał oddech, a Grace z niepokojem spojrzała na sędziów, lękając się surowego upomnienia, ale nic takiego nie nastąpiło. Na twarzach Ich Lordowskich Mości pojawił się uśmiech, kiedy Lord Sędzia Arnott powiedział:

– To nad wyraz uprzejme z pańskiej strony, profesorze, i ufam, że pan mi wybaczy, jeżeli uznam za konieczne od czasu do czasu zadać pytanie.

– Pytaj, Wysoki Sądzie, kiedy tylko zechcesz. A odpowiadając na pańskie pierwsze pytanie o związek ESDA z tą konkretną sprawą, to muszę przyznać, że nie podjąłbym się tego zadania, gdyby nie przysporzyło mi okazji do odwiedzin mojej matki.

– Pańska matka mieszka w Anglii? – zapytał Lord Sędzia Arnott.

– Nie, Wysoki Sądzie, w Warszawie. Ale Anglia jest po drodze.

– Nigdy nie myślałem o Anglii, że jest dokądś po drodze – zauważył sędzia. – Proszę kontynuować, profesorze.

– W tym celu, Wysoki Sądzie, muszę najpierw wytłumaczyć, dlaczego ESDA jest obecnie uważany przez American Bar Association za ważną broń w naszym arsenale. Nie zawsze tak było. Zmiana nastąpiła całkiem niedawno, kiedy pewien kongresmen, którego szczerze nie cierpię, powiedział sądowi podczas procesu o oszustwo, że przeczytał każdą stronę poufnego dokumentu o zaopatrzeniu wojskowym i podejrzewa, że niektóre kartki zostały dodane później. Byłem w stanie udowodnić, że kłamał przed sądem, i w rezultacie nie tylko musiał zrezygnować z urzędu, ale również wylądował na długi czas w więzieniu.

– Ale w tej sprawie, jak rozumiem – rzekł Lord Sędzia Arnott – będzie pan usiłował dowieść czegoś wręcz przeciwnego, mianowicie, że kartka została usunięta, nie dodana.

– Zgadza się, Wysoki Sądzie. I jeżeli pozwoli mi pan zbadać dowód w swojej obecności, to wierzę, że też zdołam ustalić, czy to Arthur Rains-

ford czy detektyw inspektor Stern kłamał pod przysięgą. Nie mogli bowiem obaj mówić prawdy.

Wszyscy teraz słuchali profesora z natężoną uwagą.

– Ponad wszelką wątpliwość? – zapytał Arnott, unosząc brwi.

– Uczeni nie zajmują się wątpliwościami, Wysoki Sądzie. Albo jest fakt, albo fikcja.

To uciszyło Jego Lordowską Mość.

– Żeby dowieść swego, Wysoki Sądzie, poproszę o pozwolenie na opuszczenie miejsca dla świadka i przeprowadzenie doświadczenia.

Sędzia skinął głową. Profesor Abrahams podszedł do urządzenia, które wyglądało jak biurkowa fotokopiarka. Naciągnął lateksowe rękawiczki i obrócił się ku sędziom.

– Wysoki Sądzie, czy mogę zasugerować – odezwała się Grace – żeby pan i pańscy uczeni koledzy dołączyli do nas, żebyśmy wszyscy śledzili eksperyment z bliska?

Lord Sędzia Arnott skinął głową i wszyscy trzej sędziowie zeszli na salę, gdzie dołączyli do nich obaj adwokaci i wszyscy otoczyli kołem ESDA.

– Proszę uważać – powiedział Abrahams jak zawsze, kiedy zwracał się do studentów na wykładach. – Nikt nie sugeruje – zaczął – że pan Rainsford nie podpisał się inicjałami na pierwszej kartce swojego zeznania, które zostało potem przedstawione jako dowód w sądzie. Jedyna sprawa, która budzi wątpliwość, to czy były trzy kartki czy dwie. Jeżeli mam to udowodnić, będę potrzebował oryginalnego dwukartkowego zeznania.

– To zostało uzgodnione przez obydwie strony, milordowie – wtrąciła Grace.

Arnott skinął na sekretarza sądu, który podał profesorowi Abrahamsowi oryginalne zeznanie.

– Teraz, jak przypuszczam – rzekł Abrahams – wszystkim nam trzeba przypomnieć treść oryginalnego zeznania. Powtarzam, nie ma zastrzeżeń żadnej ze stron co do pierwszej kartki. – Zaczął czytać:

Nazywam się Arthur Edward Rainsford. Mam pięćdziesiąt jeden lat i obecnie mieszkam na Fulham Gardens 32, Londyn SW7. Jestem dyrektorem do spraw sprzedaży małej firmy finansowej, która się specjalizuje w inwestowaniu w rozwijające się spółki farmaceutyczne.

5 maja 1983 pojechałem pociągiem do Coventry na spotkanie z potencjalnym nowym inwestorem. Po spotkaniu poszliśmy na lunch. Kiedy przedstawiono mi rachunek, podałem firmową kartę kredytową i byłem zażenowany, gdy została odrzucona, ponieważ to raczej nie mogło stanowić zachęty dla potencjalnego klienta. Bardzo zły zatelefonowałem do naszego dyrektora finansowego Gary'ego Kirklanda, żeby się dowiedzieć, jak to jest możliwe. Zapewnił mnie, że nie ma się czym martwić i że to musi być pomyłka bankowa. Zasugerował, żebym wieczorem w drodze do domu wpadł do biura i wtedy razem przejrzymy księgi rachunkowe. Później żałowałem, że straciłem panowanie nad sobą, i nigdy nie powinienem…

Profesor odłożył pierwszą kartkę i wziął do ręki drugą.

– To, jak państwo wiedzą – zwrócił się do uważnie słuchającej publiczności – jest druga kartka zeznania przedstawionego jako dowód, chociaż pan Rainsford wciąż utrzymuje, że w rzeczywistości to jest kartka trzecia.

Zaczął znów czytać:

…go uderzyć. Od razu gdy zobaczyłem głębokie rozcięcie z tyłu jego głowy, zdałem sobie sprawę, że kiedy padał na podłogę, musiał uderzyć o brzeg gzymsu kominka albo o jego mosiężną osłonę. Następne, co pamiętam, to głos syreny. Po paru chwilach kilkunastu policjantów wpadło do pokoju. Jeden z nich, detektyw inspektor Stern, zaaresztował mnie, a później oskarżył o zamordowanie Gary'ego Kirklanda, jednego z moich najstarszych przyjaciół. Do końca życia nie przeżałuję jego śmierci.

Arthur Rainsford

Odczytałem to zeznanie w obecności detektywa inspektora Sterna i detektywa konstabla Clarksona.

Profesor Abrahams zawiesił na moment głos, by się upewnić, czy studenci wciąż pilnie go słuchają. Zadowolony mówił dalej:

– A teraz proszę skupić uwagę na maszynie ESDA – Electrostatic Detection Apparatus. Za chwilę umieszczę tę drugą kartkę na płytce z brązu. Czy są jakieś pytania?

Nikt się nie odezwał.

– Dobrze. Teraz przykryję tę kartkę warstwą folii mylarowej, a potem ją uszczelnię.

Profesor wyjął z kuferka mały wałek i przeciągał nim tam i z powrotem po folii, aż nabrał pewności, że usunął wszystkie pęcherzyki powietrza. Następnie wyciągnął cienki metalowy przyrząd i wyjaśnił, że powoduje on wyładowanie koronowe, i nazwał go „Koroną". Kiedy go włączył, przyrząd wydał cichy buczący dźwięk. Ustawił go tuż nad płytką i kilkakrotnie nad nią przeciągnął.

– Jak działa ta „Korona"? – zapytał Lord Sędzia Arnott.

– Bombarduje folię mylarową ładunkami dodatnimi, przyciąganymi do wgłębień na kartce.

Po zakończeniu tych czynności profesor wyłączył przyrząd i oznajmił:

– Teraz jestem gotów poprószyć powierzchnię papieru tonerem do fotokopiarki, po czym prędko się dowiemy, czy mój eksperyment osiągnął cel, czy też był kompletną stratą czasu.

Zasłuchana publiczność, z głowami skierowanymi w dół, wbiła wzrok w kartkę, gdy profesor uniósł z jednej strony płytkę z brązu i rozpylił na papierze drobniutki jak pieprz czarny pyłek, który osypał się po jego powierzchni i zniknął w wąskim rowku u spodu płytki. Kiedy Abrahams uznał, że papier został całkowicie pokryty, opuścił na miejsce płytkę z brązu i popatrzył na swoje dzieło.

– Spójrz na Arthura – szepnęła Grace.

Sir Julian podniósł wzrok na pozwanego, który wciąż tkwił w ławie oskarżonych. Arthur nie miał cienia wątpliwości co do rezultatu, podczas gdy Lord Sędzia Arnott i jego dwóch kolegów wydawało się sceptycznych, a pan Llewellyn był wyraźnie nieprzekonany.

Profesor Abrahams pochylił się nad maszyną i ostrożnie pokrył mylarową folię kawałkiem samoprzylepnego plastra, a potem zręcznie zdjął folię z płytki. Na koniec oddzielił plaster od folii i podłożywszy pod nią pustą białą kartkę, uniósł ją, żeby wszyscy mogli zobaczyć.

Nikt w sali nie mógł nie zauważyć wyraźnych wgnieceń na kartce.

Pan Llewellyn nadal wyglądał na nieprzekonanego, gdy wtem odezwał się Lord Sędzia Arnott:

– Może byłby pan tak uprzejmy, profesorze, i odczytał słowa, które są odbite na tej kartce, gdyż mam wrażenie, że robił pan to już wcześniej.

– Kilkakrotnie, Wysoki Sądzie. Powinienem jednak pana uprzedzić, że w tekście są luki. Czy mogę panu najpierw przypomnieć ostatnie zdanie z pierwszej kartki, zanim przejdę do kwestionowanej drugiej?

Sędzia skinął głową.

– „Później żałowałem, że straciłem panowanie nad sobą, i nigdy nie powinienem…”

Profesor wyjął z kuferka wielkie szkło powiększające i z bliska przyjrzał się kartce z wgłębieniami, po czym kontynuował:

…był tego robić, nie wysłuchawszy jego wersji. Po powrocie na Euston S pojechałem taksówką do naszego – profesor się zawahał – *biura w Marylebone. Kiedy otworzyłem drzwi, zobaczyłem mocno zbudowanego mę pędzącego do mnie. Przytrzymałem mu drzwi, ale przepchnął się koło mnie i na ulicę. Nie myślałem o w czas ale potem zdałem sprawę to musiał być morderca. Poszedłem do biura Gary’ego na piętrze i leżącego na podłodze obok ko ka. Podbiegłem ale to już późno. Ktoś musiał…*

Profesor podjął trzecią kartkę zeznania i ciągnął:

– go uderzyć.

Jedna czy dwie z osób stojących wokół maszyny zaczęła bić brawo, inne trwały w kamiennym milczeniu.

– Dziękuję, profesorze – powiedział Lord Sędzia Arnott i dodał: – Panie i panowie, zechciejcie wrócić na swoje miejsca.

Grace poczekała, aż wszyscy usiądą, po czym wstała i oznajmiła:

– Milordowie, nie mam więcej pytań.

– *Chapeau* – szepnął ojciec, dotknąwszy czoła palcami prawej dłoni.

– Panie Llewellyn, czy życzy pan sobie przesłuchać tego świadka? – spytał Lord Sędzia Arnott.

Profesor Abrahams zebrał się w sobie, oczekując krytycznych argumentów prokuratora.

– Nie, milordowie – odparł główny oskarżyciel Korony, prawie nie ruszając się z miejsca.

– Jesteśmy pańskimi dłużnikami, profesorze Abrahams – rzekł Lord Sędzia Arnott. – Mogę się tylko cieszyć, że pańska matka mieszka w War-

szawie i że wpadł pan do nas po drodze do niej. Może pan opuścić miejsce dla świadka.

– Dziękuję, Wysoki Sądzie – rzekł profesor, schodząc z podwyższenia i zabierając swój magiczny kuferek.

Grace chciałaby uściskać profesora, który przechodząc przez salę, mrugnął do Arthura i zniknął w drzwiach.

– Czy ma pan więcej świadków, sir Julianie? – spytał Lord Sędzia Arnott.

– Tylko jednego, milordowie. To detektyw sierżant Clarkson, drugi poświadczający pierwotne zeznanie pana Rainsforda. Został wezwany, żeby stawić się przed Waszymi Lordowskimi Mościami jutro o dziesiątej rano.

– Zatem odroczymy posiedzenie do jutra.

Sir Julian ukłonił się i wciąż stał, aż trzej sędziowie zebrali swoje obszerne notatki i odeszli.

– Czy myślisz, że Clarkson się zjawi? – spytała Grace.

– Wolałbym się o to nie zakładać – odparł jej ojciec.

31

KORONA PRZECIW FAULKNEROWI

– Proszę podać do protokołu nazwisko i zawód – powiedział Booth Watson.

– Miles Adam Faulkner. Jestem rolnikiem.

– Panie Faulkner, sąd słyszał, że posiada pan imponującą kolekcję sztuki, jak również apartament w Nowym Jorku i dom w Monte Carlo, posiadłość w Hampshire, jacht i prywatny odrzutowiec. Jak to możliwe, skoro jest pan rolnikiem?

– Mój drogi ojciec pozostawił mi farmę w Limpton wraz z trzema tysiącami akrów.

William natychmiast coś zanotował i podał kartkę radcy królewskiemu reprezentującemu Koronę.

– To nie wyjaśnia pańskiego wystawnego stylu życia ani możliwości kolekcjonowania cennych dzieł sztuki.

– Prawdą jest, że choć moja rodzina posiada majątek Limpton Hall od wieków, to przed kilku laty rząd wydał nakaz przymusowego wykupu mojego gruntu, gdyż postanowiono zbudować sześciopasmową autostradę przez jego sam środek, pozostawiając mi dom i zaledwie dwieście akrów. Wniosłem sprzeciw i wytoczyłem proces, ale niestety przegrałem apelację. Jednakże wypłacone przez państwo odszkodowanie umożliwiło mi kultywowanie mojego zainteresowania sztuką. I dzięki jednej czy dwóm zręcznym inwestycjom na giełdzie na przestrzeni lat zdołałem zgromadzić sporą kolekcję.

William znowu sporządził notatkę.

– Którą bez wątpienia zamierza pan przekazać następnemu pokoleniu – rzekł Booth Watson, spoglądając na listę dobrze przygotowanych pytań.

– Nie, sir. Obawiam się, że to będzie niemożliwe.

– Dlaczego?

– Niestety moja żona nie chciała mieć dzieci, a ponieważ ja nie chcę rozpraszać kolekcji, postanowiłem zostawić cały majątek narodowi.

Miles obrócił się i uśmiechnął do przysięgłych, dokładnie jak pouczył go Booth Watson. Został nagrodzony kilkoma uśmiechami.

– Teraz, panie Faulkner, chciałbym się zająć szczególnie jednym obrazem, mianowicie *Syndykami cechu sukienników* Rembrandta.

– To bez wątpienia arcydzieło – powiedział Faulkner. – Podziwiałem je od dnia, kiedy pierwszy raz je ujrzałem jako sztubak, gdy matka zaprowadziła mnie do Fitzmolean.

– Prokurator chciałby nas przekonać, że podziwiał je pan tak bardzo, że je skradł.

Miles się roześmiał.

– Przyznam – powiedział, znowu patrząc na przysięgłych – że jestem miłośnikiem sztuki, nawet narkomanem sztuki, ale nie jestem, panie Booth Watson, złodziejem.

– Więc jak pan wytłumaczy oświadczenie pańskiej żony, złożone pod przysięgą, że był pan w posiadaniu obrazu Rembrandta od siedmiu lat?

– Ona ma rację. Rzeczywiście posiadam *Syndyków* od siedmiu lat.

Przysięgli patrzyli teraz na podsądnego z niedowierzaniem.

– Czy pan przyznaje się do kradzieży? – spytał Booth Watson, udając zaskoczenie.

Przysięgli też wydawali się zdezorientowani, natomiast radca królewski Palmer miał podejrzliwą minę. Tylko sędzia był niewzruszony, a Faulkner jedynie się uśmiechał.

– Nie jestem pewien, czy rozumiem, co pan sugeruje – ciągnął Booth Watson, który dobrze rozumiał, co sugerował jego klient.

– Chciałbym zapytać, sir – powiedział Faulkner, zwracając się do sędziego – czy mógłbym pokazać sądowi obraz, który wisiał nad kominkiem w salonie mojego domu w Hampshire przez ostatnich siedem lat, żeby dowieść mojej niewinności?

Teraz nawet sędzia Nourse był zdumiony. Rzucił spojrzenie panu Palmerowi, który wzruszył ramionami, więc ponownie popatrzył na obrońcę.

– Panie Booth Watson, czekamy z zainteresowaniem, żeby się dowiedzieć, co pański klient trzyma w zanadrzu.

– Jestem ogromnie wdzięczny, Wysoki Sądzie – powiedział Booth Watson.

Skinął głową w stronę adwokat młodszej, która stała przy wejściu na salę sądową. Otworzyła drzwi i do sali weszło dwóch potężnie zbudowanych mężczyzn z wielką skrzynią, którą postawili na podłodze między sędzią a przysięgłymi.

– Milordzie – rzucił Palmer, podrywając się z miejsca – Korona nie została w żaden sposób uprzedzona przez obronę o tej nieplanowanej szaradzie i prosiłbym milorda o oddalenie tego, czymkolwiek jest.

– I cóż to może być, panie Palmer?

– Tylko jakaś sztuczka w celu rozproszenia uwagi przysięgłych.

– Zatem dowiedzmy się, czy to się uda, panie Palmer – rzekł sędzia. – Ponieważ podejrzewam, że członkowie ławy przysięgłych są równie ciekawi jak ja, żeby odkryć, co jest w tej skrzyni.

Wszyscy obecni wpatrywali się w skrzynię, gdy pakowacze zamienili się w rozpakowujących. Najpierw wyciągnęli gwoździe, potem usunęli wiórki polistyrenowe, a w końcu muślin i odkryli obraz, który jednych oszołomił, a innych wprawił w konsternację.

– Panie Faulkner, czy byłby pan tak uprzejmy i zechciał wyjaśnić, jak to możliwe, że obraz Rembrandta *Syndycy cechu sukienników* pojawia się w sądzie – rzekł Booth Watson – a nie, jak wcześniej twierdziła pana żona, wisi na ścianie w Fitzmolean Museum?

– Proszę nie panikować, panie Booth Watson – powiedział Faulkner mężczyźnie, który nigdy nie wpadał w panikę. – Oryginał nadal wisi w Fitzmolean. To tylko wyjątkowa kopia, którą kupiłem w galerii w Notting Hill właśnie siedem lat temu i na dowód tego mam pokwitowanie.

– Czyli to jest obraz, na który pańska żona patrzyła przez ostatnie siedem lat w błędnym przekonaniu, że ogląda oryginał? – spytał Booth Watson.

– Obawiam się, że tak, sir, ale przecież Christina nigdy naprawdę nie interesowała się moją kolekcją sztuki, tylko jej wartością. A w tym wypadku to pięć tysięcy funtów.

– Panie Faulkner – rzekł sędzia, przyglądając się obrazowi – jak taki laik jak ja może się upewnić, że to jest kopia, a nie oryginał?

– Patrząc na prawy dolny róg, milordzie. Gdyby to był oryginał, zobaczyłby pan inicjały Rembrandta, RvR. Rzadko zostawiał obraz niepodpisany. Prawdę mówiąc, tego też moja żona nie wiedziała.

– Panie Faulkner, wprawdzie przyjmuję pańskie wyjaśnienia – powiedział Booth Watson – lecz wciąż nie wiem, jak oryginał, teraz bezpieczny w Fitzmolean, trafił w pana ręce.

– Żeby to zrozumieć, panie Booth Watson, musi pan najpierw przyjąć do wiadomości, że w świecie sztuki jestem dobrze znany jako kolekcjoner. Każdego roku dostaję setki niezamawianych katalogów wystaw, jak również kilkakrotnie jestem proszony o kupno obrazów, często od starych rodów, które nie chcą, żeby ktoś się dowiedział o ich kłopotach finansowych.

– Czy kupuje pan kiedykolwiek te prace?

– Bardzo rzadko. O wiele bardziej prawdopodobne, że dokonam zakupu u szanowanych marszandów albo w domach aukcyjnych o ustalonej reputacji.

– Ale to nadal nie wyjaśnia, w jaki sposób oryginalny obraz Rembrandta znalazł się w pana posiadaniu.

– Kilka tygodni temu ktoś zaproponował mi sprzedaż obrazu, który miał być oryginałem Rembrandta. Gdy tylko ta osoba opisała płótno, wiedziałem, że to musi być to, które skradziono z Fitzmolean.

– Dlaczego pan tak przypuszczał? – spytał sędzia.

– Prawie się nie zdarza, milordzie, żeby Rembrandt pojawiał się na rynku. Niemal wszystkie jego prace są własnością państwowych muzeów albo galerii sztuki. Bardzo nieliczne znajdują się wciąż w prywatnych rękach.

– Więc skoro pan wiedział, że obraz został skradziony – zapytał Booth Watson – to dlaczego chciał pan mieć z tym cokolwiek do czynienia?

– Przyznam się, że nie mogłem się oprzeć wyzwaniu. Kiedy jednak mi powiedziano, że będę musiał pojechać do Neapolu, żeby obejrzeć obraz, uświadomiłem sobie, że musiała go ukraść Camorra. I jak piłkarz, który jest przekonany, że zdobędzie zwycięskiego gola, zaszarżowałem.

Booth Watson nigdy nie przepadał za tą szczególną metaforą, ale ją zaakceptował.

– I zdobył pan zwycięskiego gola?

– Tak i nie – odparł Faulkner. – Poleciałem do Neapolu, gdzie czekał na mnie szykownie ubrany młody prawnik w towarzystwie dwóch zbirów, którzy w ogóle nie otwierali ust. Zawieziono mnie do zaniedbanej, zakazanej dzielnicy miasta, niedostępnej nawet dla policji. Nigdy w życiu nie widzia-

łem takiej nędzy. A jedyne obrazy na ścianach czynszówek przedstawiały wizerunki albo Najświętszej Marii Panny, albo papieża. Sprowadzono mnie długimi kamiennymi schodami do słabo oświetlonego podziemia, gdzie zobaczyłem wielki obraz oparty o ścianę. Wystarczyło mi jedno spojrzenie, żeby się przekonać, że to oryginał.

– Co było potem?

– Zaczęły się targi i prędko się okazało, że oni chcą się pozbyć obrazu, więc zgodziliśmy się na sto tysięcy dolarów. Wiedziałem, oni zresztą też, że obraz jest wart sto razy więcej, ale nie mieli nadmiaru potencjalnych kupców. Powiedziałem im, że przekażę pieniądze w dniu, kiedy obraz wróci do Fitzmolean. Odpowiedzieli, że będą w kontakcie, ale nawet nie zaproponowali, że odwiozą mnie na lotnisko. Musiałem iść kawał na piechotę, zanim złapałem taksówkę.

– A po powrocie do domu powiedział pan komuś o tym przeżyciu?

– Musiałem się z kimś podzielić tym, co przeszedłem, i głupio zwierzyłem się Christinie. Nigdy nie myślałem, że to wykorzysta i nawet skłamie pod przysięgą.

– A ci panowie, z którymi się pan spotkał we Włoszech, nie dotrzymali umowy i nie dostarczyli obrazu do Fitzmolean.

– Camorra rzadko wystawia nos poza własne terytorium – rzekł Faulkner. – Nic nie słyszałem przez ponad miesiąc, więc uznałem, że z umowy nici.

Sędzia coś zanotował.

– Ale mylił się pan?

– Tak. Tych dwóch drabów, których spotkałem na lotnisku, pojawiło się z obrazem w moim domu w Monte Carlo w środku nocy i zażądało należnych stu tysięcy dolarów. Jeden z nich wywijał nożem.

– Musiał być pan przerażony.

– Byłem. Zwłaszcza że mi powiedzieli, że wpierw poderżną gardła sześciu syndykom, jednemu po drugim, a potem mnie, jeśli nie zapłacę.

Sędzia znów coś zanotował.

– Miał pan sto tysięcy dolarów pod ręką?

– Panie Booth Watson, większość osób, które chcą mi sprzedać jakiś swój skarb rodzinny, nie spodziewa się czeku.

– Co pan zrobił potem?

– Rano zadzwoniłem do kapitana mojego jachtu i powiedziałem, że niedługo na nabrzeże zostanie przywieziona wielka skrzynia. Ma ją zabrać do Southampton i osobiście dostarczyć do Fitzmolean Museum w Londynie.

– Wysoki Sądzie – rzekł Booth Watson – jeżeli Korona sobie życzy, mogę wezwać kapitana Menegattiego, który potwierdzi, że pan Faulkner wydał mu takie polecenia.

– Założę się, że tak – mruknął William – jeśli zechce zachować pracę.

– Następnego dnia poleciał pan do Australii, przekonany, że pańskie rozporządzenia zostaną wykonane.

– Tak, liczyłem na to, że żona poleci ze mną, lecz w ostatniej chwili się rozmyśliła. Okazało się, że miała spotkanie z młodszym mężczyzną.

William zacisnął pięści i usiłował opanować drżenie.

– Dobrze wiedziała, że mam bilety na mecz testowy w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia w Melbourne – ciągnął Faulkner – co oznaczało, że nie wrócę do Anglii przed Nowym Rokiem.

– Ale wrócił pan do Anglii w połowie rozgrywek krykietowych?

– Tak, kapitan Menegatti zatelefonował do mnie do hotelu w Melbourne, żeby mi powiedzieć, że moja żona przybyła na jacht nie z tą jedną skrzynią, o której mu mówiłem, ale z całą moją kolekcją z Monte Carlo. Potem poleciła mu zabrać wszystko do Southampton, gdzie miała się z nim spotkać przed wypłynięciem do Nowego Jorku.

– Jak pan zareagował?

– Złapałem pierwszy samolot do Londynu i nie potrzebowałem dwudziestu trzech godzin lotu, żeby się domyślić, co ona szykuje. Gdy wylądowałem na Heathrow, pojechałem taksówką do domu w Hampshire, wiedząc, że nie mam chwili do stracenia.

– Dlaczego nie poprosił pan swojego kierowcy, żeby po pana wyjechał? – spytał Booth Watson.

– Bo to by ostrzegło Christinę, że jestem w kraju, czego chciałem uniknąć.

– A kiedy pan zajechał do domu, zastał pan żonę?

– Nie, nie było jej. Nie było też moich dzieł sztuki, które, jak odkryłem, również podążały do Southampton. Dotarłem tam akurat w porę, żeby nie pozwolić, aby odpłynęły do Nowego Jorku.

– Więc wszedł pan na pokład jachtu i wydał polecenie, żeby dzieła sztuki zwrócono do pańskich domów w Hampshire i Monte Carlo…

– Z jednym ważnym wyjątkiem – przerwał mu Faulkner. – Zawsze zamierzałem zwrócić Fitzmolean obraz Rembrandta, nie bacząc na konsekwencje.

Znów obdarzył przysięgłych swoją „szczerą miną”.

– Zanim jednak mógł pan to zrobić, na jacht wpadła policja, aresztowała pana i oskarżyła o to, że zamienił pan naklejki na dwu skrzyniach po to, by móc zatrzymać obraz Rembrandta.

– Ależ panie Booth Watson, ta sugestia jest niedorzeczna z trzech powodów. Po pierwsze, byłem na pokładzie jachtu kilka minut przed aresztowaniem, więc to jasne, że moja żona wcześniej poinformowała policję, że obraz Rembrandta jest nadal na jachcie. Po drugie, naklejkę z nazwą i adresem Fitzmolean sama musiała zamienić, zanim jeszcze obrazy załadowano w Monte Carlo.

– Dlaczego miałaby zamieniać naklejki, a potem mówić policji, że obraz Rembrandta jest nadal na jachcie? – rzucił niewinne pytanie Booth Watson.

– Bo gdyby mnie aresztowano, nic by jej nie powstrzymało przed wypłynięciem do Nowego Jorku i kradzieżą reszty mojej kolekcji, co najwyraźniej planowała, kiedy byłem na drugim końcu świata.

– Panie Faulkner, mówił pan, że jest jeszcze trzeci powód.

– Tak, proszę pana. Komendant Hawksby był w towarzystwie dwóch innych policjantów. Najwyraźniej zostali poinformowani przez moją żonę, że obraz Rembrandta jest na pokładzie. Jaki sens miałaby zamiana naklejek, skoro kapitan portu ma prawo otworzyć każdą ze skrzyń? Nie, Christina zaplanowała, że zostanę aresztowany i jednocześnie stracę mojego Rubensa. Ona nie tylko zamieniła naklejki, ale wiedziała, że pozbawi mnie ulubionego obrazu.

– Przynajmniej Rubens wrócił do prawowitego właściciela wraz z resztą pańskiej kolekcji.

William zauważył, że Booth Watson dał swojemu klientowi nieznaczny znak głową.

– Tak, wrócił. Tim Knox, dyrektor Fitzmolean, uznał, że popełniono oczywistą pomyłkę, i łaskawie zwrócił Rubensa do Limpton Hall. Jednak po kilku dniach ogarnęły mnie wątpliwości. Jak pan zapewne wie, znajdujące się w Fitzmolean zbiory malarstwa holenderskiego i flamandzkiego są drugie na świecie po Rijksmuseum w Amsterdamie. Zacząłem się zastanawiać, czy *Zdjęcie Chrystusa z krzyża* znalazło prawowity dom, i po głębo-

kim namyśle postanowiłem ofiarować to dzieło sztuki narodowi, tak by inni mogli dzięki niemu zażyć tyle przyjemności, ile ja przez ostatnie trzydzieści lat.

Bezbłędnie sformułowane, pomyślał Booth Watson, spoglądając na przysięgłych. Teraz był przekonany, że co najmniej połowa z nich jest po stronie jego klienta.

– I na koniec muszę pana zapytać, panie Faulkner, czy przed tym godnym pożałowania nieporozumieniem był pan kiedykolwiek oskarżony o przestępstwo karne?

– Nie, sir, nigdy. Chociaż muszę wyznać, że kiedy byłem w szkole plastycznej, raz zwędziłem policyjny hełm i wystąpiłem w nim na balu Chelsea Arts Club. Skończyło się na tym, że spędziłem noc w więzieniu.

– Naprawdę, panie Faulkner? Miejmy nadzieję, że nie spędzi pan już ani jednej nocy w więzieniu. Nie mam więcej pytań, Wysoki Sądzie.

– O co chodzi? – spytał sir Julian, kiedy Grace położyła między nimi na stole komplet czarno-białych fotografii.

– Te zdjęcia pokazują Sterna opuszczającego sąd po twoim przesłuchaniu.

– Widzę. Ale o czym one świadczą, poza tym, że się cieszy, że jest w centrum zainteresowania?

– Już niedługo, podejrzewam. Przyjrzyj się bliżej, tato, a zobaczysz coś, czego Stern nie chciał, żebyśmy widzieli.

– Nadal nie wiem, o co chodzi – przyznał ojciec, ponownie obejrzawszy fotografie.

– Skórzana marynarka Versace, najlepsze mokasyny Gucciego.

– A zegarek? – spytał sir Julian, który wreszcie się połapał.

– Cartier Tank. I nie podróbka jak jego pan.

– Stern na pewno nie mógłby sobie pozwolić na te luksusy z emerytury detektywa inspektora.

– A oto premia – powiedziała Grace, wskazując dwie inne fotografie, na których Stern wsiada do jaguara typu S i odjeżdża. – Samochód jest zarejestrowany na jego nazwisko.

– Myślę, że czas zwrócić się do sędziego w jego prywatnym gabinecie i dowiedzieć się, czy pozwoliłby nam skontrolować konta bankowe Sterna.

– Czy myśli pan, że przysięgli uwierzyli choć w jedno słowo z tych dyrdymałów? – spytał William, kiedy sędzia Nourse ogłosił przerwę w posiedzeniu.

– Nie jestem pewien – rzekł Hawksby. – Ale to, że pani Faulkner tak wyraźnie planowała skraść kolekcję męża, nie będzie pomocne. Toteż przysięgłych czeka zadanie nie do pozazdroszczenia: zdecydowanie, które z nich jest większym kłamcą. A jak się posuwają sprawy w sali rozpraw numer dwadzieścia dwa?

– Właśnie idę do Beth, żeby się dowiedzieć. Przy okazji – dodał ciszej – te teczki, które zostawił pan na stole w swoim biurze, okazały się bardzo pomocne.

Gdy William wszedł na salę numer dwadzieścia dwa, rzucił mu się w oczy Arthur Rainsford znikający na schodkach do celi w piwnicy, eskortowany przez policjanta.

– Na dzisiaj już koniec – powiedziała Beth, kiedy William usiadł przy niej. – Możemy iść do domu.

William pomyślał, że zamieni słowo z ojcem, ale zobaczył, że jest pogrążony w rozmowie z Grace, więc uznał, że nie będzie im przeszkadzał. Beth wzięła go za rękę, nic jednak nie mówiła, dopóki nie opuścili budynku sądu i nie wyszli na ulicę.

– Twoja siostra wykazała się prawdziwym mistrzostwem podczas przesłuchania profesora Abrahamsa – powiedziała, gdy przechodzili na drugą stronę.

– Ojciec pozwolił Grace prowadzić przesłuchanie głównego świadka? – spytał William z niedowierzaniem.

– A profesor był tak przekonujący, że prokurator nawet nie zadał sobie trudu, żeby go przesłuchać.

– I znów nie doceniłem staruszka – rzekł William. – Czy Grace zdołała dowieść, że była jakaś brakująca kartka?

– Gdy profesor Abrahams opuszczał miejsce dla świadka, nawet prokurator Korony przyjął do wiadomości, że były trzy kartki – odparła Beth, kiedy ustawili się w kolejce do autobusu.

– To dobra wiadomość. A co z sędziami? W końcu tylko ich opinie naprawdę się liczą.

– Tego nie wiemy. Jak wytrawni pokerzyści z niczym się nie zdradzają.

– Kto teraz w kolejce po cięgi wymierzone przez mojego ojca? – zainteresował się William, gdy wsiedli do autobusu.

– Detektyw sierżant Clarkson, dawny partner Sterna.

– To słabsza osobowość niż Stern, więc może się załamać pod presją.

– Skąd to wiesz?

– Szkoda, że nie widziałaś Hawksby'ego, kiedy występował w roli świadka – powiedział William. – Nawet sędzia był pod wrażeniem.

Beth zrozumiała i podjęła nowy wątek.

– Ale czy Booth Watson nie dał mu się we znaki?

– Nie. Nawet go nie przesłuchiwał. Najwyraźniej uznał, że nic na tym nie zyska.

– A jak wypadł Faulkner?

– Nadzwyczajnie – przyznał William – chociaż nie całkiem przekonująco. Był trochę zbyt obkuty i cały czas obwiniał swoją żonę.

– Z pewnością przysięgłym się to nie podoba.

– Booth Watson wczoraj rozgromił Christinę. – William natychmiast pożałował, że powiedział „Christina", i prędko dodał: – A Faulkner jeszcze jej dziś dokopał. Złożył też obietnicę, która nas wszystkich zaskoczyła, chociaż nie sądzę, żeby zamierzał jej dotrzymać.

– Że ofiaruje obraz Rubensa Fitzmolean?

– Skąd to wiesz?

– Zadzwoniłam do galerii w przerwie na lunch i Tim Knox mi powiedział, że Faulkner daruje Rubensa, jak tylko proces się skończy.

– To mi zdecydowanie wygląda na przekupstwo – powiedział William, gdy autobus zatrzymał się na Fulham Road. – Z pewnością sędzia się na to nie nabierze?

– Może dla odmiany powinieneś uwierzyć Faulknerowi na słowo?

– Boję się, że właśnie to mogą zrobić przysięgli. Ale trzeba o wiele więcej, żeby przekonać mnie, że Faulkner nie miał obrazu Rembrandta od siedmiu lat.

– Czy myślisz, że wytrzymamy cały dzień bez dyskusji o którejś ze spraw?

– To będzie zależało od tego, czy twój ojciec zostanie zwolniony, a Faulkner zamknięty na bardzo długi czas.

– A co, jeżeli stanie się na odwrót?

32

– Jestem posłańcem dobrych wieści – rzekł Booth Watson, kiedy kelner stanął przy ich stoliku. – Ale najpierw zamówmy śniadanie.

– Dla mnie tylko czarna kawa, grzanka i dżem pomarańczowy – powiedział Faulkner. – Straciłem apetyt.

– A ja poproszę o pełne angielskie śniadanie – rzekł Booth Watson. Nie odezwał się, dopóki kelner nie oddalił się na tyle, żeby nic nie słyszeć. – Miałem ofertę z drugiej strony. Są skłonni wycofać zarzut zamiaru kradzieży, jeśli przyznasz się do świadomego przyjęcia skradzionych dóbr, czyli paserstwa, co jest mniej poważnym przestępstwem.

– Konkluzja? – spytał Faulkner.

– Jeżeli przyjmiemy ich propozycję, to prawdopodobnie dostaniesz dwa lata, co oznacza, że zwolnią cię po dziesięciu miesiącach.

– Dlaczego?

– Jeżeli będziesz się dobrze zachowywał, odsiedzisz tylko pół wyroku minus dwa miesiące ze względu na to, że to twoje pierwsze przestępstwo. Wyjdziesz przed Bożym Narodzeniem.

– Dziesięć miesięcy w Pentonville to nie jest wspaniałomyślna oferta, a co ważniejsze, Christina będzie miała wystarczająco dużo czasu, żeby ukraść całą moją kolekcję.

– To nie powinien być problem – zapewnił go Booth Watson – bo jak będziesz za kratkami, dopilnuję, żeby Christina nawet się nie zbliżyła do twojego majątku.

Faulkner nie wyglądał na przekonanego.

– A jeżeli nie przyjmę ich oferty?

– Gdybyś został uznany za winnego obydwu przestępstw, kradzieży i paserstwa, to maksymalna kara wynosi osiem lat plus ogromna grzywna.

– Mam gdzieś grzywnę. Czuję, że Palmer wie, że walczy o przegraną sprawę, i ma nadzieję, że zachowa twarz. Tak czy siak, uważam, że przysię-

gli są po mojej stronie. Przynajmniej dwoje wczoraj się do mnie uśmiechnęło.

– Dwoje to za mało – powiedział Booth Watson i umilkł, gdy kelner dolewał im kawy. – Przewodniczący ławy przysięgłych wygląda mi na emerytowanego pułkownika albo dyrektora prywatnej szkoły podstawowej, który pewno uważa, że kara powinna odpowiadać przestępstwu.

– To ryzyko, jakie jestem skłonny podjąć, BW. Więc możesz powiedzieć Palmerowi: spływaj. Masz ochotę na kieliszek szampana?

KORONA PRZECIW RAINSFORDOWI

– Wzywam detektywa sierżanta Boba Clarksona – zawołał sekretarz sądu.

Grace nie odrywała oczu od Clarksona, gdy przemierzał salę sądową i zajmował miejsce dla świadka. Wygłosił przysięgę bez śladu buty, jaką okazał Stern.

„Uczciwy, przyzwoity gliniarz, łatwo ulegający wypływom, czasami pozwalający wprowadzić się w błąd” – brzmiało jedno ze zdań, które Grace podkreśliła po przeczytaniu teczki osobowej Clarksona.

Sir Julian siedział cierpliwie w trakcie pobieżnego przesłuchania Clarksona przez prokuratora, które nie przyniosło żadnych niespodzianek. Ale przecież nigdy na to nie liczył.

– Czy pan życzy sobie przesłuchać tego świadka? – spytał Lord Sędzia Arnott.

Sir Julian skinął głową i podniósł się z miejsca. Zawsze chciał, żeby Stern uważał go za wroga, ale nie Clarkson.

– Detektywie sierżancie Clarkson – przemówił łagodnym i przekonującym głosem – jako funkcjonariusz policji zna pan konsekwencje popełnienia krzywoprzysięstwa. Więc chciałbym, aby pan się dobrze namyślił, zanim pan odpowie na moje pytania.

Clarkson nie zareagował.

– Czy w dniu, kiedy Arthur Rainsford został aresztowany i oskarżony o morderstwo wspólnika w interesach, pana Gary’ego Kirklanda, był pan na miejscu zbrodni?

– Nie, sir. Wróciłem na posterunek.

– Więc nie był pan świadkiem aresztowania?

– Nie, sir, nie byłem.

– Ale był pan młodszym stopniem policjantem, który podpisał zeznanie złożone przez pana Rainsforda później wieczorem.

– Tak, sir.

– Czy to zeznanie, spisane przez detektywa inspektora Sterna i poświadczone przez pana, składało się z trzech czy z dwóch kartek?

– Początkowo myślałem, że były trzy, ale detektyw inspektor Stern następnego dnia rano zapewnił mnie, że tylko dwie, więc uwierzyłem jego słowom.

To nie była odpowiedź, jaką przewidywał sir Julian. Zamilkł na chwilę, świadom, że następnych jego pięć pytań jest zbędnych, a potem zażądał potwierdzenia tego, co właśnie usłyszał.

– Zatem początkowo pan uważał, że zeznanie zajmowało trzy kartki, a nie dwie, jak twierdził pan Stern?

– Tak, sir, a przestudiowawszy wczorajszą relację z sądu, zgadzam się z wnioskami profesora Abrahamsa, które nie nasuwają wątpliwości.

– To by znaczyło, że zgadza się pan również, że pan Stern musiał usunąć jedną kartkę z oryginalnego zeznania – powiedział sir Julian.

– Tak, zgadzam się, sir. I żałuję, że wtedy tego nie zakwestionowałem.

– A czy podzielił się pan z nim spostrzeżeniem, że możliwe, że istniał tajemniczy mężczyzna, człowiek, który, jak stwierdził pan Rainsford, przebiegł koło niego, gdy wchodził do budynku, gdzie mieści się biuro, i o którym zawsze mówił, że to mógł być morderca?

– Tak, sugerowałem to, ale detektyw inspektor Stern powiedział, że to wytwór wyobraźni Rainsforda i nie powinniśmy traktować tego poważnie.

– A co z anonimowym dzwoniącym, który poinformował policję o morderstwie pana Kirklanda? Czy to też był wytwór wyobraźni pana Rainsforda?

– Nie, sir. Otrzymaliśmy telefon od jakiegoś mężczyzny mówiącego z obcym akcentem, który doniósł, że gdy przechodził koło domu, usłyszał krzyki dwóch mężczyzn, po czym zapadła cisza, a po kilku chwilach z budynku wybiegł na ulicę mężczyzna. I dlatego ten człowiek natychmiast zadzwonił na policję.

– Podał swoje nazwisko?

– Nie, sir, ale to nie należy do rzadkości w takich przypadkach.

– Jak zanotowano na brakującej kartce zeznania pana Rainsforda, policja przybyła pod biuro RGK tuż po nim.

– Zazwyczaj tak mówi winowajca, jeżeli chce zrzucić winę na kogoś innego – powiedział Clarkson. – Dlatego nie zawracałem sobie głowy, żeby iść tym śladem, zwłaszcza że próby wykrycia osób wykonujących anonimowe telefony to niewdzięczne zajęcie i zwykle okazuje się kompletną stratą czasu.

– Zatem nigdy pan nie odkrył, kim był tajemniczy mężczyzna?

– Otóż odkryłem – odparł Clarkson.

Dla sir Juliana to była kolejna niespodzianka. Zrobił krok w nieznane.

– Detektywie sierżancie, proszę własnymi słowami opowiedzieć sądowi, jak pan odkrył, kim był ten tajemniczy mężczyzna.

– Dwa dni po oskarżeniu Rainsforda zjawił się na posterunku kierowca czarnej taksówki i powiedział nam, że widział relację z tej historii w wiadomościach wieczornych. Stwierdził, że w popołudnie morderstwa zabrał Rainsforda z Euston i zostawił go przed biurowcem na Marylebone High Street. Ledwo zdążył wystawić znak „Wolny”, gdy z budynku wybiegł jakiś mężczyzna i poprosił o zawiezienie do pubu Pod Admirałem Nelsonem w West Ham, ale ledwo ujechali kawałek drogi, kazał zatrzymać samochód. Wysiadł i pobiegł do pobliskiej budki telefonicznej. Wrócił po kilku minutach i pojechali dalej do West Ham.

– Czy podał panu rysopis mężczyzny?

– Czy mogę zajrzeć do notatek, jakie wtedy sporządziłem? – spytał Clarkson, zwracając się do sędziów.

Lord Sędzia Arnott skinął głową i Clarkson otworzył mały czarny notes i odwróciwszy kilka kartek, kontynuował:

– Taksówkarz mówił, że mężczyzna był średniego wzrostu, miał ciemne włosy i lekką nadwagę. Powiedział też, że poszedłby o zakład, że to Grek albo Turek.

– Dlaczego tak pomyślał?

– Taksiarz pełnił służbę na Cyprze w czasie powstania i był pewien, że poznaje akcent.

– Czy zameldował pan o tej rozmowie detektywowi inspektorowi Sternowi?

– Tak, i nie był specjalnie zadowolony. Ale powiedział, że odwiedzi ten pub i sprawdzi, czy to się zgadza.

– I odkrył, kim był tajemniczy mężczyzna?

– Tak. Powiedział mi jednak, że facet ma niepodważalne alibi. Był w pubie Pod Admirałem Nelsonem w chwili morderstwa, co potwierdził właściciel pubu oraz kilku innych klientów, też wtedy obecnych. Zresztą Stern mi przypomniał, że mamy podpisane zeznanie, to czego jeszcze chcę…

– Więc nie kontynuował pan tej linii śledztwa?

– Nie. Przecież detektyw inspektor Stern był starszym rangą funkcjonariuszem prowadzącym tę sprawę, a ja początkującym konstablem tuż po okresie próbnym, więc nie mogłem wiele zdziałać.

– I nie ma żadnych dokumentów na dowód, że detektyw inspektor Stern odwiedził pub Pod Admirałem Nelsonem albo przesłuchiwał tak zwanego tajemniczego mężczyznę?

– Detektyw inspektor Stern nie przepadał za papierkową robotą. Mówił, że on woli wsadzać przestępców do więzienia, a nie do kartoteki.

– Rozumiem, że nie wezwano pana na świadka podczas procesu pana Rainsforda?

– Nie, sir. A kiedy Rainsford został skazany, uznałem, że detektyw inspektor Stern musi mieć rację. I tak myślałem do czasu, kiedy przeczytałem w „Daily Mail” o apelacji Rainsforda i zacząłem żałować, że nie przesłuchałem wtedy pana Fortounisa i nie zostawiłem…

– Vasilis Fortounis? – rzucił Arthur, podrywając się z krzesła.

– Tak, jestem pewien, że tak się nazywał – powiedział Clarkson.

– Jego córka była sekretarką Gary’ego Kirklanda! – krzyknął Arthur.

– Sir Julianie, proszę pohamować swojego klienta, zanim ja to zrobię – powiedział kategorycznie Lord Sędzia Arnott.

Arthur usiadł, ale zaczął gorączkowo machać ręką w stronę sir Juliana.

– Myślę, sir Julianie, że to właściwy moment na przerwę, bo najwyraźniej klient życzy sobie konsultacji z panem. Czy możemy zgromadzić się ponownie za godzinę?

KORONA PRZECIW FAULKNEROWI

– Sędziowie przysięgli – powiedział sędzia Nourse – wysłuchaliście argumentacji przedstawionej przez obu uczonych jurystów i teraz moim obowiązkiem jest podsumować tę sprawę bezstronnie i bez uprzedzeń. To wy, i tylko wy, zdecydujecie, czy pan Faulkner jest winny czy niewinny trzech czynów zarzuconych mu w imieniu Korony.

Rozważmy każdy z zarzutów po kolei. Po pierwsze, czy pan Faulkner ukradł obraz pędzla Rembrandta z Fitzmolean Museum? Czy uważacie, że Korona przedstawiła wystarczające dowody, żeby udowodnić swoje oskarżenie ponad wszelką wątpliwość? Jeżeli nie, musicie orzec na korzyść oskarżonego. I po drugie, jeżeli pan Faulkner bezpośrednio nie brał udziału w kradzieży, to jednak czy nie był w nią zamieszany? Powinniście podjąć decyzję, wyłącznie opierając się na faktach przedstawionych w tej sali sądowej.

Faulkner pozwolił sobie na przelotny uśmiech, natomiast Booth Watson rozsiadł się wygodnie i skrzyżował ramiona, świadom, że sędzia nie dotarł jeszcze do najmniej przekonującego fragmentu zeznania jego klienta.

– Następny zarzut brzmi, że pan Faulkner świadomie zakupił skradziony obraz, jak twierdzi jego żona. Chociaż pan Faulkner przedstawił kopię obrazu Rembrandta, powinniście zadać sobie pytanie, jak długo oryginał znajdował się w jego posiadaniu.

Czy jesteście skłonni wierzyć zeznaniu pana Faulknera, że odwiedził Neapol i próbował zawrzeć układ z Camorrą, żeby nabyć obraz za sto tysięcy dolarów wyłącznie po to, żeby go zwrócić do Fitzmolean? Czy uważacie za prawdopodobne, że Camorra początkowo odrzuciła jego ofertę, ale jakiś czas potem zjawiła się z obrazem w domu pana Faulknera w Monte Carlo i zażądała stu tysięcy dolarów? Mimo iż, jak mówił nam pan Faulkner, jego doświadczenie uczy – sędzia spojrzał w notatki – że Camorra rzadko wychyla nos poza swoje terytorium.

I czy uznaliście za wiarygodne, że jeden z mężczyzn, który nigdy nie odezwał się do niego, kiedy był w Neapolu, groził poderżnięciem gardeł sześciu syndykom, a potem gardła pana Faulknera, jeżeli im nie zapłaci? Czy też uważacie, że to może o jedno ubarwienie za dużo? Tylko wy możecie zdecydować, komu wierzyć – panu Faulknerowi czy pani Faulkner – bo nie mogą oboje mówić prawdy. Jednakże musicie też zadać sobie pytanie, czy można polegać na zeznaniu pani Faulkner, skoro zupełnie otwarcie przyznała, że próbowała zabrać wszystkie dzieła sztuki z ich domów w Monte Carlo i Limpton Hall, gdy mąż był w Australii, i nie mam wątpliwości, że popłynęłaby do Nowego Jorku, żeby tam zrobić to samo, gdyby jej nie przeszkodził. I na koniec, sędziowie przysięgli, musicie wziąć pod uwagę fakt, że oskarżony nie był w przeszłości karany.

Sędziowie przysięgli – mówił dalej, patrząc wprost na pięciu mężczyzn i siedem kobiet – kiedy rozważycie wszystkie dowody, jakie wam tu przedstawiono, musicie być przekonani o winie ponad wszelką wątpliwość, zanim orzekniecie: „winny”. Jeżeli nie będziecie pewni, musicie orzec „niewinny”. Więc proszę, nie spieszcie się. Jeśli w trakcie narad będziecie potrzebować pomocy w jakiejś kwestii prawnej, nie zawahajcie się wrócić do tej sali, a ja postaram się odpowiedzieć na wasze pytania. Baliw zaprowadzi was teraz do pokoju przysięgłych na naradę. Proszę was, bez pośpiechu rozważcie wszystkie dowody, zanim wydacie werdykt.

KORONA PRZECIW RAINSFORDOWI

– Sir Julianie.

– Milordowie, jestem wdzięczny za umożliwienie mi przeprowadzenia konsultacji z moim klientem i chciałbym prosić, aby sąd ponownie wezwał pana Sterna oraz wydał nakaz stawiennictwa panu Vasilisowi Fortounisowi, ponieważ obrona chciałaby mieć okazję przesłuchania ich obu pod przysięgą.

– Przychylam się do pańskiej prośby, sir Julianie, i sugeruję, żebyśmy przełożyli posiedzenie na jutro rano, z nadzieją, że do tej pory baliw będzie w stanie odnaleźć obu tych dżentelmenów.

– Dziękuję, milordzie – powiedział sir Julian, usiłując ukryć sceptycyzm.

Trzej sędziowie wstali, ukłonili się i opuścili salę sądową.

– Nie będę mogła doczekać się jutra – rzekła Beth.

– Nie spodziewaj się za wiele – powiedziała Grace, zbierając swoje teczki. – Stern i Fortounis będą dobrze wiedzieli, co dziś po południu wydarzyło się w sądzie, i nie przypuszczam, żeby któryś z nich obecnie zmierzał w stronę Strandu.

KORONA PRZECIW FAULKNEROWI

– Życzy pan sobie zasięgnąć mojej rady? – spytał sędzia Nourse, gdy przysięgli powrócili i zajęli swoje miejsca.

– Tak, Wysoki Sądzie – powiedział przewodniczący ławy przysięgłych, dystyngowany dżentelmen w ciemnoszarym garniturze z dwurzędową marynarką i w krawacie pułku kawalerii. – Zdołaliśmy osiągnąć werdykt w sprawie pierwszego i drugiego zarzutu, ale jesteśmy podzieleni co do trzeciego, o paserstwo.

– Czy sądzi pan, że udałoby się osiągnąć werdykt większościowy, z którym by się zgodziło przynajmniej dziesięć osób?

– Sądzę, że tak, Wysoki Sądzie, jeżeli będziemy mieli trochę więcej czasu.

– W takim razie zrobimy wcześniej przerwę i zgromadzimy się ponownie jutro o dziesiątej, żeby sędziowie przysięgli mogli się przespać ze swoją decyzją.

Wszyscy w sądzie podnieśli się z miejsc i złożyli ukłony. Sędzia Nourse odpowiedział ukłonem i opuścił swe włości.

– Czy nie chciałby pan czasem przeskoczyć dwudziestu czterech godzin i dowiedzieć się, co się wydarzy? – zagadnął William.

– Nie będziesz o tym marzył, kiedy dożyjesz mojego wieku – odparł Hawksby.

33

KORONA PRZECIW RAINSFORDOWI

– Sir Julianie, może pan wezwać swojego następnego świadka.

– Nie jestem w stanie, milordzie. Chociaż wczoraj zgodnie z pana poleceniem wystawiono nakazy stawiennictwa, baliw nie zdołał doręczyć wezwań do sądu ani panu Sternowi, ani panu Fortounisowi.

– Więc będziemy musieli poczekać, aż zostaną doręczone – powiedział sędzia.

– To może nie nastąpić prędko, milordzie.

– Na jakiej podstawie tak pan uważa, sir Julianie?

– Powiedziano mi, że pan Fortounis wrócił do domu w Nikozji kilka dni przed rozpoczęciem procesu i od tamtej pory ani go nie widziano, ani o nim nie słyszano.

– Kto podał te informacje?

– Właściciel pubu Pod Admirałem Nelsonem w West Ham Grove, gdzie był on stałym bywalcem.

– A pan Stern?

– Jak się wydaje, odleciał z lotniska w Birmingham wczoraj późną nocą.

– Niech zgadnę – rzekł sędzia – też samolotem lecącym do Nikozji.

– A ponieważ kupił bilet w jedną stronę, baliw może mieć trudności z wyegzekwowaniem pańskiego nakazu, milordzie, ponieważ, jak na pewno pan wie, Wielka Brytania nie ma traktatu o ekstradycji z Cyprem.

– Wobec tego wydam nakaz zajęcia jego majątku i aresztowania go, jeżeli kiedykolwiek pojawi się w tym kraju. Przypuszczam, że nie możemy raczej oczekiwać, że jak w przypadku Bolingbroke’a banicja będzie dla niego jeszcze sroższą karą niż uwięzienie.

Nikt nie wyraził opinii.

Pan Llewellyn wstał.

– Milordowie, czy mogę podejść do stołu sędziowskiego?

Lord Sędzia Arnott skinął głową. Pan Llewellyn i sir Julian podeszli do Ich Lordowskich Mości na przedzie sali rozpraw. Przez pewien czas coś mówili przyciszonymi głosami do sędziów, po czym Lord Sędzia Arnott podniósł rękę i zaczął konferować ze swoimi kolegami.

– O czym oni rozmawiają? – szepnęła Beth do Grace.

– Nie mam pojęcia. Ale podejrzewam, że wkrótce się dowiemy.

KORONA PRZECIW FAULKNEROWI

– Niechaj wszyscy uczestniczący w procesie Milesa Faulknera udadzą się do sali sądowej numer czternaście – ryknął megafon – gdyż sędziowie przysięgli zaraz powrócą.

Kilka osób, które stały w westybulu, przestało rozmawiać, inni zgasili papierosy i prędko skierowali się z powrotem na salę. William dołączył do komendanta Hawksby'ego, detektywa głównego inspektora Lamonta, prawników, dziennikarzy i zwykłych ciekawskich, podczas gdy baliw wiódł swoich podopiecznych do sali sądowej, gdzie zajęli miejsca w ławie przysięgłych.

Kiedy wszyscy się usadowili, sekretarz sądu powiedział:

– Proszę, aby przewodniczący wstał.

Przewodniczący podniósł się z miejsca na końcu pierwszego rzędu.

– Czy uzgodniliście werdykt co do wszystkich trzech zarzutów? – spytał sędzia Nourse.

– Tak, Wysoki Sądzie – odparł przewodniczący.

Sędzia skinieniem głowy dał znak sekretarzowi sądu.

– Panie przewodniczący, pierwszy zarzut brzmi, że oskarżony pan Miles Faulkner ukradł obraz Rembrandta zatytułowany *Syndycy cechu sukienników* z Fitzmolean Museum w Londynie. Czy uznajecie, że oskarżony jest winny czy niewinny?

– Niewinny, Wysoki Sądzie.

Faulkner pozwolił sobie na uśmiech. Booth Watson nie okazał żadnych emocji. William zmarszczył brwi.

– A co do drugiego zarzutu, mianowicie że oskarżony był współsprawcą tej kradzieży, czy uznajecie, że oskarżony jest winny czy niewinny?

– Niewinny.

Lamont zaklął pod nosem.

– A jeśli chodzi o zarzut trzeci, mianowicie paserstwo, czyli zakup rzeczonego obrazu pędzla Rembrandta, o którym wiedział, że został skradziony, czy uznajecie, że oskarżony jest winny czy niewinny?

– Większością dziesięciu głosów do dwóch uznajemy oskarżonego za winnego, Wysoki Sądzie.

W sali rozległ się gwar rozmów, a kilku dziennikarzy wybiegło do najbliższych telefonów, żeby przekazać werdykt swoim redakcjom. Sędzia odczekał, aż zapanuje spokój, po czym zwrócił się ku więźniowi.

– Proszę, żeby oskarżony wstał – powiedział sekretarz sądu.

Mniej pewna siebie postać wolno wstała z ławy oskarżonych, podeszła niepewnym krokiem do przodu i uchwyciła się barierki, żeby się podeprzeć.

– Milesie Faulknerze – powiedział poważnie sędzia – uznano pana za winnego paserstwa, mianowicie nabycia skradzionego dzieła sztuki, dobra narodowego. Ze względu na powagę pańskiego przestępstwa chcę poświęcić kilka dni na rozważanie, jaka kara jest właściwa. Zatem odłożę ogłoszenie wyroku do najbliższego wtorku o dziesiątej rano.

– Co on zamierza? – powiedział Hawksby, gdy Booth Watson podniósł się z miejsca.

– Milordzie, czy mogę prosić o przedłużenie mojemu klientowi do tej daty zwolnienia za kaucją?

– Zgodzę się – rzekł sędzia Nourse – pod warunkiem że odda swój paszport sądowi. I jestem pewien, panie Booth Watson, że przedstawi pan klientowi konsekwencje, jakie poniesie, jeśli się nie stawi przed moim obliczem w tej sali sądowej we wtorek rano.

– Z całą pewnością, Wysoki Sądzie.

– Czy panowie Booth Watson i Palmer byliby tak uprzejmi i przyszli do mojego gabinetu?

– Co on zamierza? – powtórzył komendant.

KORONA PRZECIW RAINSFORDOWI

Sala sądowa była wypełniona po brzegi na długo przedtem, nim Lord Sędzia Arnott i jego dwaj koledzy nazajutrz o dziesiątej rano pojawili się w drzwiach.

Lord Sędzia Arnott położył na stole przed sobą czerwoną teczkę i złożył ukłon. Następnie usiadł na środkowym krześle, poprawił długą czerwoną togę, przesunął na nosie okulary, po czym otworzył teczkę i spojrzał na pierwszą stronę.

Na sali panowała cisza jak makiem zasiał, musiał więc podnieść wzrok, aby się upewnić, czy wszyscy są obecni. Przed wygłoszeniem ostatecznego orzeczenia spojrzał na twarze pełne oczekiwania, a potem na więźnia na ławie oskarżonych. Żal mu było Rainsforda.

– Jako sędzia przewodniczyłem w wielu procesach – zaczął Arnott – i w każdym starałem się zachować dystans i nie angażować emocjonalnie, ażeby zapewnić, że sprawiedliwość nie tylko zostanie orzeczona, ale i wymierzona.

Obawiam się jednak, że w tym przypadku zaangażowałem się emocjonalnie. Po wysłuchaniu zeznania pana Sterna stało się dla mnie jasne, że mogła zostać wyrządzona niesprawiedliwość. Wrażenie to spotęgowało się, kiedy profesor Abrahams wykorzystał swoją wiedzę w tej sprawie. Ja i moi koledzy zostaliśmy o tym ostatecznie przekonani podczas przesłuchania detektywa sierżanta Clarksona, którego szczere i uczciwe świadectwo przynosi zaszczyt jego profesji.

Chociaż rzeczywiści sprawcy tej zbrodni mogą nigdy nie zostać zatrzymani, nie mam wątpliwości, że Arthur Edward Rainsford został fałszywie oskarżony o zamordowanie Gary’ego Kirklanda, swego przyjaciela i wspólnika w interesach. Zatem orzekam unieważnienie werdyktu pierwotnego procesu.

Rozległy się brawa, które umilkły, dopiero gdy sędzia zmarszczył brwi, dając do zrozumienia, że nie skończył.

– Tego rodzaju orzeczenia nigdy nie powinno się podejmować lekko – ciągnął. – Nie uważam, aby sędziów przysięgłych występujących w pierwotnym procesie należało obwiniać za wydany werdykt, ponieważ uznali za dobrą monetę słowa detektywa inspektora, a z powodu obłudy tego człowieka nie mogli wziąć pod uwagę brakującej strony zeznania, które pan Rainsford złożył policji w wieczór aresztowania, i w rezultacie niewinnemu człowiekowi wyrządzono poważną niesprawiedliwość. Z wielką przyjemnością nie tylko uwalniam tego więźnia, ale też wyraźnie stwierdzam, że nigdy nie było i nie powinno być plamy na jego reputacji. Panie Rainsford, jest pan wolny i może pan opuścić sąd.

Beth i Joanna Rainsford pierwsze aż podskoczyły i zaczęły klaskać, gdy kurtyna ostatecznie opadła. Jednak gestem, który Arthur zapamięta na długo po tym, gdy opadł kurz bitewny, było odejście pana Llewellyna od stołu prokuratury, zbliżenie się do ławy oskarżonych i uściśnięcie ręki pozwanemu. Arthur musiał się schylić, żeby we wrzawie tłumu usłyszeć słowa prokuratora królewskiego.

– Sir, pierwszy raz w życiu – wyszeptał Llewellyn – jestem szczęśliwy, że przegrałem sprawę.

Sędzia Nourse zrzucił togę, zdjął perukę i właśnie nalewał sobie do szklanki słodową whisky, kiedy ktoś zapukał do drzwi.

– Wejść – powiedział.

Otworzyły się drzwi i Booth Watson oraz Palmer wkroczyli do jego pieczary.

– Skoro czynię honory domu, to czy mogę wam coś podać? BW, Adrianie?

– Nie, dziękuję, Martinie – rzekł Booth Watson, zdejmując perukę. – Wiem, że nie uwierzysz, ale ja wciąż próbuję schudnąć.

– Adrianie?

– Tak, proszę, sędzio – rzekł Palmer. – Napiję się z tobą whisky, jeśli można.

– Siadajcie obydwaj – powiedział sędzia, podając prokuratorowi whisky. Pociągnął łyk trunku i poczekał, aż usiądą wygodnie, i dopiero wtedy przemówił: – Chciałem zamienić z tobą słówko na osobności, BW, ale czułem, że Adrian powinien być obecny, żeby nie powstało później żadne nieporozumienie.

Booth Watson uniósł brwi, na co nigdy by sobie nie pozwolił w sali sądowej.

– Jestem ciekaw, czy twój klient mówi poważnie o zamiarze darowania Fitzmolean obrazu Rubensa.

– Nie mam powodu sądzić, że nie – odparł Booth Watson. – Ale jeżeli uważasz, że to jest ważne, to z pewnością mogę się dowiedzieć i dać ci znać.

– Nie, nie. Po prostu byłem ciekaw. A skoro tu jesteście, pozwólcie, że pogratuluję wam obu sposobu prowadzenia spraw. Myślę, że możecie słusznie określić wynik jako remis.

– Nie sądzę, żeby mój klient tak to widział – rzekł Booth Watson.

– Może powinien przyjąć moją ofertę – powiedział Palmer, dopijając whisky.

– Czy mogę zapytać? – zainteresował się sędzia.

– Korona odstąpi od zarzutu kradzieży, jeżeli przyzna się do paserstwa.

– A więc przysięgli słusznie orzekli – rzekł Nourse i pociągnął kolejny łyk. – Dolać ci, Adrianie?

– Dziękuję, sędzio.

– A ty, BW? Jesteś pewien, że cię nie skuszę?

– Nie, dziękuję, Martinie. Mam konsultację z moim klientem za kilka minut, więc lepiej już sobie pójdę.

– Tak, oczywiście, BW, do zobaczenia we wtorek rano.

Booth Watson podniósł się z krzesła i skierował do wyjścia.

– I może byś mnie powiadomił, czy twój klient przekaże muzeum obraz Rubensa, jak zapowiedział pod przysięgą – sędzia zawiesił głos – przed wtorkiem.

Booth Watson skinął głową, ale nic nie powiedział.

Palmer pociągnął łyk whisky, poczekał, aż zamkną się drzwi, po czym spytał:

– Czy byłem właśnie świadkiem wywarcia subtelnej presji?

– Absolutnie nie – powiedział sędzia, unosząc kieliszek. – Ja już zadecydowałem o losie pana Faulknera, chociaż przyznam, że gdyby okazał najmniejszą oznakę skruchy, może byłbym skłonny pójść na jedno ustępstwo. Chociaż, z drugiej strony, może nie.

– Jak myślisz, dlaczego cię o to spytał? – rzekł Faulkner.

– Sędziowie znani są z tego, że w ostatniej chwili idą na ustępstwa, ale tylko wtedy, gdy widzą prawdziwą skruchę.

– Jak prawdziwą?

– Gdybyś przekazał Fitzmolean obraz Rubensa przed wtorkiem, mam powody uważać, że Jego Lordowska Mość mógłby uznać, że prawdziwie się pokajałeś.

– A czego mógłbym się spodziewać w zamian?

– Nourse jest za mądry, żeby wyjść poza subtelne napomknienie, ale od niego zależy decyzja wyboru pomiędzy maksymalną karą za to przestępstwo – czterech lat i minimalną – sześciu miesięcy. Jest nawet możliwość zawieszenia wyroku i zasądzenia grzywny w wysokości dziesięciu tysięcy funtów – ale to tylko możliwość, więc nie miej wygórowanych nadziei.

– Jak wiesz, BW, gwiżdżę na grzywnę. Ale gdybym miał spędzić choćby sześć tygodni w więzieniu, to Bóg jeden wie, jakie spustoszenia poczyniłaby Christina w czasie mojej nieobecności.

– Czy to znaczy, że jesteś skłonny darować Rubensa muzeum?

– To znaczy, że o tym pomyślę.

– Przed wtorkiem.

Arthur zapadł w sen o dziesiątej wieczorem, co było trochę kłopotliwe dla pozostałych członków rodziny, jako że wszyscy uczestniczyli w uroczystej kolacji w San Lorenzo, jego ulubionej restauracji, gdzie był witany, jakby nigdy nie był nieobecny.

– Światła gasną o dziesiątej – wytłumaczył. – Po prawie trzech latach niełatwo wyzbyć się przyzwyczajenia.

– Co pan zrobi zaraz po obudzeniu się jutro rano? – zapytała Grace.

– O szóstej rano – powiedział Arthur.

– Kiełbaski, jajka, bekon i fasolka? – zasugerował William.

– Jajecznica ze świeżych jajek, nie z kartonika, i może sobie pozwolę na płatek wędzonego łososia, nieprzypaloną grzankę i kubek gorącej parującej kawy z mlekiem, ale nie takim w proszku.

– A po śniadaniu?

– Wybiorę się na długi spacer do parku, a potem na zakupy. Potrzebny mi nowy garnitur, żebym wyglądał szykownie, kiedy wrócę do pracy jutro rano.

– A może zrobić sobie przerwę przed powrotem do pracy? – zasugerował sir Julian. – Pojechać na wakacje?

– Absolutnie nie – powiedział stanowczo Arthur. – Już miałem trzy lata przerwy. Nie, zamierzam jak najszybciej wrócić do biura.

– Mógłbyś to odłożyć o jeden dzień, tatusiu? – spytała Beth. – Razem z mamą jesteście zaproszeni do Fitzmolean na odsłonięcie obrazu Rembrandta i oczekuję, że wszyscy będziecie obecni podczas mojej chwili triumfu.

– Twojej chwili triumfu? – spytał William.

Wszyscy się roześmiali oprócz Arthura, który znów zasnął.

Sala sądowa numer czternaście była wypełniona po brzegi na długo przed dziesiątą rano i niczym publiczność w teatrze wszyscy gawędzili, czekając na podniesienie kurtyny.

Komendant Hawksby, detektyw główny inspektor Lamont, detektyw sierżant Roycroft i detektyw konstabl Warwick siedzieli dwa rzędy za prokuratorem Adrianem Palmerem, radcą królewskim.

Pan Booth Watson, radca królewski, i jego doradca pan Mishcon siedzieli na drugim końcu ławki, rozmawiając o artykułach w porannej prasie poświęconych ich klientowi. Zgodzili się, że nie mogły być bardziej pozytywne.

Fotografia Milesa Faulknera obok *Zdjęcia Chrystusa z krzyża* zdobiła pierwsze strony kilku gazet wraz z tekstem, który napisał Booth Watson, a jego klient powtórzył słowo w słowo: „Oczywiście smutno jest się rozstawać z ulubionym obrazem, to jakby się traciło jedyne dziecko, ale mój Rubens nie mógł trafić do lepszego schronienia niż Fitzmolean”.

Ławy prasowe po jednej stronie sali sądowej były tak zatłoczone, że kilku weteranów, którzy nie mogli znaleźć miejsca siedzącego, stało za mniej znamienitymi kolegami. Zaraz gdy zostanie ogłoszony wyrok, popędzą do najbliższych telefonów i przekażą decyzję sędziego dyżurnemu redaktorowi.

„Evening Standard” pierwszy ukaże się na ulicach i tytuł na czołówkę już miał złożony: „Faulkner skazany na x lat”. Tylko wstawić cyfrę. Reporter działu kryminalnego przygotował dwie relacje poprzedniego wieczoru i zastępca redaktora naczelnego zdecyduje, która pójdzie pod prasy drukarskie.

Od siódmej rano przed wejściem do Royal Courts of Justice zaczęła się ustawiać kolejka zwyczajnych ciekawskich i maniaków i w ciągu kilku minut od otwarcia drzwi miejsca w galerii były zajęte do ostatniego. Wszyscy obecni wiedzieli, że kurtyna pójdzie w górę, kiedy zegar na południowo-zachodniej wieży katedry Świętego Pawła wybije dziesiątą. Nie żeby ktokolwiek z odizolowanych w sądzie zdołał usłyszeć uderzenia katedralnego zegara.

W chwili, gdy ukazał się sędzia Nourse, zaprzestano rozmów i zapadła pełna oczekiwania cisza. Sędzia usiadł na obciągniętym czerwoną skórą krześle z wysokim oparciem, spojrzał w dół na swoje królestwo i przeprowadził oględziny poddanych, udając, że nie interesuje go fakt, że nigdy dotychczas nie widział swojej sali rozpraw tak tłumnie wypełnionej. Ukłonił się i położył dwie czerwone teczki na stole.

William odwrócił się, żeby spojrzeć na Faulknera, który zajął miejsce na ławie oskarżonych. W granatowym garniturze, białej koszuli i krawacie absolwenta Harrow School wyglądał bardziej na maklera giełdowego spieszącego do pracy niż więźnia, który ma być odesłany do Pentonville. Stał z podniesioną głową, niemal dumnie, twarzą do sędziego, na pozór spokojny i opanowany.

Sędzia Nourse otworzył pierwszą czerwoną teczkę z napisem „Orzeczenie sądowe” i rzucił okiem na więźnia, po czym zaczął czytać swój odręcznie napisany tekst:

– Panie Faulkner, został pan uznany za winnego paserstwa, zakupu skradzionych przedmiotów, i to nie żadnej nieistotnej błahostki, ale skarbu narodowego o nieoszacowanej wartości, mianowicie obrazu pędzla Rembrandta *Syndycy cechu sukienników*. Nie mam wątpliwości, że był pan w posiadaniu tego unikatowego dzieła sztuki od dłuższego czasu, prawdopodobnie od siedmiu lat, kiedy zostało skradzione z Fitzmolean Museum, i że nigdy nie miał pan zamiaru oddać go prawowitemu właścicielowi. Gdyby pańska żona nie wyekspediowała obrazu do Anglii bez pańskiej zgody, prawdopodobnie nadal by wisiał w pana domu w Monte Carlo.

Adrian Palmer pozwolił sobie na sardoniczny uśmiech w imieniu Korony.

– Nie jest pan, panie Faulkner – ciągnął sędzia – jak niektóre tabloidy chciałyby nas przekonać, złodziejem dżentelmenem, który po prostu uwielbia emocje towarzyszące pogoni za upragnioną zdobyczą. Nic podobnego.

Jest pan w istocie tylko pospolitym przestępcą, którego wyłącznym celem było obrabowanie instytucji państwowej z jednego z jej najwspanialszych skarbów.

Booth Watson niespokojnie poruszył się na krześle.

Sędzia spojrzał na drugą stronę aktu i oznajmił:

– Milesie Edwardzie Faulknerze, zapłaci pan grzywnę w wysokości dziesięciu tysięcy funtów, maksymalną, jaką mogę nałożyć, chociaż uważam, że jest rozpaczliwie nieadekwatna w tym szczególnym wypadku.

Sędzia zamknął pierwszą czerwoną teczkę i niespokojnie pokręcił się na krześle. Faulkner musiał się z nim zgodzić, że ta kwota jest „rozpaczliwie nieadekwatna", i powstrzymał się od złośliwego uśmieszku na myśl o tym, że tak łatwo się wywinął.

Sędzia otworzył teraz drugą teczkę i spojrzał na pierwszy akapit, zanim się odezwał:

– Poza nałożeniem grzywny skazuję pana na cztery lata więzienia.

Faulkner wyraźnie oklapł, wlepiając w sędziego wzrok z niedowierzaniem.

Sędzia odwrócił stronę i spojrzał na akapit, który wykreślił poprzedniego wieczoru, ale przepisał na nowo tego rana.

– Jednakże – ciągnął – muszę przyznać, że poruszyła mnie pańska hojność, która wyraziła się w darowaniu obrazu *Zdjęcie Chrystusa z krzyża* Fitzmolean Museum. Domyślam się, że rozstanie z dumą pańskiej kolekcji musiało być dla pana bolesne, i byłoby zaniedbaniem z mojej strony nie uznać tego wspaniałomyślnego gestu jako szczerego gestu skruchy.

– On zamierza uchylić grzywnę – szepnął komendant – którą Faulkner ma gdzieś.

– Albo może zmniejszyć wyrok – powiedział William, który nie mógł się zdecydować, czy patrzeć na sędziego, czy na Faulknera.

Faulkner ani drgnął, rozpaczliwie pragnąc usłyszeć jedno słowo i to nie była „grzywna".

– Wobec tego zdecydowałem – kontynuował sędzia – być może wbrew temu, co podpowiada rozsądek, również okazać pewną wspaniałomyślność i zawiesić panu wyrok z wyraźnym zastrzeżeniem, że jeśli popełni pan jakieś przestępstwo karne, jakkolwiek drobne, w ciągu następnych czterech lat, zostanie automatycznie przywrócony pełny wymiar wyroku.

Faulkner uznał, że jego hojny gest, jak sędzia to uprzejmie określił, całkowicie się opłacił.

– Zatem, panie Faulkner, wolno panu opuścić sąd – powiedział sędzia tonem, który zdradzał, że już żałuje swojej decyzji.

William był wściekły i nie pozwolił nikomu w pobliżu wątpić, co czuje. Lamont oniemiał, a Hawksby się zamyślił. W końcu sędzia Nourse powiedział: „jakieś przestępstwo karne, jakkolwiek drobne”.

Kiedy Beth usłyszała późnym popołudniem tę wiadomość, powiedziała tylko:

– Gdybym miała wybierać między wysłaniem Faulknera do więzienia na cztery lata a pozyskaniem przez Fitzmolean bezcennego skarbu, nie musiałabym się zastanawiać.

– Ja miałem nadzieję na jedno i drugie – rzekł William. – Że Fitzmolean dostanie Rubensa, a Faulkner następne cztery lata będzie gnił w Pentonville.

– Ale po której byłbyś stronie, gdybyś musiał wybrać: albo Faulkner spędzi cztery lata w więzieniu, albo Fitzmolean będzie miało na zawsze Rubensa?

– Oczywiście po stronie Fitzmolean – odparł William, starając się zabrzmieć, jakby rzeczywiście tak myślał.

34

– Jej Królewska Wysokość, milordowie, panie i panowie. Nazywam się Tim Knox i jako dyrektor Fitzmolean Museum z przyjemnością witam państwa na oficjalnym odsłonięciu arcydzieła Rembrandta *Syndycy cechu sukienników*. *Syndycy*, jak państwo wiedzą, zostali wyniesieni z muzeum dokładnie siedem lat temu i niektórzy myśleli, że nigdy nie wrócą. Jednakże byliśmy tak pewni, że w końcu przybędą do domu, że nigdy nie dopuściliśmy, aby inny obraz powieszono na ich miejscu.

Wybuchły spontaniczne oklaski. Dyrektor poczekał, aż ucichną, i mówił dalej.

– Teraz poproszę Jej Królewską Wysokość o odsłonięcie utraconego arcydzieła.

Księżniczka królewska podeszła do mikrofonu.

– Zanim to zrobię, Tim – powiedziała – czy mogę ci przypomnieć, że mój prapradziadek otworzył to muzeum ponad sto lat temu? Wierzę, że kiedy pociągnę za ten sznur, a w tej czynności moja rodzina ma duże doświadczenie, ukaże się obraz Rembrandta, a nie wypłowiały prostokąt na miejscu, które zajmowali kiedyś *Syndycy*.

Wszyscy się roześmiali.

Księżniczka Anna pociągnęła sznur i rozsunęła się czerwona zasłona, pozwalając wszystkim podziwiać obraz, który część z obecnych ujrzała pierwszy raz. William najpierw spojrzał na jego dolny prawy róg, upewniając się, że są tam inicjały RvR, a dopiero potem dołączył do braw.

– Dziękuję państwu – powiedział Knox. – Ale dzisiejszego wieczoru dostaniecie dwa za cenę jednego, bo nie mogliście nie zauważyć czekającego na odsłonięcie drugiego obrazu. Tymczasem wypijcie kieliszek szampana i podziwiajcie obraz Rembrandta, a potem przedstawię wam nasz najnowszy nabytek.

William nie ruszył się na krok, tylko dalej podziwiał obraz, który pierwszy raz ujrzał w Monte Carlo i zastanawiał się, czy jeszcze go zobaczy. Nie

zauważył stojącego obok komendanta, dopóki ten nie przemówił i przerwał tok jego myśli.

– Gratuluję, Williamie – rzekł Hawksby. – To twój osobisty triumf.

– To wynik wysiłku zespołu, sir – powiedział William, niechętnie odrywając oczy od obrazu i odwracając się do szefa.

– Bzdury. Obraz nigdy by nie wrócił na przynależne mu miejsce, gdybyś ty nie dołączył do zespołu. Jednak uprzedzam, że jak tylko znajdziemy się w Yardzie, zdam sprawozdanie komisarzowi policji londyńskiej i całą zasługę sobie przypiszę.

William się uśmiechnął.

– Bardzo się cieszę, że Jackie została zaproszona na dzisiejszy wieczór – powiedział, spoglądając na drugą stronę sali, gdzie gawędziła z Beth. – Ona wykonała dużo czarnej roboty, jeszcze zanim ja się pojawiłem na scenie.

– Zgadzam się. I chociaż została zdegradowana, jestem zadowolony, że wydział jej nie stracił. Ale to stwarza problem, ponieważ wydział dzieł sztuki i antyków może mieć tylko jednego detektywa konstabla.

William pogodził się z zasadą, że jeśli jako ostatni dołączyłeś do zespołu, to kiedy konieczne okażą się cięcia, odejdziesz jako pierwszy. Miał tylko nadzieję, że nie wróci do rewiru.

– Obawiam się, Williamie, że będziemy musieli przenieść cię do innego wydziału, ale wpierw zdasz egzamin na sierżanta.

– Ale spełnię wymagane warunki nie wcześniej niż za rok, sir.

– Dobrze o tym wiem, Warwick. Dlatego zgłaszam cię do programu przyspieszonego awansu dla absolwentów, czego tak bardzo próbowałeś uniknąć, kiedy dołączyłeś do policji.

William chciał zaprotestować, ale dobrze wiedział, że tej batalii nie wygra.

– A o jakim wydziale dla mnie pan myśli, sir?

– Jeszcze się nie zdecydowałem – narkotyki, oszustwa finansowe czy morderstwa.

– Mam dość morderstw, sir, chociaż będę panu dozgonnie wdzięczny za pańską pomoc, dzięki której mój przyszły teść wyszedł na wolność.

– Nigdy więcej nie wspominaj o tym ani publicznie, ani prywatnie – rzucił Hawksby, gdy zbliżał się do nich Arthur.

– Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć, co jest za drugą zasłoną – rzekł Arthur. – Beth robi wokół tego tyle hałasu.

– I ma rację – zauważył William – ale mogę powiedzieć tylko tyle, że nie będzie pan rozczarowany.

Tim Knox kilka razy postukał łyżeczką w kieliszek z szampanem, aż wszyscy przestali rozmawiać i zwrócili się w jego stronę.

– W przeszłości – powiedział – zawsze uważaliśmy *Syndyków* za gwiazdę na naszym firmamencie, ale ciekaw jestem, czy gdy odsłoni się druga zasłona, nie uznacie, że na widnokręgu pojawił się prawdziwy rywal.

Bez słowa pociągnął za sznur i do wtóru stłumionych okrzyków, po których nastąpił grzmot oklasków, odsłonił *Zdjęcie Chrystusa z krzyża* pędzla Rubensa.

– Ten niezwykły dodatek do naszej kolekcji – mówił, gdy oklaski ucichły – otrzymaliśmy dzięki niewiarygodnej wspaniałomyślności znanego kolekcjonera i filantropa pana Milesa Faulknera. Jest tu z nami tego wieczoru, więc proszę wznieść kieliszki i wypić jego zdrowie.

– Na mnie nie liczcie – mruknął William wśród okrzyków „Proszę, proszę!” i potrącania się kieliszkami.

– A na mnie tak – powiedziała Beth, podnosząc kieliszek – skoro on wciąż ma na ścianach tyle rzadkich skarbów, które chętnie byśmy zobaczyli wiszące w Fitzmolean.

– Najpierw jego bym powiesił – rzucił William.

– Lepiej pójdę wybawić mojego ojca – powiedziała Beth – i zabiorę go do domu. Zbliża się godzina, kiedy kładzie się spać, a musimy pamiętać, że jutro wraca do pracy.

William skinął głową.

– Za chwilę do ciebie przyjdę – rzekł niezdolny oderwać się od Rubensa.

– Będzie mi brakowało mojego ulubionego dzieła sztuki – ktoś powiedział za jego plecami.

William odwrócił się i ujrzał Faulknera też podziwiającego Rubensa, ale nie zareagował. To nie powstrzymało Faulknera, który dodał:

– Konstablu Warwick, gdyby trafił pan kiedy do Nowego Jorku, proszę koniecznie do mnie zadzwonić, bo chciałbym pana zaprosić na drinka do mojego apartamentu na Piątej Alei.

– A dlaczego miałbym tego chcieć? – prawie wypluł z siebie William.

Faulkner schylił się i szepnął mu do ucha:

– Ponieważ wtedy pokazałbym panu oryginał.

Tego autora również:

ALE TO NIE WSZYSTKO
CO DO GROSZA
CÓRKA MARNOTRAWNA
CZY POWIEMY PANI PREZYDENT?
DZIEŁO PRZYPADKU
DZIENNIKI WIĘZIENNE
FAŁSZYWE WRAŻENIE
I TAK WYGRASZ
JEDENASTE PRZYKAZANIE
KANE I ABEL
KOŁCZAN PEŁEN STRZAŁ
KRÓTKO MÓWIĄC
NA KOCIĄ ŁAPĘ
PIERWSZY MIĘDZY RÓWNYMI
SPRAWA HONORU
STAN CZWARTY
SYNOWIE FORTUNY
WIĘZIEŃ URODZENIA
ZŁODZIEJSKI HONOR

CZA SPOKAŻE
ZA GRZECHY OJCA
SEKRET NAJPILNIEJ STRZEŻONY
OSTROŻNIE Z MARZENIAMI
POTĘŻNIEJSZY OD MIECZA
W GODZINIE PRÓBY
TO BYŁ CZŁOWIEK!

a także:
EWANGELIA WEDŁUG JUDASZA

Spis treści

Dedykacja
Podziękowania
Do Czytelnika
***
1
2
3
4
5
6
7
8
9
10
11
12
13
14
15
16
17
18
19
20
21
22
23
24
25
26
27

28
29
30
31
32
33
34
Polecamy

Tytuł oryginału: *Nothing Ventured*

Copyright © 2019 by Jeffrey Archer
All rights reserved

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2019

Informacja o zabezpieczeniach
W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor: Katarzyna Raźniewska

Projekt i opracowanie graficzne okładki: Zbigniew Mielnik

Fotografie na okładce
© Alamy/BE&W (2)
Karsten Gohm/Unsplash

Wydanie I e-book (opracowane na podstawie wydania książkowego: *Nic bez ryzyka*, wyd. I, Poznań 2020)

ISBN 978-83-8188-794-6

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel.: 61 867 81 40, 61 867 47 08
e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**